



KOSTAS AKRIVOS

# PANDEMONIUM

SERIA  GRĘCKIE KLIMATY

**Kostas Akriwos**

# **PANDEMONIUM**

Przełożył: Michał Bzinkowski  
Wrocław 2016

# Spis treści

α

„Zawiadamiam Pana o znalezieniu zwłok”

β

ŚWIĘTEJ MĘCZENNICZY EUDOKII, ŚWIĘTEGO MARCELEGO  
MĘCZENNIKA

γ

„Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu...”

δ

WIELKI PIĄTEK

ε

„Grzechy rodziców...”

ζ

NIEDZIELA O ŚLEPCU

η

„Jak Paisjusz...”

θ

KU CZCI MĘCZENNICZEK: ŚWIĘTEJ ZOFII, WIARY, NADZIEI  
I MIŁOŚCI

ι

„Świeże ślady...”

κ

POCZĘCIE ŚWIĘTEJ ANNY

λ

„Zgorszenie niewyobrażalne”

μ

ŚWIĘTEGO ANTONIEGO WIELKIEGO

ν

„Odejdź!”

ξ

ROZPOCZYNA SIĘ TRIODION POSTNY

ο

„My, łacinnicy”

π

WIELKI POST

ρ

„Wiem, kto jest winny!”

σ

PIERWSZY WIENIEC POZDROWIEŃ

τ

„Już to rozegrałem”

υ

NIEDZIELA ADORACJI KRZYŻA ŚWIĘTEGO

φ

„Ja, samotny i nieszczęsny”

χ

NOC AKATYSTU

ψ

„Wszystko idzie dobrze”

ω

SOBOTA ZADUSZNA

Alfa i Omega

Góra Athos – miejsce poza czasem

*Dla Waso, w prezencie urodzinowym*

α

## „Zawiadamiam Pana o znalezieniu zwłok”

Ja, Nusias Ilias (Liakos), syn Athanasiosa i Sterjani, podkomisarz pierwszego stopnia, ze wsi Wowusa prefektury Joanina, dnia dzisiejszego 16 kwietnia bieżącego roku, składam ten raport, pragnąc zawiadomić Pana, że w tutejszym monasterze, na Świętej Górze, znaleziono zwłoki.

Zacznę od tego, co wydarzyło się wcześniej, i następnie przejdę do głównych wypadków.

Od poprzedniego dnia, to znaczy od wczoraj, nic nie wskazywało, że mogłoby się u nas wydarzyć coś podobnego. Dzień toczył się spokojnie, gości mieliśmy takich jak zwykle i zdawało się, że zanosi się na deszcz. Około szóstej po południu zszedłem na parter, by zamknąć okiennice i zabezpieczyć dżipa. Przyniosłem też z piwnicy wiązkę drewna, byśmy mieli na potem. Byłem sam w czasie służby. Mój współpracownik Miltos Kirkisidis miał dzień wolny i pojechał odwiedzić krewnych w Rentinie. Często oddaję mu swój dzień wolny, bo dokąd mam jechać w Epirze?

Już od rana zaczęło wiać i padać. Nie ukrywam przed Panem, że zmartwiło mnie to, bo spodziewałem się wizyty paru przyjaciół, z którymi miałem spędzić wieczór. Ledwo zdążyli przed ulewą. Gdy tylko weszli, Thodoris rzekł: „Cholerna parszywa pogoda!”. Dwóch z nich oczekiwałem, trzeciego nie. Wyglądał na młodszego od nas, około dwudziestu pięciu lat, drałgalowaty chuderlak. „Oto ojciec Gierasimow, Rosjanin zapewne”. Zauważyłem, że na twarzy Lambrosa pojawił się złośliwy uśmieszek. W naszym towarzystwie tamtemu też groziło pijaństwo.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że piszę tak szczegółowo o wcześniejszych wydarzeniach, gdyż Pan mnie o to prosił. Gdy rankiem przez telefon relacjonowałem Panu zajście, komisarz Karasulas nakazał mi: „Opisz wszystko jak należy i starannie. Wszystko, słyszysz?! Nawet to, co ty uważasz za nieistotne”. Nie mam więc innego wyjścia. Jestem posłuszny i kontynuuję.

Tymczasem na zewnątrz rozszalały się żywioły. Od strony Athos schodził

wardaris<sup>1</sup> i niemal unosił dach. Lało jak z cebra. I tak przez całą noc. Powoli zapomnieliśmy o błyskawicach i zupełnie nie zwracaliśmy uwagi na grzmoty. Skończyły się już pierwsze butelki malamatiny<sup>2</sup>, zabraliśmy się do następnych i tak w kółko. Co do mnie, dobrze się kontrolowałem. Upiekłem w folii aluminiowej ziemniaki, pokroiłem na plastry trzy szynki, ugotowałem zieleninę<sup>3</sup>, na koniec wyciągnąłem też brytfankę z solonymi przekąskami. Byli wszystkim zachwyceni.

Wyglądało na to, że Rosjanin miał mocną głowę. „Pomyśl, ile wódek pochłonął, zanim zjawił się na Górze”, rzucił na jego temat Thodoris. Rozmawialiśmy o naszych sprawach, powoli się upijaliśmy, a wkrótce jego też włączyliśmy do dyskusji. Dukał trochę po grecku. Miasto, z którego pochodzi, nazywa się Rostów, i przywiózł go jakiś daleki wujek, aby został mnichem w monasterze świętego Pantelejmona, by uciec przed głodem. Lambros znalazł go na drodze, zrobiło mu się żal i zabrał go ze sobą. Tyle mniej więcej o Gierasimowie. Przeważnie słuchał i pił, rasowy moczymorda. Wróciliśmy do naszych spraw. Co nas dręczy, jak nam idzie z mnichami, jakie tajemnice nam ciążyą. I tak nam upłynął czas, deszcz jednak nie minął. Nadeszła północ. Thodoris zaczął wtedy opowieść o delfinach. Zna takie historie, bo pełni służbę oficera portowego w Dafni. Wypłynął kiedyś służbową łodzią, by pozbierać sieci, i zauważył, że złapał się w nie delfin. Wokół niego, zawodząc, krążył drugi, pewnie jego partner. Gdy tylko uwolnił pierwszego, oba delfiny do samego końca płynęły obok łodzi i okazywały radość. Pewnie w ten sposób mu dziękowały.

Prawdę mówiąc, wzruszyłem się. Przyszła mi na myśl moja własna historia. Nie wstydzę się przyznać, że powód, dla którego poprosiłem o przeniesienie na Górę, jest taki, iż doświadczyłem miłosnej zdrady. Ja w szkole policyjnej, a ona, bezecna, choć od trzech lat byliśmy zaręczeni, spotyka się z innym! Trochę z powodu wina, trochę przez opowieść o delfinach, nie powstrzymałem się i opowiedziałem im o tym. Gierasimow niewiele zrozumiał. Thodoris pokiwał głową. Tylko Lambros wyjął komórkę i rzekł: „Właśnie w tej chwili znajduję ci kobietę. Co ty na to?”. Chciał złagodzić moją gorycz. Pokiwałem do niego, „nie”, uśmiechnąłem się i znów skierowałem rozmowę na początkowe tory.

Gdy podnieśli się, żeby wyjść, było już po drugiej. Thodoris miał zostawić Lambrosa na poczcie, a potem pojechać do Dafni. Rosjanina mi zostawili.

Padł jak długi na kanapę i na próżno go budzić.

Teraz niech mi Pan pozwoli dorzucić coś innego, osobistego. Wiem, że nie ma to związku ze sprawą, ale wydaje mi się, że w jakiś sposób poświadcza wydarzenia, które później nastąpiły. Chcę opowiedzieć o śnie, który miałem.

Gdy kładłem się spać, wciąż padało. Potem znalazłem się na jakimś górskim zboczu. Z początku wziąłem je za Tsuka Rosa. Tak my, Wołosi<sup>4</sup>, nazywamy tę część gór Pindos, która ciągnie się od Awdella w kierunku Samariny. Wracam do snu. No więc zobaczyłem jelenie. Biegły spłoszone. W pewnej chwili zmęczyły się i przystanąły nad wodopojem. W miejscu, gdzie piły, zjawił się myśliwy. Ja spoglądałem na to z oddalenia. On podnosi broń, celuje, próbuje do niego krzyknąć „nie”, ale nie mogę wydobyć głosu. Na odgłos wystrzału zerwałem się z łóżka w panice.

Stukania dobiegały od strony dolnych drzwi. Mocne, uporczywe, nie zanosilo się, żeby miały przestać. Wstałem i – proszę mi wybaczyć – w samych tylko slipkach poszedłem otworzyć. Gierasimow nawet nie zmienił boku. „Pewnie znów się posprzeczali w jakimś monasterze o granice albo z handlarzami o ryby”, pomyślałem, gdy otwierałem zasuwę. Kiedy tylko zobaczyłem mnicha, zamurowało mnie. Z rozwichrzonymi włosami, przemoknięty, z trudem cedził słowa. To był Daniil z monasteru Stawronikita.

„Niech pan wstaje, panie komisarzu! Szybko! Chodźmy! W monasterze popełniono morderstwo”.

Zanim się ubrałem, Rosjanin też się obudził. Wyglądało na to, że nie wie, dokąd ma się udać. Co miałem zrobić, zabrałem go ze sobą. Zamknąłem drzwi i ruszyliśmy. Za plecami zostawiliśmy Karies<sup>5</sup> i skręciliśmy w drogę, która wiedzie ku monasterom Iwiron i Wielkiej Ławry. Wkrótce skręciliśmy w lewo i od razu naszym oczom ukazał się monaster Stawronikita. Cała przyroda wokół niebiańska. Deszcz obmył drzewa i dęby skalne, niebo – czysty błękit, widoczność sięgała aż do Tasos. Wymarzony dzień, by mieć dobry humor. Wtedy zobaczyłem w rowie przewróconego dżipa z pękniętą oponą. Zapytałem Daniila, nic nie wiedział. Wciąż powtarzał: „Ojejku, co nam się przytrafiło!” i ciągle tylko: „Panie, zmiłuj się”. Nie było sensu pytać go o nic więcej.

Gdy tylko dotarliśmy do monasteru, zbiegli się do nas mnisi. Oczywiście igumen<sup>6</sup> jako pierwszy i najważniejszy. Z ojcem Nikodemem już wcześniej



spotykaliśmy się podczas całonocnego czuwania<sup>7</sup>, wiedziałem, co z niego za strachajło. Teraz przypominał lampę olejną bez knota. Z przodu on, z tyłu ja, przeszliśmy przez dziedziniec, weszliśmy do komnat gościnnych, potem po schodach, z prawej i lewej strony cele, drzwi pozamykane, z jednej wyszedł jakiś mnich bez nakrycia głowy i spojrzął na nas ze złością. W końcu zatrzymaliśmy się przed jedną celą z na wpół otwartymi drzwiami. „To tutaj...” Głos igumena ledwo było słyhać. Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Zwłoki położono na łóżku. Były przykryte kocem. Trochę poniżej brzucha widać było wielką plamę. Krew wyglądała na świeżą, jakby właśnie w tej chwili wyciekła. Odwróciłem się i spojrziałem na igumena. Milczał. Na zewnątrz na korytarzu słyhać było szeptanie. Zrobiłem krok do przodu, zbliżyłem się jeszcze trochę. Ostrożnie podniosłem koc. Co zobaczyłem?

Osobą leżącą na łóżku nie był mnich, bynajmniej. To znaczy, jeśli mam być szczery i nazwać rzeczy po imieniu, pod kocem znajdowała się kobieta. Tak, tak, kobieta! Otworzyłem usta ze zdziwienia. Wróciłem zakłopotany, by zobaczyć, co ma mi do powiedzenia igumen, jeśli oczywiście coś wiedział.

Wiedział. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że nie był zdziwiony? Zatem pewnie to on razem z innymi znalazł ciało, położyli je na łóżku i przykryli kocem. Czy mogło tak być? Słusznie myślałem. Powiedział mi to trochę później w biurze.

Od tamtej pory aż do teraz, gdy siedzę i składam Panu ten raport, dokładnie o godzinie jedenastej dwadzieścia pięć, jeden po drugim przychodzą mnisi i ich przesłuchuję. Próbuję się dowiedzieć, co wiedzą o tej sprawie. Naturalnie wcześniej zadzwoniłem, aby Panu zdać relację ze zdarzenia.

Na razie kończę w tym miejscu. Mam przed sobą cały dzień i całą noc na przesłuchania. Jest wiele pytań w związku z tą sprawą i jest ona bardzo tajemnicza. Wszystko się obróci do góry nogami. To przecież morderstwo, i to na kobiecie! Złamano święty zakaz<sup>8</sup>, złamano świętość. Przepadła Góra, nieszczęsna.

<sup>1</sup> Wardaris (βαρδάρης) – północno-zachodni wiatr wiejący w dolinie rzeki Wardar (gr. Aksios, Αξιός). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

<sup>2</sup> Malamatina (Μαλαματίνα) – znana marka retsiny, tradycyjnego greckiego wina doprawianego żywicą.

<sup>3</sup> Chorta (χόρτα) – różne gatunki dziko rosnących ziół, ugotowane z solą i podawane

z dodatkiem oliwy i soku z cytryny.

**4** Wołosi (*Wlachi* [Vlachoi], Βλάχοι), inaczej zwani Arumunami (Αρμόνοι) – romańskojęzyczna grupa etniczna zamieszkująca Bałkany.

**5** Karies (Καρυές) – stolica Świętej Góry.

**6** Igumen (*igumenos* [hegoumenos], ηγούμενος) – przełożony monasteru.

**7** Całonocne czuwanie (*agripnija* [agrypnia], αγρυπνία) – jedna z praktyk ascetycznych.

**8** Święty zakaz, inaczej: „nieprzekraczalny”, „nienaruszalny” (*awaton* [abaton], άβατον) – obowiązujący nieprzerwanie przynajmniej od X wieku bezwzględny zakaz przebywania na terenie Świętej Góry kobiet, a także zwierząt hodowlanych rodzaju żeńskiego. W dalszej części książki „święty zakaz” odnosi się zawsze do *awaton*.

# β ŚWIĘTEJ MĘCZENNICY EUDOKII, ŚWIĘTEGO MARCELEGO MĘCZENNIKA

„...Zmieniają skrzydła aniołowie. Wyrastają nowe na ich ramionach, śnieżnobiałe i puszyste. Stare ścierają się na maleńkie kawałki i rozpraszają po niebie. Gdy tylko spadają na ziemię, zamarzają i stają się płatkami, które przykrywają domy, drzewa, pastwiska, a czasem i łodzie. Niewielu ludzi wie, jak powstaje śnieg...”

Nifonas podniósł wysoko kołnierz kurtki marynarskiej. W głowie krążyły mu słowa matki; co mu opowiadała, kiedy był małym chłopcem i gdy spoglądał przez domowe okno na padający śnieg. Mimowolnie się uśmiechnął. Jakoś tak: „Zmieniają skrzydła aniołowie...”. Znów aniołowie. Całe życie go prześladowały: od dnia, gdy się narodził, aż do tej chwili, gdy ma już tyle lat. Gwałtowny podmuch wiatru zmusił go, by zamknął oczy. Pochylił też nieco głowę, gdyż nieomal potknął się i przewrócił. Powinien się tego spodziewać, „w marcu jak w garncu”. Jednak według starego kalendarza<sup>9</sup> był jeszcze luty. „Dziś 1 marca, minus trzynaście dni: 16 lutego”. A więc ma prawo być zimno i mroźno. Zresztą, nie pierwszy raz padał śnieg o tej porze roku. Przypomniawszy sobie o śniegu, który padał jeszcze na początku kwietnia, a najstarsi mnisi mieli opowiadać o bielutkiej Wielkanocy przed wieloma laty.

Byłoby lepiej, żeby się pośpieszył, by przynaglił kroku. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że się poślizgnie lub zboczy z drogi, a ścieżka doprowadzi go w stronę monasteru Pantokratora. Jeśli jednak chciał zabezpieczyć łódź, nie powinien zwlekać ani chwili. Oczywiście, wszystko przez opóźnienie w jadalni – aż pozbierają naczynia i szklanki, aż umyją ławy – zabrało mu to ponad pół godziny. Wcześniej się nie dało. Aż do tej chwili, tyle lat na Górze i ani razu nie opuścił jutrzni<sup>10</sup> ani nabożeństwa.

Teraz miałyby go zabraknąć z powodu rybackiej łodzi?

Tyle że miał do niej wielką słabość. Cóż z tego, że PRZEWODNICZKA była stareńką łajbą, pięciometrową łodzią, którą Nifonas odziedziczył po swoim pierwszym starcu<sup>11</sup>. Wiele czasu potrzebował, żeby ją uszczelnić i pomalować. Niewielką liczbę wolnych godzin, które mu przypadały w udziale na odpoczynek, on spędzał w przystani<sup>12</sup>, naprawiając małą łódź. Ponadto nadał jej nazwę Matki Boskiej Hodigitrii<sup>13</sup>, by bezpiecznie wiodła go z powrotem, gdy wracał z połowów. Jakby to było wczoraj, pamięta Nifonas, jaka radość ogarnęła go w dniu, w którym kupił silnik. Owego popołudnia wyruszył na otwarte morze bez wiosła. Morze było gładkie jak lustrzana tafla, a przylądek znikł. Zgasił silnik, wstał, zwrócił się ku zachodowi i uklęknął. Modlił się, mając w tle wierzchołki Góry Athos skąpane w czerwonym świetle zachodzącego słońca – widok niezrównany, istny Raj.

Od tamtego dnia przez następne lata łowienie ryb stało się jego główną posługą. Dla dobrych połowów często nie wahał się wypuszczać aż do Jerissos i nawet na Tasos. Nie było tak, że nie pomagał w ogrodach, w kwaterach gościnnych, w czasie śpiewania psalmów lub tam, gdzie akurat go potrzebowano. Wszyscy jednak w Stawronikita wiedzieli, że ilekroć znajdowali na talerzu rybę, pochodziła ona z sieci albo takli<sup>14</sup> Nifonasa. Czy mogli więc nie mieć do niego wielkiej słabości? Oznacza to w języku mniszym: zwolniony od ciężkich posług i wolny od brania udziału w całonocnych czuwaniach i nocnych nabożeństwach. Choć oczywiście Nifonas nie myślał o byciu takim mnichem: był pierwszy w łowieniu ryb i pierwszy w celebracji wiary.

Mimo że nie był ciężki, nagle poślizgnął się i upadł. Zabolały go plecy, a w biodrze poczuł ostry, przeszywający ból. Podniósł się z trudem, strzepując z siebie śnieg. Jeszcze trochę, jakieś sto metrów, i znajdzie się w przystani. Już z daleka widział PRZEWODNICZKĘ. Śnieg pokrył ją całkowicie. Wyglądała na samotną i bezbronną na morzu. Wyciągnąłby ją za pomocą wciągarki, którą mieli na nabrzeżu, i umieścił w zabezpieczonej szopie w przystani. Zadbałby o nią tak, jak tylko on sam potrafił. Czemu o tym nie pomyślał zeszłej nocy! Dlaczego nie poznał po mrozie, że nadchodzi śnieżna pogoda? Przecież nawet jego oddech zmieniał się

w kryształki lodu.

Popchnął ramieniem ciężkie drzwi i wszedł do szopy. Tutaj wciągał łądkę, gdy tylko pogoda się pogarszała. Notias<sup>15</sup> był najgorszy ze wszystkich wiatrów. A gdy zjawiała się śnieżna pogoda – „o wilku mowa...”. Zatrzymał się na chwilę, by odpocząć. Wypatrywał, do którego metalowego kółka mógłby ją przywiązać, a potem przez szparę w drzwiach spojrzął w stronę morza. Śnieg, nieskończony śnieg. Nagle znieruchomiał. Kątem oka dostrzegł w głębi szopy inną łódkę, nową. Co do licha! Mnisi w Stawronikita mieli tylko jedną łódkę, jego. Kto to mógł być? Pewnie jakiś mnich-rybak z innego monasteru, którego pogoda zamknęła w ich przystani. Jeśli tak, dlaczego nie udał się do monasteru, by poprosić o pomoc? By mu pomogli w potrzebie, by znalazł miskę strawy, ciepłe schronienie na noc?

Na chwilę zapomniał o swojej łodzi i ruszył w stronę obcej. Dość duża, zadbana, w kolorze bieli i czerwieni, z niebieskawą linią pod relingiem biegnącą wokoło. Nie widać było dobrze jej imienia, coś jakby JANN... Nifonas usiłował je odczytać, robiąc krok do przodu w jej kierunku. Wtedy zamarł w miejscu. Rozdziawił mimowolnie usta i wybałuszył oczy. Przebiegł go dreszcz od stóp do głów. Poczuł, jak mąci mu się w głowie ze zdziwienia. Niemal go sparaliżowało. Jedyne, co był w stanie zrobić, to unieść rękę, wskazując do wnętrza łodzi:

– Szatan!

Tyle tylko, że nie był to Szatan we własnej osobie, ale jakiś jego wysłannik: kobieta. Skurczona na dnie łodzi, owinięta w jakieś łachmany, z przerażonymi oczami, wargami sinymi z zimna, dziewczyna drżała na całym ciele. Nasłał ją Szatan, by pogwałciła święty zakaz i zbecześciła Górę.

W przystani panowała tak wielka cisza, że przez chwilę Nifonas pomyślał, iż słyszy padający śnieg. Zapomniał, po co tutaj zszedł, nie pamiętał o PRZEWODNICZCE. Z oszołomienia nie odczuwał ani zimna, ani niczego innego, co by pozwalało mu sądzić, że to wszystko, co widział, nie jest snem. Z wielkim trudem otworzył w końcu usta:

– A ty... Ty czego tutaj szukasz?...

Wiele razy w życiu przychodzi taka chwila, która wywraca wszystko do góry nogami. Nic nie zapowiada tej zmiany; żadnego znaku, choćby przecucia. Tam, gdzie życie się toczy beztrząsco w jednym kierunku, nagle

jedno przypadkowe zdarzenie, niespodziewane spotkanie, jakaś osoba, stawiają cały świat na głowie. Dlaczego dzieje się taki przewrót? Czy długo potrwa? Czy dobrze się skończy? Nikt nie może tego przewidzieć. A zwłaszcza ten, komu przydarzy się ta nieprzewidziana zmiana. Tak właśnie czuł się teraz Nifonas.

Wydawało się, że minęły wieki martwej ciszy. Musiał jednak posłuchać wyjaśnień dziewczyny. Przełknął ślinę raz i drugi, chrząknął, by oczyścić głos, a w końcu ośmielił się na podwójne pytanie: „Kim...? Skąd?”.

Początkowo uznał to za bajkę z nerajdami<sup>16</sup>, nimfami i innymi takimi fantastycznymi stworzeniami, które pojawiają się tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa. Z wolna się przyzwyczajał. Trochę się teraz opanował, by wysłuchać jej historii. A przecież było to coś nadnaturalnego i tak bardzo niezwykłego! Wszystko potoczyło się tak, jak często się zdarza w tych okolicach, na tych wodach. Otóż dziewczyna (nie wyjawiała swojego imienia) poprzedniego dnia w południe wyruszyła ze swojej wsi (jej nazwy też nie wymieniła) i wypłynęła w morze na połów. Nie oszacowała należycie pogody, wypłynęła na otwarte morze, zapomniała się. Kiedy pomyślała o tym, żeby wrócić, zobaczyła, że mgła zgęstniała na dobre, a wkrótce zaczął padać śnieg. Nie potrafiła określić stron świata. W końcu dopłynęła do jakiegoś przylądka, w pobliżu chaty rybackiej. Ogarnęła ją radość. Przywiązała łódź, pewna, że znajdzie jakieś schronienie; była śnieżna pogoda, ale w końcu przejdzie. Gdy jednak zorientowała się, co to za miejsce (ujrzała w tle wieżę Stawronikita), serce w niej zamarło. Wiedziała, że kobiety mają tu zakaz wstępu. Matka Boska była jedyną żeńską istotą, która miała prawo się tam znajdować – na swój sposób, oczywiście. Tak więc lepiej by było, gdyby mnisi jej nie zauważyli. Co do jej winy, niezamierzonej winy, a niech tam, choć nie miała takiego zwyczaju, gdy tylko wróci do wsi, pójdzie do popa, wyzna swój grzech, a on da jej rozgrzeszenie. Właśnie tak się wszystko zdarzyło i w ten sposób to wyznała zdumionemu mnichowi, który jej słuchał, nie przerywając ani na chwilę.

Miałby Nifonas jej przerwać i co miałby powiedzieć? Że to wielki grzech, iż jej stopa dotknęła uświęconej ziemi? Przecież ona sama dobrze o tym wiedziała, już to przyznała. Miałby jej mówić, że dobrze zrobiła, gdy schowała się w przystani, bo w ten sposób mogła się uratować? Wówczas zgodziłby się z jej świętokradczym czynem. A może miałby jej mówić,

co teraz czuł w jej obecności? Widziała to, czy tego nie widziała? Śmiertelnie zbladł, w głowie mu huczało, czuł, że jego wargi, mimo srogiego mrozu, są wyschnięte i niezdolne do tego, by się otworzyć i w odpowiedzi rzucić choć jedno słowo.

Uznał, że lepiej będzie odsunąć się od niej, choć na chwilę. Otworzył drzwi i wyszedł na śnieżycę. PRZEWODNICZKA go potrzebowała. Odwiązał linę z kołowrotu, zaczął umiejętnie kierować łodzią, a w końcu wciągnął ją pod zadaszenie. Dziewczyna przyglądała się bez słowa. Zarzuciła na siebie szmacianą narzutkę i obserwowała wszystkie jego ruchy. Nifonas zachowywał się tak, jakby nikogo nie było obok niego. Zmagał się, by usunąć ją z pola widzenia. Pochylił głowę i zdawało się, że coś cicho szepcze, jakby jakąś modlitwę. Nie wiedział, że jest chętna, by mu pomóc, gdy obserwował ją, wciąż kątem oka, jak wyciąga rękę, by chwycić kraniec liny.

W końcu Nifonas poradził sobie sam. Jakżeby mógł poprosić o pomoc kobietę! Teraz w porządku. Zabezpieczył PRZEWODNICZKĘ, podwójnie związał linę, otrząsnął ją jeszcze ze śniegu. Co dalej? Co może się wydarzyć od tej chwili? Dziewczyna już wróciła do swojej łodzi, nie weszła jednak do środka. Podniósł trochę wzrok i spojrzał na nią. „Cała drży, nieszczęsna...” Ale dlaczego „nieszczęsna”? Skąd to nagłe współczucie? Czy zapomniał, że przed nim znajdowała się grzesznica, wysłanniczka Belzebuba? Wbił w nią zagniewane spojrzenie. Podjął decyzję. Otworzył usta, by jej powiedzieć, żeby zabrała swoją łódkę i wyniosła się tak szybko, jak tylko może:

– Co... Co zamierzasz zrobić?

Skrzyżowała ręce na piersi, pewnie z zimna. Jej włosy, czarne i mokre, opadały na plecy. Wzruszyła ramionami. Może ona też wiedziała, co jest bardziej słuszne? Oboje westchnęli równocześnie. Nifonas w sobie, w ciszy. Westchnienie dziewczyny słychać było bardzo wyraźnie. I było pełne desperacji.

– Gdy tylko przestanie padać śnieg, odpłynę.

To tylko pobożne życzenie! Nifonas odwrócił wzrok i znów dostrzegł ten sam obraz: śnieg, śnieg... Coś takiego jest wykluczone przez najbliższe godziny. Niedługo zapadnie zmierzch i nadejdzie noc. Nie było to bez znaczenia. Dopiero teraz spostrzegł jej mokre ubranie i włosy. Czy nie tak wyglądają zwierzęta, które zgubią drogę w lesie? Gdy spóźnią się

z powrotem do legowiska i złapie je deszcz lub myśliwy? Dzikie zwierzęta, zdezorientowane, przerażone. Dzikie stworzenia, których serce mrozi strach.

Ruszył szybko ścieżką ku górze w stronę monasteru. Cokolwiek ma się stać, wykluczone, by Nifonas zostawił dziewczynę bez pomocy! Oczywiście, dobrze o tym wiedział, słowa dudniły mu w głowie: „Dziewczyna pogwałciła święty zakaz, dziewczyna pogwałciła święty zakaz...”. Zgoda. Ale co można zrobić, gdy okoliczności sprawiły, że potrzebna jest jego pomoc? Czy i ona nie była Stworzeniem Bożym? Samotnym człowiekiem, bezradnym i bezbronnym?

Nifonas nie odczuwał zmęczenia czy zdenerwowania. Miał taką burzę w głowie, że nie czuł zimna ani nie słyszał głosów innych mnichów, gdy krzatali się na dziedzińcu, zaopatrując się w drewno. Szybkim krokiem wszedł do swojej celi. Przynajmniej tutaj miał szansę spokojnie pomyśleć o tym, co się wydarzyło, i o tym, co powinien dalej robić. Gdy tylko zamknął drzwi, ukląkł przed ołtarzykiem. Przez godzinę się modlił. Od dawna nie odczuwał tak wielkiej winy, że można było odnieść wrażenie, jakby teraz był przytłoczony brzemieniem grzechu. Czy nie był to wielki grzech? Czy nie był to ciężki występki, podobny do tych, które biorą się z wielkich pokus? Dlaczego jednak właśnie on poddany został takiej próbie? W czym zawinił? W czym zblądził? Modlił się do wszystkich świętych. Prosił Matkę Boską o pomoc. Wzywał świętych męczenników Marcelego i Eudokię, których pamięć czczono owego dnia. Na koniec zostawił świętego Antoniego. Co zrobiłby na jego miejscu? W jaki sposób by sobie poradził mistrz w zwalczaniu pokus? Co powinien uczynić, by nie doprowadzić się do grzechu? Wstał z podłogi po godzinie. Poczował lekką ulgę, jakby jego dusza wzięła głęboki oddech cierpliwości. Usiadł na niskim taborecie i wzięł w ręce komboskini<sup>17</sup>. Wypowiedział w myślach chyba z tysiąc razy: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem”, zestrajając słowa ze swoim oddechem. Zawsze w takich przypadkach uciekał się do tego balsamu: do Modlitwy Serca<sup>18</sup>.

Gdy otworzył drzwi celi i wyszedł, na zewnątrz nie było żywej duszy. Mnisi zamknięci w celach, jeden na klęczkach, inny leżący płasko na posadzce, wykonywali o tej porze swoje powinności. Modlili się o zbawienie własnej duszy i całego świata. To była pora „palestry”; walczyli z demonami i cieniami, ze złymi duchami, które każdy dźwigał w sobie.



Nifonas ostrożnie zszedł tylnymi schodami, które wiodły do magazynów i kuchni. Woń bulguru<sup>19</sup>, dania dnia, uderzała go w nos. W kącie ujrzał siedzącego ojca Nilosa, który był piwnicznym<sup>20</sup> w monasterze. Mieszał zupę z soczewicy<sup>21</sup> w wielkiej brytfance, a dwa koty wylegiwały się u jego stóp. Ze strony Nilosa nic mu nie groziło, bo ten nie słyszał zbyt dobrze. Mimo to Nifonas skierował się ku wiszącej latarni, bacząc, by nie uczynić najmniejszego hałasu. Wziął kawałek chleba, dwie cebule, odkroił wielki kawałek z fawy<sup>22</sup>, którą trzymali w szklanym pojemniku, i włożył do papieru pergaminowego. Wszystko to zawinął w ręcznik. Ruszył do wyjścia, zawahał się jednak. Wrócił do kuchni. Napełnił małą butelkę winem z dymionu i zapakował z innymi rzeczami.

Szczelnie zakapturzony, z wyraźnym pośpiechem wyszedł przez centralną bramę i ruszył brukowaną drogą w stronę przystani. Był pełen niepokoju. Uporczywe pytanie dźwięczało w jego głowie niczym moneta rzucona na bruk: „Czy robisz dobrze? Robisz dobrze? Robisz dobrze?...”.

Wchodząc do szopy, Nifonas ponownie ujrzał ten sam widok: wilgotne kamienne ściany, pachołki do wiązania łodzi, dwie łodzie, dziewczynę. Tym razem nie było na jej twarzy zdziwienia ani strachu. Oczekiwała go zatem. A więc to tak! Ale dlaczego? Czy coś jej obiecał? Coś, co natchnęłoby ją nadzieją na jego pomoc? Postąpił krok do przodu. Położył ręcznik na relingu łodzi. Razem z nim koc złożony na cztery; zatroszczył się, by go zabrać z celi. Zauważył, że dziewczyna chyłkiem rzuca spojrzenia na zawiniątko. Sprowokowała go do rozwiązania supła, by pokazało się jedzenie. Wskazał jej gestem, żeby się zbliżyła. Gdy dziewczyna jadła, on oddalił się trochę i czekał. Wyglądało na to, że od dawna nie miała nic w ustach. Zapytał ją o to, kiedy wciąż jeszcze przeżuwała. Tak było. Gdy wypłynęła na ryby, źle oszacowała warunki, sądziła, że szybko wróci do domu. Nie zadbała nawet o to, by zabrać ze sobą wodę. Podniosła butelkę i pociągnęła spory łyk. Skrzywiła się natychmiast, zdziwiona. Nie spodziewała się wina, myślała, że to woda. „Nie jest więc przyzwyczajona do trunków”.

Tak minęło jakieś dziesięć minut. Wcale tego nie chcąc, Nifonas – „To grzech! Kobieta na Górze!” – rzucał od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w jej stronę. „Zęby... Jakie ma bielutkie zęby!” Zaraz jednak

powstrzymał nieprzystojne myśli i wrócił do modlitwy i próśb kierowanych do świętych.

– Skończyłam...

Nie zauważył, kiedy się do niego zbliżyła. Trzymała w rękach pusty ręcznik i oddała mu go. Co do koca, raczej zrozumiała, że może się nim przykryć w nocy. Jej twarz wyglądała teraz na spokojną. Jedzenie i wino zrobiły swoje. Nagle Nifonas usłyszał gdzieś w sobie „trzask”. Poczuł, jakby już się nie wstydził, jakby lęki pękły i zniknęły. Jeszcze trochę i uśmiechnie się do niej ze współczuciem. A być może nawet z sympatią. Teraz znajdował się tak blisko, że mógł się dziewczynie lepiej przyjrzeć. Jej włosy były wciąż mokre, „i kruczoczarne”, jej piersi unosiły się i opadały, „pewnie z niepokoju”, jej dłonie wydawały się twarde i wyrobione od pracy, „co za wstyd, że nie zrobiła znaku krzyża przed jedzeniem!”.

Z zakłopotania znów zadawał jej te same pytania: skąd jest, jaka jest jej rodzina.

„Jest z Tasos... Jej wioska znajduje się w pobliżu monasteru Michała Archanioła... Mieszka z matką, nie ma ojca... Od dziecka wypływa na ryby, bo z tego żyją... Tak było też wczoraj. Dopadła ją jednak zła pogoda na otwartym morzu i zgubiła się w śnieżycy... Przypadkiem dotarła do naszych przylądków”.

Taką właśnie relację zdawał Nifonas późnym wieczorem staremu ojcu Gedeonowi, gdy go odwiedził w jego celi. To nie było jedno ze zdarzeń, którym mnich może sam stawić czoło. W takich przypadkach potrzebna jest rada kogoś starszego w cierpliwości i duchowości, zdanie kogoś doświadczonego. Kogoś, koniec końców, z kim można podzielić się wielkim problemem. Nifonas w podobnych sytuacjach zawsze zwracał się do Gedeona. Staruszek zbliżał się do dziewięćdziesięciu pięciu lat, ale trzymał się świetnie, nikt by mu nie dał nawet siedemdziesięciu. Od osiemnastego roku życia mieszkał na Górze, a jego zdanie było ewangelią dla mnichów w Stawronikita. Dlatego Nifonas wybrał go na swojego mistrza duchowego. Może i Gedeon był srogi z wyglądu i surowy w słowach, ale był też równie sprawiedliwy w sądach i mądry w tym, czego się podejmował. Wszyscy w monasterze go szanowali, choć nie był najwyższy godnością. To samo czynił teraz Nifonas. Klęcząc przed starcem, z głową pod stulą, jękając się i zatrzymując co chwila, relacjonował mu, co się wydarzyło i co on sam uczynił. Nifonas dobrze zdawał sobie sprawę, że to była trudna

sytuacja, a milczenie starca jeszcze go w tym utwierdzało. Podniósł wzrok, by się upewnić w swoich podejrzeniach. Oczekiwał, że starzec będzie wstrząśnięty – ma ku temu powody. To jednak, co ujrzał, wprowadziło go w przerażenie. Gedeon siedział z szeroko otwartymi oczami i ustami, jego dolna warga drżała, a twarz przybrała kolor głębokiej purpury. Uosobienie gniewu.

Jak śmiał?! Jak śmiał i dlaczego pozwolił na to, by został pogwałcony święty zakaz Góry?! Jakim prawem pozwolił Szatanowi zbezczścić Ogród Matki Boskiej? Kto mu powiedział, żeby przyjął dziewczynę i ją nakarmił? Kto? Ponadtyśiącletnia tradycja, a tu zjawia się on, jakiś dzieciuch, by ją znieważyc. Święty zakaz przez te wszystkie stulecia został pogwałcony najwyżej trzy razy. Po raz pierwszy przez macochę Mehmeda II Zdobywcy, który pragnął złożyć dary od Magów w monasterze Świętego Pawła, ale powstrzymał go przed zbliżeniem się głos Bogurodzicy. Innym razem w czasie powstania w 1821, by ocalić kobiety i dzieci przed szaleństwem Turków. Po raz trzeci i ostatni przez antychrystów komunistów w 1944. A teraz przyszedł Nifonas i mu mówi, że zatroszczył się i zadbał o kobietę, grzeszną istotę! Czy zapomniał o tym, co rzekł Nicefor Gregoras<sup>23</sup> o Górze: *nigdzie tam niewiast rozwiązłego spojrzenia i niewieściej fryzury?* A może kobieta jest szpiegiem tej latawicy parlamentarzystki, która proponuje Europejczykom przegłosowanie ustawy, aby kobiety miały wolny wstęp na Athos?

Wyszedł z celi Gedeona z chorą duszą. Pozostałą część nocy spędził na modlitwach i lamentach. Zrozumiał teraz wielkość grzechu, ku któremu popchnął go diabeł. Prosił o miłosierdzie, błagając o wybaczenie za swój grzeszny czyn. Czuł się winny i rozdarty, był grzesznikiem i zbłąkaną owieczką. Nifonas nie miał siły, aby pójść jeszcze na jutrznię. Poczuł, że brak mu mocy, by sobie poradzić z tą pokusą. Prosił tylko o jedno: żeby szybko nadszedł świt i żeby mógł zejść do przystani. Powiedziałyby dziewczynie, surowo i z pewnej odległości, żeby się natychmiast oddaliła. Choćby miała sama odnaleźć drogę w śnieżycy i we mgle na morzu.

Gdy zaczynało świtać, zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Śnieg przestał padać, wszystko jednak było śnieżnobiałe: dachy, kopuła, cysterna z wodą, wyniosły cyprys. Z katolikonu<sup>24</sup> słychać już było pieśń śpiewaną na zakończenie nabożeństwa. Kończyła się jutrznia i zaczynała liturgia. Czy

ma teraz ruszać w stronę przystani, czy poczekać jeszcze trochę?

Noga ugrzęzła mu w śniegu i włożył wiele wysiłku, by zachować równowagę i nie upaść, ale teraz nic go nie było w stanie zatrzymać. Nawet piękno krajobrazu. Jego dusza została zbrukana ciężkim grzechem. Jego athoskie życie zostało naznaczone występnyim czynem; powinien jak najszybciej naprawić to, co się stało. Musi ją wygnać bezzwłocznie. Ostatecznie pomyślał, że pomoże jej przygotować łódź i wyruszyć w drogę powrotną na wyspę. Dostyc tej litości! Prawda była jedna: zwiódł go i pokonał czart. Teraz jest czas, by to naprawić.

Popchnął drzwi i wszedł do środka. Przez chwilę trwał w bezruchu, aż jego wzrok przywykł do półmroku. I zaraz potem zobaczył. A może raczej: nie zobaczył. Czego? Dziewczyny i jej łodzi; zniknęły. Jedyne PRZEWODNICZKA odpoczywała w spokoju szopy. Zatkąło go. A więc dziewczyna znalazła w sobie odwagę i widząc, że śnieżyca ustaje, odważyła się wypłynąć w morze. „Odeszła...” Co ze słowami, które zamierzał jej powiedzieć? Ze srogością, którą ćwiczył od kilku godzin?

Podszedł do PRZEWODNICZKI i położył dłoń na wilgotnym drewnie. Gdy tylko nadejdzie lato, koniecznie będzie potrzebowała malowania, a jej silnik konserwacji. I cóż miał z nią począć? Stara łajba, używana od lat, nieustannie potrzebowała jego troski. Z drugiej jednak strony, czy to właściwe dbać o rzeczy martwe, a być twardym wobec ludzi? Czy to po chrześcijańsku? Czy tego pragnie Przenajświętsza<sup>25</sup>?

Nie miał co robić i nagle znalazł zajęcie. Spędził około dwóch godzin, wylewając z łodzi resztki wody, porządkując sieci i haki, zeskrobując pleśń z wiosel. Jego ręce pracowały, ale jeszcze mocniej trzymał się jego umysł. Sceny z minionego życia, sceny z obecnego, ludzie z przeszłości, ludzie dzisiejsi. I zawsze w takich przypadkach przychodził mu na myśl Stamatis. „Nieszczęsny bracie...” Ale wraz z obrazem jego postaci za każdym razem pojawiała się scena z samochodem: światła, ogłuszający zgrzyt metalu, krew. To już dwanaście lat, od kiedy nie ma jego brata bliźniaka. „Dwanaście lat, trzy miesiące, trzy dni...”

Zostawił wszystko i ruszył w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Wielkich i zżartych przez sól przez tyle lat. Pociągnął rygiel i podniósł ciężką zasuwę. Popchnął mocno oba skrzydła. Przed nim pojawiło się morze. Znów zaczął padać śnieg. Grube płatki opadały i topniały na szarej wodzie. „Zmieniają

skrzydła aniołowie...” Ruszył w dalszą drogę. Czarna postać na białym tle. Skrzyżował ręce na piersiach. Koniuszki palców dotknęły punktu, gdzie miał znamię. Miejsca, które pocałował anioł w dniu jego narodzin.

[9](#) Kalendarz liturgiczny w Kościele prawosławnym opiera się na kalendarzu juliańskim.

[10](#) Jutrznia (*orthos*, ὄρθος) – poranna modlitwa mnichów.

[11](#) Starzec (*jerondas* [gerontas], γέροντας, a także *jeron* [geron], γέρων) – mistrz duchowy.

[12](#) Przystań (*arsanas*, αρσανάς, z tur. *tersane*) – mały warsztat szkutniczy służący również jako przystań dla łodzi.

[13](#) Hodigitria lub Hodegetria (Οδηγήτρια) – czyli „Przewodniczka” – jeden z typów ikonograficznych Matki Boskiej z charakterystycznym gestem prawej dłoni wskazującej na siedzącego na jej lewej ręce Jezusa. Typem Hodigitrii jest m.in. ikona Matki Boskiej Częstochowskiej z klasztoru na Jasnej Górze.

[14](#) Takla (*paragadi*, παραγάδι) – linka z haczykami używana do połowu ryb.

[15](#) Notias (νοτιάς), a także notos (νότος) – południowy wiatr, który przynosi zwykle gwałtowne pogorszenie pogody i deszcze.

[16](#) Nerajda (νεράιδα) – w ludowych wierzeniach greckich demon pod postacią pięknej kobiety (spokrewniony ze starożytnymi Nereidami, od których wziął nazwę), mieszkający zazwyczaj w pobliżu wody, nad brzegami rzek, w studniach. Nazwą tą określane są także wszystkie nimfy zamieszkujące takie miejsca, jak góry czy jaskinie. W folklorze słowiańskim jej odpowiednikiem jest rusalka lub wiła.

[17](#) Komboskini (κομποσκοίνι) – sznur modlitewny, zazwyczaj wełniany, mający sto węzełków, używany w chrześcijaństwie wschodnim do odmawiania Modlitwy Jezusowej (ros. *czotki*, *cziotki*).

[18](#) Modlitwa Serca (*prosefchi tis kardjas* [proseuche tes kardias], Προσευχή της Καρδιάς), inaczej zwana Modlitwą Jezusową – hezychastyczna praktyka modlitewna, polegająca na nieustannym powtarzaniu imienia Boga i równoczesnej kontroli oddechu.

[19](#) Bulgur (*pliguri*, πλιγούρι) – kasza z gotowanych i wysuszonych ziaren pszenicy stosowana powszechnie w kuchni bliskowschodniej.

[20](#) Piwniczny (*dochiaris* [docheiares], δοχειάρης) – mnich odpowiedzialny za bieżące zapasy oliwy i jedzenia, magazynier.

[21](#) Zupa z soczewicy (*fakes*, φακές) – tradycyjna grecka zupa.

[22](#) Fawa (φάβα) – pasta z żółtego grochu i cebuli z dodatkiem oliwy.

[23](#) Nicefor Gregoras (Νικηφόρος Γρηγοράς; 1295–1359/1360) – bizantyński historyk i teolog, autor utworów hagiograficznych.

[24](#) Katolikon (*katholiko(n)*, καθολικό(v)) – główna świątynia w monasterze.

[25](#) Przenajświętsza – (*Panaja* [Panagia], Παναγία) – jeden z najczęstszych epitetów Matki Boskiej.

Y

## „Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu...”

*Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość! Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego! Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną<sup>26</sup>.*

Zgrzeszyliśmy, Panie, wiem o tym. Zbłądziliśmy. Pierwszym, który zbłądził, jestem ja. Gdy podjąłem się przewodzenia monasterowi, wiedziałem, że równocześnie staję się odpowiedzialny za wszystkie błędy, staję się tym, który dźwiga grzechy swoich braci. Ty, Panie, dźwiesz to brzemie lepiej niż ktokolwiek inny. Ty bowiem cierpliwie niosłeś swój krzyż męczeństwa dla zbawienia całego świata. Ciężki krzyż spoczywa teraz także na moich barkach. Ciężka zbrodnia dręczy nasz monaster. Bezceństwo i grzech wielki. Zdruzgotany padam na kolana przed Tobą i w imieniu moich braci o przebaczenie proszę. Mały i niewystarczający jestem do tego, by wyrokować, co zawiniło. Nawet teraz, wiele godzin po tym strasznym wydarzeniu, nie mogę uporządkować swoich myśli i na chłodno rozważyć tego, co zdarzyło się wcześniej, ale także i tego, co dopiero ma nastąpić...

*Nie karć mnie, Panie, w swym gniewie i nie karz w swej zapalczowości. Zmiłuj się nade mną, Panie, bom słaby; ulecz mnie, Panie, bo kości moje strwożone i duszę moją ogarnia wielka trwoga; lecz Ty, o Panie, jakże długo jeszcze...?<sup>27</sup>*

Powiadomiono mnie na początku jutrzni. Bracia byli na swoich miejscach, a ojciec Theoklitos przy psalterzu intonował mocnym głosem pierwsze poranne hymny. Dopiero co zakończyłem pokłony przed ikonami, gdy ujrzałem, jak Modest kiwa mi głową z przedsionka przy wejściu. Podeszedłem do niego. Pochylił się i zdenerwowany rzekł mi, bym bezzwłocznie udał się do skrzydła mnichów. Gedeon miał mi coś do powiedzenia. Nie zastałem staruszka w jego celi. Jakieś szepty i przyćmione światło lampki gazowej

skłoniły mnie do skierowania się ku krańcowi korytarza, do celi Nifonasa. Popchnąłem drzwi i wszedłem. Na widok tego, co zastałem w środku, zamurowało mnie. Ujrzałem Gedeona z rękami splamionymi krwią. Równocześnie zobaczyłem też ciało leżące na łóżku. Czy mam rzec, Panie, jak mocno wstrząsnął mną ten widok? Czy mam wyznać, jakie zdumienie mnie ogarnęło, gdy ujrzałem tę scenę? Jaki gniew, z powodu zbrodni, która wydarzyła się w naszym monasterze? Tyś, Panie, wszechmądry i wszechwidzący. Chylę głowę i o wybaczenie proszę przed Twoim obliczem. Klękam i o łaskawość Twoją proszę. Tak się stało, Panie, i zostałem o tym powiadomiony. O czynie nieczystym, bezecnym i niechrześcijańskim...

*Od krwi uwolnij mnie, Boże, mój Zbawco: niech mój język sławi Twoją sprawiedliwość!<sup>28</sup> Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję<sup>29</sup>.*

W czasie jednej nocy wszystko ulega zniszczeniu. Praca i trud wieków znikną za sprawą ohydnej zbrodni. Odchodzą marzenia, jakie snułem na przyszłość naszego sławnego monasteru. Wszystko zostało zmiecione gwałtownym porywem zła. Czy byłoby, Panie, arogancją, gdybym wspomniał w takiej trudnej chwili jak ta o dniach spokojnych i błogosławionych? O czasie, gdy nic innego nie czyniliśmy, jak tylko wysławialiśmy Twoją łaskę, wychwalaliśmy Twoje dzieła i cierpliwie przyczynialiśmy się do dobra monasteru? Gdy podjąłem się obowiązków igumena, postawiłem sobie jeden cel: by monaster Stawronikita odzyskał utraconą sławę. Miałem dokładać wszystkich sił, by ponownie zajaśniał niegdysiejszą chwałą. Następnego dnia po wyborze zwołałem radę mnichów. Zezwolili mi na każdą inicjatywę, byleby spokój starców pozostał niezmacony. Zgodziłem się. Następnie zwołałem zebranie wszystkich mnichów i wyłożyłem im swoje wizje. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Począłem wówczas wprowadzać swój plan w życie. Na początek zatroszczyłem się o znalezienie środków finansowych. Studium zostało opracowane przez Uniwersytet Arystotelesa i, za pośrednictwem Świętej Komisji<sup>30</sup>, firma EDRANON podjęła się pozyskiwania środków ze specjalnych funduszy Unii Europejskiej. Bezpośrednim niebezpieczeństwem, na jakie narażony był monaster, były pęknięcia po dawniejszych trzęsieniach ziemi. Zagrożony był

katolikon i słynne freski Teofana Kreteńczyka<sup>31</sup>. Unia nie odrzuciła żadnego z projektów, które złożyliśmy. Przeciwnie, fundusze, które gromadziliśmy, dwukrotnie przerosły początkowe oczekiwania. Do naprawy i zakotwienia potrzebnych było dwieście ton żelaza, tysiąc ton cementu na wypełnienie zagłębień, sto ton masy betonowej i drugie tyle materiału przeciwkorozyjnego. Do ukończenia pierwszego etapu prac potrzeba było całych dwóch lat, warsztatu sześćdziesięciu pracowników technicznych i wyspecjalizowanych robotników. Następnie przystąpiliśmy także do innych prac, drugorzędnych, ale równie niezbędnych. Zmieniono dach katolikonu, odnowiono dormitoria, doprowadzono do ładu teren historycznego akweduktu, puste miejsca w posadzkach zostały wypełnione płynnym ołowiem, wymieniono ławy kościelne, ogrody i winnice zostały obsadzone na nowo. Gdy tylko otrzymaliśmy drugą kwotę dotacji, wyczyściliśmy nieudolne artystyczne malowidła naścienne i zakonserwowaliśmy cudowne ikony świętych Teofana z Krety, które ozdabiają monaster. W końcu zamontowaliśmy bezpieczny system przeciwpożarowy w odosobnionym skicie<sup>32</sup> błogosławionego Paisjusza<sup>33</sup>. Mnisi pracowali z zapalem i niewiele było takich, którzy byli niezadowoleni z nowego powiewu ogarniającego monaster. Inne monastera dowiadywały się o naszych osiągnięciach i zaczęły pytać, jak mogłyby i one pozyskać podobne fundusze z Unii Europejskiej. Wówczas dowiedziałem się, że na Górze nazywali mnie pieszczotliwie „ojciec Delors”<sup>34</sup>. Poczułem, że racja jest po mojej stronie, i uśmiechnąłem się. Roboty zakończyły się wraz z umieszczeniem złotej ramy na ikonie naszego patrona, Świętego Mikołaja Cudotwórcy. Wystąpiłem także z inicjatywą, by poprawić błędny napis: *Mnich Nikefor nazywany Strawonikita*, na bardziej prawidłowy *Stawronikita*<sup>35</sup>. Tak więc się stało i nasz monaster, najmniejszy i najmłodszy na Górze, wyróżnił się jako klejnot i powód do dumy republiki mnichów. Wtedy po raz pierwszy poczułem głęboki sens tego, że porzuciłem moją karierę zawodową ku chwale Twojej niezrównanej Łaski...

*Otwórz moje wargi, Panie, a usta moje będą głosić Twoją chwałę. Ty się bowiem nie radujesz ofiarą i nie chcesz całopaleń, choćbym je dawał. Moją ofiarą, Boże, duch skruszony, nie gardzisz, Boże, sercem pokornym*



i skruszonym<sup>36</sup>.

Teraz, Panie, pragnę wyznać mój grzech. Że nie spotykałem się ze wszystkimi mnichami zawsze z taką samą miłością. Miałem problem z relacjami z tymi najbardziej podeszłymi wiekiem w monasterze. By jednak nie być niesprawiedliwym wobec nich, pragnę wyjaśnić, że dotyczyło to tylko niektórych. Przede wszystkim staruszka Gedeona. Nigdy z jego ust nie usłyszałem słowa uznania, a za każdym razem, gdy szukałem jego opinii i rady, on mnie unikał. W rzeczy samej, kilka miesięcy po moim wyborze poinformowano mnie, że rozpowiadał wśród innych mnichów, że prace budowlane w celu renowacji monasteru były czynami niestosownymi dla naszego mniszego życia. Że powinniśmy się trzymać daleko od syren Zachodu, że wszystko to podstępny papieża, by nas skłonić do unityzmu<sup>37</sup>. Próbowałem z nim porozmawiać. Na próżno. Unikał mnie i był głuchy na wszelkie wiadomości ode mnie. Bardzo mnie bolała jego postawa. Cóż jednak można na to poradzić? Starzec zacny, ale jeszcze zacniejsza konieczność renowacji i upiększania naszego historycznego monasteru. Minęły lata samoizolacji i regresji. Nasza epoka wymaga uległości wobec wyzwań nowych czasów. Tylko tym sposobem Góra powróci do życia. Już zbieramy pierwsze owoce. W Stawronikita pojawili się nowi mnisi kształceni na uniwersytetach. Równocześnie zostałem powiadomiony przez Świętą Komisję, że w zawieszeniu znajdują się także inne podania absolwentów wydziałów medycznych i informatyki, którzy pragną zostać włączeni w poczet członków monasteru. Czyż moje serce ma się nie radować takim rozwojem wypadków? Czyż nie są w ten sposób usprawiedliwione moje starania, nie zaś duch wsteczności? A wszystko to, Panie, zawsze z Twoją ochroną i błogosławieństwem...

*Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste i odnow w mojej piersi ducha niezwycięzonego! Nie odrzucaj mnie od swego oblicza i nie odbieraj mi świętego ducha swego! Przywróć mi radość z Twojego zbawienia i wzmocnij mnie duchem ochoczym!*<sup>38</sup>

W dniu, w którym ogłosiłem w MIT<sup>39</sup>, że zamierzam studiować na prawosławnym Wydziale Teologicznym w Bostonie, wszyscy byli zaskoczeni. Pytali o powód. Odpowiedziałem im: „NASA jest na ziemi.

Ja jednak chcę dotknąć nieba”. Tak więc gdy tylko zdobyłem doktorat z inżynierii biomedycznej, poinformowałem dyrektora wydziału Williama Tholdora, że przestaję być doradcą naukowym w kwestiach kosmicznej technologii medycznej. Podziękowałem mu i wyjechałem. Wszyscy moi dawni współpracownicy z czasem zrozumieli, co zrobiłem, Tholdor jednak nie. Trzy lata później otrzymałem od niego list. Prosił w nim o wybaczenie. Pisał, że jego gwałtowna postawa wynikała z tego, że mnie kochał jak syna, ale przede wszystkim z tego, że wiele marzeń zainwestował w moje kompetencje. Gdybym kiedykolwiek zapragnął, mógłbym wrócić do Ameryki i kontynuować moją pracę. Podniosłem wzrok i rozejrzałem się. Zobaczyłem błękitne morze, zaczerpnąłem wonnego powietrza, usłyszałem, jak gong<sup>40</sup> wzywa na wieczernię<sup>41</sup>. Uśmiechnąłem się z pobłażaniem. Czy jest możliwe, żebym kiedykolwiek porzucił Boskie piękno na rzecz nauki? Dla mnie jest tylko jedna największa nagroda, osobisty Nobel: Góra. Jeśli bowiem dla zdobycia Harvardu musiałem zmobilizować inteligencję, to dla wstąpienia na szczyt Góry musiałem wygrać swoją duszę. To właśnie ona, Panie, jest największą bitwą, jaką wygrałem w swoim życiu. Najtrudniejszą i wymagającą. Równocześnie jednak najszlachetniejszą i bardziej zwycięską...

*Osądź mię, Panie, bom chodził w niewinności Twojej, a w Panu nadzieję mając, nie osłabnę. Próbuj mnie, Panie, doświadczaj mnie, wypal nerki moje i serce moje! Albowiem miłosierdzie twoje jest przed oczyma moimi i rozkochałem się w prawdzie twojej<sup>42</sup>.*

Przychodzą jednak, Panie, takie chwile, że moją duszę pokrywa mrok. Nie dają jej spokoju czarne zwątpienia i nieubłagane dręczy czerw próżności. Tylko wówczas pozwalam sobie na jeden jedyny luksus: oddalam się. Czy w trakcie dnia, czy w środku nocy doznam tego uczucia, które mną zawładnie, natychmiast wyjeżdżam. Inni bracia wiedzą o tym. W moich obowiązkach zastępuje mnie wówczas brat Simeon. On jest najbardziej kompetentnym i jedynym znawcą wszystkich spraw związanych z monasterem. W odległości trzech godzin drogi znajduje się pustelnia znana pod nazwą „Iberyjski kamień”. Na wpół zrujnowany budynek na krawędzi skały. Można stamtąd zobaczyć całą Górę. Wierzchołek Athos, monastery północnej części, Tasos i Limnos. Przede wszystkim jednak można się tam

pomodlić w samotności. Nie zabieram nic ze sobą. Wystarczają mi owoce ziemi. Opuncje, leśne jagody, migdały. Nimi się żywię. O ile mniej bierze się z zewnętrznego świata, żeby przeżyć na pustkowiu, o tyle więcej można doświadczyć błogosławieństwa pustelni w swej duszy. I o ile mniej żyje się z sobą samym, o tyle bardziej żyje się z Bogiem. Ja również ku temu podążam. Aby jeść niewiele, odpoczywać trochę, rozmyślać nieustannie. W większym jednak stopniu poszukiwać, pragnąć i oczekiwać Ciebie, Panie. Noce i dni spędzam na modlitwie. Zimna, głodu ani strachu nie odczuwam. Jeśli zdarzy się śnieg, chodzę bosy, by unicestwić swoje ciało. Staję się umysłem podporządkowanym błaganiu, myślą skoncentrowaną na dziękczynieniu, duchem poświęconym największemu Duchowi. Czas się toczy i zostawia mnie poza sobą. Powracam do monasteru dopiero wtedy, gdy czuję się wzmocniony na tyle, by zwyciężać wszelkie pokusy. Gdy poczuje się wypełniony miłosierdziem i Bożą miłością. Niemal natchniony przez Boga...

*Wybaw mię, Boże, bo weszły wody aż do duszy mojej! Ulgnąłem w błocie głębokim i nie masz dna, przyszedłem na głębinę morską i pogrążyła mnie nawałność<sup>43</sup>.*

Nie pierwszy raz się zdarza, że odczuwam taki zamęt. Przypominam sobie, że coś podobnego przydarzyło mi się także w przeszłości w Bostonie. W pokoju sąsiadującym z moim dokonano zbrodni. Ofiarą był młody Polak, a sprawcą jakiś jego kolega ze studiów, z misji Południowej Afryki. Powiadali, że była między nimi relacja oparta na – *Postaw, Panie, straż moim ustom<sup>44</sup>* – namiętnościach ciała. Na miłości bezprawnej i zakazanej. To samo zdarzyło się także pod naszym dachem, w przypadku mnicha Nifonasa. Jednakże nic nie świadczyło o takim niestosownym i niechrześcijańskim zachowaniu. Został zwiedziony, nieszczęsny? Jakaż pokusa doprowadziła go do pogwałcenia przysięgi celibatu i naruszenia świętego zakazu? Potrójna jego zbrodnia. Najgorsze zaś ze wszystkiego – zabójstwo.

Niedawno Nifonas podjął się posługi lektora. Pamiętam, jak podczas jednej wieczery jego głos brzmiał drżąco, nie zaś stabilnie, tak jak wszyscy go znali. Obserwowałem braci, trochę jedząc i nieustannie myśląc. Czytanie Nifonasa zostało przerwane raz, gdy uderzeniem dzwonka dałem sygnał, by zezwolono na picie wina. Byłem tak mocno przygnębiony, że nie tknąłem

jedzenia. Pod koniec wieczery Nifonas podszedł do mnie, by wyrazić skruchę. Wydał mi się zmęczony i miał coś mrocznego w spojrzeniu. Przez chwilę miałem ochotę oddać mu nie tylko oliwki i kawałek chleba, który przysługuje lektorowi, ale i mój nietknięty talerz. Nie uczyniłem tego. Nawet go nie spytałem, czy coś się stało. Mój błąd i niedopatrzenie.

Podczas wczorajszego wieczoru pobłogosławiłem wcześniej braci i odszedłem do celi, by się pomodlić. Tak potoczyły się kolejne godziny, aż do jutrzni, gdy zostałem powiadomiony o tej plugawej zbrodni. Policjantowi, który mnie w związku z nią przepytawał, opowiedziałem pokrótce wszystko, co wiem o zdarzeniu. Nieszczęsny sądzi, że obawiam się, by się nie oczernić, nie podkopać swojego osobistego autorytetu. Poprosił mnie o to, bym mu zrelacjonował wszystkie szczegóły odnośnie do postępowania i zachowania Nifonasa. Głównie dlatego, że umknęła mojej uwagi obecność kobiety w monasterze. Wykonuje z zapałem swoją powinność, choć jest gadułą i wykazuje brak doświadczenia w tego typu sprawach. Żyjemy w wielkim zamęcie. Bracia są niespokojni i nie wiedzą, co mają robić. Starsi wiekiem uważają, że wraz z tym zabójstwem rozpoczyna się Apokalipsa świętego Jana. A wszystko to, Panie, przez słabość Nifonasa, który nie potrafił trzymać się z dala od pokus cielesnych. Kto mógł się tego spodziewać! Nifonas mordercą...

*Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie<sup>45</sup>.*

Ale chwileczkę! Jak to się stało, że Gedeon dowiedział się o zbrodni? Kto go powiadomił? W jaki sposób został o tym poinformowany? I dlaczego to on podjął się troski o zwłoki i nie zadzwonił do wiejskiego lekarza w Karies? Czemu w takim razie nie powiadomił brata Synesiosa, który spełnia posługę szpitalną, jako *pierwszego, który rękę na rany kładzie*? Co za dziwne rzeczy się tutaj dzieją! Może starzec wie o najważniejszym, ale to ukrywa? Dobrze by było, gdybym go poszedł wypytać. Zdaje się, że wie lepiej od kogokolwiek innego o grzesznych czynach Nifonasa. Pewnie to on trzyma klucze do tej tajemnicy. Twojego wsparcia, Panie Jezu Chryste, Twojego oświecenia mi trzeba.

<sup>26</sup> Ps 51 (50), 3–5. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, wszystkie fragmenty z Pisma Świętego cytowane są wg *Biblii Tysiąclecia*, Poznań 2003. Podano miejsce cytowanych fragmentów, choć w tekście oryginalnym brak jest odwołania do numeracji passusów.

<sup>27</sup> Ps 6, 2–4.

[28](#) Ps 51 (50), 16.

[29](#) Ps 51 (50), 9.

[30](#) Święta Komisja (*Jera Epistasija* [*Hiera Epistasia*], Ἱερά Επιστασία) – organ wykonawczy Świętej Wspólnoty, w skład której wchodzi 20 przedstawicieli monasterów na Athos.

[31](#) Teofan Strelitzas (Θεοφάνης Στρελίτζας) znany jako Teofan z Krety – pochodził z Kandii (Iraklion), tworzył w latach 1527–1559. Od 1535 roku przebywał stale na Górze Athos, najpierw w Wielkiej Ławrze, potem w Karies wraz ze swoimi synami, Symeonem i Nifosem-Neofitosem, również malarzami. Jest autorem trzech zespołów fresków: w katolikonie Stawronikita (1541–1546), w kościele św. Mikołaja Anapafsosa w Meteorach i w katolikonie Wielkiej Ławry. Przypisuje mu się także kilkadziesiąt ikon w różnych miejscach (25 w monasterze Stawronikita).

[32](#) Skit (*skiti* [*skete*], σκήτη) – pustelnia monasteru. Skit może być dwojakiego rodzaju. Cenobityczny – zależny od monasteru autonomicznego, mniejszy rozmiarami od monasteru, w którym mnisi żyją wspólnie. Idiorytmiczny – mnisi żyją w małych chatkach, tzw. kaliwiach (*kaliwa* [*kalyba*], καλύβα), stojących wokół głównego monasteru. Na Athos są cztery skity cenobityczne, osiem idiorytmicznych.

[33](#) Paisjusz (1924–1994) – jeden z najbardziej znanych mnichów z Góry Athos, którego Patriarchat Ekumeniczny w Konstantynopolu w 2014 roku ogłosił świętym.

[34](#) Aluzja do francuskiego ekonomisty Jacques’a Delorsa, przewodniczącego Komisji Europejskiej w latach 1985–1994.

[35](#) Woryginale gra słów: „Strawonikita” to dosł. „krzywozwycięzca”, „Stawronikita” – zwyciężający krzyżem. Również aluzja do niejasnej etymologii nazwy monasteru oraz do faktu, że w dawniejszych dokumentach często występuje właśnie jako „Strawonikita”.

[36](#) Ps 51 (50), 17–19.

[37](#) Unityzm – wyznanie greckokatolickie. Kościoły greckokatolickie są częścią Kościoła katolickiego.

[38](#) Ps 50 (51), 12–14.

[39](#) Massachusetts Institute of Technology (Instytut Technologiczny w Massachusetts).

[40](#) Gong – właściwie semandron (*simandro* [*semanthro*], σήμαντρο) – zwołuje mnichów na posiłki i modlitwę.

[41](#) Wieczernia, w liturgii łacińskiej nieszpory (*esperinos* [*hesperinos*], εσπερινός) – popołudniowe nabożeństwo trwające do zachodu słońca.

[42](#) Ps 25, 1–3. Fragment wg przekładu Jakuba Wujka, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962.

[43](#) Ps 68, 2–3. Wg przekładu Jakuba Wujka.

[44](#) Ps 141 (140), 3.

[45](#) Ps 90, 1.

δ

## WIELKI PIĄTEK

Gdyby złapał granika, ugotowaliby z niego zupę – „jak zawsze...”. Oczywiście, pomógłby Elizeuszowi, kucharzowi. Skrobakiem oczyściłby łuski, zatrzymaliby trochę wnętrzości do doprawienia wywaru, następnie przyprószyliby go grubą solą i zostawili, by gotował się na wolnym ogniu przez jakiś czas. Oliwę, sól, drobno posiekaną pietruszkę i marchewki dodaliby, gdyby poszli wyciągnąć rybę widelcem z garnka i nie dałoby się jej podnieść. Czosnek, cytrynę i niezmielony pieprz na końcu.

Gdyby jednak Nifonas natknął się na jakąś ławicę sargusów lub soli, wówczas miałby inne plany. Oczyściłby je wieczorem, w sobotnią noc, i przyrządziłby je następnego dnia w rybnej marynacie<sup>46</sup>. Od czasu do czasu lubił przygotowywać takie niespodzianki braciom mnichom, choć sam jadał raczej niewiele. Czyż nie był to kolejny sposób na to, by wysławiać Najwyższego, że *wszystko uczynił w mądrości*? Jakiś rodzaj modlitwy dziękczynnej?

„A więc w sumie dodajemy: koncentrat pomidorowy, liście laurowe, kilka kieliszków białego wina nieżywicowanego, odrobinę szczawiku zajęczego, rozmarynu, dobrej oliwy, mąki... Czego jeszcze potrzeba?”

Usilnie starał się sobie przypomnieć, jak się robi sos, i nie zorientował się, że oddalił się od brzegu. Tyle lat minęło, od kiedy słuchał, jak jego ojciec opowiada o przepisach z parowca i przygotowuje im tysiące smakowitości. Czekali w napięciu na jego powroty z podróży. Był najlepszym, najbardziej poszukiwanym kucharzem na wszystkich statkach. Kładł na ogniu patelnię i gotował im dziwne potrawy z Chile, azjatyckie smaki, pikantne dania z Meksyku, zupy z mroźnej Odessy, słodkości, po których on i Stamatis oblizywali palce. Matka z trudem zmieniała swoje zwyczaje w gotowaniu; pozostała wierna potrawom na oliwie, zupom rybnym, pieczeni na niedzielę. Nikolas – tak się nazywał, zanim przyjął imię Nifonas – uważnie nadstawiał uszu i notował w pamięci wszystkie przepisy ojca, choć był chuderlawym dzieckiem. W ten sposób nauczył się gotować ośmiornicę z koprem morskim, podawać gotowane karczochy z ikrą, smażyć korzenie dzikiej marchewki i przyrządzać podobne rzadkie dania.

„Nie szkodzi” – wytłumaczył sobie, gdy dotarło do niego, że oddalił się od przylądka. „Dzień, który nadchodzi...” I tak jest. Nie byle jakim świętem jest Wielkanoc. Tego dnia zmartwychwstaje Pan, raduje się wszelkie stworzenie, kończą się dla mnichów męczarnie postu. Czy nie mają się choć trochę radować? Czy ich podniebienie ma nie spróbować wyjątkowego smaku wybornej potrawy?

Wielki Post dobiegał kresu, pozostały jeszcze dwa dni. Ich duszyczka, to znaczy ich żołądek, nasyciła się „suchym jedzeniem”<sup>47</sup> (oliwki, suche kawałki chleba, tłuczone cebule), „świętym rosołem”<sup>48</sup> (zupa gotowana na wodzie z aromatycznymi roślinami) i zupą z pastą sezamową. Jutro, w wyjątkowy dzień, w Wielki Piątek, nawet wody nie wolno będzie wziąć do ust.

Potem jednak, w Niedzielę Wielkanocną...

Oczy Nifonasa rozbłysły. W chwili gdy zarzucał taklę, przywołał w pamięci obraz radości, z jaką mnisi siadali do wielkanocnego stołu. Rzucił przynęty od przedwczoraj. Czekał teraz tylko na to, by zostawić znaki w miejscu, gdzie rzucił haczyki, aby – gdy pewnie przypłynie następnego dnia po południu – mógł je odnaleźć. Spojrzał w kierunku przylądka i zapamiętał charakterystyczny wygląd jednej ze skał.

Wkrótce skończył z taklami i ruszył, wiosłując, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Nie miał nastroju, by wracać do monasteru. Dzień był wiosenny, gorący. Pogrążył się w próżniaczym gapieniu się na morze. „Spóźnia się nawet na nabożeństwo pasyjne... Innych zajęć nie mamy”. Czy nie tak powiedziała by Gedeon, gdyby mógł go teraz widzieć?

Jego myśli biegły raz w przód, raz w tył. To znaczy raz do wielkanocnego stołu, a raz do osób z jego świeckiego życia. Wszystkim tym myślom Nifonasa towarzyszyły śpiewane przyciszonym głosem psalmodie, które go jeszcze bardziej uspokajały. W pewnej chwili, może z powodu gorąca, a może za sprawą pomieszanych obrazów, poczuł wielkie poruszenie. Znów spojrzał w stronę przylądka; ni żywej duszy. Zdjął obuwie, skarpety, podwiązał habit wysoko do pasa, podwinął spodnie i zwiesił nogi do wody. Ach, jaka była chłodna!

Tak samo cudowna jak niegdyś w Eratini. Od kołyski wszystkie dzieciaki wciąż słuchały, jak dorośli ciągle opowiadali o okrętach i statkach, marynarzach i morskich katastrofach. Uczyły się łowić ryby, nazywać

morskie stworzenia, igrać z falami, odkrywać odosobnione brzegi. Krótko mówiąc, uczyły się sądzić, że cała ziemia jest morzem. Naraz Nifonasowi przypomniał się zapomniany przyjaciel z dzieciństwa. I zaraz potem scena ze szkolnych lat. Mieli dziesięć lat? Jedenaście? W krótkich spodenkach, gdy próbowali złowić harpunem ośmiornicę wśród skał. Właśnie o niej zapomniał Nifonas wśród potraw na wielkanocny stół! Oprócz ryby ugotowałyby ośmiornicę z drobno posiekanym porem. A gdyby zadbał o to już od rana, przygotowałyby także z Elizeuszem na świąteczny stół coś słodkiego, *chusafi*. Figi, śliwki, rodzynki, suszone pomarańcze, szczypta soli, cukier, starty cynamon, a wszystko to gotowane przez wiele godzin w kociołku. Mniem, wszyscy oblizywaliby usta, braciszkanie i goście.

Jego stopy rzeźwiło morze, a jego serce obraży z przeszłości i przyszłości. Dziwna słodycz zalała go całego od stóp do głów. Miał właśnie zacząć kolejny psalm dziękczynny, gdy właśnie w owej chwili poczuł na łydce, dokładnie w miejscu, które było zanurzone w wodzie, ukąszenie i zaraz potem nieznośny ból.

Zerwał się na równe nogi. Najpierw spojrzał na ranę w nodze, a potem rzucił przerażone spojrzenie w morze. Murena<sup>49</sup> nieruchomo stała w miejscu i patrzyła na niego. Dostrzegł jeszcze jej lepkie, pozbawione łusek ciało, brązowożółte plamki, głowę z paskudnymi oczyma. Jakby z niego szydziła, podła, i cieszyła się z tego, co zrobiła. Na moment otworzyła szeroko paszczę i pokazała swoje straszne zęby. Przerazający widok. Zaraz potem śmignęła i znikła z oczu osłupiałego Nifonasa. Krew w nim zawrzała i zastygła. Poniekąd oczywiście dlatego, że niebawem miała zastygnąć dosłownie. Zresztą, Nifonas o tym wiedział, słyszał już wcześniej, co się dzieje w takich sytuacjach. Najpierw przychodzi mocny ból i zawroty głowy. Potem gorączka, dreszcze, nudności, wymioty. Bóle w stawach i sinica kończyn. Za nimi mogą nastąpić jeszcze gorsze rzeczy: spowolnienie pracy serca, załamanie psychiczne, urywany oddech, afazja. A w końcu kres.

Poczuł, jak paniczny strach mąci jego wzrok. Nawet gdyby miał jeszcze siłę – której wkrótce nie będzie miał – żeby wiosłować, potrzebowałyby godziny, by dotrzeć do przylądka. No jasne, nie zatroszczył się o zainstalowanie silnika przy łodzi; wystarczały mu wiosła, pragnął przejażdżek i bujania w obłokach. Czego zatem oczekiwał? „A więc tak się sprawy mają?”, pomyślał mokry od potu, gdy po raz pierwszy poczuł, że jego



życie dobiega kresu. Nie zdążyłby, na pewno nie. Gdyby tak mimo wszystko spróbować. Gdyby pomodlić się do Przenajświętszej, błagać Świętych, błagać Pana, by go ocalił. Gdyby połączyć z nimi siły, i niech się dzieje, co chce.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy zrozumiał, że jego wzrok się mąci, a serce zaczyna bić coraz wolniej. Za chwilę odrzucił wiosła i upadł na plecy na dno łodzi. Zobaczył, jak niebo się obraca, dziwnie, demonicznie. Gdy znów otworzył oczy, zobaczył, że jego ubranie jest całe ubrudzone wymiocinami. Trwał w bezruchu. Nic innego nie mógł zrobić. Starał się oddychać głęboko, ale wkrótce i to okazało się niemożliwe. Jednak... Tam wysoko, w niebiosach, czym było to, na co spoglądał? Czym było to, co lśniło?... Wydało mu się niczym oko Pantokratora, tak jak przypominał je sobie ze sklepienia w monasterze Dochiariu. Jednak nie... To nie było oko Boga. Jakby srebrna moneta... Podobna do tych, które dostał Judasz za swoją zdradę... Ale czy i on sam nie był zdrajcą?... On również pogwałcił swoją przysięgę... Gdyby nadchodził dzień Sądu, w białej szacie powinien się stawić przed obliczem Sędziego, Przedwiecznego, gdyż już odchodzi, dni pierzchają, toczą się, zlewają się z morzem jeden za drugim... Ach, to morze... Czego by nie oddał, żeby był świt, żeby znów był dzieckiem... Bez bólu, bez utraty, bez pokus... Dzieckiem beztroskim, niewinnym. Mój mały, uważaj, strzeż się! Wyszedł smok i jesteś w niebezpieczeństwie... Spójrz na ogień z jego paszczy... Spali cię... Posłuchaj ryków i jego przeraźliwego głosu... Posłuchaj, jak zawodzi, jak ryczy... Spójrz, jak się uniósł i zbliża się ku tobie...

To nie był jej najlepszy połów. Cóż z tego, że wypuściła się na otwarte morze, cóż z tego, że ciągle zmieniała łowisko, skoro dochodziło południe, a Domna jak dotąd nic nie złapała. „A niech to, co za pech dzisiaj!” Przygazowała swoją yamahę sto dwudziestkę, aż wyspa Tasos zniknęła na horyzoncie. Nie szkodzi. To dla niej pestka dopłynąć nawet do Salonik, byleby nie wróciła z pustymi rękami. Taki upór nią zawładnął. Zarzuciła przynętę po raz drugi i trzeci. Czekala, czekała, nic. „Co się dziś dzieje, do cholery?”, pomyślała wściekła. Przyśpieszyła i oddaliła się jeszcze bardziej. Bardzo powoli i uważnie kolejny raz zarzuciła taklę. A teraz, co ma teraz robić? Czekać, by znów przyszło popołudnie? Dylemat. Spojrzała w dal. Morze i jeszcze raz morze. Niebo było dziś przejrzyste, bez jednej

chmurki. „Czary...” Ale chwileczkę! Co to za plamka tam w głębi? Pewnie jakiś inny rybak? Może podpłynie do niego, by nawiązać rozmowę, jak to zwykła robić, może w ten sposób czas szybciej zleci.

Im bardziej Domna zbliżała się do drugiej łodzi, tym bardziej rosło jej zdumienie. Rybaka nie było nigdzie widać; wiosła były podniesione i zdawało się, że łódź dryfuje. „Może zmorzył go sen?”

Sen, nie, nie sen ogarnął Nifonasa. Jeszcze chwila jednak, a ogarnęłaby go śmierć. Gdy tylko Domna podpłynęła i ujrzała rybaka, osłupiała. Nie wyglądał na żywego człowieka. Ani na chorego, ani na takiego, co zasłabł. Jej oczom ukazał się mnich, który leżał na plecach w rybackiej łodzi, w fatalnym stanie, sprawiał wręcz wrażenie, że na dobre stracił przytomność. Domna szybko przywiązała swoją łódź do tamtej i wskoczyła do niej. To, co zobaczyła, przeraziło ją jeszcze bardziej: jego oddech brzmiał jak przedśmiertne rżenie, kończyny były sztywne, z ust ciekła piana, a najbardziej przerażające było to, że oczy wywróciły mu się białkami do góry. W dolnej części obnażonej nogi Domna dostrzegła ranę. Zrozumiała, co się stało. Już wcześniej kilkakrotnie oglądała takie ugryzienia i ukąszenia; w istocie ona sama nadepnęła kiedyś na żmijkę, ukrytą w nadbrzeżnym piasku<sup>50</sup>. Jeśli wówczas została uratowana, to tylko dlatego, że jej świętej pamięci ojciec był opanowany i doświadczony, wiedział, co robić. Teraz i ona musiała, bez dalszej zwłoki, wykorzystać to, co zapamiętała ze swojego własnego ocalenia.

Najpierw musiała zwalczyć zaskoczenie. Bo gdy tylko lepiej przyjrzała się twarzy mnicha, natychmiast go sobie przypomniała: przystań, śnieg, koc, jego troskliwe zabiegi... Szybko jednak wróciła do tego, co powinna zrobić. Przede wszystkim opatrzyć ranę. Potem nie pozwolić mu zasnąć, bo wtedy...

Z wahaniem zbliżyła się do nieprzytomnego mnicha. Co teraz zrobić? Wstydziła się, czuła, że jej ręce drżą. Jednak musiała. Im bardziej zwlekała, tym bardziej pogarszała się sytuacja. Pochyliła się i podciągnęła wysoko nogawkę na zranionej nodze. Palcami mocno ucisnęła opuchliznę, by wyszło z niej jak najwięcej trucizny. Następnie zerwała chustkę z szyi i szybkimi, wprawnymi ruchami zawiązała ranę, by powstrzymać krwawienie. Jednak drżenie, które odczuwała – co mogło być jego przyczyną? Czy sama czynność ratowania człowieka, czy może coś innego: że po raz pierwszy w życiu dotyka – nieważne, że w taki sposób i w takim celu – ciała

mężczyzny? Kończąc to, co miała zrobić, zrealizowała drugą część planu: walkę, by nie stracił przytomności. Wiedziała, co powinno się robić w takich przypadkach, i tak właśnie starała się postępować.

Uderzyła mnicha lekko w twarz raz i drugi, a potem zaczęła do niego mówić, by nie zamykał oczu i nie zabłądził w mrokach śmierci. Początkowo jej głos się łamał. Co można powiedzieć nieznanemu? Jak znaleźć słowa dla konającego? Jak rozmawiać z mnichem ze Świętej Góry? Odnalazła jednak w sobie odwagę i przez dość długą chwilę, dopóki nie dotarli do przylądków Stawronikita, nie przestawała do niego mówić. Opowiadała mu o różnych rzeczach. Najpierw prosiła, by był cierpliwy, że gdzieś w końcu dopłyną, żeby wytrzymał, by nie zasypiał. Potem zaczęła mu opowiadać o swoich sprawach, o swoim życiu: jaka jest jej wieś, gdzie się znajduje, jak się nauczyła łowić ryby, o matce, o mieszkańcach wsi, o trudnościach bycia kobietą rybakiem, co ludzie na zewnątrz mówią o Górze, jak go zobaczyła przypadkiem na łodzi, jak... jak... Jej usta nie przestawały mówić. Słyszała od najstarszych ze wsi i od ojca, że tak należy robić w podobnych sytuacjach, i tak też teraz czyniła. W końcu jej gadanie przyniosło rezultat. Zrozumiała to, gdy ujrzała, jak oczy mnicha z wolna wracają na swoje miejsce i spoglądają na nią.

– Boli mnie...

Gdy Domna usłyszała te słowa, ulżyło jej. Walka, którą stoczyła, by mnich nie zgubił się w czarnych odmętach snu i śmierci, przyniosła teraz owoce. Zbliżyła do niego twarz:

– Walcz, trzymaj się życia! Nie pozwól, żeby cię pokonała jakaś przeklęta gadzina. Zmów tyle modlitw, ile tylko znasz.

Resztką świadomości, jak się zdaje, Nifonas ją usłyszał i w otchłani mroku, w której toczył walkę, posłuchał jej. Jego usta drgały, pewnie w modlitwie, jakby walczył, by utrzymać powieki otwarte, dreszcze na ciele ustały. Co więcej, wkrótce wyciągnął rękę i poprosił, by mógł się przytrzymać swojego ziemskiego zbawiciela.

W oddali jawiła się już przystań w Stawronikita. Łódź dziewczyny i druga, przywiązana do niej, skierowały się tam.

– Nie ścierpię tego po raz drugi! Sam znajdzie drogę...

Domna miała rację, że tak myślała. Trudno jej było zapomnieć jego osobliwe zachowanie w czasie śnieżycy – z jednej strony dał jej jedzenie, z drugiej rzucał na nią dzikie spojrzenia. Tak samo wciąż była pod

wrażeniem jego siły, choć minęło już tyle czasu: nie umknął jej sposób, w jaki wciągnął łódkę do szopy, pamiętała, jak bez trwogi tam i z powrotem biegał po ośnieżonym bruku. Tak więc dobrze by było zostawić go na płyciźnie – i „niech cię Matka Boska strzeże”.

W istocie, tak właśnie uczyniła. Zbliżając się do przylądka, odwiązała łódkę i popchnęła ją w stronę przystani. Z obawy, by nie dostrzegło jej czujne oko jakiegoś mnicha, odpłynęła trochę na otwarte morze i obserwowała, co się będzie dalej działo. To niemożliwe, na pewno znajdzie się jakiś mnich, by go zgarnąć! Już wcześniej Domna ujrzała dwie czarne postacie schodzące po brukowanej ścieżce. Co jest, do licha! Czy to możliwe, że nie widzą łodzi? Że mogą jej nie wyciągnąć? Że nie zaopiekują się nim?

Mnisi Euzebiusz i Longinos istotnie szli tego ranka do przystani. Jednak temat rozmowy, a zwłaszcza sposób, w jaki przerzucali się argumentami za pomocą gwałtownych gestów, co chwila się zatrzymując, opóźniły ich marsz. Gdyby szli dalej w takim tempie, zapewne znaleźliby Nifonasa, tyle że martwego. Domna już to zrozumiała. Musiała coś zrobić, coś, co przyciągnęłoby ich uwagę w stronę wybrzeża.

Obaj mnisi osłupieli, gdy usłyszeli, a jeszcze bardziej, gdy zobaczyli kobietę, „Chryste Panie!”, jak uderza wiosłem w wodę. Przerażeni, zrobili znak krzyża, przerwali w połowie rozmowę o tym, czy jest stosowne nazywać Żydów w wielkanocnych kolędach „nieprawymi”, „psami” i „po trzykroć przeklętymi”, czy też nie – to było tematem niezgody między nimi – i byli już gotowi pokazać pokusie plecy, wracając biegiem do monasteru. Szczęśliwie dla Nifonasa, spojrzenie Euzebiusza było trochę bardziej bystre od wzroku jego towarzysza; ciekawość była jednym z jego mniejszych grzechów. Tak więc, pragnąc rzucić jeszcze ostatnie spojrzenie na pokusę, która ich prowokowała w taki ogłuszający sposób, dostrzegł łódkę, która niemal dobijała już do przylądka, a w której był ich nieprzytomny brat.

Wnieśli go do Stawronikita na rękach. Wieści rozeszły się szybko po całym monasterze. Mnisi dowiedzieli się o zdarzeniu i spieszyli dowiedzieć się, co się stało i jak mogliby pomóc. Gdy zobaczyli ranę na nodze, zrozumieli. Jednego tylko nie mógł zrozumieć igumen, a mianowicie, gdzie Nifonas znalazł chustkę i jak obwiązał ranę.

– Co to za chustka, ojcze? – zapytał przyciszonym głosem i jakoś podejrzliwie Synesios, gdy tylko położyli Nifonasa w jego celi.

Igumen nie znał odpowiedzi. Tak jak i nie znał jej Gedeon, wśród swoich licznych wątpliwości. Siedząc na niskiej ławeczce obok łóżka Nifonasa, zastanawiał się, jakiego grzechu dopuścił się nieszczęsny i teraz płacił za niego w taki sposób. Pamiętał dobrze, co mu tamten wyznał w czasie spowiedzi. Najzwyklejsze grzechy mnichów, mniej więcej: wulgarne nocne pokusy, niegodziwe myśli o innych braciach, jakaś niechęć do klęczenia – tego rodzaju „straszne” przewinienia. Jednak poważnego grzechu Nifonasa nie mógł sobie przypomnieć. Ale chwileczkę! Może... Może wtedy, gdy znalazł dziewczynę...

Tymczasem Nifonas przedstawiał sobą godny pożałowania obraz. Włosy na czole miał posklejane od potu, kręcił spazmatycznie głową na lewo i prawo, wciąż mamrocząc coś niezrozumiałego, jakby się do kogoś zwracał. Jednak nie do Gedeona.

Naprzeciw Nifonasa, wśród ognistych obrazów wywołanych delirium i wysoką gorączką, siedział diabeł. To na niego patrzył i z nim rozmawiał. Czart usiłował zaciągnąć go do piekła. Przesłodkim głosem obiecywał mu to, czego Nifonas został pozbawiony zarówno w świeckim, jak i monastycznym życiu. Słuchał słów Szatana, jak sączą się miodem, gdy z wyciągniętą ręką ów zachęcał go: „Chodź do mnie, podejź ku mnie. Ze mną nie będziesz wiedział, co znaczy ból. Ani wina czy utrata. Ni wyrzut sumienia. Chodź, chodź!”.

Bezsilny Nifonas rzucał się na posłaniu. Zmagał się, by nie rzec zgubnego „tak”. Szukał czyjegoś wsparcia. Żeby ktoś mu przyszedł z pomocą, żeby trzymał się z dala od pułapki, którą zastawił na niego Szatan. Przeżywał ziemskie piekło. Przynajmniej tak się zdawało Gedeonowi, który nie mógł wyobrazić sobie żadnego z koszmarów, jakie dręczyły Nifonasa, i jedyne, co mógł robić, to wycierać mu pot, nieprzerwanie śpiewając modlitwy i prośby.

W ten sposób potoczyły się godziny Wielkiego Czwartku, aż zapadł zmierzch. Gedeon nie mógł dłużej zostać u boku Nifonasa. W katolikonie rozpoczęto już czytanie Dwunastu Ewangelii<sup>51</sup>, a niebawem miała się zacząć procesja Ukrzyżowania. Czy miało go w niej zabraknąć? Wytarł raz jeszcze pot z twarzy chorego, posłuchał ciężkiego oddechu jego niespokojnego snu, zrobił na nim trzykrotnie znak krzyża, a następnie także on ruszył na nabożeństwo Ukrzyżowania Boskiego.

Nifonas został sam w ciemnościach celi, porzucony na pastwę majaków. Jego istnienie staczało się nieustannie w kierunku Hadesu, jego dusza błąkała się na pograniczu życia i śmierci.

Takie właśnie wrażenie odnieśli igumen, Gedeon i Synesios, gdy wkrótce po północy przyszli go znów odwiedzić. Dwaj pierwsi zaczęli modlitwy, a brat-pielęgniarski robił okłady z pokrzyw i innych ziół. Płomień w lampie drgał. Podobnie jak oddech chorego. Minęły godziny. Gdzieś około świtu cała trójka była przekonana, że w dniu, który właśnie się rozpoczynał, będą mieli do opłakiwania dwa istnienia. Dla Stawronikita byłby to doprawdy Wielki Piątek.

Lodowata śmiertelna cisza spowiła monaster w kolejnych godzinach, mimo że poranek skąpany był w słońcu. Niemi, ze spuszczoneymi głowami, mnisi wchodzili i wychodzili z katolikonu lub czynili swoje posługi, oczekując z chwili na chwilę, że usłyszą złe wieści. Atmosfera stała się jeszcze bardziej żałobna wieczorem, podczas nabożeństwa Epitafionu. Śpiewali pieśń lamentacyjną *Żywot w grobie*, a lament wszystkich był prawdziwszy od każdego innego śpiewanego wcześniej. Igumen rozpoczął hymn *O moja słodka wiosno*, a jego myśli biegły to do ozdobionego kwiatami grobu Pańskiego, to do łoża ich konającego brata. Gedeon śpiewał sam i wyraźnie łamiącym się głosem pieśń *Ach, Światło Świata! Ach, moje Światło!* i wszyscy w świątyni zadrżeli, gdy pojęli – choć to był wielki grzech – że starzec zwracał się do swojego podwładnego, do umierającego Nifonasa.

Życie nie powiedziało jednak swojego ostatniego słowa, chowało miłe niespodzianki. Cud zaczął im się jawić w Wielką Sobotę. Gdy tylko skończyła się poranna liturgia, nazywana zresztą rezurekcyjną, Synesios udał się do celi Nifonasa, by sprawdzić, co z jego zdrowiem. Poprzedniego wieczoru był świadkiem wielkiego kryzysu i wszelkie przeczucia były złe. Może jego stan pogorszył się jeszcze bardziej? Może już znajdował się przed tym, co nieuchronne? Przywitały go szeroko otwarte oczy Nifonasa. Na twarzy, którą przeorała maligna, nad policzkami zapadniętymi z powodu wirów delirium, można było dojrzeć czyste spojrzenie. Wyglądało raczej na to, że wygrał walkę o życie.

– Jak się masz, Nifonasiu? Jak się czujesz?

Miał się dobrze. Naturalnie, odczuwał wyczerpanie, jednak już nie miał gorączki. Czuł się tak, jakby wyszedł z wielkiego pożaru. To powiedział i zaraz poprosił, by mógł się jeszcze przespać. Położył się na boku i wkrótce

potem słycać było tylko jego oddech. Tym razem spokojny, jak człowieka mocnego i nieudręczonego. Synesios natychmiast przekazał dobre wieści całemu monasterowi. Uradowali się mnisi; jedni zaczęli płakać, a wszyscy uczynili znak krzyża. Tak samo się cieszył igumen, który z entuzjazmu omal nie uściskał Gedeona, gdy go spotkał na dziedzińcu.

– Uratowany, starcze, uratowany!

Taką samą radością jaśniały twarze mnichów także w wieczór Zmartwychwstania. Gdy śpiewali: *Chrystus zmartwychwstał*, oblicze Pana słodko mieszało się z twarzą ich brata. Zapalali jeden za drugim swoje świece na słowa: *Przyjdźcie, weźcie światło*, jakby chcieli przekazać tchnienie życia Nifonasowi, któremu udało się wyjść zwycięsko z osobistego Hadesu. Przy stole jego nieobecność była odczuwalna, nie było ryb na ich talerzach – prosta zupa z ośmiornicy i tyle – ale nie szkodzi, najważniejsze, że Nifonas został uratowany.

Po południu w niedzielę, podczas nabożeństwa Miłości, na mnichów czekała jeszcze większa niespodzianka. W czasie gdy czytali Ewangelię w różnych językach – po słowiańsku, grecku, łacinie... – zdumieni ujrzeli, jak do świątyni wchodzi Nifonas. Błady, wyraźnie osłabiony, chwiejnym krokiem, ich udręczony brat klękał przed kolejnymi ikonami, a potem usiadł na swojej ulubionej ławie: za tronem biskupim, po lewej, gdzie można spoglądać na ikonę świętego Mikołaja. Niektórzy mnisi uśmiechali się do niego całkiem otwarcie. Jeden z nich, ojciec Amfilochios, opuścił swoje miejsce, zbliżył się i go uściskał. To były bardzo poruszające sceny. Przepiękne miłością i dobrocią z powodu szczęścia bycia wiernym chrześcijaninem i – z pomocą Matki Boskiej – możliwością zadania ciosu Złu.

W dniach, które nastąpiły, i do czasu, gdy Nifonas znów stał się dawnym Nifonasem, ze swoimi łodziami i połowami ryb, w monasterze wszyscy i wszystko kręciło się wokół powrotu do zdrowia ich brata: by nie podejmował się żadnej posługi i się nie zmęczył, by pozostał w łóżku, aż całkowicie dojdzie do siebie, by dostawał najlepszą porcję jedzenia i by nawet najmniejszy hałas z zewnątrz nie zakłócał spokoju jego celi. On zaś dziękował im wszystkim i wciąż powtarzał, że ma się już dobrze i wystarczy już tych trosk. Gdy nie miał wizyt w celi lub jakiejś konieczności, by wyjść na zewnątrz, Nifonas siedział i godzinami rozmyślał. Starał się przypomnieć sobie minutę po minucie scenę wypadku. Murenę, jej

wstrętny wygląd, ukąszenie, ból i wszystko, co potem nastąpiło. Przede wszystkim zaś to: „Co się stało później? Jak zostałem uratowany?”. Który z owych obrazów był prawdziwy, a który fałszywy? Co z tego wszystkiego należało do rzeczywistości, a co do królestwa wyobraźni? W co ma wierzyć, a w co nie? „I ta twarz...”

„...dziewczyny”, podsuwała mu pokusa, by uzupełnił, ale natychmiast czerwieniał ze wstydu. Nie dlatego, że nie miał zaufania do swojej pamięci bądź wątpił w obecność niewiasty, tylko dlatego, że... Że wydawało się czymś najbardziej niewiarygodnym, by został uratowany przez tę, którą sam wcześniej uratował. Był to jakiś niesamowity zbieg okoliczności, by spotkać się z tą samą dziewczyną. Była to z pewnością diabelska sztuczka, że znów na jego drodze znalazła się kobieta. Diabeł zaś nie zna się na łatwych grach, to mocny przeciwnik. Musisz walczyć zębami i pazurami. Przelać w walce krew.

Do tej chwili, a także podczas pierwszego, ale i ostatniego spotkania z dziewczyną, nie było nic nagannego w zachowaniu Nifonasa. Również jego przyzwolenie na to, by nocowała w przystani, było raczej gestem filantropijnym niż znakiem słabości lub grzechu. Sprawa zaczęła przybierać niecodzienny obrót wraz z wyznaniem Nifonasa wobec Gedeona w niedzielę świętego Tomasza. Z pokornym nastawieniem znów donosił starcowi o tym wszystkim, co sam uważał za grzechy. I oczywiście powrócił do zdarzenia z mureną, prosząc o przebaczenie za wszystkie grzechy, których się dopuścił przez ten wypadek. Jednak wiedząc, że kłamie lub przynajmniej nie mówi całej prawdy, powiedział, że ocalenie z wypadku zawdzięczał jakiemuś aniołowi. To właśnie rzekł słowo w słowo Gedeonowi: „Anioł Pański mnie ocalił, starcze, Anioł Pański...”.

Dość daleko od Góry, być może w tej samej chwili, gdy Nifonas wyznawał swe grzechy, Domna kolejny raz opowiadała matce o zdarzeniu z mnichem. Minęły już dwa tygodnie z okładem, a wciąż jeszcze nie mogła dojść do siebie. Przecież nie była niedojrzałym podlotkiem! To, co się wydarzyło, było jednak tak nieoczekiwane i dziwne, że ją wzburzyło. Może dlatego, że stanęła wobec konieczności, by ratować ludzkie życie. Albo dlatego, że to był pierwszy raz, gdy jej ręce dotykały męskiego ciała; nagiego, w dodatku osoby duchownej.

– Ciekawe, czy zdołał się uratować, nieszczęsny? Czy zdążyli do niego inni?



To były jej stałe troski za każdym razem, gdy relacjonowała zdarzenie swojej matce. Kończyła opowieść i w milczeniu oczekiwała, jakby starsza kobieta знаła odpowiedź. Choć nie miała tego w zwyczaju, Domna przez ostatnie dni nie odstępowała matki na krok. Gdy tylko znajdowała sposobność, natychmiast zaczynała w szczegółach opowiadać o wypadkach z Wielkiego Czwartku. Nie miała nikogo bliższego. Jej matka była najbardziej odpowiednią słuchaczką. Co nie znaczyło, że zawsze najbardziej chętną.

Po raz pierwszy staruszka wysłuchiwała historii o mnichu z zainteresowaniem. Po raz drugi i trzeci pozwoliła córce ją powtórzyć. Jednak od tamtej chwili... No, starczy już! Mają także inne sprawy na głowie. Gonią je prace domowe, muszą zakończyć bielenie, zasadzić bazylię, zadbać o pole z arbusami, zatroszczyć się o zwierzęta. Tylko dwie pary rąk na cały dom, i do tego kobiece. Jak mają z tym wszystkim zdążyć? Niech Domna daruje sobie pogaduszki i niech się weźmie do jakiegoś sprzątnia. Albo, jeszcze lepiej, niech wypłynie na ryby. Nie jest próżniakiem, ale jeśli idzie o gadanie, stanowczo wystarczy. „Bła, bla, mój Boże. Od kiedy pamiętam, nie trzymała języka za zębami”.

Ale jak Domna ma trzymać buzię na kłódkę, skoro tamto było czymś najpoważniejszym, co się jej dotychczas w życiu przydarzyło? Kłótnie i sprzeczki, wzajemne unikanie się z matką, codzienne sprawy we wsi lub nieprzewidziane zdarzenia z połowów, wszystko to było niczym wobec wydarzeń z Wielkiego Czwartku. Dlatego gdy tylko docierała do końca opowieści o zdarzeniu z mureną, zawsze się zastanawiała: „Czy udało mu się, biedakowi, uratować? Czy inni do niego zdążyli?”. A zaraz potem dodawała: „Co też może teraz porabiać?”.

Jednak to ostatnie pytanie Domna zachowywała w sekrecie przed matką. Coś w głębi duszy jej mówiło, że to pytanie mogłoby w pewnej chwili, w kolejnych dniach, nadać żagle jej łodzi i skierować ją na drogę, która by ją znów powiodła, „po raz trzeci...”, ku przylądkom Świętej Góry, na wody monasteru Stawronikita. Ze skrytą nadzieją, że znów spotka się z mnichem, któremu ocaliła życie, który jej życie ocalił.

[46](#) Saltsa sawore (σάλτσα σαβόρε) – sos na bazie octu, oliwy z oliwek, mąki, czosnku i rozmarynu. W saltsa sawore można było przechowywać rybę około tygodnia.

[47](#) Suche jedzenie (*ksirofagija* [kserofagia], ξηροφαγία) – oznacza powstrzymywanie się od spożywania potraw gotowanych, dozwolone było jedzenie suche i surowe.

[48](#) Święty rosół (*ajozumi* [*hagiozoumi*], αγιοζούμι) – jedna z zup najczęściej jadanych przez mnichów.

[49](#) Murena (*zmerna*, σμέρνα) – drapieżna ryba węgorkształna.

[50](#) Gatunek ryby z rodziny ostroszowatych żyjącej głównie w piaszczystym dnie.

[51](#) Nabożeństwo w jutrznię Wielkiego Piątku, podczas którego czytanych jest dwanaście fragmentów z czterech Ewangelii na temat męki Chrystusa.

ε

## „Grzechy rodziców...”

Trzymałem się dwoma rękami, ale znowu na nic. Kołysaliśmy się raz w jedną, raz w drugą stronę. Ze strachu większość pasażerów zaszyła się w kabinach, by nie oglądać tego, co się dzieje. Inni zgięli się i wymiotowali, gdzie się dało. Co do mnie, jedynym moim zmartwieniem był chłopak. Z przerażenia zrobiłem się błąd jak śmierć. Prawą rękę kurczowo zaciskałem na burcie, a drugą trzymałem go w pasie, by przypadkiem nie poślizgnął się i nie wpadł do morza. I gdy tak stoję, w pewnej chwili odwracam głowę i co widzę? Jeden muł uciekł ze swojego miejsca, wygląda na to, że zerwał się z uwięzi, miotając nim po pokładzie i pędził prosto na nas. Podróżowaliśmy razem, ludzie i zwierzęta, świeccy i mnisi, wszyscy razem ku Górze. Ledwie zdążyłem odciągnąć dzieciaka. Zwierzę pognało i wpadło na łeb, na szyję, prosto do morza. Przez długą chwilę zmagало się ze spienionymi falami. Patrzyliśmy w jego przerażone ślepie, muł toczył zawziętą walkę, by się utrzymać na powierzchni, a potem zniknął nam z oczu. „Już po nim”, pomyślałem, „my też utoniemy, nie ma dla nas ratunku...”. Zeszłej nocy właściciel hotelu nas ostrzegł: „Jeśli ujrzycie, że przyłodek jest zamglony, nie lekceważcie tego! Niech się upierają ci na łódeczkach, nie słuchajcie ich, większość ich łodzi to stare łajby. Słuchajcie mnie, ja się na tym znam”. Wyruszyliśmy porannym statkiem o ósmej. Początkowo wiała lekka bryza, którą wzięliśmy za powiew świeżości. Gdy jednak znaleźliśmy się na otwartym morzu, pokazało nam, gdzie raki zimują! Mnie nawet tak bardzo nie przerażyło. Co miałem przeżyć, to już przeżyłem. Ale chłopak? Szesnaście lat miał biedak i miał tak skończyć, utopić się przez mój własny upór?

Jakimś cudem morze zaczęło się uspokajać, gdy mijaliśmy przyłodek i skierowaliśmy dziób w stronę przystani Esfigmenu. Wokół słyszałem jęki. Pokład wypełnił się kwaśnym zapachem, ale kołysanie wcale nie ustawało. Jednak wiatr troszeczkę zelżał, już tak mocno nie dmuchało. Naprzeciw mnie siedział staruszek z Karakalu. Cały czas się uśmiechał i modlił z komboskini w rękę, nie zwracał uwagi na morze. Spoglądał na nas tak, jakby mówił: „Cierpliwości. Macie wiarę i wasza wiara was ocali”. Przez chwilę nasza

mnie ochota, by do niego zagadać, ale okazało się to niemożliwe. Nie miałem swojej wiary. W Esfigmenu spadła na nas kolejna fala. „To pewnie dlatego, że tutaj są wściekli mnisi”, zdobyłem się na odwagę i zażartowałem. W głębi duszy, oczywiście. Wiedziałem, że tutejsi mnisi byli fanatykami, pokłócili się z Fanarem<sup>52</sup>; sądzili, że Patriarcha Ekumeniczny jest człowiekiem papieża, i dlatego nie wymieniali go w czasie liturgii. Teraz sprawy pogorszyły się jeszcze bardziej. Niektórzy mówili, że gdyby ośmielili się wyjść z monasteru, nie mogliby potem wrócić, bo aresztowałyby ich policja albo straż portowa. Tymczasem, bardzo powoli, chłopak zaczynał dochodzić do siebie. Nabrałem odwagi. Jeszcze trochę i pewnie się uratujemy. Pojawiła się już przystań monasteru Chilandar, a w głębi wieża monasteru Pantokratora.

Z jednego tylko powodu odbyłem tę podróż: by znaleźć drogę do zbawienia. Gdyby ktoś przed kilkoma laty mówił mi, że kiedyś stanę wobec takiej konieczności, wziąłbym go za szaleńca. Ja chrześcijaninem? Ja wiernym? Mam się kłaniać świętym i ikonom? A jednak. Moje życie zrobiło obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Dzięki łasce Boga udało mi się dojrzeć swój rzeczywisty cel i prawdziwy sens życia.

Wszystko zaczęło się pewnego ranka przed trzema laty. Majstrowałem przy fotelu w zakładzie, zmieniałem obicie i sprężyny. Nie pamiętam, jak to się stało, ale – choć nie usłyszałem, jak drzwi się otwierają – odwróciłem się i spojrzałem. Ciemny kształt stał na progu. Ojciec Joachim, tak mi się później przedstawił, stał tam i mnie obserwował. Chciał zobaczyć na własne oczy, czy jestem takim świetnym i wartościowym majstrem, jak mnie przedstawił wcześniej Nifonas.

„Kto?!” Mój głos musiał go zdziwić. Może i nie widziałem człowieka, o którym mówił, już z dziesięć lat, ale wiedziałem, że był mnichem w jednym z monasterów Świętej Góry i przybrał imię Nifonas. Owego ranka Joachim usiadł i wszystko mi opowiedział. Zamierzali w monasterze wyrzucić wszystkie stare meble, wyremontować domki dla gości i domy gościnne, wymienić tapety i odnowić sypialnie. Czy chciałbym się podjąć zlecenia? Czy dałbym radę doprowadzić je do końca? Wynagrodzenie było zagwarantowane, starczyło, bym ja, ze swojej strony, wywiązywał się z pracy w terminie. Byłem uczciwy, wiedzieli o tym, zapewnił ich o tym mój dawny znajomy, terazniejszy Nifonas.

Tak więc zacząłem podróżować na Górę i z powrotem. Oczywiście,

odległość jest niemała. Z Eratini do Chalkidiki potrzeba pięciu godzin z okładem za kierownicą, zakładając szybką i sprawną jazdę. Ponadto pieniądze także nie były jakąś niewyobrażalną kwotą. Jednak myśl, że znów mógłbym spotkać Nikosa, to znaczy Nifonasa, sprawiła, że powiedziałem „tak”. Coś mnie popychało na tę drogę. Może tylko pragnąłem znowu ujrzeć człowieka, który naznaczył moją przeszłość? A może było to coś innego? Nie wiem. Naturalnie, nie żałowałem swojej decyzji. Nie tylko z tego powodu, że znów się z nim spotkałem – teraz już z kimś całkowicie odmienionym – ale dlatego, że dzięki kolejnym wizytom, rozmowom, które odbywaliśmy, a zwłaszcza moim wewnętrznym poszukiwaniom, które podjąłem, zacząłem z wolna widzieć rzeczy inaczej niż dotychczas. Ja też zacząłem wierzyć, śladem tak wielu innych ludzi, w odmienne życie. Wierzyć w Boga.

Nifonasa, pierwszy raz po latach, spotkałem w czasie wieczerni przed kościołem. Ubrany na czarno, ciemny, z brodą i w habicie, w niczym nie przypominał krótko obciętego Nikosa, jakiego pamiętałem. Stopniowo, dzień po dniu, przywykłem do niego. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nawet do przyjaźni z człowiekiem, który zniszczył ci życie.

Podczas swoich wizyt na Górze większość wolnego czasu spędzałem w jego celi. Innym znów razem spacerowaliśmy po lesie. Z wolna pamięć o Nikosie zaczęła we mnie blaknąć. Teraz istniał Nifonas i tylko Nifonas. Rzekłem do niego w pewnej chwili: „Powiedz prawdę, przypominasz sobie czasem o przeszłości? Wtedy, gdy...”. Oczywiście, pamiętał o tym. Niczego nie zapomniał, niczego się nie wypierał ze swego poprzedniego życia. Oto, jak znalazł w sobie siłę i skruchę. Teraz to zupełnie inny człowiek. Bo ten dawny Nifonas, ten dawny Nikos, był... Jak to powiedzieć... Był łajdakiem, kanalią!

Niezależnie od tego, że martwi mnie mówienie takich rzeczy o mnichu, jest to prawda. Nikos, którego znałem dawniej, nie ma żadnego związku z Nifonaszem, jakby to byli dwaj różni ludzie. Tak wiele mam wspomnień z Nikosem! Jeśli miałbym przywołać jedno tylko wydarzenie z tamtych czasów, byłoby ono związane z kobietami...

Mieszkałem wówczas w Kalithei. Kończyłem szkołę EOMMEX<sup>53</sup> i udało mi się znaleźć pokój dwuosobowy, bo właśnie oczekiwałem mojego brata, Janisa, który przyjeżdżał w poszukiwaniu pracy w Atenach. Był on wówczas w bliskiej komitywie ze Skarwelakiami. Tak nazywaliśmy braci bliźniaków,

Nikosa i Stamatisa Skarwelisów. Cała trójka była mniej więcej w tym samym wieku, nawet nie dwudziestoletni. Zdążyli jednak wyrobić sobie złe imię w całej okolicy: „Chuligańskie trio”, tak ich zwano w okolicznych wsiach. Nie było kłótni na boisku, na festynie, w nocnym klubie lub podejrzanych interesów, w które by nie byli uwikłani. Aż usłyszeliśmy, że handlowali narkotykami – tak nisko się stoczyli. Mój ojciec szalał ze złości. „Pomóż mi go wyrwać spod złego wpływu. Dajmy mu jakąś pracę w sadzie. Odseparujmy go od złego towarzystwa”. Czyli od Skarwelakiów. A tymczasem oni stali się jeszcze większymi awanturnikami. Jakby tego było mało, często brali samochód ojca, kiedy akurat pracował na morzu, i wyczyniali rozmaite szaleństwa.

Widziałem, jak w sobotni wieczór przyjechali do Kalithei.

– Przyjechaliśmy się zabawić. Wkurza nas prowincja.

Trzech szczyli, którzy się szlajają. Nachodziła mnie ochota, by ich sprać na kwaśne jabłko. Cóż miałem jednak robić, zmusili mnie i poszedłem z nimi. Lepiej by było, żebym tego nie pamiętał... Do późna siedzieliśmy w buzukiach<sup>54</sup>. Później zachciało im się ścigać na Alei Singru, były żarty z transwestytów, szaleńcza jazda samochodem. Na koniec jeden z nich zaproponował, byśmy skoczyli do „pokoików” przy ulicy Filis. Tam się dopiero zaczęło. Chodzi o to, że Nikos – którego pozostała dwójka nazywała Niki, bo podobno jeździł jak Niki Lauda – gdy już skończył to, co miał zrobić z dziewczyną, pofolgował sobie i oddał mocz na łóżko. Gonili nas aż do Acharnon, wrzeszcząc, pokrzykując. W pewnej chwili usłyszeliśmy za sobą syrenę patrolu policyjnego. Nasze auto prowadził właśnie Niki, i dawaj, tyle go widziano!

Pewnie pędził z zawrotną prędkością także w dniu, gdy zdarzył się wypadek. Nie znaleźliśmy żadnego świadka, który by to potwierdził. Pamiętałem jednak tamto poprzednie doświadczenie, nie potrzebowałem innego dowodu. Mogłem więc zrozumieć, co było przyczyną wypadku. Zdarzył się gdzieś na zakrętach przed Galaksidi, o świcie, gdy wracali z jakiegoś nocnego klubu. Wniosek policji był jednoznaczny:

„Kierowca Nikos Skarwelis poruszał się z wielką prędkością, starając się wykonać nieprawidłowy manewr wyprzedzania, i znalazł się na przeciwległym pasie ruchu. Usiłując uniknąć czołowego zderzenia z ciężarówką, całym pędem zjechał samochodem w przepaść”.

Początkowo byłem wściekły. Chciałem iść do szpitala w Rio, gdzie hospitalizowany był Niki, i sprać go, zabić. On był winowajcą, ale i jedynym ocalałym. Nie zrobiłem tego. Musiałem opłakać swojego brata i pocieszyć moich bliskich. A może i przypomniałem sobie o jego nieszczęsnych rodzicach. Cóż oni byli winni? Jakby nie mieli swego własnego dziecka do opłakiwania? Tak więc minęło trochę czasu, stanęliśmy na nogi, w ciągu roku zmarła moja matka, ojciec doznał załamania nerwowego, nie mógł dojść do siebie po szoku. Z wolna zacząłem wyznaczać sobie drogę w życiu: zakład, rodzina, drugie dziecko. Od czasu do czasu dochodziły do moich uszu jakieś strzępy pogłosek o Nikosie i jego rodzinie. O tym, że był w więzieniu, wyjechał do Aten, żył samotnie, miał dwie próby samobójcze, trzymali go na obserwacji w jakimś szpitalu psychiatrycznym. Jeszcze o tym, że jego matka postradała zmysły, a ojciec zmarł. Później przez długi czas cisza. Miałem swoje własne zmartwienia, osobiste i rodzinne, zapomniałem o nim. W pewnej chwili dowiedzieliśmy się, że przebywa na Świętej Górze. Został mnichem i przybrał dziwne imię Nifonas. Dlaczego? Chciał zbawić swoją duszę? Uratować się od grzechów, które mu ciążyły? A miał ich sporo i nie były one małe!

Takie pytania mnie dręczyły, zanim go spotkałem. Czekало mnie wiele, bardzo wiele spotkań z nim i rozmów o tym i owym, aż mi wszystko wyjaśnił. A jeszcze więcej czasu potrzeba było, abym zdołał przyłożyć rękę do serca i mu wybaczyć.

Jak wolno mija czas! Zaraz mnie rozniesie z nerwów. Nie wiem, co powiedzieć i czego się spodziewać. Chciałbym być teraz gdzie indziej. Spacerować po lesie lub modlić się w kościele. A nie czekać tutaj, żeby mnie wezwali do środka.

Wieści dotarły do mnie, gdy schodziłem z Athos. „Coś się dzieje z Nifonasem... Coś się zdarzyło w jego celi... Zniknął. Szuka go policja”. Tego już trochę za wiele. A byłem tak bardzo radosny! Wczoraj w ostatniej chwili postanowiliśmy się wybrać na wierzchołek. Mieliśmy się wspinać ja, mały, ojciec Dometios i jeden świecki. Z Filotheou mieliśmy zabrać ze sobą jeszcze jednego staruszka. Potrzeba było pięciu godzin intensywnego marszu. Dwa tysiące metrów wysokości to nie bułka z masłem, mimo że nawykłem do wielogodzinnych wędrówek. Późnym popołudniem dotarliśmy do płaskiego wzniesienia świętej Paraskewy, a potem, po półgodzinnym marszu, do kościółka Przemienienia Pańskiego. Widok

stamtąd był niepowtarzalny. Od dziewiątej wieczór do szóstej rano czuwaliśmy. Na zewnątrz lało jak z cebra, prawdziwy kataklizm. Szczególne doznanie. Czułem, jakbym uczynił jeden krok w stronę Boga. Modliłem się za wszystkich i za wszystko. Za żywych i umarłych, za rodzinę i za moją grzeszną duszę. Rankiem ruszyliśmy w górę drogą przez mokry las. Czysta magia. Szliśmy obok rozkwitłych judaszowców, słuchaliśmy ptaków, wpatrywaliśmy się w słoneczne promienie przenikające przez gęste liście. Czy mogłem nie dziękować Najwyższemu za wielkie dobro życia?

A teraz...? Teraz siedzę w pokoju przyjęć, który wyremontowałem swymi własnymi rękami, i czekam, aż policjant mnie wezwie na przesłuchanie. Bo, jak mówi, dobrze znałem Nifonasa. Jest moim przyjacielem i mam swobodę odwiedzania go w celi. Ale co się dzieje? Co złego mógł uczynić? Jego cela to zwyczajny pokój, taki jak innych mnichów. Wszędzie, gdzie spojrzysz, święte obrazki i krzyże. Niczego dziwnego i niezwykłego sobie nie przypominam. Choć już dłuższy czas go nie odwiedzałem.

Hm, teraz, gdy się zastanowię... Jedyne... Jedyne, co na mnie ostatnio zrobiło wrażenie, to był jego habit. Wyglądał na czysty i zadbane. Oczywiście, pewnego razu nie wytrzymałem i go zaczepiłem:

– Co się stało, Nifonasiu? Masz jakiegoś anioła, który o ciebie dba?

Uśmiechnął się. Lecz nie odpowiedział.

[52](#) Fanar (Fanari, Φανάρι) – dzielnica Konstantynopola (Stambułu), w której przed zdobyciem miasta przez Turków mieszkała arystokracja bizantyńska. Siedziba Patriarchy Ekumenicznego, zwierzchnika Kościoła prawosławnego.

[53](#) Grecka Organizacja Małej i Średniej Przedsiębiorczości i Rzemiosła (Ελληνικός Οργανισμός Μικρών-Μεσαίων Επιχειρήσεων και Χειροτεχνίας).

[54](#) Nocne lokale, gdzie można posłuchać muzyki na żywo.



ζ

## NIEDZIELA O ŚLEPCU<sup>55</sup>

W niedługim czasie wszyscy w Papanikolau wiedzieli, że gdy Olga upatrzy sobie jakiegoś mężczyznę, będzie miał szczęście, jeśli uniknie jej pułapek – dosłownie: jej zębów; taką była furiatką. Tak więc kiedy jakikolwiek mężczyzna podobał się pielęgniarce, rzucała go na łóżko, oczywiście nie na chirurgiczne, ale inne, takie, które mieli w małym pokoju, do odpoczynku w czasie dyżurów. Oldze ani wiek, ani pozycja społeczna nie robiły różnicy. Czy był to lekarz, czy ktoś z personelu administracyjnego, pielęgniarz czy hospitalizowany, młody czy siwowłoso, jeśli się jej podobał, znajdowała sposób, by mu podarować godzinę erotycznej uczt.

Owego popołudnia właśnie skończyła obchód i mierzenie chorym gorączki, wyglądała na podekscytowaną. Tym razem jej „zdobycz” to była nie lada gratka, ale gratka stanowiąca prawdziwe wyzwanie: wiele obiecujące ciało było odziane w habit! Krótko mówiąc, był to mnich ze Świętej Góry, który towarzyszył drugiemu, już podeszłemu wiekiem, podczas operacji katarakty. O to mniej więcej zapytała Olga i tego się dowiedziała od przełożonej.

Plan obmyśliła bardzo starannie. Najpierw cierpliwie czekała, aż nadejdzie wieczór. Następnie zaczęła się i upewniła, że chorych po kolei ogarnia sen. Potem przybrała poważną minę, zapięła aż po szyję swoją białą bluzkę i zbliżyła się do mnicha, który przysnął sobie na fotelu obok łóżka starca.

Nie chciałby położyć się w jakimś spokojnym miejscu? Odpocząć w łóżku, które mają dla odwiedzających?

Nifonas wysłuchał propozycji pielęgniarki z niejakim zdumieniem, ale i ukrytą radością. Był bardzo zmęczony i czuł, że sen ciąży mu na powiekach. Skłamałby, gdyby odpowiedział „nie”, naraziłby się na grzech.

Czy jednak nie będzie przeszkadzał? Czy nie sprawi kłopotu? I jak ma zostawić staruszka samego?

– Na Boga! Co też mówicie? – przerwała mu bardzo uprzejmie Olga, podczas gdy już zaczynała się ślinić na jego widok. Niech pójdzie odpocząć, a o starca niech się nie martwi, ona sama się o niego zatroszczy.

W małym pokoju Nifonas znalazł ciszę, przyćmione oświetlenie i rozkładane łóżko do odpoczynku. Odmówił wieczorną modlitwę, ugasił

pragnienie połową szklanki wody, którą mu zostawiła uprzejma pielęgniarka, i położył się ubrany w podkoszulek i długie aż do kostek kalesony. Maj w tym roku był gorący, Saloniki się gotowały, zanosilo się na upalne lato.

Padł na łóżko, ale sen się go nie imał. Jego myśli krążyły wokół ostatniego spotkania z dziewczyną. Było to na początku miesiąca. Zdążył odzyskać siły, pogoda była idealna, a PRZEWODNICZKA w pełni gotowa na morskie wypady. Podczas jednego rejsu spotkali się znowu. Równie przypadkowo. Ujrzał ją, jak swoją łodzią nadpływa w jego kierunku, z włosami targanymi przez wiatr. Nifonas właśnie łowił ryby z wyłączonym silnikiem.

W ich rozmowie była zarówno intymność, jak i śmiałość właściwa ludziom, których los zetknął po to, by sobie nawzajem pomogli. Nie było zająknięć ani dobierania słów, nie opuszczali wzroku. Wszystko mówili śmiało i szczerze. Dziewczyna: o wypadku z mureną, o tym, co było potem, jak plotła jakieś „głupoty”, starając się utrzymać go przytomnego, jak go następnie dowiozła do przystani w Stawronikita. Nifonas ze swojej strony: jak dotarł aż do bramy Hadesu, jakie męczarnie cierpiał przez dwa dni, jak mu się udało ostatecznie uratować i, oczywiście, o tym, jak bardzo pragnął ją znów spotkać i jej podziękować.

Wokół tego krążyły teraz myśli Nifonasa, a on sam czuł, że powieki mu ciężą i z wolna pogrąża się w słodkim mroku snu.

W pewnej chwili w środku nocy obudził się przerażony. Uniósł się lekko na łóżku i dotarło do niego, że jest podniecony. Jednak powodem tego nocnego grzechu nie były obrazy z jakiegoś sprośnego snu, ale zupełnie inne – namacalne. Obok siebie na łóżku spanikowany Nifonas ujrzał znaną mu półnagą pielęgniarkę. Zamurowało go. Wstrzymał oddech. Poczł zawroty głowy.

Zamurowało też Olę. Nie spodziewała się, że mnich obudzi się w najlepszej chwili, gdy właśnie zaczynała „ucztę”. Dwadzieścia kropelek Seropramu wystarcza, by pogrążyć w głębokim śnie nawet trzech mężczyzn. Co tym razem poszło nie tak, że mnich się obudził? Nie wiedziała. Zaraz jednak odzyskała panowanie nad sobą i uśmiechnęła się kokietująco. I oczywiście wyciągnęła rękę, by kontynuować przerwane w połowie pieścizoty. Gdy tylko go dotknęła, oddech Nifonasa ustał po raz drugi. W głowie pojawiły się obrazy z przeszłości. Wtedy gdy nazywali go Niki, wtedy gdy... Na chwilę się zapomniał. Zapomniał się i nie odsunął od rozkosznej pieścizoty, co powinien był natychmiast uczynić.

Tę chwilę bezruchu Olga uznała za swój osobisty sukces. „Tak więc”, pomyślała Olga, „jest taki, jak wszyscy mężczyźni: na początku się dziwią, potem jednak poddają się erotycznemu crescendo”. W istocie, to samo działo się teraz z mnichem. Nabrała odwagi. Zarzuciła nogę na udo współprzypadkowego Nifonasa.

W tej chwili się ocknął. Pojął, jaka otchłań rozwierała się przed nim. Ujrzał po trzykroć przeklętego<sup>56</sup> w kącie pokoju, jak się złowieszczo uśmiecha. Uświadomił sobie, że jeszcze chwila i śluby czystości, które złożył podczas obrzędu postrzyżyn – „Praktykuj czystość, abyś mógł cały należeć do Boga” – jeszcze trochę i zostałyby zerwane przez to żarłoczne stworzenie. Poczuł lęk na samą myśl, jak daleko cofnęłaby go taka chwila słabości. Od razu odnalazł w sobie siłę i zerwał się z łóżka. Nie! Akt seksualny nie stanie się przyczyną, by zawrócić go ku grzesznemu życiu. Nie i jeszcze raz nie! Nie pozwoli na to, by po tylu modlitwach i postach stoczyć się znów w życie wypełnione jałowymi rozkoszami, czczymi hulankami i razem z nimi bólem, nieszczęściem, karami, nieudanymi próbami...

Zerwał się roztrzęsiony. Szybkimi ruchami włożył habit, a jego oczy z wściekłości wypełniły się łzami. Pielęgniarka zapaliła papierosa i go obserwowała.

– Kochaniutki, nie bierz tego tak poważnie. Przecie to nie koniec świata!

Świata nie, to nie koniec. Niewiele jednak brakowało, a byłby to koniec jego duszy. Co miałyby później powiedzieć Gedeonowi w czasie spowiedzi? Jak by usprawiedliwił zajście z kobietą-szatanem?

Znalazł starca smacznie śpiącego, z oczyma zasłoniętymi gazikami chirurgicznymi. „Szczęśliwy”, pomyślał Nifonas. Bo jakie pokusy miałyby dręczyć starcze ciało? Jakie demony mogą krążyć wokół ciała, które już wiele lat temu straciło swój wigor? Które nie jest nawet w stanie odpowiedzieć na pokusy, podsuwane przez czarta? „Szczęśliwy! Szczęśliwy!”, powtarzał Nifonas, siedząc na fotelu z twarzą w dłoniach. Mało brakowało, a zdarzyłoby się nieszczęście! Pozostało jeszcze kilka godzin do świtu, gdy ruszą w drogę powrotną w swoje strony, czyste i ciche. Do nieskalanego grzechem Ogrodu Przenajświętszej.

Pomijając epizod z pielęgniarką, wszystko inne potoczyło się najlepiej, jak można było sobie życzyć. To znaczy tak, jak zaplanowano i tydzień wcześniej uzgodniono z lekarzem. Gedeon podjął decyzję i powiedział „tak”.

Nie dało się inaczej. W ostatnim czasie miał poważne kłopoty z oczami. Katarakta stała się nie do zniesienia. Wodne zasłony opadały przed nim i oddzielały go od reszty świata. Nie było mowy, by przeczytał oktoich<sup>57</sup> w psalterzu. Wystarczy dodać, że często nie poznawał ludzi, nie tylko w katolikonie, ale i na zewnątrz, na dziedzińcu i w ogrodach. Miały się więc nie zgodzić na operację w Salonikach?

Gdy dotarli do Uranopolis, Gedeon przeżył szok. Gdzie były spokojne ulice i kafejki o niskich dachach? Gdzie się podziały odradzające się z popiołów feniksy i inne symbole z 21 kwietnia?<sup>58</sup> Gdzie zniknęły te wszystkie obrazy, które starzec zapamiętał z małej nadmorskiej wioski? Od chwili gdy Gedeon ostatni raz opuścił Górę, minęły trzydzieści dwa lata. Inaczej pamiętał świat, inaczej go teraz postrzegał. A jeszcze inaczej będzie go oglądał kilka dni później, po zabiegu. Zniknie mglistość, będzie widział wyraźnie i ogarnie go przerażenie na widok bezwstydných ubiorów, nieprzyzwoitych fryzur i nieosłoniętych ciał kobiet i mężczyzn. Będzie się też zdumiewał dużą liczbą samochodów, osobliwymi domami, napisami, których treści nie zrozumie, przedmiotami, których nie będzie w stanie nazwać. Zupełnie nowy świat przed jego nowymi oczami. Odmienny, diabelski.

Lekarz Dabizoglu, pobożny dyrektor kliniki okulistycznej w Papanikolau i regularny pielgrzym do Stawronikita, wykonał znakomitą pracę. W istocie był to rutynowy zabieg. Wystarczyło niespełna pół godziny, by oczyścić laserem oczy starca. Kolejne godziny, to znaczy do chwili, gdy ruszyli w drogę powrotną, potoczyły się gładko bądź niemal gładko. Ponieważ lekarz nie pozwolił, by starzec opuścił szpital tego samego dnia, obawiając się, że kołysanie statku mogłoby mu zaszkodzić, zostali z Nifonasem zmuszeni do przenocowania w szpitalu – co miało znany już ciąg dalszy.

W taksówce, którą jechali na dworzec KTEL<sup>59</sup> w Chalkidiki, dwóch mnichów, siedząc na tylnym siedzeniu, toczyło, każdy z nich oddzielnie, swoją własną walkę. Nifonas starał się odpędzić od siebie obrazy z niemal spełnionej nocnej pokusy, które w jakiś diabelski sposób nie chciały się odkleić od jego myśli i przepaść w ogniu piekielnym. Obok niego Gedeon w dalszym ciągu dręczył się widokiem nieprzyzwoitych scen na chodnikach i ulicach Salonik.

– Jak się żyje w zakonie?... Jak to jest być mnichem?...

Taksówkarz miał ochotę na pogawędkę i nie chciał zmarnować okazji, podwójnej okazji. Mijali właśnie Rotundę. Młody mnich pochylił się i szeptał coś starszemu. Taksówkarz obserwował ich w lusterku. Nie uzyskał odpowiedzi, raczej go nie usłyszeli. Rzucił kolejne pytanie, jeszcze bardziej prowokacyjne:

– A czy to w końcu prawda, co się słyszy o Świętej Górze? Że niby połowa Salonik do niej należy?

– Co chcesz przez to powiedzieć, mój chłopcze?

W głosie Gedeona słysząc było zdumienie. Jakby nie dość było tego, co widział, teraz przyszło mu walczyć z kolejną pokusą.

– Ja oczywiście w to nie wierzę, ale mówi się... Ludzie gadają, że własnością Góry są hotele, kina, kamienice i wszystko, za co trzeba płacić ogromne czynsze. Aż po „te domy” nad Wardarem, które podobno także do niej należą.

Naturalnie, taksówkarz wierzył we wszystkie te plotki. Jeśli było coś, czego najbardziej na świecie nienawidził, byli to próżniacy. Sam był dzieckiem ulicy, a co udało mu się w życiu osiągnąć, zdobył własnym potem i krwawicą. Kombinatorzy, cwaniacy i wszelkiego rodzaju nieroby działali mu na nerwy. Do tego samego worka wrzucał też mnichów. Czy i oni nie uciekają od życia i jego trudów? Czyż nie jest najłatwiejszą rzeczą na świecie zamknąć się w monasterze, unikając służby wojskowej i założenia rodziny? Czy nie jest dezercją trwonienie młodości na „Panie zmiłuj się”, podczas gdy reszta ludzi wypruwa sobie żyły, by zarobić na chleb? Gdy synowie narodu stoją na straży granic, a potem wytrwale poszukują pracy?

Któż ujrzał Pana i nie przeraził się! Zmierzwiona broda i habit w nieładzie, włosy opadające na twarz, Gedeon machał obiema rękami, a jego zranione oczy ciskały błyskawice:

– Mnisi porzucają świat, by ratować dusze całej ludzkości, a nie tylko swoje własne! Toczą walkę z Szatanem dniem i nocą! Czyż nie jest to najtrudniejsza walka? Trudniejsza od wszystkich innych wojen? A w ogóle, kto ci powiedział, że dezerterują z życia? Przyjdź kiedyś do monasteru, by zobaczyć, jakie prace muszą wykonywać! Kto zadba o sady, zwierzęta, zatroszczy się o gości, wysprząta kościół i oczyści ikonostasy, przygotowuje litanie... Mnisi pracują jak psy! Nie wiedzą, co to rozrywka czy lenistwo. Toczą walkę, by Szatan nie zawładnął światem. Myślisz, że to zupełnie nic? Co?

Przez chwilę Nifonas miał zamiar go powstrzymać. Bał się, żeby nie doznał apopleksji. Starzec jednak wydawał się niezrażony:

– Czy jest większy wróg od Szatana? Bardziej podstępny? Kto się z nim zetrze, jeśli nie mnich? Nieustannie z nim walczymy. Modlimy się, zanosimy błagania, gorąco prosimy Najwyższego, by cały świat otaczał swoją ochroną, wszystkie rodziny, by zbawiał dusze słabych, chronił ojczyznę, przyjął ludzi z łagodnością, gdy nadejdzie godzina Sądu!

W głębi pojawił się dworzec KTEL. Nifonas odetchnął z ulgą. Zapewne kłótnia się skończy i starzec się uspokoi. Gdy tylko taksówka się zatrzymała, Gedeon wysiadł, nie odpowiadając na ponure „do widzenia” taksówkarza. Nifonas jednak nie mógł się powstrzymać, by nie dodać swojej własnej prawdy do wybuchu wściekłości staruszka:

– Chrystus potrafi wybaczać. Zwłaszcza tym, którzy zbłądzili...

Taksówkarz odprowadzał ich wzrokiem, z rozdziawionymi ustami, gdy mnisi zmierzali do kas biletowych. Co to miało znaczyć? Ciekawe, kogo dotyczyły ostatnie słowa?

W autobusie wielki tłok. Zaczynała się dobra pogoda i nastrój, by pielgrzymować do Góry, popychał wielu w kierunku trzeciej stopy przylądka Chalkidiki. Gdy tylko autobus ruszył, obaj zamknęli oczy: Nifonas ze zmęczenia, Gedeon z obawy, by nie dostać zawrotów głowy. Nie otworzyli ich, aż dotarli do Nea Roda. W Uranopolis panował jeszcze większy zgiełk. Na szczęście nie musieli czekać w kolejce po bilety ani przechodzić kontroli celnej – niewielka oznaka szacunku ze strony władz dla czarnej szaty i mniszego stanu. Wsiadli jako jedni z pierwszych na AKSION ESTI i zajęli oddaloną ławeczkę. Stamtąd mogli obserwować pasażerów i samochody załadowane różnego rodzaju towarami.

– Jeśli tak dalej pójdzie, za kilka lat zobaczymy na Górze nawet...

Co chciał powiedzieć starzec? Jaki lęk kazał mu zawiesić głos w połowie myśli i jej nie dokończyć?

Gedeon ciągnął dalej. Już na inny temat:

– Spójrz, kogo mamy za towarzystwo.

Obstawiony przez ochronę, jeden z najbardziej żarliwych w wierze polityków z Salonik wsiadał na pokład AKSION ESTI. Przemawiał patetycznie, a otaczający go ludzie kiwali głową z aprobatą. Zarówno Gedeon, jak i Nifonas znali tę postać. Wcześniej parę razy odwiedzał ich monaster, jednak nie wywarł na nich zbyt dobrego wrażenia. Pompatyczny

sposób, w jaki wygłaszał swoje opinie czy kłaniał się przed ikonami i relikwiami świętych, ale także jego obłudny uśmiech, sprawiały, że w Stawronikita odnoszono się do niego z antypatią – niezależnie od tego, oczywiście, nie mówiono mu tego. Wystarczy, że do uszu mnichów dotarły informacje o przekrętach, których się dopuścił, starając się zdobyć głosy wyborcze pobożnych saloniczan!

Przenieśli się na inną ławkę, jeszcze bardziej oddaloną. Nie byli w nastroju do rozmów i „paplaniny”. Prom już wyszedł na otwarte morze w zatoce Singitikos, wkrótce na horyzoncie zaczęły się pojawiać pierwsze plaże Góry.

– Widzisz tamten wierzchołek?

Palec Gedeona wskazywał na Megali Wigła. Wierzchołek, który wyznacza granicę między Świętą Górą a pozostałą częścią Chalkidiki; który oddziela ziemię ludzi od błogosławionego ziemskiego raju.

– Tam, w górze, widzisz, przez wąskie przejście wszedłem po raz pierwszy na Górę.

Nifonas słyszał już tę historię dziesiątki razy. Wiele wieczorów spędził ze starcem, słuchając wciąż od nowa jego opowieści o czasie, gdy był „na zewnątrz”, i o pierwszych latach spędzonych na Górze. Nigdy jednak nie psuł mu radości. Zawsze cierpliwy i zawsze z uśmiechem udawał, że słyszy te historie po raz pierwszy. Tak samo będzie pewnie i teraz, gdy myśli Gedeona znów skierowały się wstecz.

– Nie byłem taki, jak inne chłopaki we wsi. Ojciec, zamiast Sifi, wołał na mnie „nawałnica”, bo nie był w stanie utrzymać mnie w ryzach. Do czasu, gdy zaczęły mi rosnać wąsy, ciągle gdzieś się włóczyłem, po ogródkach warzywnych i po płaskowyżu. Nie wiedziałem, co znaczy dom. Nie miałem zamiaru iść do szkoły, by zmańdrzeć. Wściekły bunt targał mną w duszy. Ruszałem na włóczęgi, przemierzałem gościńce, uciekałem jak najdalej od świata. Denerwowali mnie ludzie. Umiałem jedynie prowadzić stado kóz i ciskać kamieniami w chmury. A najlepiej wychodziło mi doprowadzanie fezików<sup>60</sup> do szewskiej pasji i szydzenie z nich.

Asi Gonia<sup>61</sup> było wsią, w której w 1925 roku mieszkało dość dużo Turków. Z upływem miesięcy jednak, co zrozumiałe, ich liczba się zmniejszała. Odbywała się „wymiana” i parowce zabierały ich na przeciwległe wybrzeże. We wsi pozostało kilka rodzin, które oddawały cześć Mahometowi. Były takie, z którymi chrześcijanie żyli w przyjaźni,

na inne zaś spoglądali nieprzychylnym okiem. Sifis dorastał na kolanach swojego dziadka, starego Sifaka. Od niego usłyszał o powstaniu w 1867 roku, o rzeziach w 1896 roku, o nożu wbitym przez antychrystów w Wielki Zamek i o wielu innych zdarzeniach, o dokonaniach chrześcijan i tyranii Turków Osmańskich. W konsekwencji dorastał, karmiąc się takim marzeniem: kiedyś mu się poszczęści i własnym mieczem wypędzi Turków z wyspy. Nadejdzie czas, gdy zostanie wyzwolona cała Kreta. Może nawet greckie państwo urośnie jeszcze bardziej. Może zatrzepocze biało-niebieska flaga nad świątynią Hagia Sophia<sup>62</sup>.

– „No, siadźże wreszcie na tyłku, zmądrzej. Przy winobranii pomóż, jak normalny człowiek”, wciąż mi powtarzał ojciec, ale gdzie tam! Był wartościowym i szlachetnym człowiekiem, gospodarzem, potrafił naprawić buty, robił klarowne wino, które nigdy nam nie kwaśniało. Chciał, żebym częściej był blisko niego, by mieć na mnie baczenie. Lękał się, bym jakichś głupstw nie narobił. Widział we mnie „dzikie zwierzę”. Klócił się z dziadkiem, żeby mnie nie podjudzał, że najwyższy czas, by i on sam się uspokoił. A ja się buntowałem. Widziałem fezik i gotowało się we mnie. Słyszałem muezina i ogarniał mnie szal. I tak się stało, co się stało...

Prom zbliżał się, manewrując, do przystani w Konstamonitu, gdzie mieli wysiąść pierwsi pielgrzymi. Wśród nich także pewien mężczyzna z brodą i w okularach, który przez cały czas coś pisał w małym notatniku. Zapewne przygotowywał jakąś książkę na temat Góry.

Polityk wciąż otoczony był towarzystwem swojej „świty”. W jakimś kącie inny mnich wygłaszał przemowę. Słońce wzniosło się już całkiem wysoko. Podobnie jak głos Gedeona, dawnego Sifisa.

– Ech, młodemu niewiele trzeba!

Chodziło mu o to, że piętnastoletni Sifis nie potrzebował żadnego specjalnego pretekstu, żeby iść i podłożyć ogień pod meczet w Asi Gonia. Ogień, który niemal spalił żywcem dwudziestu Turków. Wystarczyły mu gniew i nienawiść wobec tych, którzy trzy lata wcześniej dokonali rzezi na Grekach w Azji Mniejszej, a resztę wysłali na wygnanie. Pożar rozsierdził wszystkich, zarówno Turków, jak i Greków. Doszło niemal do skandalu dyplomatycznego, pisały o tym nawet gazety w Europie. Niewiele brakowało, a późniejsze plany Wenizelosa, związane z grecko-turecką przyjaźnią, spaliłyby na panewce. W domu Sifisa zapanował zgiełk i zamęt.



Jego ojciec ruszył do lasu i szukał syna, przygotowawszy uprzednio sznur, by go powiesić w stajni głową w dół. I tak się w istocie stało. Jednak Sifisowi udało się uwolnić. Uciekł aż do Retimno. Tam znalazł łódź, którą dopłynął do Kimolos<sup>63</sup>. W ciągu miesiąca postawił stopę w Pireusie. Przez półtora roku pracował jako bagażowy w porcie. O Świętej Górze po raz pierwszy usłyszał od pewnego właściciela kafejki w dzielnicy Tamburia: „Jest gdzieś w górach Macedonii takie miejsce, gdzie są tylko mnisi. Nie pozwalają się zbliżyć żadnej kobiecie. Żaden Turek nigdy ich nie zdeptał”. To było to, pragnął ujrzeć z bliska owo heroiczne miejsce. Ruszył w pieszą wędrówkę. Zajęła mu blisko dwa miesiące, aż dotarł do poświęconej ziemi. Szczęśliwie było jeszcze lato i karmił się tym, co znalazł w mijanych po drodze ogrodach. Spał na zżętych polach. Oczywiście, trafiały mu się same przeszkody, ale żadne przeciwności nie były w stanie powstrzymać Sifisa. W końcu zmierzał do miejsca prawdziwie greckiego, do miejsca, w którym ma znaleźć tylko chrześcijaństwo. Tak się stało i dotarł do Megali Wigła dnia...

– ...30 sierpnia 1927 roku – uzupełnił cicho Nifonas.

– Moim pierwszym starcem był pewien Rosjanin, prawdziwy święty. Nazywał się Tatian Kuczerenko. Mieszkał w pustelni w Karulii<sup>64</sup> i tam właśnie musiałem się udać, by mu okazać posłuszeństwo. Pół dnia potrzebowałem na znalezienie jego celi. Dużo powiedziane, cela... W sumie trzy blachy, które tworzyły zadaszenie nad skalną jaskinią. W dole przepaść i morze. Żeby się tam dostać, trzeba było się wspiąć po wiszącej drabinie sznurowej, wysokość zapierała dech w piersiach. Gdy do niego zawołałem, kim jestem i po co przyszedłem, skinął mi głową, żebym się wdrapał na górę. Poczęstował mnie deszczówką z puszki konserwowej i spleśniałymi winogronami. Żyłem z nim przez cztery lata. Trudne lata. Posłuszeństwo, zimno, głód, ubóstwo... Karmiliśmy się owocami, które zbierałem z drzew, i resztkami suchego chleba, zrzucanego nam z góry przez przechodniów. Z niedożywienia została ze mnie połowa. Ale nie martwiło mnie to. Mawiałem: „Jeśli mam umrzeć, przynajmniej będę miał chrześcijańską śmierć. Może w ten sposób zdołam odpokutować za moje grzechy”.

Od dnia, w którym Sifis stał się Gedeonem, całe pozostałe życie spędził na Górze. W tym czasie jedynie dwukrotnie został zmuszony do wyjścia do zewnętrznego świata, w obu przypadkach do lekarza. Za pierwszym razem

było to w roku 1971, za drugim – powodem była jego terazniejsza operacja.

Przez chwilę Nifonas miał zamiar go zapytać, czy jego rodzice kiedykolwiek dowiedzieli się o tym, że został mnichem. Powstrzymał się jednak, bo zobaczył, że zbliża się ku nim jakiś świecki.

– Bóg z tobą, ojcze. Nie pamięta mnie ojciec? Jestem Anestis, aptekarz z Janitsy. – Gość położył swój tobołek i usiadł obok nich. Wyglądało na to, że ma ochotę na pogawędkę. W przeciwieństwie do Nifonasa – z Gedeonem. Aż do chwili, gdy wzrok Nifonasa spoczął na złożonej gazecie, która leżała w tobołku aptekarza. Poprosił, by mógł na nią rzucić okiem. Pielgrzym pospieszył, żeby mu ją wręczyć. Przez moment nie było słyhać nic innego oprócz przewracania stron.

– No nie, nie, nie... Spójrz tutaj. Straszne!

W głosie Gedeona czuć było oburzenie. Nifonas przewrócił ponownie na pierwszą stronę:

PROWOKACYJNE NARUSZENIA PRAWA PRZEZ TURKÓW NA LIMNOS.

– Jeśli tak będą sobie poczynać mahometanie, niebawem wyruszą i na Akropol. Przeczytaj, zobaczymy, co się stało.

Choć nie był przyzwyczajony do głośnej lektury, Nifonas przeczytał o tym, co się zdarzyło, i o późniejszych, w sumie dziesięciu, naruszeniach przestrzeni powietrznej, których Turcy otwarcie dopuścili się poprzedniego dnia nad Limnos. Trzeba było poderwać trzy samoloty w Skiros, żeby ich przechwycić, nastąpił zdecydowany kontratak, prawdziwa bitwa powietrzna. Rząd zareagował stanowczo. Minister spraw zagranicznych oświadczył, że „takim postępowaniem Turcja oddala się od perspektywy przyjęcia do Unii Europejskiej”.

Gdy tylko Nifonas skończył czytać, starzec jakby dostał w ręce karabin maszynowy, jego usta zionęły ogniem:

– Turczyny zawsze są takie same, niewierne i podłe, zdradzieckie. Patrzą tylko, jak szkodzić naszemu krajowi, odebrać nam wyspy, zaatakować przez Ewros. Czyż nie wykorzenili hellenizmu z Pontu i Azji Mniejszej? Czyż nie starli z powierzchni ziemi elementu greckiego na wyspie Imroz? Nie wygnali Greków z Konstantynopola? Nie zmienili Hagii Sophii w meczet? Czyż nie zbezczęścili zabytków Stolicy<sup>65</sup>?

Nifonas słuchał, ale nie bardzo uważał na słowa swego towarzysza. Jego

umysł zalewała powódź innych obrazów. Oczami wyobraźni oglądał nie tylko niebo, ale i morze. Przestrzeń wody między Limnos a Świętą Górą. Może dziewczyna gdzieś tam była i łowiła ryby, gdy doszło do tamtych zdarzeń. Może uniosła głowę i zobaczyła samoloty rozcinające przestworza w udawanej walce. Może nawet się przestraszyła. Chwilowy niepokój ogarnął jego serce z powodu popłochu, jaki mógł ogarnąć dziewczynę. Teraz ją „ujrzał” wyraźniej. Wyobraził sobie, że odrzuciła włosy w tył, że otwarła szeroko oczy, a z jej ust wydobył się cichy okrzyk przerażenia i pokazały się jej białe zęby...

– Hej, Nifonasie, obudź się! Dokąd podróżujesz?

Starzec ganił go pół żartem, pół serio. A tak naprawdę, dokąd podróżowały myśli Nifonasa? Co go tak zajmowało? Na jakie pytanie tak uporczywie poszukiwał odpowiedzi? Cóż nowego, iskrzącego się, a zarazem bezgranicznego i bezdennego miało się w nim narodzić?

[55](#) W Kościele prawosławnym szósta niedziela po Wielkanocy, ostatnia niedziela okresu paschalnego. W czasie nabożeństwa wspomina się cud uzdrowienia ślepcy przez Chrystusa (J 9, 1–38).

[56](#) „Po trzykroć przeklęty” (*triskataramenos*, τρισκαταραμένος) – jedno z popularnych określeń diabła.

[57](#) Oktoich (*oktoichos* [*oktoechos*], οκτώηχος) – nazwa oznacza dosł. „osiem tonów”. Księga liturgiczna ułożona przez Jana Damasceńskiego w VIII w., św. Józefa Hymnografa i Teofana (IX w.), wykorzystywana podczas nabożeństw w ciągu tygodnia, podzielona na osiem tonów powtarzających się co osiem tygodni.

[58](#) 21 kwietnia 1967 roku przeprowadzono wojskowy zamach stanu, w wyniku którego rządu przejęła junta „czarnych pułkowników”, wprowadzając dyktaturę wojskową w Grecji (1967–1974) i zawieszając szereg swobód obywatelskich. Jednym z symboli puczu było godło feniksa odradzającego się z popiołów (Αναγεννώμενος Φοίνιξ).

[59](#) KTEL, gr. ΚΤΕΛ (Κοινά Ταμεία Εισπράξεων Λεωφορείων) – autobusowa firma przewozowa działająca nieprzerwanie od 1952 roku, obsługująca połączenia krajowe i transport regionalny.

[60](#) Feziki (*fesakia*, φεσάκια) – pogardliwe określenie Turków, od nazwy charakterystycznego nakrycia głowy, fezu.

[61](#) Położona wysoko w górach wieś na Krecie w jednostce regionalnej Chania.

[62](#) Hagia Sophia (w wym. nowogreckiej: *Ajija Sofija*, Αγία Σοφία) – jeden z najwspanialszych zabytków sztuki późnego antyku i Bizancjum, zbudowana w VI wieku Świątynia Mądrości Bożej. Po zdobyciu Konstantynopola zamieniona na meczet. Obecnie muzeum.

[63](#) Wyspa na Morzu Egejskim należąca do archipelagu Cyklad.

[64](#) Karulia – najbardziej odosobnione miejsce na Górze Athos, położone na wysuniętych

najdalej na południe skalistym i stromym zboczu. Mnisi mieszkają tam w jaskiniach, jamach i szczelinach skalnych lub w hezychasteriach (chatach dla pustelników).

[65](#) Stolica, dosł. „królująca, panująca” (*wasilewusa* [*basileousa*], βασιλεύουσα) – przydomek Konstantynopola jako stolicy Bizancjum. Grecy aż do 1921 roku, gdy nastąpiła tzw. katastrofa małozjatycka, mieli nadzieję na odzyskanie Konstantynopola i uczynienie go drugą stolicą, obok Aten. W dalszej części książki „Stolica” odwołuje się zawsze do Konstantynopola (obecnego Stambułu).

η

## „Jak Paisjusz...”

Niech ojca Bóg błogosławi. Proszę o przebaczenie i grzechów odpuszczenie. Chcę wyspowiadać się z moich grzechów... Wiem, że pora jest nieodpowiednia, ale... Czy to nie wy nam mówicie, żebyśmy otwierali duszę przed Bogiem o każdej porze i w każdej chwili? Byśmy się nie wahali was odwiedzać, gdyż spowiedź jest bramą do Raju? Właśnie to czynię teraz i ja... Choć inni bracia chodzą tam i z powrotem na przesłuchania... Może i wy, ojczy, powinniście tam być? Będę się streszczał z tym, co mam do powiedzenia... Musiałem się jednak z ojcem spotkać... Chcę, żebyście wy, ojczy igumenie, dowiedzieli się o tym, co widziałem... Lepiej, żebyście to byli wy niż... Niby nic ważnego, a jednak, żebyście... Moja dusza jest zaniepokojona. Sądzę, że i innych braci też... Od ranka nie mogłem dokończyć żadnej pracy w ogrodzie. Wziąłem się do okopywania, ale przestałem. Potem do plewienia i znów nic z tego. Nie miałem do tego głowy. Usiadłem w kącie i gapiłem się w morze. W takich chwilach przychodzą mi na myśl słowa Paisjusza. Nie ma nic, czego by nie widział ów święty człowiek, wszystko to przepowiedział. „Nadejdzie dzień, Joanikiosie, w którym do monasteru wkroczy Szatan w przebraniu”, często mawiał... Ach, jakie piękne i spokojne są dni! Lubię schodzić do sadu i zajmować się codziennymi pracami. Dbam o drzewa i warzywa. Martwię się zawczasu, czy zostały podwiązane pędy, a owoce... Każdego ranka ruszam ku ogrodowi i raduje się moja dusza. Wychwalam Najwyższego za Jego błogosławieństwa. Składam dziękczynienie za swój los. Śpiewam cicho modlitwy. Razem ze mną wychwalają Najwyższego także ptaki. O tym także mówił Paisjusz: „One także mają duszyczkę. Głosu ludzkiego nie mają”. Tak nas nauczał, mnie i Nifonasa, w latach, gdy żyliśmy w posłuszeństwie wobec niego. Godzinami siedzieliśmy i patrzyliśmy, jak zbierał wokół siebie koty i je karmił. Pewnego razu wyszedł na dwór i zganił żaby, bo swoim rechotaniem nie pozwalały nam dokończyć jutrzni. Jak ojciec sądzi, co nam rzekł, że mu żaby powiedziały? „Pięknie, wy jesteście jeszcze przy jutrzni? My już dotarliśmy do hymnów pochwalnych!” Widzicie, ojczy, Nifonas jest taki sam jak Paisjusz. Taki sam, a nawet lepszy.

Na owady czy gady nigdy nie podniósł ręki, żeby je zabić. Miłuje cały świat. Nigdy kwiatka nie uciął. Nawet rybom, które łowi, współczuje. Pewnego razu zobaczył żmiję znikającą w krzakach i co rano przynosił jej miseczkę mleka, by się pożywiła, ona i jej małe. W końcu doszło do tego, że żmija wchodziła do jego łóżka i spała w jego nogach. Z kolei innym razem skowronki się zleciały i usiadły na jego głowie i ramionach, a on je karmił. „Hej, Nifonasi”, rzekłem do niego, „uważaj, byś i ty nie odleciał razem z nimi!” Nie odleciał, ale... To była noc, gęsty mrok, dopiero co zwołano na jutrznię... Takiego Nifonasa, ojciec, nigdy wcześniej nie widziałem... Na zewnątrz swojej celi, na korytarzu, tam go spotkałem... Wpadł na mnie. Pędził jak wiatr... Nawet nie zdążyłem mu rzucić słowa... A jego oczy... Śmiem twierdzić, że nie widział ojciec nigdy takich oczu u innego człowieka. Szeroko otwarte, pełne przerażenia... Było też coś jeszcze... Nie wiem, jak to powiedzieć... „Bój się mnicha, gdy musi walczyć ze światem zewnętrznym, nie z Szatanem”. To też słowa Paisjusza. Był to dzień, gdy ktoś go na poły prosił, na poły mu rozkazywał, by uratował jego dziecko z jakiejś ciężkiej choroby, raka, jak mi się zdaje. Sądził, że Paisjusz czyni cuda. Poczuli później gorycz, gdy zobaczyli, że... Dziwni są ludzie, nie rozumieją nas. Powiedziałem kiedyś Nifonasowi, co sprawiło, że przybyłem na Górę. Od tamtej chwili, ilekroć mnie spotykał, mówił ze śmiechem: „Szukałem miejsca, gdzie w zimie będzie śnieg, wiosną zapachy, jesienią kolory, a latem radość”. Mówił o tym, co mu niegdyś rzekłem o sobie samym. Jestem gadułą, wiem o tym. Już kończę. Jeszcze coś i zaraz wracam do swojej pracy... Ciężkiego grzechu od ostatniej spowiedzi nie popełniłem. Trzymam się waszych rad, ojciec. Podwoiłem swoje modlitwy i jeszcze częściej poszczę. Nie pozwalam, by tamten grzeszny obraz z przeszłości mną rządził, walczę z nim... To samo zrobiłem wczoraj wieczorem. Tylko że... Prawda jest taka, że trochę przesadziłem... Zrobiłem więcej, niż mi kazaliście... Zabolało mnie... Być może nie powinienem tak bardzo... Potem zaczęli zwoływać na jutrznię i wyszedłem, by udać się do katolikonu. W korytarzu spotkałem Nifonasa, który prawie mnie przewrócił na podłogę... Chcę teraz coś powiedzieć, ale... Boję się, że Szatan mnie zwiódł i widziałem coś nieprawdziwego. Paisjusz mawiał wielokrotnie, że... Ale nie, to nie kłamstwo, widziałem to jasno. Nifonas coś trzymał... Coś trzymał w swych objęciach... Jakby zwitek ubrań... W obu ramionach... Tak, jak trzymamy ikony, bojąc się, żeby nam nie upadły... tak samo

i on... Jakby trzymał ikony na rękach... Co to mogło być, ojczy?... Myśli ojciec, że zwiódł go po trzykroć przekłety i uwikłał się w jakiś handel dziełami sztuki? Co ojciec o tym wszystkim sądzi? Co?...

θ

# KU CZCI MĘCZENNICZEK: ŚWIĘTEJ ZOFII, WIARY, NADZIEI I MIŁOŚCI

Teraz, od tej pory, już nic nie miało być przypadkowe.

– Spóźniłaś się. Co się stało? Coś się wydarzyło?...

Koniec czerwca i jakaś martwa cisza od wielu dni przytłoczyła ląd i morze. Gedeon bacznie się wszystkiemu przyglądał – widział bowiem teraz lepiej, niż gdy był młodzieńcem. Nifonas wyszedł wiosną cało z pieca ognistego – to było najważniejsze – i znalazł na morzu towarzystwo odmienne od znanego mu z monasteru.

Bratnia dusza: tak właśnie odczuwał obecność Domny. Była niczym zesłany przez Boga dar, niczym manna z nieba. Pewnie Najwyższy posłał ją na morskie ścieżki, by jej pomóc zbawić duszę. Właśnie dlatego, no dobrze: niezależnie od tego, czy dobrym, czy złym człowiekiem była Domna, w istocie brakowało jej chrześcijańskich przekonań. Podczas wszystkich rozmów, które prowadzili owego dnia, wyszło na jaw, że dziewczyna nie miała pojęcia o podstawach wiary i oddawania czci. Imiona świętych, uroczystości i święta, rytuały kościelne, modlitwy i psalmodie, wszystko to było dla niej zupełnie nieznanne. Jakby opowiadał jej o ukrytych tajemnicach wszechświata. Za kościół Domna miała morze, świętymi były dla niej wiatry zstępujące z macedońskich gór i Hellespontu, zamiast Najwyższego czciła swoje dwie ręce, zdolne do tego, by ją ocalić podczas sztormu, i do tego, by przynosić pieniądze i chleb do domu. Czyż nie potrzebowała zatem katechizacji, by odnaleźć właściwą drogę? Czyż nie był dla niej Nifonas aniołem z niebios?

O tym i o wielu innych sprawach dyskutowali za każdym razem, ilekroć zdarzyło im się spotkać w znajomym miejscu, gdzie niemal pokonała go zajadłość mureny: godzinę drogi od jej wsi, niecałe pół godziny od Stawronikita. Teraz zwiększyła się częstotliwość ich spotkań. Podobnie jak i rozmów, które prowadzili na wiele różnych tematów. Jak na przykład



niewinne pytania Domny („Czy ryby mają duszę? Co znaczy: Sąd Ostateczny? A kto stworzył Boga?”), albo o przeszłości Nifonasa („Nazywałem się Nikos... Pochodzę z... Mojego brata...”), ale i o życiu Domny na wsi (bez przyjaciół, bez jakiegokolwiek szansy na zmianę, mając za jedyne towarzystwo swoją matkę). Nifonasa interesowało przede wszystkim to, czy zdoła jej pokazać, jaka jest właściwa droga do zbawienia duszy i jak należy ją przejść.

Zbawić jej duszę? Co to znaczy? Bo jakie grzechy mogła popełnić? Komu wyrządziła szkodę? Nie czuje, że mogła zrobić coś złego. Nigdy nie podniosła ręki na innego człowieka. Nieuczciwość czy kradzież są jej nieznanne. Czy tylko dlatego, że jej stopa nie postaje w kościele, można uznać, że grzeszy? Czy to aż taki straszny grzech? Wielki grzech, bo nie zna „Panie, zmiłuj się” i „Chwała Ojcu”? Jak zatem można nazwać tych, których ogląda w telewizji – złodziei i morderców? O tym zaczęła mu opowiadać owego ranka, gdy się spóźniła, a Nifonas martwił się, czy przypadkiem nie przytrafiło jej się coś złego.

– To wszystko nie jest takie proste... Są także inne grzechy...

Fala popchnęła łódź Domny w stronę jego łódki. Nie znajdowała się teraz w odległości nawet metra od PRZEWODNICZKI. Tak więc gdyby wyciągnął dłoń, mógłby jej dotknąć. Gdyby oczywiście tego chciał; tyle że nie chciał. Taki gest był bowiem surowo zabroniony przez zasady etyczne i prawa życia w monasterze. Ale dlaczego miałyby Domny dotknąć? Dlaczego miałyby wyciągnąć rękę? Szybko się opanował. Dziewczyna miała teraz inne pytanie:

– O jakich grzechach mówisz? Są jakieś gorsze od morderstwa i kradzieży?

Rozmawiali, nie używając imion ani zwrotów grzecznościowych. Była to dla nich, mimo upływu czasu, trudność nie do pokonania, nieprzystępna bariera spowodowana tym, że Nifonas należał do stanu duchownego. Teraz potrzeba było zdecydowanej odpowiedzi. Wyartykułowanej prosto, ale i przekonująco, tak żeby dziewczyna poczuła konieczność poszukiwania schronienia w ramionach Kościoła.

– Wiesz, czasami nasz umysł grzeszy bez naszej woli. Tworzy myśli złe i podstępne. Podobnie i ciało...

Zakończył przytłumionym głosem, choć rozpoczął mocno i zdecydowanie. Być może wstydził się takiej rozmowy z osobą innej płci. Co by się bowiem stało, gdyby dziewczyna poprosiła o więcej wyjaśnień? Gdyby zażądała

przykładów? Szczęśliwie dla niego Domna nie rzekła ani słowa. Może nie zrozumiała drugiego dna słów mnicha albo była całkowicie niewinna i czysta od grzesznych czynów i bezecnych myśli. Lewym wiosłem obrócił PRZEWODNICZKĘ i ustawił ją w pozycji dziób–rufa do łodzi Domny. Teraz miał słońce za plecami, mógł się jej lepiej przyglądać. Domna nadal się nie odzywała. Pochyliła się i wyciągała taklę do połowów.

– Możesz mi trochę pomóc?

Żadnego „proszę cię” ani pustej formy grzecznościowej wynikającej z jałowej uprzejmości. Bezpośrednie słowa wypowiedziane przez duszę czystą i krystaliczną jak wody, na których łowili ryby. Pomógł jej. Dziś niewiele złowiła: ze dwa, trzy morlesze, jedną obladę. Ryby, których starczy zaledwie, by napełnić jeden brzuch. A drugi? Bo to oczywiście, że to Domna będzie cierpieć głód lub niedostatek. Nifonas szybko wyciągnął taklę i bez zbędnego słowa wrzucił swoje ryby do jej wiadra.

– Ale...

Położył palec na ustach. Niech nic nie mówi, niech się nie sprzeciwia. Ostatecznie, nic by się nie stało mnichom w Stawronikita, gdyby nie zjedli ryb. Chwała Bogu, niczego im nie brakuje, na stole mają wszystko. Warzywa ze swojego ogrodu, rośliny strączkowe, solone ryby, makarony, wszystkie dobra Jakuba.

– No wiesz, ja chcia...

Ostatniego słowa Nifonas już nie usłyszał. Domna odpaliła silnik i w pośpiechu ruszyła w drogę powrotną. Pozostał z pytaniem. Co „chcia...”? Szybko o tym zapomniał. Domna wstała i z łodzi pomachała do niego na pożegnanie. Roześmiany, odwzajemnił się tym samym.

Mój Boże, jaki dobry jesteś, jaki sprawiedliwy! Wszystko mądrze uczyniłeś.

Minęło kilka dni, od kiedy się nie widzieli. Dokładnie, siedemnaście, tak jak je liczył jeden po drugim Nifonas. Zapadał wieczór, już od jakiegoś czasu słońce chowało się za Athos. Barwy zmierzchu pokryły górę i rozpościerały się na spokojnych wodach zatoki. Nifonas, już spokojny, oddał się rozmyślaniom. Zgasił silnik w PRZEWODNICZCE i podziwiał absolutne piękno i doskonały spokój. Słyszał jedynie bicie własnego serca, nie mógł się już doczekać. Nie minęło wiele czasu, a z głębi horyzontu usłyszał „duku, duku”. Nareszcie! Początkowo powściągliwy uśmiech teraz rozlał się na całą

twarz. Za parę minut wszystko znów będzie znajome i wielokrotnie powtarzane: jedna łódka obok drugiej, rzucone sobie nawzajem „dobry wieczór”, wspólne łowienie ryb. Dziś jednak Domna nie wyglądała na spokojną. Chodziła w milczeniu tam i z powrotem w łodzi, wydawało się, że nie ma ochoty na pogawędkę. Włosy miała upięte wysoko. Zmierzch sprawił, że jej skóra nabrała jeszcze bardziej koloru dojrzałej pszenicy. Było oczywiste, że coś ją trapi.

– Gdy dziecko zostaje na świecie samo jak palec, co Kościół mówi o takim przypadku?

Cóż to było za pytanie pełne niejasności? Co chciała przez to powiedzieć? Szkoda, że nie jest bardziej konkretna.

Chwycił wiosła i podpłynął PRZEWODNICZKĄ bliżej.

– Jedna moja znajoma ze wsi urodziła chłopczyka. Nie ma jednak męża... Jest panną. Pomogłam jej urodzić w domu, wstydziła się iść do lekarza...

Oczy Nifonasa wypełniły się łzami ze zdumienia, ciekawości i podziwu. A więc to tak? Wie i pomaga dziewczętom rodzić... Nie rzekł jednak nic. Rozumiał, że to dopiero początek.

– Oszukał ją, niegodziwy! Marta ma zaledwie osiemnaście lat, zbałamucił ją. Obiecał jej małżeństwo... I tyle go widziano!

Jej gniewny głos brzmiał ostro. Przez chwilę myślał, żeby ją pocieszyć, opowiadając o Przenajświętszej. Jak wiele wycierpiała w Betlejem, jakie udręki przeżyła, jak została zmuszona do ucieczki do Egiptu, by ocalić swoje nowo narodzone Dziecię przed Herodem. Milczał. I dobrze uczynił. Gdyż to, co usłyszał w dalszej części, nie tylko go zaskoczyło, ale i pomogło, by sprawy przybrały inny obrót, by jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie.

– Ja... Ja, wiesz, jakim dzieckiem jestem?

Może się pomyliła, mówiąc o sobie „dziecko”? W tym wieku?

– Nie martwię się o Martę, ale o małego. On będzie to wszystko znosił. A jeśli ma podobne do mnie zezowate szczęście...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wyraźnie rozedrgana i poruszona, chodziła tam i z powrotem. Na chwilę przystanąła i wbiła w niego wzrok. Nieznaczny uśmiech pojawił się na jej wargach.

– Wybacz, ale poruszyła mnie ta historia. Sprawiała, że przypominałam sobie własną przeszłość. Zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj!...

Pierwsze odkrycie: skoro Domnę tak wzburzył przypadek jej przyjaciółki

i powiedziała to, co powiedziała, to pewnie dlatego, że i ona sama była dzieckiem adoptowanym. Jej osobista historia zaczęła się dwadzieścia pięć lat wcześniej, gdy ją przygarnęła bezdzietna para z Tasos. Z nimi dorosła, poznała ich i pokochała jak rodziców. Jednak o ile z ojczymem nie miała żadnych problemów, z matką było inaczej: trudna i zrzędliva kobieta, oszczędna w pieniądzach i uczuciach. Domna najlepiej rozumiała, jak trudna jest sytuacja Marty i małego. Czy mogła nie utożsamiać się z losem nowo narodzonego niemowlęcia?

Odkrycie drugie, ale przyjemniejsze: jeśli istniało coś, co ubarwiało sytuację, była to zbieżność z osobistym faktem z jej życia: właśnie tego dnia przypadały jej urodziny. Takiego dnia jak dziś, 14 lipca, Domna, nieślubne dziecko pewnej nieszczęsnej dziewczyny z Chrisupolis, która doznała krwotoku podczas porodu, otworzyła oczy na świat.

Nifonas już wcześniej wiele razy słyszał takie historie od ludzi z zewnątrz. Nawet opowieść Gedeona na statku, której wysłuchał kolejny raz, nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak losy Domny. Przez dziesięć lat na Górze zapomniał o udrękach codzienności, z którymi zmagają się zwykli ludzie. Jego główną troską, rankiem i wieczorem, była modlitwa o zbawienie dusz. Gdy jednak lepiej poznał historię dziewczyny, ponownie wylądował w świecie mającym swoje małe problemy i troski, ukształtowanym z mułu ziemi. Miała dziś urodziny i to była jedyna miła rzecz w jej opowieści. Łagodziła ona nieco dramat porzucenia i niezbyt radosnego życia Domny z jej przybraną matką.

Podniósł wzrok i rozejrzał się. Zrozumiał, że nadchodził grego<sup>66</sup>. Uderzył wiosłami z prawej strony i ustawił PRZEWODNICZKĘ obok łodzi dziewczyny. Wciągnął wiosła i podniósł się. Teraz miał ją przed sobą. Wyciągnął rękę.

– Wszystkiego najlepszego. Niech Bóg ma cię zawsze w opiece. Obyś zawsze miała Jego błogosławieństwo!

Męska dłoń dotknęła zakłopotanej dziewczyny. Uścisk był gorący, choć trwał zaledwie kilka sekund. Mimo to Domna poczuła dziwny dreszcz, jakby po raz pierwszy w życiu uścisnęła dłoń mężczyzny. U Nifonasa z kolei dotyk obudził dawno zapomniane wspomnienia. Dwie łodzie zbliżyły się teraz do siebie na odległość oddechu. Jedno nadburcie dotknęło drugiego, jakby miały się pocałować.

Minęły dni. Sierp księżyca powoli się dopełnił, stał się świetlistym kręgiem. Dziś ostatni dzień lipca. Oślepiający blask księżyca w pełni uniemożliwia nocne połowy. W swojej celi Nifonas się modli. Klęcząc, zwrócony w stronę kąta izby, gdzie znajdują się ikony, prosi, błaga, dziękuje, kaja się. Grzech, który znajduje niestrzeżone bramy i dziurawi niczego niepodejrzewające dusze, staje się lżejszy w jego sercu. Kiedy odczuwa taką potrzebę albo pojawia się wspomnienie jakiegoś grzechu, nie zamierza tłumić płaczu. Rzeczywista walka i modlitwa, zmagania duszy i umysłu. Najgorętsze łzy płyną, gdy do Nifonasa dociera, że nie jest w stanie się powstrzymać. Gdy jakaś niewidzialna siła podnosi go z podłogi i prowadzi do okna. A działo się tak już wielokrotnie. Zalany łzami zbliża się do okienka i stamtąd spogląda na bezlitosny księżyc, zmroczniałe wody, a jeszcze dalej: „widzi” wyspę, wieś, istotę, która pewnie podobnie jak on nie może spać.

Rzeczywiście, wyobraźnia nie zawodzi Nifonasa. Domna nie może spać, siedzi na podwórku swojego domu ze wzrokiem wbitym w morze. Tylko że ona nie płacze. Jej oczy, jej twarz, jej całe ciało ogarnia uniesienie, jakiego doświadcza po raz pierwszy życiu. I którego ona sama nie potrafi nazwać. Jeszcze.

Od tego wieczoru aż do dnia, gdy Domna spotkała się z Nifonasem – gdzieżby indziej jak nie na morzu – minęło trzynaście nocy, a księżyc zaczęło powoli ubywać, w przeciwieństwie do ich niecierpliwego wyczekiwania, które rosło z dnia na dzień. Nie widzieli się przez tyle dni, dlatego że w Stawronikita pojawiło się wówczas mnóstwo obowiązkowych prac i posług, które wymagały uczestnictwa wszystkich mnichów – bez wyjątku! Łowienie ryb było wtedy luksusem, przynajmniej tak się mnichom wydawało.

W przeddzień święta 15 sierpnia<sup>67</sup>, zaraz po nabożeństwie, Nifonas zszedł biegiem do przystani. Rozwiązał PRZEWODNICZKĘ, przymocował motor i ruszył jak oszalały na otwarte morze gładkie jak stół. Bryza rozwiewała mu włosy, chłodziła rozpaloną twarz, a jeszcze bardziej – rozpalone serce. Jego wzrok, wyćwiczony w spoglądaniu na odległy horyzont, szybko dostrzegł w oddali plamkę, która im bardziej się ku niej zbliżała, stawała się wyraźniejsza. Bezzwłocznie do niej podpłynął i natychmiast, zaraz po powitaniu, zdumiał się. Domna nie zarzuciła podbieraka ani takli, czy czegokolwiek innego; nie była na połowach. Z gołymi do ramion rękami,

spocona i z zachmurzoną twarzą, dziewczyna z Tasos majstrowała przy silniku swojej łodzi.

– Nie chce odpalić, cholera!

Raz za razem pociągała mocno za sznur, by uruchomić silnik. Nifonas nie potrzebował innego pretekstu ani zaproszenia. Przywiązał szybko PRZEWODNICZKĘ, skoczył i znalazł się na łodzi Domny. On też zakasał rękawy, podwinąwszy je równie wysoko jak dziewczyna. Zgrabnie podwiązał krawędź habitu do paska.

– To pewnie wina gaźnika – zdiagnozował i poprosił Domnę o skrzynkę z narzędziami.

Gdy podawała mu wiosło, jej palce przypadkowo dotknęły jego dłoni. Aż podskoczyła. Teraz Nifonas pochylał się nad silnikiem, a jego ciało wyglądało jak czarny łuk. Nie odwracając się w jej kierunku, poprosił o kombinerki. Tym razem jej ręka schowała się razem z narzędziem w spoconej dłoni mężczyzny. Znowu poczuła ten sam dreszcz, co w dniu swoich urodzin. Do czego mogłoby doprowadzić najbardziej powierzchowne muśnięcie ciał? Czym mogłoby się skończyć zespolenie dotyków? To samo o Domnie pomyślał przez chwilę także Nifonas – pomyślał i się przeraził. Gdy, co naturalne, po raz trzeci poczuł, że jego nagie ramię muska nadgarstek dziewczyny, zrozumiał, że dzisiejsza „rozmowa” winna się w tym miejscu zakończyć. Dalej byłoby już tylko gorzej. I wszystko byłoby zabronione.

Na jego szczęście w owej chwili zabrzmiał warkot silnika. Odblokował się i zaczął działać. Tego dnia nic więcej już sobie nie powiedzieli. Dość długo siedzieli obok siebie w milczeniu, choć tyle czasu się nie widzieli. Rozstali się, wymieniając kilka słów i parę gestów, które pasowały do ich wiosennych spotkań. Teraz jednak był sierpień i w międzyczasie wydarzyło się między nimi tak wiele. O co więc chodziło?

Następnym razem, gdy okoliczności sprawiły, że Nifonas z Domną się spotkali, odbyło się to nie na morzu, ale w miejscu, gdzie ich stopy dotykały ziemi. Konkretnie na posadzce pewnego kościoła. Mnich nie zmagął się teraz z sieciami i takłami. Odziany w szaty liturgiczne, śpiewał psalmy i odprawiał wieczernię w kościele Świętego Jana Chrzciciela. A kościół ten znajdował się we wsi, w której mieszkała Domna. Była wśród wiernych obecnych na nabożeństwie, wyróżniały się jej kruczoczarne włosy, oczy dziewczyny błyszczały z radości. Mimo że sprawy kościelne nieszczególnie

ją interesowały, to właśnie ona zaproponowała mu podczas jednego z morskich spotkań, by przybył do jej miejscowości i wziął udział w nabożeństwie podczas uroczystości ku czci świętego Jana Chrzciciela, przypadającej na 29 sierpnia, w dzień święta dla jej wsi. Czyż w istocie Nifonas nie był sługą Wiary? Ustanowionym do zbawiania dusz? Czyż nie był zmuszony, by udać się tam, gdzie potrzebują go wierni? W jej wiosce taki dzień to prawdziwa radość dla Boga. Zbierają się ludzie z całego regionu, przybywają wędrowni handlarze sprzedający wszelakie towary, wszyscy odziani w odświętne ubrania, dlaczego i on nie miałby uczestniczyć w nabożeństwie razem z kapłanem ze wsi?

Rozmyślał nad tym Nifonas, roztrząsał na wszystkie strony, miał wiele wątpliwości. Oczywiście, nie byłby to pierwszy raz, gdy miał odbyć taką podróż. Monaster w Stawronikita miał swoje włości<sup>68</sup> na Tasos i kilkakrotnie wcześniej Nifonas musiał tam płynąć swoją łodzią. Ale teraz... „Jak mam wrócić w środku nocy?”, zapytał, gdy usłyszał od niej propozycję. Co z podróżą powrotną w ciemności? Jak niby miałby to zrobić?

– Dlaczego nie przyjdiesz spać do nas? Moja matka nie będzie mieć nic przeciw temu.

Jednak miała. Gdy kobieta w podeszłym wieku usłyszała od Domny, że miałyby gościć w swoim domu mnicha z Góry Athos, rozpoczęła niekończące się pytania przeplatane kolejnymi „o rety!”. Gdzie go zobaczyła, jak go poznała, gdzie się spotkali, skąd wzięła tyle odwagi, co powiedzą ludzie. Dalej jej podejrzenia nie sięgały. Ona sama była osobą pobożną, nie potrafiła wyobrazić sobie innego rodzaju związku między jej córką a mnichem. Najbardziej palącym problemem było dla niej: „co powiedzą ludzie?”. Za wszelką cenę musi znaleźć sposób, żeby temu zapobiec.

Tak się rzeczy miały, a teraz obie kobiety znajdowały się w kościele Świętego Jana. Matka Domny wierciła się niespokojnie; wciąż obracała głowę na prawo i lewo, by zobaczyć, czy przypadkiem nikt z mieszkańców wsi nie spogląda na nią podejrzliwie. Trochę bardziej z tyłu stała Domna; zadowolona, że wszystko poszło dobrze, cieszyła się, że ogląda teraz mnicha tym razem nie jako rybaka. Oto i on, stoi teraz przed Pięknymi Wrotami<sup>69</sup>. Oczarował wszystkich swoim melodyjnym głosem i sposobem, w jaki jedynie mnisi z Athos potrafią śpiewać psalmy wychwalające Stwórcę. Wszyscy zawiśli na jego ustach. Zwłaszcza Domna. Zahipnotyzowana

śledziła wzrokiem, jak błogosławi chleb, jak go unosi w górę, jak kreśli na nim znak krzyża i kroi na cztery wielkie kawałki.

*Możni zubożeli i zaznali głodu; a szukającym Pana...* [70](#)

Jej własny „Pan” tam był, przed nią.

Na zewnątrz, na dziedzińcu, mieszkańcy wsi nie rozmawiali o niczym innym, jak tylko o miodoustym mnichu. Niektórzy z nich już wiedzieli, kto go sprowadził do wsi, więc nie wahali się podchodzić do Domny i jej dziękować. W międzyczasie jej matka obmyśliła wytłumaczenie i odpowiadała swobodnie: „To mój daleki siostrzeniec... Mnich ze Świętej Góry...”. Z wolna wierni się rozproszyli. Mężczyźni udali się do kafejek, kobiety do domów, by przyrządzić kolację. Na wyłożonym brukiem dziedzińcu pozostało jedynie ich troje oraz wiejski kapłan.

– A więc do jutra. Pierwszy dzwon zabrzmie o siódmej. Zgoda?

Nifonas pożegnał kapłana, życząc mu dobrej nocy i zapewniając go, że następnego dnia zjawi się na czas, by celebrować nabożeństwo świąteczne. Żeby się staruszek nie martwił, mnich ze Świętej Góry znów będzie radował uszy wiernych swym melodyjnym głosem.

Od chwili gdy wszystko potoczyło się pomyślnie i nie wyglądało na to, że ktoś z mieszkańców wsi podejrzewa coś złego, matka Domny uspokoiła się. Z kuchni, gdzie znajdowała się w tej chwili i gdzie przygotowywała posiłek, nadstawiała uszu i słuchała, o czym młodzi dyskutowali w pokoju gościnnym. Jej córka zadawała pytania, a mnich opowiadał o świętym Janie Chrzcicielu i jego świętach, jak to się stało, że został ścięty (znana historia z Salome), ale i o tym, dlaczego następnego dnia przypadało jedno z największych świąt prawosławia – dlatego właśnie jest ścisły post: „nawet oliwy nie wolno!”.

– Do licha, mam mu nie usmażyć nawet kilku kalmarów? Czy na pewno wystarczy mojemu „siostrzeńcowi” zwykła fasola? – Szeroki uśmiech rozjaśnił niespokojne dotychczas oczy matki Domny.

Przy stole delektowali się smakołykami przygotowanymi przez panią Janulę i prowadzoną rozmową. Jakby pękł lód podejrzeń, które żywiła wobec mnicha i swojej córki. Wydawał jej się sympatyczny. Przez cały czas miał na ustach: „Chwała Ci, Boże”. Odniosła wrażenie, że biedak jest dobrotliwym człowiekiem. Przecież widziała, jak bardzo był zmieszany, jak się wahał nad jedzeniem. To jasne, że czuł się jak ryba bez wody. Jednak jej



córka wyglądała na poważną i znającą miarę. Żadnych uśmiechów, nieprzyzwoitych rozmów ani żartów. Wszystko jak należy. Posłały mu łóżko w najlepszym pokoju, z widokiem na morze. Domna z matką położyły się do swoich wąskich łóżek z wyświechtaną pościelą. Ubóstwo, godność, gościnność. A z nimi i ciemność, która spowiła wioskę i cały świat. Sen przyszedł szybko i ogarnął mieszkańców małego domu.

Musiała już minąć spora część nocy, gdy Nifonas otworzył oczy. Gdy tylko zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i z kim dzieli swój sen, owładnęło nim niemiłe uczucie. Uniósł się lekko na łóżku. Jedna myśl przemknęła mu natychmiast przez głowę: uciekać. Zejść do portu, wsiąść na PRZEWODNICZKĘ i uciec jak najszybciej. Co on tu robi, asceta wiary, w jednym domu z dwiema kobietami? Podparł się na łokciach. Czy coś takiego jest stosowne? Chrześcijańskie? I co by powiedział dziewczynie, gdyby ją znów spotkał? Poszukał swoich butów. Poprosiłby ją o wybaczenie, powiedziałby jej, że... Jego myśli zostały przerwane jakby cięciem noża. Jego oczy otwały się ze zdziwienia na zaskakujący widok. Przed nim, w otwartych drzwiach, stał nieruchomy cień, w słabym świetle księżyca za jego plecami rozpoznał Domnę. Trzymała coś w rękach.

– Przyniosłam ci zimnej wody... Pomyślałam, że może...

Przerwała w połowie zaplanowane wytłumaczenie. Od chwili gdy powiedzieli sobie dobranoc, jej jedyną myślą, jedyną troską, która trawiła jej umysł, było jak dostać się do jego pokoju. Pragnęła go zobaczyć z bliska, nawet uśpionego. Pragnęła usłyszeć jego oddech, trwać w milczeniu w kącie i oddychać tym samym powietrzem, co on. Woda była jedynie pretekstem.

Nifonas, gdy tylko ją ujrzał, zamarł. Nie wiedział, co powiedzieć ani co robić. Czuł, że zawładnęła nim jakaś bezrozumna siła. Wstał jak zahipnotyzowany. Wyciągnął dłoń, by wziąć szklankę. I właśnie w tej chwili jedna ręka musnęła drugą, koniuszki palców Domny spotkały się z jego własnymi. Dotknęli się na kilka sekund, które zdawały się wiecznością, tak wielki był w nich żar. A w środku tego ognia była chłodna szklanka. I jakby tego było mało, ciało Domny znalazło się tuż obok. Jej twarz w odległości dwóch palców od twarzy Nifonasa, na jego brodzie jej oddech. Jeszcze trochę i byłoby to jak uścisk. Ten kontakt nie trwał długo. Jednak to coś na podobieństwo uścisku, co było oczekiwane i naturalne, rozpało Nifonasa. W owych sekundach, gdy ich ciała się dotknęły, zapłonął w nim tak gwałtowny ogień, że dreszcze spowodowane ukąszeniem mureny wydawały

się zaledwie drzeniem. Odsunął się gwałtownie. Domna uśmiechnęła się niezręcznie. Jej serce było wypełnione miłością i szczęściem. A jego?

Pozostałe do świtu godziny spędził, klęcząc na podłodze. Modlił się i płakał. Prosił o wybaczenie, obiecując najsurowsze posty. Tworzył w myślach kary i udręki dla ciała, które zgrzeszyło. Toczył ciężką walkę. Dlatego że, choć Nifonas nie chciał tego przyznać, jego umysł – „tak, tak!” – został zauroczony przez to przelotne muśnięcie.

Kilka godzin później, podczas nabożeństwa, mieszkańcy wsi ze zdumieniem słuchali mnicha. Teraz zdawało im się, że fałszuje, gubi słowa, a jego twarz wyglądała na bardzo bladą. Jakby nie był tym samym mnichem, który poprzedniego wieczoru brał udział w nabożeństwie. Domna zajęła najdalszą ławkę i nawet na chwilę nie podniosła głowy. Błądziła myślami przy spotkaniu, przy dotyku. Czuła się tak mocno poruszona, że jej ciało było całe rozpalone.

Od owej burzliwej wizyty Nifonasa do następnego spotkania upłynęło kilka dni. Przez cały ten czas Domna czuła się prawie szczęśliwa. W końcu spotkała człowieka, co do którego czuła, że mogłaby go... W myślach dusiła to słowo. Pragnęła wierzyć, że mnich był uosobieniem delikatności i czułości, których ona sama nie zaznała od swoich rodziców, przybranych ani prawdziwych. Natomiast Nifonas był, oczywiście, poruszony. Ciągłe powracały w myślach słowa z żywotów świętych: *nie w hulankach i pijatykach, nie w rozpuszcieniu i wyuzdaniu, nie w kłótni i zazdrości. Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się zbytnio o ciało, dogadzając żądzom*<sup>71</sup>. Z drugiej jednak strony, jakaś dziwna, irracjonalna myśl zjawiała się i zagnieździła w jego głowie: nie spowodował smutku, nie sprawił, że ktokolwiek cierpiał.

„Jakiego grzechu się dopuściłem, Panie?... Nie czuję, że zgrzeszyłem... Tylko dotyk, mimowolny... Czyż istnieje gorszy grzech od arogancji i wątpliwości?... To one zżerają moją duszę, to z nimi muszę walczyć... Panie, zmiłuj się...”

I znów była noc. I ponownie dzień świąteczny. Na jutrzni wspomniano poczwórne męczeństwo świętej Zofii, Wiary, Nadziei i Miłości<sup>72</sup>. Pogoda wciąż była letnia, księżyc zaczął ubywać. Od południa Nifonas przygotowywał sprzęt do łowienia. Przywiązał w łodzi duży kawałek styropianu, butlę gazową, a następnie przetaił i wyczyścił wielką żarówkę.

Lampa do połowów była gotowa<sup>73</sup>. Bez żadnej wcześniejszej informacji albo komunikacji, popychany jedynie swoimi przeczuciami, ruszył w morze. Miał cichą nadzieję, że znajdzie czekającą na niego Domnę. Nie mylił się. W pewnej chwili ujrzał w oddali słabe światło i serce mu załomotało. Przez te wszystkie dni nie myślał o niczym innym, tylko o tym, jak jej powie „dobry wieczór”, jakimi słowami ją przywita, jak będą rozmawiać i jak wytłumaczą to, co zaszło owej nocy. Bo trzeba było to wyjaśnić! Zbliżając się do miejsca, gdzie Domna zarzuciła taklę, zgasił silnik i pozwolił, by PRZEWODNICZKA spokojnie dopłynęła ku niej. Jednak gdy tylko ją zobaczył, zamurowało go. Jej oczy były przekrwione, wyglądała na zapłakaną. Ale dlaczego? Co mogło się jej przydarzyć niedobrego? Może gdy...

– Co się stało? Wszystko w porządku?

Sposób, w jaki skinęła głową, odpowiadając „tak”, sprawił, że jej widok jeszcze bardziej chwycił go za serce. Przez chwilę nic nie mówił. Dziewczyna schyliła głowę i słychać było jej szloch. Nifonas nie wiedział, co robić ani co powiedzieć. Zbliżył się do niej, pytając o powód jej zmartwienia i płaczu.

– Moja matka... Ciągle tylko krzyczy i narzeka... Od tamtego wieczoru... Powiedziała... Powiedziała, że widziała, jak wychodzę z pokoju...

Milczał. Co miał powiedzieć? Wokół nich absolutna cisza i ciemność. Minęło kilka minut. Wreszcie Domna podniosła wzrok i spojrzała na niego. Wyglądało, że toczy wielką walkę, by się uśmiechnąć. Wyciągnął rękę i z chrześcijańską miłością pogładził jej włosy. Domna była zaskoczona tym gestem. Gdzieś w głębi zadrżała. Ona też postanowiła wyciągnąć dłoń. Tak uczyniła. W owej chwili gwałtowny podmuch wiatru zgasił lampę. Wokół nich gęsta ciemność. Na niebie tysiące konstelacji, galaktyk, gwiazd. Jednak najjaśniejsze miały niebawem rozbłysnąć trochę niżej, na łodzi.

<sup>66</sup> Grego (γρέγο) – północno-zachodni wiatr wiejący od strony Grecji lądowej.

<sup>67</sup> 15 sierpnia przypada w Kościele prawosławnym święto Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny.

<sup>68</sup> Włości (*metochia*, μετόχια) – własność monasteru, w skład której mogą wchodzić budynki i ziemia, często leżące na terenach odległych, także w innych krajach.

<sup>69</sup> Piękne Wrota (*Orea Pili* [*Oraia Pyle*], η Ωραία Πύλη), inaczej zwane Carskimi Wrotami (Cesarskimi Wrotami) – główne drzwi w centralnej części ikonostasu otwierane jedynie podczas nabożeństwa, przechodzić przez nie może tylko kapłan.

[70](#) Ps 34 (33), 11. Końcówka wersetu brzmi: *a szukającym Pana żadnego dobra nie zabraknie*.

[71](#) W istocie chodzi o fragment z Listu do Rzymian: Rz 13, 13–14.

[72](#) Św. Zofia – *Sophia* (Σοφία) – mądrość. Wg legendy św. Zofia wraz z trzema córkami, którym nadała chrześcijańskie imiona Wiara, Nadzieja i Miłość, poniosła męczeńską śmierć. Kościół prawosławny czci ją jako męczennicę 17 września.

[73](#) Lampa do połowów – *pirofani* (πιροφάνι) – używana przez rybaków, aby przyciągnąć ryby.

l

## „Świeże ślady...”

*Początkowo powierzchnia i głębia. Następnie perspektywa krajobrazu i tło. Oba te elementy stanowią mocny wpływ stylu bizantyńskiego i odróżniają go od podobnego malarstwa renesansowego Zachodu. Wierny, dotykając ustami ikony, czuje płomień w sercu. Chłodzi go zaś jedynie...*

Nie, to nie jest właściwy styl, styl pasujący do eseju. Proza eseistyczna wymaga innych słów i innych środków wyrazu. Lepiej skreślę to, co napisałem. To raczej pasuje do sztuki poetyckiej. Takiej jak ta, którą parają się samotnicy dla swojego własnego odprężenia. Esej podlega innym regułom. Jego cechami charakterystycznymi są: powaga idei, precyzja w doborze słów, składnia pozbawiona wzniosłości i odchyłeń frazeologicznych. Gdy celem jest przekonywanie, a nie piękne mówienie, powinno się przedkładać precyzję nad liryczność, mieć na celu dokładność znaczeń, a nie metonimię. Zarazem makijaż frazeologiczny i liryzm poetycki powinno się trzymać daleko od tekstu takiego jak ten. Tak więc rozpocznę raz jeszcze. Na wstępie napiszę ogólnie o malarstwie religijnym.

*Celem malarstwa religijnego jest uwiarygodnienie prawdziwej obecności Boskich osób wewnątrz świątyni. Dawniej wierzono, że jego misją było nauczanie ludzi niewykształconych, nie zaś wspieranie uniesienia dusz. Ikona jednakże przyczynia się do tego, by można się było przenieść z widzialnego do niewidzialnego i by równocześnie została uwypuklona wyższość ducha nad materią.*

*W technice bizantyńskiej liniowość dematerializuje kształty i sprawia, że stają się gładkie. Szaty i fałdy są niepozaginane i schematyczne, tak aby były odkryte cielesne powłoki. Wyraz twarzy świadczy o głębszej medytacji. Na wargach nie ma najmniejszych śladów zmysłowości, czoła są szerokie, oczy wielkie i niewzruszone, pogrążone w kontemplowaniu wizji. Żółty jest uważany za jedyny i absolutny kolor, jako że wskazuje i rozświecła*

*niebieskie Jeruzalem.*

Tak należy pisać prawdziwy esej. W ten sposób muszę kontynuować, bądź poprzedzając wstępem na temat malarstwa bizantyńskiego, bądź pisząc przede wszystkim o Teofanie. Zresztą, chodzi o tekst, który będzie czytany przez setki czytelników. Wydawca wyraził się jasno, gdy zamówił u mnie napisanie eseju na temat malarstwa Teofana. Po obfitej korespondencji udało nam się uzgodnić tytuł: *Piękno i kształt. Przypadek Teofana z Krety w Świętym Monasterze Stawronikita*. Pora już, bym kontynuował. Słuszniej byłoby odnieść się najpierw do epoki, w której żył Teofan, i do panujących ówczesnie prądów w obrębie stylu.

*Oslabienie cesarstwa i narastająca groźba ze strony Turków odegrały hamującą rolę w rozwoju nowego bizantyńskiego humanizmu. W owej epoce pojawiła się sławna szkoła kreteńska, której artyści pracowali głównie w XVI wieku na Świętej Górze. Styl szkoły kreteńskiej charakteryzuje się równowagą, ostrą draperią, harmonijnymi kompozycjami, spokojnymi kształtami i czarnym tłem. Po upadku Cesarstwa Bizantyńskiego rozwój malarstwa można także dostrzec w innych krajach, takich jak Rosja i Rumunia.*

Ten ostatni okres jest niezbędny, czy może się raczej wydawać bez związku z tematem głównym? Oto kolejny przykład potwierdzający wyższość poezji nad esejem. Najwyższy czas, bym się do tego przyznał. Moje serce jest oddane sztuce poetyckiej. To dla niej zachowuję najlepsze chwile natchnienia. Zbiory poezji i inne książki z komentarzami do sztuki poetyckiej leżą schowane w szafce. Wraz z nimi notatniki z moimi rozprawkami. Mam dość dużą wiedzę o poezji: nazwiska poetów, techniki, prądy, teorie. Czytałem nawet o japońskiej sztuce zwanej haiku. Czas jednak, bym wrócił do eseju.

*Teofan Strelidzas lub Bathas, tak zwany Kris, oraz jego syn, Symeon, ozdobili w 1535 roku katolikon Wielkiej Ławry. Osiem lat wcześniej wykonali dekorację katolikonu w Monasterze Świętego Mikołaja Odpoczywającego w Meteorach. W 1546 roku Teofan zaczyna dekorować*

katolikon Monasteru Stawronikita i tworzy ikony święteczne<sup>74</sup> na ikonostasie. Główne cechy charakterystyczne jego malarstwa to: mocna kolorystyka, operowanie światłocieniem, a równocześnie naturalność, siła wyrazu, wyniesienie uczucia i pasji oraz niewątpliwa skłonność do wprowadzania ruchu.

Dojrzałość Teofana ujawnia się bardziej w ikonach świętecznych w Monasterze Stawronikita. Linie są tutaj wyraziste i zastygłe. Kolory łączą się harmonijnie i z nabożną troską, z kolei pociągnięcia pędzlem są nieliczne, a postacie emanują spokojem. Sylwetki są wydłużone, o ruchach bezgłośnych i godnych. Łaska płynąca z ciała ujawnia jego duchową misję.

Dzieło Teofana miało wpływ na malarza świątyni Moliwoklisia (1536), a także na Zorzisa, który ozdobił katolikon Monasterów Dionisiu i Dochiariu (1547). Porównując go z innym wielkim malarzem, Panselinosem<sup>75</sup>, można wyrazić pogląd, że Teofan okazuje się surowy i nieugięty, gdyż pragnie utrzymać niezmienną wiarę i przekonania Greków, z kolei Panselinos koloruje dla zabawy naturę i zgoła całe życie albo też nawet samą śmierć.

Walczę, żeby się skoncentrować nad swoją pracą, jako że wczorajszego dnia miałem dwie różne wizyty. Najpierw Symeon. Uprzejmy i roześmiany, jak zawsze, przyniósł na przegryzkę garść migdałów, które łupał własnymi rękami. Siedzieliśmy i długo rozmawialiśmy. W międzyczasie śpiewaliśmy tropariony<sup>76</sup> i wspólnie modliliśmy się, odczuwając prawdziwe duchowe uniesienie. W końcu opowiedziałem mu o dziele, którego się podjąłem. Mówiłem o trudnościach co do sposobu potraktowania eseju, ciężaru książek, które powinienem przestudiować, ram czasowych, które mnie ograniczają. Ale także o tym, jak bardzo czarujące wydaje mi się całe przedsięwzięcie. Symeon opowiedział mi o innym malarzu ikon, starszym, o którym znany rosyjski reżyser Tarkowski nakręcił film zatytułowany *Andriej Rublow*. Symeon jest niezwykle wykształcony, podobnie jak i doświadczony. To nie

przypadek, że wyruszył ze swojej odległej ojczyzny, Peru, aby zostać mnichem na Górze. Godny podziwu i uwielbiany przez wszystkich ze względu na wiarę, chrześcijańskiego ducha i wielorakie dzieło. Jego książki są już dość długo w obiegu. Dwie z nich to zbiory poezji. Ja jednak nic mu nie powiedziałem o moich wierszach. Dlaczego? Wstydzilem się? A może ze strachu?

*Na południowej ścianie katolikonu Stawronikita znajdują się dwie wielkie kompozycje ze Starego Testamentu: Arka niesiona w mieście Jerozolima i Arka niesiona przez kapłanów. W obu dominuje Bogurodzica. Pod Górą widać bezbożnego Uzzę, w chwili gdy kładzie rękę na Arce Przymierza i pada rażony piorunem przez gniew Boży.*

*W centralnym miejscu znajduje się Dawid i synowie Izraela, którzy niosą Arkę Bożą do Jerozolimy. Cała kompozycja jest wzbogacona o przedstawienia różnego rodzaju instrumentów muzycznych, co przydaje dziełu zachwycającego realizmu.*

*W północno-zachodnim kącie pomieszczenia wyróżnia się wspianiały i straszny Anioł Pański. Jest przedstawiony od głowy ze złotym świetlistym wieńcem do miejsca poniżej bioder. Jego szata ma kolor żywej zieleni. W dłoniach trzyma berło i kulę ziemską z monogramem Chrystusa.*

Gdy wychodził Symeon, złożył mi wizytę Nifonas. Przyznaję, że właśnie jemu zawdzięczam wszystko, to znaczy moje ocalenie. Gdyby nie było Nifonasa, który mnie poprowadził, wciąż dręczyłyby mnie duchy przeszłości. Ucieszyłem się z wizyty, choć wydawało się oczywiste, że był czymś zgnębiony. Siedział, ale nie przyjmował poczęstunku. Początkowo rozmawialiśmy o rzeczach codziennych i zwykłych. W pewnej chwili odwrócił się do mnie i rzekł: *Nie możecie służyć Bogu i Mamonie*<sup>77</sup>. Choć bardzo mnie zaskoczył, zgodziłem się z nim. Jednak nic nie powiedziałem. Po chwili ciągnął dalej, mówiąc: „W moich myślach, Charidimosie, wciąż powraca słowo Ewangelii, to, które powiada, że: *Jest rzeczą konieczną, żeby zgorszenia pojawiały się na ziemi. Lecz biada temu, kto je wywoła. A co ty o tym myślisz? Nie zgodzisz się?*”. Odrzekłem mu, że tak, ale nie rozumiem,



o jakim zgorszeniu mówi; i kim jest ten, kto je wywołuje. Pokiwał głową bez słowa. Pojąłem, że dręczy go jakaś pokusa. O nic nie zapytałem. Wstał i zaczął się nerwowo przechadzać. *Ci, którzy zostali uznani za godnych, by zdobyć świat i zmartwychwstanie z martwych, nie wchodzi w związek małżeński...* Jego głos zdradzał wielkie poruszenie. *Ponieważ są równi aniołom*, uzupełniłem cicho passus ewangeliczny, pragnąc zobaczyć, dokąd zmierza dyskusja.

*Szczególne miejsce w bogatym programie ikonograficznym kościoła mają święci wojownicy Jerzy i Dymitr. Znajdują się na początku chóru, stoją na czele, trzymając w prawej ręce włócznię, a podpierając się lewą – Jerzy łukiem, Dymitr zaś mieczem z krzyżem na pochwie. Wyglądają szlachetnie i skromnie, wzrok zwrócony ku widzowi jest poważny, choć nieuchwytny.*

Pochylił głowę. Zaraz zaczął mówić o kolejnym passusie z Ewangelii. O tym, w którym Pan zaleca, byśmy młode wino nalewali do nowych bukłaków, a nie do starych. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, nie miałem pojęcia, co chciał przez to powiedzieć i czego to wszystko miało być symbolem. A już zupełnie mnie zamurowało, gdy – w chwili kiedy już wstał i zamierzał wyjść – odwrócił się i rzekł: *Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień*<sup>78</sup>, i palcem wskazał na swoją pierś. Co chciał przez to powiedzieć? O jakim grzechu mówił?

*Po prawej stronie świątyni znajduje się cudowna ikona świętego Mikołaja, mozaika z XIII wieku. Zgodnie z tradycją ikonę tę ukradli piraci i – gdy tylko ją ogołocili ze wszystkich cennych ozdób – wrzucili ją do morza. Po upływie pięciuset lat rybacy z monasteru wyłowili ją z głębin w swoich sieciach i przynieśli do świątyni. Ponieważ na czole świętego znajdowała się przyklejona ostryga, nadali ikonie przydomek „Święty Mikołaj Ostrygarz”<sup>79</sup>.*

Bez związku. Wydaje się, że zapominam, iż moim tematem nie jest ogólny opis świątyni, tylko dzieło Teofana Kreteńczyka. Zaniepokoiły mnie zagadkowe słowa Nifonasa. Do czego zmierzał, używając paraboli? Kogo miał na myśli? Mnie? Jakiegoś innego mnicha? Może przytrafiło mu się coś

paskudnego, o czym nie wiem. Czy to możliwe, że nie powiadomili mnie o czymś ważnym? Może byłoby dobrze zejść do monasteru? Najpierw jednak niech skończę rozdział o Teofanie, a potem podejmę decyzję.

*Ostatecznie szczególne miejsce w Cesarskich Wrotach zajmuje Deesis<sup>80</sup>. U Chrystusa Pantokratora orędują za wszystkich członków monasteru i za wszystkich ludzi Matka Boska i św. Mikołaj. Teofan ujawnia w Deesis jedną z najbardziej znaczących cech jego sztuki. Postacie pośrodku wrót promieniują powagą i spokojem. Malarz przedstawia Chrystusa Pantokratora w sposób podobny do typu pochodzącego ze starej szkoły weneckiej.*

Tyle co do pierwszego rozdziału. Wracam raz jeszcze do sprawy Nifonasa. Jest dla mnie najlepszym przyjacielem na Górze. Człowiekiem, który stał przy moim boku w trudnych chwilach. Gdy uciekłem tutaj, żeby zapomnieć o ludziach, których kochałem, Nifonas pomógł mi przezwyciężyć demony i uzależnienia. Z jego pomocą zrozumiałem, że inne rzeczy w życiu są ważne. W dniu, w którym starzec wysłał mnie, abym żył jako mnich w tej celi, to właśnie Nifonas znów przyszedł mi z pomocą. Tutaj znalazłem schronienie do modlitwy i pisania. Żyjąc w pustelni, za jedyne towarzystwo mając ptaki i dzikie zwierzęta, nie miałem innych przyjaciół oprócz słów. Wychwalałem nimi Najwyższego i pisałem teksty, którym zawdzięczam swoje nowe imię: Charidimos pisarz. Jednakże, gdzieś w głębi, moje serce oddane jest poezji. I nie wyjawię tego innym. W wersach ukrywam to, czego nie mogę wyrazić w inny sposób. Piszę, by przysłonić dawne wspomnienia, zapomniane twarze. Czuję, że w ten sposób ratuję się nie tylko od grzechu, ale i od szaleństwa.

Znów otworzę zeszyt. Powiem na swój sposób to, co mnie dręczy, a potem zejdem do monasteru.

*Księżyc już blednie*

*Ślady na śniegu świeże*

*Miłość to kłamstwo*

*Deszcz cicho siąpi*

*Otwiera stare bramy*

*Świta nadzieja*

*We śnie się jawi*

*Czerwona chryzantema*

*Pachnie radością*

*Świeco żałobna*

*Moje serce dla ciebie*

*Wciąż czuwające*

[74](#) Ikony świąteczne (*Dodekaorthon*, Δωδεκάορθον) – ikony poświęcone 12 Wielkim Świętom, najważniejszym w prawosławnym roku liturgicznym; znajdują się w rzędzie ikon święt w ikonostasie w kolejności ich świętowania.

[75](#) Manuel Panselinos – niewiele wiadomo o jego życiu, prawdopodobnie tworzył na początku XIV wieku. Przypisuje mu się freski w kościele Protaton w Karies, najstarszej świątyni na Athos, wzniesionej ok. poł. X wieku.

[76](#) Troparion (τροπάριον) – bizantyński śpiew liturgiczny oparty na prostej strukturze i rytmicznej kadencji.

[77](#) Łk 16, 13.

[78](#) Por. J 8, 7

[79](#) Św. Mikołaj Ostrygarz (*Ajos Nikolaos o Stridas* [*Hagios Nikolaos ho Streidas*], Άγιος Νικόλαος ο Στρειδάς) – ikona św. Mikołaja z Miry, wg legendy została wrzucona do morza w czasie plądrowania Konstantynopola. Jedna z najcenniejszych i najbardziej znanych ikon na Górze Athos.

[80](#) W ikonografii trzyczęściowa kompozycja z centralnym Chrystusem Pantokratozem.

K

## POCZĘCIE ŚWIĘTEJ ANNY<sup>81</sup>

Wydarzenie, które miało miejsce owej jesieni na Świętej Górze, nie miało precedensu nie tylko na półwyspie Athos, ale i w całym kraju. Wielu ludzi mówiło o cudzie – cudzie jednak złowrogim. Inni z kolei mówili, że temu wszystkiemu, co się stało lub co się nie stało, winna była zmiana klimatu, dewastacja środowiska naturalnego, to, jak bezmyślnie i okrutnie zachowywał się w ostatnich latach człowiek na ziemi. Byli jednak i tacy mnisi, zapewne większość, których myśli i język wędrowały natychmiast do Apokalipsy: „Zjawiała się siódma pieczęć!”, „Nadszedł koniec świata!”, „Oto i bestia, oto jej znaki!”.

Początkiem całego tego zamieszania nie było nic innego, jak tylko niezwykle załamanie pogody, które spadło zniecka i irracjonalnie na Górę. Już wcześniej kilkakrotnie, nawet na początku września, na półwyspie psuła się pogoda i dzień za dniem robiło się coraz bardziej jesiennie. Jednak to, co obserwowano od połowy miesiąca, dokładnie od osiemnastego, nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Naturalnie, nie było na ten temat żadnej wzmianki w świętych księgach, ale też w diariuszach i kronikach, jakich sporo znajduje się w każdym monasterze.

Przede wszystkim dramatycznie spadła temperatura. Podczas gdy w poprzednich dniach mnisi pocili się, wyczerpani nieustającym upałem, gdy tylko zaświtał ranek osiemnastego września, zaczęło im dokuczać zimno. Jakiś rodzaj wstrętne chłodu, przesyconego wilgocią, który przenikał aż do szpiku kości. Nie byli słabeuszami, nawykli do zimna i mrozów. Jednak takiego mroźnego wiatru, takiego parszywego wardarisa, przenikającego do szpiku kości, nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Góry; „po raz pierwszy, po raz pierwszy!”, mamrotali starcy. Chcąc nie chcąc, zmuszeni byli wyciągnąć ze skrzyń zimowe płaszcze i wełniane narzutki. One jednak też niewiele dawały zabezpieczenia przed nagłym szaleństwem natury. Bo wprawdzie od zimna, no dobrze, chroniły. Ale od deszczu, nawałnicy, porywów wiatru i zawieruchy, które smagały ich twarze i ciało, gdy wykonywali swoje codzienne posługi, przed tym wszystkim jak mogły ich ochronić?

Tak potoczył się wrzesień. Wznosili oczy ku niebu i ogarniała ich beznadzieja, gdy spoglądali na czarne chmury pędzące jedna za drugą. Zwracali wzrok w stronę morza, gdzie też czekało ich rozczarowanie: wzburzone fale, spienione odmęty, ogromne masy wody rozbijające się z wściekłością na skałach przylądka spadały na domki rybackie, pokrywały nawet samą przystań. Czy można było wypłynąć na połów? Wyjść łodzią na otwarte morze? Chyba jedynie wtedy, gdy ktoś już znużył się życiem i zapragnął popełnić samobójstwo. W innym przypadku nie dałoby się pojąć takiego obłędu.

Gorszym jednak od zimna widokiem, bardziej przykrym od smagającego bez litości deszczu czy od rozszalałego morza, były drzewa. Nawet gdy październik rozpoczął się już na dobre, nawet wówczas jesienne kolory – żółty, miodowy, słodka czerwień ognia – nie zagościły na listowiu drzew i krzewów na Górze. Natura, tak wysławiana i odmalowywana w przepięknych opisach poetów i podróżników, objawiła nagle swoją zimową nagość. Gdzie się podziało wielobarwne święto minionych jesieni! Teraz jedynie jakieś mdłe kolory, jakieś wyblakłe odbłaski na liściach drzew. I to wszystko. A co było po trzykroć gorsze i najbardziej niepojęte? Co sączyło w serca mnichów nieustanny smutek? Otóż drzewa, nawet gdy liście zaczęły więdnąć w październikowe dni, nie okazywały najmniejszej ochoty, by pokazać swoje owoce. Chodzili mnisi od sadu do sadu, od włości do włości, przyglądali się uważnie drzewom, gałęziom, i nic. Nie oglądali, tak jak poprzednich jesieni, kasztanowców obciążonych „jeżowcami”, pęczniejących owoców granatowca, który pozbywał się liści, dzikich i hodowlanych gatunków jabłek czerwieniejących na gałęziach, smacznych pigw, jak dojrzewając, pokrywają się specyficznym meszkiem. Wszędzie więdnienie. Trudno było powiedzieć, które spośród drzew, owocowe czy ozdobne, wiecznie zielone czy zrzucające liście, te, które kwitły w zagajnikach, czy te, które znajdowały się na dziedzińcu każdego monasteru, przedstawiały sobą bardziej żałosny widok. A razem z tą jałowością – nieposkromione morze, przykra mgła, deszcz, chłód... Prawdziwa beznadziejność.

Pogłoska zjawiała się i rozprzestrzeniła niczym błyskawica. Nie wiadomo było, z którego monasteru wyszła, który mnich rozpuścił plotkę jako pierwszy, jednak wkrótce rozeszła się na całej Górze. Mnisi zaczęli ją sobie szeptać jeden drugiemu, przerażeni, z widocznym lękiem w oczach:

„Pojawiła się nieczystość... Któregoś z nas opętał diabeł... Pewnie gdzieś tu jest... Musi odejść z Góry, znajdziemy go i wypędzmy!”

Bardziej powściągliwi, gdy tylko usłyszeli tę pogłoskę, postawili samych siebie w miejscu winowajcy. Pamiętali o własnych grzechach – w większości wyolbrzymionych, a innych wyobrażonych – szukali odkupienia za pomocą wymierzanych samym sobie kar i postów, inni udali się na Pustynię<sup>82</sup>, by się modlić, inni zaś do Karulii, by przetestować swoją skrajną wytrzymałość. Niektórzy wyznaczyli sobie termin ostateczny, po którym mieli się oddalić na zawsze z Góry. W istocie, wszędzie wzburzenie i zamęt. Budzące przerażenie i napawające lękiem znaki przyrody, za pomocą których Pan pragnął ukazać swój gniew z powodu zbezczeszczenia, które przynosiło wstyd i kałało świętość Góry.

A jednak gdzieś w owej nieznośnej jesieni znajdowała się dusza, której nie dręczyły nienaturalne i dramatyczne obrazy. Być może dlatego, że nie przykładała do nich należytej uwagi. Bądź też dlatego, że jej własny dramat był nieporównywalnie większy i do tego stopnia niewiarygodny, że koniec końców nie była w stanie myśleć ani uświadomić sobie, w jakie piekło wpadła. Tak więc gdy mnisi w Stawronikita zajęci byli rozprawianiem o przedwczesnej zimie i klęsce nieurodzaju, Nifonas czuł się inaczej niż wszyscy. Jego myśli bowiem nie mogły oderwać się od owej nocy z Domną. Ten i tylko ten obraz nim zawładnął. Rozpalał jego zmysły, pętał członki, mroził krew w żyłach. Przywoływał w pamięci chwilę po chwili ową straszną scenę. Starał się sobie przypomnieć, co i jak się wydarzyło. Przerabiał w umyśle raz po raz tamto zdarzenie. W owej chwili został pokonany całkowicie, doszczętnie. A jeśli popełnił grzech? Oczywiście, że popełnił! A jeśli był grzesznikiem? Naturalnie, był, nie mógł temu zaprzeczyć. Złamał przysięgę bezżeństwa, przysięgę czystości, tysiącletnią tradycję Góry, zaufanie starca i swoich wszystkich braci, przysięgę, którą złożył Panu w dniu, w którym postanowił wdziać znaną szatę mniszę. Czy istniał człowiek, nie tylko mnich, bardziej grzeszny od niego? Dusza bardziej pogrążona w grzechu od jego własnej? Stworzenie bardziej bezbożne i bardziej odrażające? Większy świętokradca? Nifonas znał dobrze odpowiedź i – na ile starczało mu śmiałości w tym strasznym położeniu – przyznawał to. Czy sobie samemu, czy – ilekroć zbroił się w odwagę – wobec Niego.

Jednakże – rzecz dziwna i nienaturalna dla mnicha po tego rodzaju zbłądzeniu – Nifonas, podczas gdy czuł się grzesznikiem, nie był, choć naturalnie powinien być, zdruzgotany. Mimo świadomości, że drapieżny ptak grzechu atakował z każdej strony jego duszę, wbił w nią swoje zakrzywione pazury, by ją dziobać, wydzierać krwawe strzępy, grozić jej unicestwieniem, pomimo tego – po raz pierwszy w swoim dziesięcioletnim życiu monastycznym – czuł w głębi, jak żarzy się iskra, iskra niewinności. On sam się zdziwił, gdy uświadomił sobie, co mu się przytrafia, gdy w pewnej chwili dopuścił do głosu swoje najbardziej skrywane uczucia. Nie był niewinny temu, co się stało, nie. Wiedział i przyznawał z całą szczerością, jakiego bezprawia się dopuścił, jakiego aktu – świętokradczego dla mnicha – dopuściło się jego ciało. Uniewinnił jednak swoją duszę. W chwilach modlitwy, twarzą w Twarz, prosząc o wybaczenie z powodu cielesnej namiętności, ale i o karę od Pana, przez wszystkie te chwile zwracał swój wzrok wewnątrz siebie i znajdował duszę nietkniętą grzechem nienawiści. Czasami mu się zdawało, że słyszy jakiś głos. Głos, który mówił: „Nie, nie zgrzeszyłeś. Jesteś owładnięty miłością”. Jak gdyby ktoś przychodził z zaświatów, przynosząc mu w darze łagodność i łaskawość dla miłości, cielesnej miłości, której dopuścił się z Domną. Winowajca tak, zbrukany nie. Pogwałcił prawa, jednak ni sługą, ni najemnikiem Zła ani nie był, ani nigdy by nie został. Wyznawał to w modlitwach szeptem, ale z tak godną podziwu otwartością, że sam się temu dziwił.

Choć może się wydawać, że tego rodzaju przyznanie się do grzesznego czynu jest łatwe, było ono jednak czymś znacznie więcej. Aby pojąć, jak ogromne nawałnice dręczyły duszę Nifonasa, jakie potężne fale przyboju w nią uderzały, trzeba by przywołać taki obraz: oczodoły zapadnięte od ciągłej bezsenności, ciało wychudłe, policzki wyrzeźbione przez łyzy, wargi i ręce drżące, włosy i broda rozwichrzona. A jednak w całym tym jakże żalonym obrazie jego spojrzenie zdawało się spokojne. Tak jak u człowieka bez winy i wyrzutów sumienia. Człowieka, którego grzech nie jest w stanie powalić, gdyż ma najwyższą ochronę i Bożą opiekę.

W wigilię świętego Dymitra<sup>83</sup> w Stawronikita zjawiły się hordy pielgrzymów. Święto, w połączeniu z narodową rocznicą 28 października<sup>84</sup> i z nadchodzącym weekendem, było wyjątkową okazją: jedni pielgrzymowali na Górę, by się pobożnie pokłonić Bogu, a inni pędzili tam, by przemierzyć

w dziewiczej przyrodzie kilometry, które zwykle codziennie pokonywali na siłowniach, ćwicząc swoje mięśnie.

To morze ludzi było dla Nifonasa dodatkowym powodem, by wybrać spokój swojej celi. Schodził jedynie na nabożeństwa, a rzadko kiedy do refektarza. Wszystkie pozostałe godziny poświęcał modlitwie. Jedyną wizytą, jaką przyjął w owych dniach, były odwiedziny Gedeona, gdy pewnego wieczoru pomylił on krople do oczu i potrzebował jego pomocy. Jednak stary mnich również nie miał ochoty na dłuższe rozmowy. Tak więc Nifonas pozostał sam, z głową pełną obrazów Domny i duszą targaną sztormem. W niewielu chwilach, gdy się nie modlił lub nie otwierał świętych ksiąg, by studiować nauki Ojców Kościoła, uciekał do jedynej rozrywki, na jaką sobie pozwalał. Ze zwinnością małego chłopca wdrapywał się na szeroki parapet okienny i przesiadywał tam godzinami. Przed nim rozpościerało się morze. Tam są ludzie, którzy są z morzem związani. Nifonas rozmyślał i nie znajdował rozwiązania swoich dylematów. „Jak to się wszystko stało? Tak nagle... I dlaczego? Co może się teraz wydarzyć? Czy kiedykolwiek przytrafiło się to innemu mnichowi? Być może ów człowiek szedł się wypowiadać, a potem podejmował decyzję, by na zawsze porzucić Górę? Czy taka mogła być wola Pana?”

Wraz ze wszystkimi tymi pytaniami, bezlitosnymi i bez odpowiedzi, całkiem niespodziewanie, być może jednak jako konsekwencja następujących po sobie skojarzeń, przyszła mu do głowy historia jego rodziców. Ich miłość, „nasze uczucie”, jak zwykła była mawiać z uśmiechem jego matka. Wyteżył umysł i wszystko sobie przypomniał. Jak ojciec, podczas jakiegoś wyładunku, ujrzał przypadkowo matkę tańczącą na festynie świętego Symiosa w pewnej wiosce koło Mesolongi, jak ją pokochał, jak sięgnął po wszystkie możliwe sztuczki, aby z nią korespondować podczas swojej służby wojskowej, jak w końcu przyszedł i poprosił ją o rękę. „Najlepszy księżyc mojego życia”, tak matka nazywała tamten czas. Nie miała racji? Nie miała prawa tak mówić? Przecież Nifonas w tej chwili właśnie to odczuwał. Jego serce dostawało skrzydeł za każdym razem, gdy myślał o twarzy Domny. W brzuchu go ścisnęło, jego ciało wiotczało, nieruchomiało. Pływał po morzach nieskończonej, choć grzesznej radości.

Pewnego ciemnego popołudnia, gdy nie zanosilo się, że wiatr osłabnie – podobnie zresztą jak irytujący deszcz – Nifonas był na wieczerni świadkiem niezwykle przykrej sceny. Niewielu mnichów znajdowało się wówczas



w mrocznych ławach. Wszyscy modlili się w milczeniu. A jednak to nabożne milczenie przerywał głos jakiegoś młodego świeckiego mężczyzny, który upadł jak długi na podłogę przed Pięknymi Wrotami. Obok niego był inny człowiek, który próbował go podnieść z posadzki, jednak bez rezultatu. Powtarzał nieszczęsnemu, żeby nie krzyczał, by nie wydawał z siebie jękliwych, nieartykułowanych dźwięków, które mroziły krew w żyłach. Nifonas nie wiedział, czym wytłumaczyć tę scenę. W pewnej chwili odwrócił się do brata Theodotosa, siedzącego dwie ławki dalej, i zapytał go wzrokiem. Tamten dał mu znak, że opowie mu potem. Już na dziedzińcu wyjaśnił Nifonasowi: „Nie jest dobrze z tym młodzieńcem. Owładnęły nim demony. Wozili go od lekarza do lekarza po różnych klinikach, ale nic z tego. Przybył do nas ze swoim ojcem przed dwoma dniami. Jutro odprawione zostaną specjalne egzorcyzmy, żeby wypędzić z niego Szatana. Może wówczas uda mu się zapomnieć o dziewczynie, która go zdradziła...”.

Jakkolwiek Nifonas bardzo się starał ukryć swoje zdziwienie, nie udało mu się. Wszystkiego się spodziewał, jednak nie takiej przyczyny opętania. Stał z półotwartymi ustami i spoglądał na Theodotosa. Nie miał śmiałości zapytać po raz drugi (czy przypadkiem słuch go nie mylił). Naturalnie, przestał wypytywać o nieszczęsnego chłopaka, którego spotkało takie nieszczęście i który teraz szukał ratunku u ikon i świętych. Poczł przerażenie, ogarnęła go panika. Ale dlaczego? Czyżby coś mu groziło? Kto lub co zagraża jego życiu?

W końcu odpowiedź na jego niepokoje przyszła w ostatnią noc października, gdy pojawiła się przedziwna mgła i przykryła wszystko: drzewa, budynki, mnichów. Była to tak prosta i zarazem tak okrutna prawda, że przez godzinę trwał bez ruchu, powtarzając wciąż to samo: „Nie bądź Judaszem!... Nie zdradzaj!... Nie rań...”.

Zajazd ROOM FOR RENT – JOTA znajdował się na skraju Jerissos. Dokładnie po przeciwnej stronie odkrytego parkingu, na którym pielgrzymi na Górę zostawiają samochody i wsiadają na mały statek płynący do monasterów na północnym przylądku. Był dwupoziomowy, bardzo czysty, a przede wszystkim cichy. Jota zainwestowała w pensjonat oszczędności życia, zgromadzone dzięki pracy w fabrykach w Wuppertalu, a jednocześnie wprowadziła tu niewzruszone zasady: pod groźbą kija nie wolno było dopuszczać się niedyskrecji w odniesieniu do gości, tego „kto”,

„z kim” i „co”. Nie było zatem kwestią przypadku, że jej pokoje na parodniowy i parogodzinny pobyt wybierali ludzie, którzy mieli coś do ukrycia, osoby, których poczynania w innych kwaterach dałyby pożywkę złośliwym komentarzom. Właścicielka pragnęła, by pokoje lśniły od czystości i, co najważniejsze, by informacja, kto i jak spędza tam dni i noce, nie wychodziła poza ich cztery ściany.

Ze wszystkich pokoi, w sumie ośmiu, najbardziej odosobniony był ten, do którego nie wchodziło się przez centralną salę. Dzwoniłeś do Joty, rezerwowałeś pokój, ona zostawiała klucze pod wycieraczką – i to było wszystko. Pokój, w którym dochodziło do schadzek bardziej niż niezwykłych i niemal nielegalnych. A nawet bezprawnych.

Jest listopadowy wieczór. Pogoda wciąż depresyjna, a mnisi nadal szukają winnego klimatycznej anomalii. Burza, która nadeszła, była tak potężna, że zmusiła Nifonasa do udania się w podróż do Jerissos nie swoją PRZEWODNICZKĄ, jak to miał w zwyczaju, ale na pokładzie AKSION ESTI do Uranupolis i stamtąd taksówką. I teraz siedzi na skraju łóżka. Nic nie mówi. Obok niego Domna. Ona też milczy. Siedzą w ciszy. Czasem jedno odwraca wzrok ku drugiemu i próbują się uśmiechać. Jeszcze nie mogą uwierzyć, że to wszystko prawda: znajomość na morzu, szybka przyjaźń, która przerodziła się w pocałunki, dwa ciała splecione na łodzi, telefon Nifonasa do Domny, by się tutaj spotkali...

Gdy Domna podniosła słuchawkę – na szczęście jej matki nie było akurat w domu – i usłyszała z drugiego końca cichy głos Nifonasa, zatkało ją. Z uwagą wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia (gdzie i kiedy się spotkają, jak znajdzie pensjonat). Jedyne, co udało jej się wymamrotać na końcu, to było zduszone „tak”, czyli zgoda na schadzki w Jerissos 2 listopada. Dręczyło ją jednak pytanie, dlaczego właśnie tego konkretnego dnia, a nie jakiegoś innego.

– Dlaczego tutaj?... Dlaczego dzisiaj?...

Nifonas wyciągnął dłoń i objął ją ramieniem, tak jak ojciec córkę. Potem powiedział jej trochę nieśmiało:

– Bo dziś są twoje imieniny. Dziś wypada świętej Domny. Wszystkiego najlepszego!

Może nie wiedziała o istnieniu takiego święta, a może w życiowej bieganinie zapomniała o nim, ale pozwoliła, by wyrwało się z jej ust radosne „ach!”. A więc są też takie dni! Życie to nie tylko gorycz, udręki i walka?

Schyliła głowę i położyła na jego piersi. Czują, że jej oczy wypełniają się łzami. Czy mogła być większa radość niż ta teraz? Przy człowieku, który się troszczy o ciebie? Który wie i pamięta o twoich imieninach?

Głaskał teraz jej włosy spokojnymi ruchami, niemal ojcowskimi. Domna też wyciągnęła rękę i odpowiedziała pieszczotą; na swój sposób reagowała na jego miłość. Tak minęło jakieś pięć minut. Przyćmione światło wpadło do pokoju, gdy zapaliła się uliczna latarnia. Wkrótce z wolna pokryła je mgła. Wszystko utonęło w mlecznej ciemności.

Przez cały ten czas ich usta nie wypowiedziały żadnych słów. Myśli i emocje trzymali schowane głęboko w sobie. Dźwięki, które miały stać się słowami, zatrzymywały się jednak na koniuszku języka, nie będąc w stanie przekroczyć bariery zamkniętych ust. Nifonas pragnął powiedzieć: „Jaka piękna jesteś, moja kochana, jaka piękna, twoje oczy jak gołębice, jak lilia wśród cierni twoje ciało, twoje objęcia słodsze od wina, miód kapie z ust twoich, miód pod twym językiem, krynico moja zapieczętowana, sadzie pełen granatowców z dojrzałymi owocami, śliczna niczym brzask, jaśniejąca jak księżyc, jak słońce południa, jakże piękna jesteś, ukochana, śliczna”<sup>85</sup>. Jednak nawet najmniejszego dźwięku nie było słyhać przez cały czas, gdy zbierał owoce swojej radości. Domna także pragnęłaby powiedzieć mu, gdyby znalazła proste słowa, jak bardzo ją upajały pocałunki jego ust, że jego objęcia były lepsze od najbardziej wybornego wina, że przypominał smakowity owoc, pokusę dla zmysłów, że był drzewem z lasu, za którym tęskniła i w którego cieniu siedziała, junakiem rączy zbiegającym z gór, skaczącym po pagórkach, wybranym spośród tysięcy, który lśni i promienieje, jego głowa jak czarne złoto, jej miłość do niego mocna jak śmierć, nieustępliwa niczym Hades; wody i rzeki nie są w stanie ugasić jej namiętności. Jednak żadne słowo nie wyszło z jej ust w czasie, gdy upajała się jego miłością. Tak więc niemi, ale nasyceni, bezgłośni i szczęśliwi, spełnili w jasnych ciemnościach świątecznego dnia swoją miłość.

Pierwszy wstał Nifonas. Przeszedł parę kroków w półmroku i wymacał swoją wełnianą torbę. Zaraz wrócił i usiadł na skraju łóżka, obok niej. Wyciągnął rękę i coś jej wręczył. „Twój prezent”. Czy nie było wystarczające to, co stało się wcześniej? Jakież większy, lepszy prezent mógłby być niż ten, który przeżyła przed chwilą?

Domna rozwinęła białe płótno i znalazła mały, ręcznie robiony drewniany

krzyżyk. Uśmiechnęła się ze wzruszeniem. Nifonas zawiesił jej krzyżyk na szyi. Tak, mogłaby spróbować. Będzie się zмагаć, by zostać dobrą chrześcijanką. Będzie dotrzymywać postów, przestrzegać świąt, uczyć się, jak klękać i jak się modlić dla zbawienia jej samej i całego świata. Tak jak to czyni jej ukochany, Nifonas.

Podziękowała mu pocałunkiem w policzek.

Potem nastąpiły bardziej przyziemne rzeczy. Zatrószył się o to Nifonas, który w przeddzień swojej podróży zakradł się do kuchni monasteru niezauważony przez nikogo. W głowie miał imieniny Domny i nic innego. Bo święto oznacza słodycz. Zdjął z półki głęboką patelnię, rzucił do środka kaszę manę, przyprażył ją przez chwilę, dodał pozostałe składniki i przygotował chałwę. Tę, którą teraz właśnie jedli. Nifonas rozłożył na łożku papier pergaminowy ze słodkościami, a Domna odłamywała palcami i jadła. Od czasu do czasu Nifonas wkładał kawałek chałwy do ust. Odgłosy ucztowania były jedynymi dźwiękami w tym pogrążonym w półmroku pokoju. Słyszeć było też naturalnie szum morza, które jakoś nie zamierzało ucichnąć, uspokoić się, przychylnie usposobić dla tych dwojga. Dla tej tak ludzkiej miłości.

Dziś mieli przyjść bracia Tomasz. Stara tradycja, datowana na lata przed Powstaniem<sup>86</sup>, wymagała, by każdego roku tego dnia, 3 listopada, przyszli z wizytą do Stawronikita mnisi znani pod imieniem „Tomasze” – z kellią sąsiadującej z kellią braci Daniela<sup>87</sup>, ostatniej przed zejściem do Katunakii. O ile mętne były prapoczątki tej wizyty, o tyle uroczystość podejmowania gości w monasterze była zorganizowana doskonale. Na początek uroczyste powitanie. Za każdym razem był to wielki zaszczyt dla mnicha, który podejmował się wyjścia na polanę, by im towarzyszyć. Obejmowali się, pozdrawiali, ściskali, wszystko tak jak zwykle. I wszystko serdecznie. Tym razem podjął się tego, na własne życzenie, być może z radości, że już tak wyraźnie widzi, sam Gedeon.

Siedział na kamieniu, a jego oczy, jak peryskop, wodziły wokoło. Na co spoglądał? Na bezlistne drzewa i nagie krzewy, wilgotne zbocza, zamglone niebo. Zawinął się w koc i czekał. „Hm, przeszło w gregolewande”, i podniósł pośliniony palec, żeby potwierdzić swoje podejrzenia. Robiło się chłodno, pewnie w Rodopach, gdzieś wysoko w Bułgarii, będzie padał śnieg. Podniósł jeszcze wyżej kołnierz.

– Też mi coś, „gregolewande”. Co to za słowo! Gdzie się podział „północny”, „północno-wschodni”? Jakbyśmy nie mieli naszych własnych słów, greckich!

Język ojczysty to jego wielka namiętność. Może i nie ukończył szkoły (przeszkodziły mu pożar w meczecie i ucieczka ze wsi), ale w czasie lat spędzonych na Górze dostał szansę, by czytać księgę za księgą, uczyć się bogatej historii ojczyzny i pokochać jak nikt inny język grecki. „On zrodził wszystkie kultury”, „Żaden inny język nie dorównuje naszemu”, „My nigdy nie byliśmy barbarzyńcami”, oto niektóre rzeczy, w które wierzył. Był pewien, że jeśli idzie o wspaniałość języka i wielkość narodu, nikt nie może się równać Grekom. Coś podobnego także teraz chodziło mu po głowie. Rozmyślał o wiatrach i o tym, jak je nazywali żeglarze (punendes, garbis, ostria, majstros, sirokos), a potem próbował znaleźć ich greckie odpowiedniki.

Jego translacyjne wysiłki zostały przerwane w samym środku. Niespodziewany widok odebrał mu na chwilę mowę. Była to bowiem postać wędrującego mnicha, który nadchodził z Karies, nie zaś towarzystwo, którego oczekiwał.

– Nifonas! Ale kiedy...? Skąd?... Przecież nie...

W istocie, to Nifonas zbiegał ścieżką. Zapewne wyszedł, nie powiadomiwszy go. Poszedł... „Do Karies”, zdążył wydukać. I kłamstwo sprawiło, że się zaczerwienił. Jak jednak miał uzasadnić swoją ucieczkę? Skoro sam nie był w stanie znieść szokującej prawdy, teraz miałyby ją wyjawić starcowi? Tysiąc razy lepsze kłamstwo!

Ani kłamstwo nie wybawiłoby Nifonasa z trudnego położenia, ani mroźny gregos nie ocaliłby go od kolejnych pytań Gedeona, gdyby w tamtej godzinie, na jego szczęście, nie rozległ się hałas i śpiewy psalmów. Pewnie było koło dziesiątej, tylko jeden chory pozostał w skicie. Wszyscy pozostali bracia Tomasz – punktualni i wcale nie niewierni – wymieniali teraz uściski, pocałunki w dłonie ze swym starym znajomym, Gedeonem. To właśnie on ich przyjmował w tym roku; on miał ich poprowadzić do monasteru, a potem do katolikonu, by zaśpiewali psalmy tak pięknie, jak tylko oni potrafia.

Nifonas wykorzystał okazję i wymknął się Gedeonowi wśród radosnej wrzawy i zamieszania. Przebił się przez jakieś zarośla, utorował sobie drogę przez trudne do przejścia ścieżki i dotarł pierwszy do monasteru. Nie poszedł

wraz z innymi na przyjęcie, gdy gongi uderzały radośnie, ogłaszając pojawienie się przyjaciół. Wszyscy mnisi skierowali się do zewnętrznych drzwi, żeby przyjąć braci Tomaszów. Wszyscy, z wyjątkiem Nifonasa, który wszedł szybko po schodach, wpadł zdyszany do swojej celi i upadł bez tchu na łóżko. Nie potrafił powiedzieć, czy był zadowolony, czy nie, czy był grzesznikiem, czy niewinnym. Pojmował jedynie, że wszystko, co ma się odtąd wydarzyć, jest naprawdę bardzo poważne i jego wyobraźnia wciąż jeszcze nie była zdolna tego nazwać. Czy ma zdradzić uczucia, które żywi względem Domny, zawieść jej uczucia wobec niego? Nie, nie, to wykluczone. Z drugiej jednak strony, czuł się bezsilny, nie potrafił porzucić monasteru i szaty mnicha. A więc? Właśnie ta bezsilność, niezdolność do odpowiedzi na bezlitosne pytanie, sprawiała, że oddech zamierał mu w piersiach, a w żyłach tężała krew.

To, co nastąpiło w kolejnych dniach, zmieniło codzienne zwyczaje w Stawronikita i przyczyniło się do zacieśnienia przyjaźni z braćmi Tomaszami. Powód był jeden, aczkolwiek poważny: spadł śnieg. W porze liturgii zaczęło nagle tak mocno padać, że przez chwilę obawiali się, iż zostaną uwięzieni w katolikonie. Siłą otworzyli drzwi i dotarli do refektarza. Bracia Tomaszę zaczęli się zastanawiać: „I co teraz? Jak stąd wyjdziemy? Jak nam się uda przemierzyć drogę do kellii? A jeśli po drodze spotka nas coś gorszego? Jak długo będzie trwać to nieszczęście?”.

Trwało około tygodnia. Sypało, sypało i końca nie było widać. Jak gdyby natura pragnęła opatulić śniegiem wszystkie złe uczynki ludzkie. Bądź powstrzymać przed kolejnymi niedozwolonymi miłosnymi kontaktami. Oczywiście, nie było mowy, żeby bracia Tomaszę próbowali jakiegokolwiek wyjścia. W istocie jedyną zmianą, do jakiej doszło, było to, że musieli opuścić dom gościnny i zostali ugoszczeni w celach tych mnichów, którzy mieli centralne ogrzewanie. Gospodarze z wielkim zadowoleniem ustępowali gościom swoje łóżka, a sami ścielili sobie posłania na ziemi.

Nifonasowi przypadł Prokopios. Mniej więcej w tym samym wieku, co on, rudowłosy grubasek, absolwent księgowości w TEI w Salonikach. Pozostawił rodziców i cztery siostry. Jego wieś znajdowała się u stóp góry Pangajon.

– Tak więc... Jak to mówią, Kawaljota<sup>88</sup>, no nie?

Prokopios, dmuchając na palce, wyciągał kasztany, które piekł w kominku na drewno. Z pewnym zakłopotaniem spojrział na brata, który go gościł. Tak,

właśnie tak było. Stamtąd pochodzi, Kawaljętą nazywali go w wojsku, był dumny ze swego rodzinnego miejsca, chwalił się tym. Czy zna wioski z prefektury? Naturalnie, co do jednej. Czy kiedykolwiek był na Tasos? Oczywiście, że był. Zanim został mnichem, pracował jako księgowy w pewnym zakładzie produkującym solone przetwory. Jego szef bardzo często wysyłał go do miejscowości takich jak Prinos, Aliko i Limenaria, by się porozumiał z dostawcami bądź ustalił ceny i weksle. Tasos to niezwykła wyspa. Znajdziesz tam piękno i radość jak nigdzie indziej. Ludzie są gościnni, gotowi otwierać swoje domy i przyjmować przybysza. Jednak dlaczego o to pyta brat Nifonas? Czego chce się dowiedzieć o tej wyspie? Dlaczego tak nalega?

Niemal wpadł w dołek, który sam wykopał w najbardziej drażliwym dla Prokopiosa miejscu. Ciekawość bowiem była największą słabością jego gościa. Zadręczał nią Nifonasa wprost niewiarygodnie przez wszystkie dni, w których ten podejmował Prokopiosa w swojej celi. Na szczęście, mniej więcej w połowie tygodnia, zaprosił go do swojej celi Gedeon. Ze starcem Prokopios zaraz znalazł wspólny temat, punkt kontaktu: obaj żywili te same uczucia wobec Bułgarów. Antypatia ich obu wobec północnych sąsiadów pomogła w rozwinięciu się między nimi mocnej sympatii. Zaczęli sobie przypominać walki Bizantyńczyków z tym „bezecnym plemieniem”, aspiracje, jakie od czasu do czasu mieli Bułgarzy w odniesieniu do wschodniej Macedonii, sukcesy Bazylego Bułgarobójcy, okrucieństwa bułgarskich zdobywców w czasie okupacji<sup>89</sup>, pustoszenie monasterów, złupienie monasteru Eikosifinissa – i wiele innych aktów terroru. Pod koniec tygodnia śnieżna pogoda ustała, bracia Tomasz ruszyli do swojej kelli. W Stawronikita trwały teraz przygotowania do listopadowych świąt (Archaniołów, Minasa, Filipa, Wprowadzenia Bogurodzicy<sup>90</sup>, Katarzyny, Stylianosa, Andrzeja). Powoli jednak mieli się także przygotowywać za pomocą postów i modlitw do nadejścia Wielkich Narodzin.

Dni świętej Barbary i świętego Mikołaja<sup>91</sup> również upłynęły w deszczu i śniegu. Tylko sporadycznie, wczesnym popołudniem, zaczęło się przebijać słońce. Wówczas ludzie na wsiach zaczęli otwierać drzwi. Wystawiali na słońce krzesła, skwery i kafejki zaczęły się wypełniać ludźmi. Inni z kolei spacerowali po plaży, jakby pragnęli wyschnąć od tak wielkiej wilgoci.

Tak właśnie teraz, tego popołudnia, zrobiła Domna. Inne dziewczęta w jej

wieku bądź popijały frappé w kawiarniach, bądź – tych była większość – zajmowały się domem i zmieniały pieluszki swojemu drugiemu już dziecku. A Domna – jak zwykle: samotna, bez przyjaciółek, z rękami pachnącymi morzem i rybami, w południe znów pokłóciła się z matką. W ostatnim czasie zdarzało się to często. Byle co sprawiało, że Domna stawała się drażliwa i nadmiernie emocjonalna. Bądź też przerażona.

Tak samo było i teraz. Gdy spacerowała nadbrzeżną drogą, usłyszała za sobą dzwonek rowerowy. Podskoczyła tak, jakby to był klakson ciężarówki. Odwróciła się. Kogo ujrzała? W koszulce bez rękawów, w letnich szortach, z łysiną połyskującą w popołudniowym słońcu stał za nią nauczyciel z podstawówki. „Pan Theodosis!” Wracał od strony Alik, gdzie niczym wytrawny zimowy pływak wykąpał się w morzu. Przywitali się z serdecznością.

– Co słyhać, moja droga? Spacerujesz?

Nauczyciel zszedł z roweru, wypytywał, co u niej nowego. Co porabia jej matka? Jak idą połowy? Jak się w ogóle ma? Czy zamierza wyjść za mąż?... Domna w sprytny sposób skierowała rozmowę na dziecięce lata.

– To prawda, proszę pana, że gdy byłam małą, wołał pan na mnie „belona”<sup>92</sup>?

Zaśmiał się serdecznie.

– No przecież, moja droga, ciebie nikt nie mógł złapać! Wszystkim się wyślizgiwałaś. Mnie, twoim kolegom, ojcu i matce. Ja oczywiście rozumiałem, co ci chodziło po głowie i czemu nie garnęłaś się do czytania! Wciąż cię ciągnęło na morze.

– Tak – przyznała z uśmiechem Domna. Potem rozmawiali o pogodzie i jej anomaliach i zatrzymali się, by podziwiać słońce zanurzające się w chmurach zachodu. Czas jednak naglił. Nauczyciel śpieszył się do domu. Kupił kilka barwen, które pewnie usmaży pani Anitsa, „jutro obchodzi imieniny, ugotuje skordalię”<sup>93</sup>, mniam, palce lizać!”.

Gdy tylko nauczyciel oddalił się na rowerze, Domna przysiadła na pierwszej lepszej ławce. Czuła się paskudnie. Żołądek podchodził jej do gardła na myśl o smażonych rybach. Wydawało jej się, że czuje w nosie zapach skordalii. Pochyliła głowę i z wymiotowała. Na szczęście nikt jej nie widział. Chwilę jej zajęło, zanim doszła do siebie. Z trudem wstała i powlokła się drogą powrotną do domu. Znów powiał chłodny wiatr.



Opatuliła się w sweter. Nieświadomie położyła ręce na łonie. W jej głowie huczały wątpliwości, niczym roje wściekłych pszczół.

Czy zwierzyć się matce, czy lepiej nie?

Czy Nifonas ma się o wszystkim dowiedzieć, czy powinna to utrzymać w tajemnicy?

[81](#) W Kościele prawosławnym uroczystości związane ze wspomnieniem św. Anny przypadają na 9 grudnia.

[82](#) Pustynia (*erimos* [eremos], Ἐρημος) – metaforyczna nazwa dla południowych, jałowych zboczy Góry Athos, gdzie znajdują się hezychasteria (*isichasterio* [hesychasterio], ησυχαστήριο), małe chaty, odizolowane od innych, w których mnisi prowadzą ascetyczne życie.

[83](#) Święto na cześć św. Dymitra przypada w Kościele prawosławnym 26 października (8 listopada wg kalendarza gregoriańskiego). W Salonikach, których patronem jest św. Dymitr, w sobotę poprzedzającą święto ku jego czci obchodzi się Dzień Zaduszny.

[84](#) 28 października – święto narodowe w Grecji, tzw. dzień „Ochi”, czyli „Nie” – na pamiątkę odrzucenia ultimatum włoskiego w 1940 roku.

[85](#) Por. Pieśń nad Pieśniami (Pnp 1, 2; 2, 2–3; 2, 8; 4, 10–12).

[86](#) Powstanie – wojna o niepodległość Grecji w latach 1821–1832. Dzień wybuchu wojny wyzwolenczej, 25 marca 1821 r., obchodzony jest w Grecji jako Dzień Niepodległości.

[87](#) Kellie (*kellia*, κελλιά, l. poj.: *kelli* [stgr. *kellion*] – κελλί [κελλίον]) – dosł. „cele”, pojedyncze budynki, oddalone od monasterów i skitów, w których mieszkają wspólnoty około 12 mnichów. Utrzymują się samodzielnie dzięki swojej pracy, ale pozostają pod władzą monasterów autonomicznych. Nazwy *kellii* pochodzą od imion założycieli – często mnichów malarzy. Wspólnoty mnichów, które w nich mieszkają, pielęgnują tradycje malarstwa bizantyńskiego i niejednokrotnie ich dzieła są znane w całej Grecji.

[88](#) Kawala (Καβάλα) – główne miasto wschodniego regionu greckiej Macedonii, stolica prefektury Kawala.

[89](#) W lutym 1941 roku Bułgarzy zezwolili Niemcom na wykorzystanie ich terytorium do ataku na Grecję. Sami przystąpili do paktu trójstronnego 1 marca tego roku.

[90](#) Wprowadzenie Bogurodzicy do Świątyni (*Isodia tis Theotoku* [*Eisodia tes Theotokou*], Εισόδια της Θεοτόκου) – obchodzone 21 listopada święto znane w Kościele katolickim jako Ofiarowanie Najświętszej Maryi Panny.

[91](#) Tzw. Nikolowarwara (Νικολοβάρβαρα) – trzydniowe święto (4–6) grudnia przypadające w dni św. Barbary, św. Sawy i św. Mikołaja. Wg ludowych przekonań właśnie wtedy zaczynała się zima.

[92](#) Belona (*zargana*, ζαργάνα) – gatunek ryby śródziemnomorskiej z charakterystycznie wydłużonym ciałem.

[93](#) Skordalia (σκορδαλιά) – purée przyrządzane z czosnku, oliwy z oliwek, z dodatkiem octu.

λ

## **„Zgorszenie niewyobrażalne”**

*Najprzewielebniejszy,*

*przede wszystkim z uniżonością pragnąłbym życzyć wszystkiego, co najlepsze, dla Waszego zdrowia osobiście, a także dla zdrowia całej trzody Waszej Świątobliwości. Pan niech będzie z Jego Najprzewielebniejszą Świątobliwością nieprzerwanie i miłosiernie. Modłę się, prosząc, byście byli zbrojni w cierpliwość i wytrwałość w wykonywaniu Waszego miłego Bogu i ze wszech miar szlachetnego dzieła.*

*Wybrałem nie komunikację telefoniczną, ale korzystam z pośrednictwa niniejszego listu, który wysłany został dzięki technologii telefaksu, jako że chodzi o rzecz najwyższej wagi i wymagającą pogłębionej informacji.*

*Pokrótkce powiadamiam Waszą Świątobliwość o przykrym zdarzeniu, jakie miało miejsce kilka godzin wcześniej w monasterze Stawronikita, w którym tymczasowo przebywam, wykonując wyznaczoną przez Was misję. Przechodząc do rzeczy, w celi jednego z mnichów została znaleziona nieznana innym mnichom martwa młoda niewiasta! Pogłoski głoszą, że idzie o morderstwo, które popełnił nieznany nikomu sprawca i nie wiadomo, z jakiego powodu. Mieszkający w owej celi Nifonas, główny podejrzany, w czasie trwania śledztwa był nieobecny, a jego znalezienie okazało się niemożliwe. Zaiste, prowadzący dochodzenie policjant przybyły z Karies podjął się trudnego dzieła. Wszyscy pozostali bracia znajdują się w stanie najwyższego niepokoju i wzburzenia ducha. Podobnie rzecz się ma z Waszym pełnym uniżoności służą.*

*Jak pojmuję Wasza Świątobliwość, rażące pogwałcenie świętego zakazu i obecność niewiasty w monasterze Świętej Góry, podobnie jak popełnienie ohydnej zbrodni, obracają wniwecz moje zamiary i sens mojej misji w owym miejscu. Początkowe trudności, wynikające z niepamięci niektórych mnichów o Waszej Świątobliwości jako Patriarsze, z łatwością przezwyciężyłem. Udało się przekonać wszystkich, że winni są należny szacunek Waszej Najprzewielebniejszej Osobie, uznając tym samym jako najwyższy organ władzy administracyjnej Świętej Góry Patriarchat Ekumeniczny. Co poniekąd, konkretnie pięciu mnichów, wysunęli jako argument ich*

nieposłuszeństwa filozachodnie nastawienie i postępowanie Waszej Świętobliwości – dokładnie tak utrzymywali. Jednakże w ostatnich dniach również oni okazywali skruchę w zachowaniu i stopniowo powracali do należnego szacunku dla Waszej Świętobliwości.

Druga niezwykle istotna kwestia, której rozwiązanie zostało zawierzone Waszemu najbardziej unizonemu ze sług, była, mogę to rzec, także na dobrej drodze. Wspólnie z igumenem Nikodimosem ustaliliśmy wszystkie szczegóły. W czasie mojej trzydniowej nieobecności w Konstantynopolu pracowałem ciężko na rzecz zwołania nieformalnego synodu zbuntowanych braci z monasteru Esfigmenu. Ustalona została data odnośnego spotkania w Karies, niezależnie od tego, że łamiący prawo bracia, zamknięci w centralnym budynku monasteru, początkowo odmówili stawienia się. Udało się ich jednak przekonać. Wasz pełen unizoności sługa zastosował wprowadzenie obietnic, jak mi Jego Świętobliwość zalecił. Jako pierwszy dowód dobrych z naszej strony zamierzeń, uwolniliśmy ich od oblężenia przez policję i straż przybrzeżną. Następnie, w rozmowie telefonicznej z nimi, wykazałem jako rzecz oczywistą, że jesteśmy skłonni do zniesienia klątwy z roku 1972, gdy Patriarchat ogłosił schizmatykami mnichów tego monasteru. Poprosiłem, by opuścili flagę z napisem PRAWOSŁAWIE ALBO ŚMIERĆ, jako świadectwo dobrej woli z ich strony. A zwłaszcza, by usunęli ze strony internetowej Świętego Monasteru Esfigmenu niezwykle obraźliwy dla Waszej Najprzewielebniejszej Osoby przydomek Patriarchy jako „tureckiego obywatela”.

W ten sposób przebiegały nasze działania i tego udało nam się dokonać aż do dnia dzisiejszego, który został naznaczony haniebnym zdarzeniem. Pragnę wyznać, iż kończę w całkowitej niemocy, o której również winien jestem Was powiadomić.

Podsumowując niniejszy list, przekazę jeszcze dwie informacje. Pierwsza z nich ma bezpośredni związek ze zbliżającym się synodem. Za sprawą wydarzeń, które miały tu miejsce, Wasza Świętobliwość rozumie, że byłoby lepiej, gdyby planowany synod, jeśli nie został odwołany, przynajmniej został przełożony na czas nadchodzącej jesieni, gdy wszystkie sprawy, mamy nadzieję, już się uspokoją.

Drugą kwestią, która mnie wielce zajmuje i co do której koniecznie pragnąłbym Waszego wsparcia, Wielce Błogosławiony Ojcze, jest nacisk, wywierany na mnie w ostatnich godzinach przez mnichów tamtejszego

monasteru. Niektórzy z nich przybyli grupą i spotkali mnie w miejscu, w którym pracuję niestrudzenie dla synodu. Wielce rozgniewani, wyrazili ponownie swoje wzburzenie z powodu zabójstwa. Następnie, pełni wściekłości i wszelakich roszczeń, skłonili mnie, bym dziś albo najpóźniej jutro dokonał ekskomuniki uwikłanego w bezbożny czyn mnicha Nifonasa. Jako że nie poszanował on świętości miejsca i pogwałcił to, co święte i pobożne. Jako że Kościół winien okazać siłę, która oddaliłaby obrzydliwości kalające jego łono. Jako że wymaga się od Waszej Świętobliwości, za moim pośrednictwem, by postępujących bezprawnie i całkowicie grzesznie wydalila z chrześcijańskiej trzody.

Cóż mi doradza Wasza Świętość, bym uczynił? Jak mam sobie poradzić z tą kwestią? Jak mam dokonać ekskomuniki młodego mnicha, co do którego odniosłem jak najlepsze wrażenie, jeśli idzie o jego morale i wykształcenie, na podstawie rozmów, które z nim prowadziłem?

Pozostając w ciągłych wątpliwościach i równocześnie w największym smutku, modłę się niestrudzenie za Wasze zdrowie, Wielce Błogosławiony Ojciec, i ogólnie o to, by Bogurodzica przybyła jako schronienie dla nas wszystkich, ludzi o wąskich umysłach i grzeszników.

Metropolita Filadelfii<sup>94</sup>

† Dositheos

<sup>94</sup> Miasto w Azji Mniejszej, tur. Alaşehir.

# μ

# ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

# WIELKIEGO

- Ejże, Nifonasiu, niech cię Bóg błogosławi, zapomniałeś, jaki dziś dzień?
- Nie, ale... Nie możemy innego dnia? Jutro?...
- O czym ty mówisz! Co to znaczy „jutro”? Dziś jest świętego Antoniego. A może o tym nie pamiętasz?
- Tak, ale...
- Nie gadaj, Nifonasiu. Czemu tak siedzisz i mi rozkazujesz? Co to za bzdury? Coś podobnego, „ma sprawy w Karies”!

Wszyscy słyszeli ich podniesione głosy. Niektórzy mnisi odwrócili się i przyglądali z zaciekawieniem gwałtownej wymianie zdań. Było to naprawdę dziwne widowisko: Nifonasa na środku dziedzińca sprzecza się z Gedeonem. Skoro tylko skończyło się poranne nabożeństwo i ruszyli do refektarza, Gedeon podszedł do Nifonasa i przypomniał mu, czyj to dzień i co mieli zawsze zwyczaj wtedy robić. Ale Nifonasa mu odmówił, co nie na żarty rozsierdziło starca.

Coś takiego, mówi „nie”! Miele jęzorem, by rzec „innego dnia”! Pięknie, mnichu, oby tak dalej! Przecież dziś jest wielki dzień. Dzień, w którym Kościół czci pamięć swego największego wojownika. Święty Antoni nie był zwykłym męczennikiem. To on wytrzymał największe pokusy, to on walczył z Szatanem, doświadczył największych niedostatków, grozy pustyni, pragnienia, diabelskich krzyków ciała. Czy mógł zatem Gedeon nie wyznaczyć dnia pamięci o tym świętym na dzień swojego osobistego wyzwania? I to jakiego wyzwania!

Gdy po raz pierwszy, przed kilkanaście laty, ogłosił swój zamiar Nifonasowi, skrycie obawiał się, że może on źle zareagować. Nifonasa jednak pochylił głowę z szacunkiem, gdy usłyszał o jego pragnieniu, i bez słowa zamknął się wraz z nim w mrocznej piwnicy ossuarium. To była właśnie próba, którą wymyślił sobie Gedeon, by przetestować swoją duszę: w dzień świętego Antoniego, od wczesnego ranka aż do wieczora, pragnął pozostać w zamknięciu, wśród kości i czaszek zmarłych mnichów. Powód był jeden,

ale poważny. Tym sposobem pragnął spróbować śmierci za życia, ujrzeć życie w grobie, udowodnić sobie, że pamięta o śmierci. Gedeon był głęboko przekonany, że mnich nie żyje dla pochwały ludzi, ale dla chwały Bożej. Jest martwy na sprawy doczesne. Jego ciało jest jego grobem, jego habit jest jego całunem. „Jeśli umrzesz, zanim umrzesz, nie umrzesz, gdy umrzesz”, wierzył Gedeon i co roku w dzień świętego Antoniego schodził do całkowicie ciemnego ossuarium, do podziemi monasteru. Za swojego towarzysza podczas tej próby miał Nifonasa. Czyli tego, który teraz mu mówił „nie” i jako pretekst wynajdywał „jakąś sprawę w Karies”.

Gedeon, gdy tylko obudził go dźwięk gongu na jutrznię, spodziewał się zupełnie innego dnia. Nie wstał od razu, jak miał w zwyczaju, ale poleżał jeszcze trochę w łóżku. Nie z lenistwa. Ani z powodu trudności z poruszaniem, które są usprawiedliwione w jego wieku. Po prostu ogarnął go radosny chrześcijański nastrój. Słuchał gongu i cicho interpretował jego uderzenia:

Ar – arka – ar – arka – ar – ark – ark – arka: „Kościół jest arką zbawienia dla wszystkich, którzy pragną być zbawieni”.

A – Adam – A – Adam – A – Adam – Adam – Adam: „Chrystus stał się człowiekiem, aby uwolnić ludzi od władzy śmierci”.

Ta – talenty – ta – talenty – ta – tale – tale – talenty: „Oto i przypowieść o talentach, aby dobry mnich odniósł sukces dzięki duchowym ćwiczeniom i modlitwie”.

Przeciągnął się trochę, żeby się rozbudzić. Czuł się zadowolony ze wszystkiego. Z modlitw, komboskini, spokoju, jaki go ogarnął. Nawet z pogodą Gedeon pojednał się owego ranka, choć na Górze przeżywali właśnie jedną z najcięższych zim. Po zmiennej i dziwnej jesieni nastąpił mroźny grudzień. A potem nadszedł styczeń z ulewami, śnieżycami, rozszałymi wiatrami. Tak toczyło się Dwanaście Wielkich Świąt i tak świętowano dzień świętego Bazylego<sup>95</sup>. Z kolei teraz, owego wichrowego poranka, Gedeon przygotowywał się na dzień wielkiej próby. I oto wszystko poszło wniwecz, gdy swą niespodziewaną odmową Nifonas wywrócił cały plan do góry nogami.

Wrócił pochmurny do celi. A więc to tak: nie zamknie się w ossuarium, nie poczuje, jak to jest być martwym-żywym, nic z tych rzeczy. Zawładnął nim grzech gniewu. Rozjuszył się na dobre, jego twarz stała się krwistoczerwona.

Coś takiego, „innego dnia”!

Zdenerwowany Gedeon odrzucił komboskini i ruszył w stronę drzwi. Nie, nie będzie po myśli Nifonasa! Zabroni mu pojechać do Karies, choćby siłą zabierze go ze sobą do ossuarium. Ledwo otworzył drzwi, zatrzymał się zdumiony. Stał przed nimi jakiś młodzieniec, z podniesioną ręką, gotowy, by przed wejściem zapukać. Odziany był w habit nowicjusza, a na głowie miał czarną czapkę. Gedeon przyjrzał mu się bliżej: bez brody, jeszcze dziecko, całkowicie obcy.

– A ty to kto?

Młodzieńca zamurowało. Wydaje się, że nie spodziewał się takiego przyjęcia. Z pewnością inaczej mu opisano starca Gedeona: łagodnego, uprzejmego, przystępnego.

– Wysłała mnie ojciec Porfirios... Z Grigoriu... Mówił, ojcze, że o tym wiecie, że was powiadomił...

W istocie, wiedział, tyle że gniew na Nifonasa zamącił mu w głowie. Kilka dni temu powiadomił go Porfirios, jego dawny współlokator z Kafsokaliwia, że odszedł do Pana starzec Nikistratos i zostawił swojego podwładnego, „sierotę”. W swoim monasterze nie mieli dla niego miejsca. Może chcieliby go w Stawronikita? Jest jakieś puste miejsce? Wielką przysługę by im zrobili, gdyby go przyjęli. Co on na to? Wzięliby go do siebie?

Gedeon raz jeszcze zlustrował wzrokiem nowo przybyłego.

– Jak to cię nazwali, miły młodzieńcze?

– Arsenios, ojcze. W zewnętrznym świecie...

Pokręcił głową, dając znak, że zupełnie nie był ciekawy, by poznać jego świeckie imię. Wystarczyło mu to, że ma nowego podwładnego. I równocześnie odniósł wrażenie, że to dobry chłopak, godny swojego imienia<sup>96</sup>. „Tak więc Arsenios...” Następnie spytał go o wiek – „osiemnaście lat” – i o miejsce pochodzenia. W swoim pomieszczeniu Gedeon zupełnie nie zwrócił uwagi na to ostatnie. Potem spytał, czy jest pierwszym mnichem, którego spotyka w Stawronikita. „Tak, oprócz igumena”. Wzburzenie starca z wolna zaczęło słabnąć. Stopnie Beauforta gniewu zaczęły spadać, fale wściekłości wyciszyły się. W oczach zabłysnęło słońeczko – twarz rozjaśnił uśmiech.

– A ty, Arseniosie, jak sądzę, nie boisz się ciemności, prawda?

W tej samej chwili, gdy przy wejściu do celi Gedeona odbywała się

ta rozmowa, Nifonas wsiadał do dżipa – taksówki, która przywiozła pierwszych gości – i ruszał w stronę Karies. Zazwyczaj unikał podróży samochodem, wolał pieszą wędrówkę i ścieżki. Dziś się jednak spieszył. Powinien dotrzeć do Karies na czas, aby zdążyć złapać autobus do Dafni, stamtąd wsiąść na statek do Uranupolis, a następnie popłynąć wodną taksówką do Nea Karwali. Tam się umówił z Domną. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej była bardzo roztrzęsiona. „To nic, to nic...”, uspokajała go. „Chodzi o matkę”. Czyli nic nowego. Chciała jednak, by się spotkali „niezawodnie”. By się mogli zobaczyć, porozmawiać ze sobą. Zgodził się. Oczywiście, jeśli Bóg zechce i pogoda pozwoli.

Podniósł wzrok w stronę Athos. Jest niewidoczna. Śnieg, który zaczął padać od jakiegoś czasu, teraz zgęstniał na dobre. Padał i padał, i nie miała kresu biała zasłona, która połączyła niebo i ziemię. Jaką ziemię? Gdy Nifonas dotarł do Karies, nie widział nic nawet na dwa metry przed sobą. *W czasie śniegu tropi się zwierzynę, a w czasie kuszenia Szatan tropi mnicha*, przyszły mu do głowy słowa jednego z żywotów świętych. Z dużym wysiłkiem udało mu się brnąć do przodu, aż dotarł do sklepiku-kafejki Bezestidisa. Wiele razy w przeszłości widział taką scenerię (a gdyby sprawy potoczyły się dobrze, widziałby ją jeszcze niejednym razem w przyszłości – bo to jest właśnie Góra: pełna nieprzebytych ścieżek). Teraz jednak wszystko wydawało mu się znacznie trudniejsze. Siedząc obok piecyka, w którym płonęły polana, chuchał w ręce, skarpety miał mokre, napar z szaławii dopiero co zaczął mu rozgrzewać płuca. A jego umysł? Czym mógłby uspokoić myśli i zmasać złe przeczucia? Jak podpalić i spalić wszystko to, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach i wywróciło do góry nogami jego mnisze życie?

Drzwi się otwały i do środka wszedł, otrzepując się ze śniegu, jakiś pracownik OTE.

– Nie ma statków! Dafni zamknięte, ogłoszono zakaz.

Było oczywiste, że w takich warunkach komunikacja zostanie zawieszona. I co teraz, co teraz robić? Siedział zamyślony przy piecyku. Z wyraźną niechęcią odpowiadał na pytania Bezestidisa lub brał udział w dyskusjach, które rozpoczynali różni mnisi i świeccy wchodzący co chwila do sklepiku, którzy raz coś kupowali, innym razem nie, a potem wychodzili, zostawiając znów samych Nifonasa i sprzedawcę. Tak minęły jakieś dwie godziny. Zegar na ścianie, wśród konserw i upstrzonych przez muchy paczek z serwetkami, wskazywał pierwszą dwadzieścia pięć. Pewnie Domna już się zorientowała,



że Nifonas nie przyjdzie na spotkanie, zrozumiała, że coś go zatrzymało, pojechała autobusem, potem statkiem, a teraz zapewne według wszelkiego prawdopodobieństwa wróciła do domu.

Począł jeszcze około dziesięciu minut. Potem wstał i podszedł do telefonu. Bezestidis był zajęty za kontuarem. Nikogo innego nie było o tej porze w sklepie.

27210243...

Odebrała – „na szczęście!” – Domna. Nie, na Tasos nie padał śnieg ani deszcz, tylko wiatr i zimno. Jej matka... Jej matka poszła na cmentarz zapalić świeczkę. Potem na parę sekund zapadły wieki milczenia.

– Wszystko z tobą dobrze? – upewnił się Nifonas.

– Tak – odparła, a potem spytała: – Co nowego?

– To, co zwykle...

Znów wielka cisza. Rozmowa się nie kleiła w tym chłódzie. W pewnej chwili znalazła w sobie odwagę:

– Chcę ci coś powiedzieć...

Bezestidis właśnie przesywał soczewicę z dziurawego worka do drugiego, mocnego. Teraz sprawdzał pudełka z chałwami, by zobaczyć, czy mu się pokończyły. Do tej pory nieuważnie słuchał szeptów Nifonasa przez telefon. Po chwili jednak zdziwiło go milczenie, które zapadło. Spojrzał w stronę mnicha. Wydało mu się, że tamten stoi jak słup soli. Słuchawka przyklejona do ucha, oczy szeroko otwarte, drżące usta, policzki, z których odpłynęła krew, i bladość, która ogarnęła całą jego twarz. Krótko mówiąc, sprawiał wrażenie człowieka, którego raził piorun. Przez moment Bezestidis pomyślał, że może w ten sposób, nagle, złapała go jakaś straszliwa choroba. A może usłyszał jakieś złe wieści o kimś ze swojej rodziny. Odłożył łyżkę, którą trzymał w ręku, wytarł dłonie o fartuch i ruszył w jego kierunku. W tej samej chwili zmienił jednak zdanie. Może to wścibstwo z jego strony? Może mnich został poinformowany o czymś tajemnym i zabronionym?

I tak się w istocie stało. Pewnie jakieś Boskie oświecenie powstrzymało go przed tego rodzaju pytaniem.

Bo jakie słowa miałyby znaleźć Nifonas, by wyrazić przed nim, co czuje w tej chwili? Gdzie miałyby znaleźć siłę i odwagę, żeby mu wytłumaczyć, że na drugim końcu znajdowała się dziewczyna? I to taka, z którą łączyły go stosunki, stosunki miłosne. A zwłaszcza jak ukryć to, co najbardziej szokujące – dziewczyna jest brzemienna. Spodziewa się dziecka. Jego

dziecka. Czy da się mówić o takich rzeczach? Czy ludzki umysł jest w stanie je pojąć?

To była prawda, której dowiedział się owego ranka Nifonas. Cichym, niemal zgasłym głosem, to popłakując cichutko, to łkając bezgłośnie, Domna wszystko mu wyznała. W istocie zmusiła się do wyznań. Początkowo, to znaczy wówczas, gdy zrozumiała, że jest w ciąży, podjęła decyzję, by to utrzymać w tajemnicy. Już dość obciążała jego duchowe życie namiętnością i obcowaniem cielesnym; może lepiej było nie dobijać go jeszcze tym, że zaszła w ciążę. Zaraz po Nowym Roku udałaby się do Kawali, znalazłaby jakiegoś lekarza i pozbyłaby się owocu grzechu. Jednak z jednej strony przedłużająca się zła pogoda, z drugiej zaś matka i liczne domowe obowiązki – opóźniły Domnę. Ostatecznie, gdy dziś udało jej się pojechać do Kawali i pójść do ginekologa, usłyszała z jego ust wyrok, który teraz właśnie przekazywała telefonicznie osłupiałemu Nifonasowi:

– Spodziewam się dziecka... Jestem w czwartym miesiącu... Lekarz... Lekarz mówi, że nie mogę go usunąć... Jest już za późno... Byłoby to dla mnie niebezpieczne... Mogłabym nawet umrzeć...

Wolno odłożył słuchawkę. Wszystko wokół wirowało. Z wielkim wysiłkiem powrócił na swoje miejsce. Osunął się na krzesło. Jego twarz przybrała barwę białego płótna. Oczy miał zmętniałe, zaciągnięte mgłą. Bezestidis nie wytrzymał i podszedł do niego.

– Coś strasznego, prawda? Zachorował ktoś z twojej rodziny?

Poruszył głową, ani na nie, ani na tak. Czy mógł jednak być gdzieś w tej chwili na ziemi człowiek w bardziej pogmatwanej sytuacji od niego? Większy grzesznik? Nifonas nie tylko nie był w stanie myśleć, co powinien, a czego nie powinien zrobić, ale i nie potrafił odpowiedzieć sklepikarzowi, który z chrześcijańską troską o bliźniego nie przestawał zarzucać go pytaniami. Wreszcie mnich nie wytrzymał. Pobiegł na zaplecze sklepu, gdzie mieściła się toaleta. Zwymiotował. Równocześnie z oczu ciekły mu łzy, jakby nie mógł już znieść wszystkich udręk duszy i umysłu. Bezestidis dostrzegł jego trupią bladość.

– Może ci zaparzyć szalwię z odrobiną koniaku?...

Żadnej odpowiedzi. Tylko w piecyku słychać było trzask dREW pożeranych przez nienasycony ogień. Na zewnątrz wiatr ustał, płatki śniegu opadały teraz powoli, grube i przepiękne. W ten sposób minęło trochę czasu. Bezestidis wrócił do pracy za kontuarem, Nifonas z kolei wydawał się zagubiony

w swoim świecie. Gdy wreszcie otworzył usta, zrobił to po to, by zapytać sklepikarza, czy ma tsipouro<sup>97</sup>. Pewnie, że miał. Na co mu ono, może do nacierania, żeby minęły dreszcze? „Tak”, skinął głową i wyciągnął pieniądze, by zapłacić za butelkę z przezroczystym płynnym ogniem.

Ruszył z Karies w górę, w kierunku Stawronikita. Choć śnieg utrudniał mu marsz, posuwał się naprzód. Od czasu do czasu podnosił butelkę i pociągał mocny łyk. Wcale nie chodziło mu o to, by się ogrzać. Pragnął tylko, żeby znikły dręczące go obrazy, poczucie winy, które raniło jego świadomość, całe jego przekłete wnętrze. Walczył, by wypalić ze swego umysłu doszczętnie, jeden po drugim, straszne czyny: zew ciała, pocałunki, schadzki, miłosne zespolenie, pogwałcenie podwójnej przysięgi, myśl o tym, co Domna nosi w swoim brzuchu. Brnął przez śnieg i rozważał z prawdziwie rozdartą duszą wielkość swojego grzechu. Raz po raz podnosił butelkę, by znaleźć w niej ulgę i odkupienie. Tymczasem śnieg niemal przykrył go całego. Tak jak pokrył obok krzewy, drzewa, prawie całą przyrodę. Na krótką chwilę, zanim poczuł, że świat gaśnie przed jego oczyma, ogarnęło go, niczym powódź, uczucie radości. Doznał olśnienia. W owej chwili poczuł, że podejmuje ostateczną decyzję: gdy tylko dotrze do monasteru, natychmiast pójdzie się spotkać z Gedeonem. Wyzna starcowi straszny grzech, otworzy z pełną szczerością swoje serce, opowie mu całą historię w szczegółach, poprosi o wybaczenie, a potem... Potem, choć była to ważka i trudna decyzja, zdejmie habit i zacznie życie w zewnętrznym świecie. Koniec, kropka.

Uratował go łut szczęścia. Unimog przewoził tędy robotników wraz z ich pracodawcą do monasteru Pantokratoros. Wyciągnęli go ze śniegu i po wielu wysiłkach docucili. Nawet gdy Nifonas odzyskał już świadomość, sprawiał wrażenie człowieka, któremu przytrafiło się wielkie nieszczęście. Z pasażerami ciężarówki nie wymienił zbyt wielu słów; poprosił jedynie, by zostawili go na skrzyżowaniu w kierunku Stawronikita. Tak też się stało. Robotnicy obgadywali go później, śmiejąc się za jego plecami, że „od mnicha cuchnęło tsipouro!”.

Upadł na łóżko jak kłoda. Zasnął na jakieś dwie godziny. Gdy się obudził, poczuł w głowie wulkan. Zapalił kuchenkę, przygotował gorzką kawę, umył się zimną wodą, zmienił bieliznę i włożył czysty habit. Była już pora, by złożyć wizytę Gedeonowi i wprowadzić w czyn to, co postanowił kilka

godzin wcześniej. Najwyższy czas, by on, niegodny, raz na zawsze zakończył mniszy żywot!

Zapukał raz i drugi, nic. Pewnie starzec zignorował mróz i udał się do katolikonu na nabożeństwo. Nagle drzwi się otwały. Wyrzała przez nie jakaś twarz, nieznaną Nifonasowi.

– O co chodzi?

W innej sytuacji o to samo powinien go zapytać Nifonas. Opanował się jednak i udzielił odpowiedzi z taką uprzejmością, na jaką go było stać. Nie powstrzymał się jednakże, by ze swojej strony zapytać młodego mnicha, co tu robi. Usłyszał zaskakujące wieści: Arsenios przybył pod wieczór z Grigoriu, został posłany przez starca Porfiriosa, a dzisiaj rano przyrzekł posłuszeństwo Gedeonowi i wziął udział w pierwszym zadaniu zleconym mu przez starca.

– To znaczy? – zapytał zdumiony Nifonas, wchodząc do celi.

Otóż starzec poprosił go, by mu towarzyszył w krypcie, w której przechowywano trumny z kośćmi zmarłych mnichów („nie potrafi powiedzieć ossuarium...”). Tam pozostali około trzech godzin („no dobra, ze mną spędzał więcej”). Bał się, jak mógł się nie bać! Ale co miał powiedzieć, skoro winien był okazywać szacunek swojemu nowemu starcowi?

Gedeona nie było. Nifonas uważnie przyglądał się Arseniosowi i przypomniał sobie swoje początki, wówczas gdy zaczął służyć starcowi. Młody mnich wydawał się zakłopotany i trochę poirytowany. Kto wie, kim jest ten przybysz, który miał śmiałość wejść nieproszony do celi starca! Nie zdążył zaspokoić swojej ciekawości, gdy Nifonas go zapytał, ile ma lat i jak długo jest na Górze.

Rozmowa między dwoma podwładnymi Gedeona, dawnym i obecnym, została gwałtownie przerwana. Otwały się drzwi i w progu pojawił się ogromny cień starca. Zobaczył, kto znajduje się w jego celi, chrząknął, wymamrotał „hm, hm”, a następnie odwrócił się, zapraszając kogoś, by wszedł do środka. Zaskoczenie: dwóch świeckich z aparatami fotograficznymi na ramionach.

– Monsieur Andreas i monsieur... Do licha, zapomniałem, jak nazywa się ten drugi. – Mnisi odsunęli się na bok, żeby tamci przeszli i zmieścili się w wąskiej celi. Choć Nifonas był ciekaw, jaką robotę mieli tutaj do wykonania ci dwaj cudzoziemcy, ruszył w stronę wejścia. Zatrzymał

go głos Gedeona:

– A dokąd to, dobrodzieju?! Drugi raz dzisiaj zamierzasz mnie zostawić?

Przeszła mu przez głowę myśl – zaiste obrazoburcza – że oto odtwarzają scenę spotkania Pana z Piotrem, zanim kogut... Nie zdążył dokończyć.

– Siadaj tu i pomóż mi! Pewnie znasz co nieco ich język. No, dalej, niech skończą godzinę szybciej to, co mają zrobić.

Francuzi planowali sfotografować starca Gedeona w jego celi. „Monsieur Andreas”, w rzeczywistości André Lebois, był jednym z najsławniejszych europejskich fotografów. Korespondent agencji Magnum, specjalizujący się w fotografii etnograficznej, zwiedził cały świat, szukając plemion i kultur nietkniętych przez współczesną technologię. By odbyć podróż na Górę, otrzymał specjalne zezwolenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Świętej Komisji. Pragnął sfotografować życie codzienne na Świętej Górze i przekonać się, na ile się ono zmieniło w porównaniu z rokiem 1930, gdy inny sławny fotograf, Szwajcar Fred Boissonnas, odbył taką samą podróż, unieśmiertelniając monastery i przedwojennych mnichów na czarno-białych fotografiach, które publikowano we wspaniałych albumach. Gdy André Lebois przybył do Stawronikita, spotkał się z igumenem, przedstawił mu swój zamiar i poprosił o pomoc. Ów zgodził się z wielką radością. Jako mnicha-wzorzec, po dłuższym namyśle, igumen zaproponował Gedeona. Gdy go o tym powiadomiono, starzec prawie wybuchnął śmiechem. Potem się wściekł. Kimże on był, że chcą go sfotografować? Dlaczego? Czy to po chrześcijańsku? Jakże znów sztuczki obmyślili antychryści łacinnicy<sup>98</sup>? Igumen miał prosty, ale rozstrzygający argument: za pomocą tych zdjęć mogliby pokazać całemu światu, na Wschodzie i na Zachodzie, Frankom<sup>99</sup> i Turkom, że Góra przetrwała, że Chrystus żyje i króluje na tym wąskim pasku ziemi, że prawosławie nie umarło. Święta Góra to dzisiejsze Termopile hellenizmu, starcy to nowi Leonidasi. Czyż nie powinien zatem się zgodzić, by jego potężna postura i przenikliwe spojrzenie stały się sztandarem Góry?

Nifonas z Arseniosem wycofali się do kąta i stamtąd obserwowali przygotowania. Francuzi uważnie rozstawili statywy i dyskutowali między sobą. Za chwilę poprosili o pomoc Nifonasa. Chcieli, żeby ustawił starca w miejscu, które wybrali do fotografowania. Starszy z Francuzów wydawał się zadowolony; nawet w najlepszych snach nie wyobrażał sobie takiej scenarii. W kominku płonęła gruba gałąź oliwnego drewna – z tych, które

dają duży ogień, nie strzelając iskrami. Z sufitu zwisała zakurzona lampa naftowa, która dawała pomieszczeniu niezwykle nastrojowe światło. Najbardziej niesamowite były jednak ściany – obwieszane ikonami i obrazkami w ramach. Większość z nich przedstawiała bohaterów wojny o niepodległość z 1821 roku (Karaiskakis, Andrutsos, Miaulis), na innych pozował król Konstantyn z czasów bohaterskich walk wojen bałkańskich, obok jakiś car, a trochę dalej barwna litografia Partenonu i dwie fotografie z okrętami wojennymi SPETSAI i AVEROF. Największe i najbardziej imponujące było zdjęcie przedstawiające Hagię Sophię. Francuzi poprosili Gedeona, żeby usiadł właśnie pod nim.

Raz z aparatem na statywie, a raz trzymając go w dłoni, to z bliska, to z oddalenia, zmieniając kąty i oświetlenie – robienie zdjęć trwało jakąś godzinę. Na końcu obaj Francuzi sprawiali wrażenie zachwyconych. Powiedzieli o tym Nifonasowi, prosząc, by przekazał ich podziękowania starcowi i równocześnie przeprosiny, jeśli go zmęczyli. Nifonas tłumaczył, używając tylu słów, ile zapamiętał z lekcji francuskiego w gimnazjum, po czym wycofał się ponownie w kąt.

Na dworze zaczęło zmierzchać. Godzinę temu przestał padać śnieg, jednak zimno nadal przenikało aż do kości. Zebrali się wokół kozy opalanej drewnem, jako że kominiek nie wystarczał, żeby się ogrzać, „z przodu ogień, z tyłu nożyce”. Francuzi z radością sączyli rakiję, którą ich poczęstował Gedeon, podając ją na ocynkowanej tacy z rysunkiem, „encore une fois!”, Hagii Sophii. Tym razem ciekawość André sięgnęła zenitu. Zapytał o to starca, oczywiście za pośrednictwem Nifonasa.

– To – odpowiedział z dumą Gedeon – to jest Miasto<sup>100</sup>. Nasze Miasto. Gdy nadejdzie pora, żebyśmy je odebrali, wszyscy mnisi chwycą za broń. Nadejdzie nowy rok 1821. Gdy tylko wypędzimy muzułmanów, wkroczymy do Hagii Sophii, by zaśpiewać „O, Waleczna Hetmanko”<sup>101</sup>, weźmiemy komunię, a potem wszyscy razem zginiemy!

Wszyscy spojrzeli na niego zakłopotani, a może i przestraszeni. Twarz Gedeona cała jaśniała, jakby w promieniach. Wszyscy milczeli, i Grecy, i cudzoziemcy.

Tego wieczoru sen zwlekał z odwiedzinami w trzech celach w Stawronikita. Pierwsza była cela przeznaczona dla specjalnych gości. Leżąc w swoich łóżkach, Francuzi dumali nad tym, co zobaczyli i czego

doświadczyli za dnia. Starzec, choć wydał im się lekko stuknięty przez wypowiedzi na temat Stambułu, zrobił na nich dobre wrażenie (chętny do współpracy, uczynny i... fotogeniczny). Czego nie można powiedzieć o dwóch młodszych mnichach (byli nieco wycofani, chłodni – mimo że jeden z nich mówił ich językiem).

W swojej celi Nifonas też nie mógł zasnąć. Jego myśli były bezładne. Nie wierzył, że modlitwa uspokoi go i przyniesie mu ulgę. Decyzja, by o wszystkim opowiedzieć Gedeonowi, musiała zostać, niestety, odłożona; ostatecznie może z tym poczekać do następnego dnia, wtedy ogłosi swój zamiar porzucenia monasteru i zrzucenia habitu. Czekaając na nadejście światła jutrzeńki, Nifonas raz po raz błagał Najwyższego, by znalazł się do powiedzenia o wszystkim starcowi. By niczego nie zataił. By wyznał wszystkie swoje grzechy, które zmuszają go do porzucenia Góry.

Ostatnią bezsensną cełą była ta, w której mieszkał Gedeon. Na posłaniu rozłożonym w kącie cicho spał Arsenios. Dziękował Wszechmocnemu, że uczynił go godnym przychylności nowego starca, mistrza duchowego. Gedeon wydawał się srogim, ale dobrym starcem. Na pewno mu pomoże w wielu kwestiach wiary. To znaczy, jak ma wytrzymać trudności, jak znaleźć drogę do Raju, ale i w jaki sposób poradzić sobie ze zwalczaniem pokus cielesnych. Związanych z jego własną płcią.

Obok w łóżku leżał bezsenny Gedeon. Miniony dzień okazał się dla niego pełen niespodzianek: nowy podwładny, próba wśród kości zmarłych, sesja fotograficzna. Za sprawą tego, co opowiedział Francuzom, przywołał w myślach powstanie z 1821 roku<sup>102</sup>. Przyszedł mu na myśl Emmanuil Papas, jak nakłaniał mnichów ze Świętej Góry, by chwycili za broń. Ale także to, co napisał generał Makrijanis o monasterach, jak nazwał je „przedmurzem powstania”. Trochę później, gdy minęła już północ, dziwny uśmiech pojawił się i zagościł na jego ustach. „A więc to tak?... Uznali za żart to, co im powiedziałem o Mieście...” I natychmiast oładnęło nim coś na kształt wściekłości, do tego stopnia, że zaczął w szale gryźć pościel.

– Ach, mój Boże, spraw, by Miasto znów było nasze, greckie. Niech biało-niebieska flaga znów powiewa nad Stolicą. Uczyni Swój cud, Panie. Oddaj nam z powrotem Miasto!

<sup>95</sup> Św. Bazylego Wielkiego, 1 stycznia.

<sup>96</sup> Gedeonowi imię to może się kojarzyć z Arseniuszem Wielkim (350 – ok. 445), jednym z Ojców Pustyni.

[97](#) Tsipouro (wym. *tsipuro*, τσίπουρο) – bardzo mocna wódka na wyłoczynach z winogron.

[98](#) Łacinnicy – mieszkańcy Bizancjum określali w ten sposób chrześcijan zachodnich.

[99](#) Frankowie to inna nazwa używana na Wschodzie w odniesieniu do katolików z Zachodu.

[100](#) Miasto (*Poli*, Πόλη) – określenie, jakie mieszkańcy Cesarstwa Bizantyńskiego, a Grecy w czasach turkocracji, używali w odniesieniu do Konstantynopola. Obecna nazwa „Sambuł” (tur. İstanbul) jest pochodzenia greckiego. Wywodzi się od słów: εἰς τὴν πόλιν (wym. *istimboli*), co oznacza „do miasta”.

[101](#) Chodzi o znany hymn liturgiczny, Akatyst ku czci Bogurodzicy, zaczynający się od słów: *Ti ipermacho stratigo* (Τη υπερμάχῳ στρατηγῶ) – „O, Waleczna Hetmanko”. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, fragmenty hymnu podaję w przekładzie o. Mieczysława Bednarza SI.

[102](#) Chodzi o greckie powstanie 1821–1829 przeciwko władzy tureckiej.



## V

# „Odejdź!”

Nieźle się urządziłeś, mój drogi. Odszedłeś, ale masz szczęście! To mnie teraz opłakuj... Zawsze ja za wszystko płacę, pewnie jestem winna... Jako żywi gorzej się mamy od zmarłych. Dlatego mówię, że dobrze się urządziłeś... Mnie opłakuj teraz, mnie nieszczęsną! Gdzie mam zacząć i gdzie skończyć? Cóż mam najpierw powiedzieć, w co masz uwierzyć? Jednak ci to powiem, żebyś i ty o tym usłyszał, żebyś się dowiedział... Żebyś się dowiedział, bo mówiłam ci: „Na cóż ci, Fotis, obca dziewczynka, nie jest nam dobrze we dwoje?”. „Nie”, odpowiadałeś mi, „dziecko nawet jeśli nie jest twoje własne, dodaje słodczy domowi, upiększa go”. Upiększa go, tak? Powstań stamtąd, gdzie się znajdujesz teraz, i spójrz na to piękno i dobroć. Zobacz nasz wstyd! Cała wieś huczy, wszyscy się dowiedzieli... Gadają o tym w kafejkach, w kościele, za moimi plecami. Usłyszałam to na własne uszy z ust Marii, żony Kofidisa, która mnie nie zauważyła: „To i tamto... Domna od Januli”. Powiem ci więc, żebyś i ty wiedział... Trzy lata minęły, od kiedy odszedłeś, i wszystko się powywracało do góry nogami... Nie ma już tamtej Domny, którą znałeś, życzliwej i uprzejmej... Ja... Ja, prawdę mówiąc, nigdy nie mogłam jej pokochać z całego serca. Nawet jeśli zgodziłam się i uczyniłam ją przybraną córką, to dlatego, że ty tego chciałeś. Czyż nie tak? Czy to nie jest prawda? Wtedy, w Aja-Sotira... W połowie święta zerwałeś się, pojechałeś do Chrisupoli i wzięłeś dziecko. Bo ciężko ci się zrobiło na duszy, że została sierotą po tym, jak twoja kuzynka zmarła przy porodzie. Wybaczam ci wszystko, ale nie to, że tam pojechałeś i wzięłeś dziewczynę, która była dla nas ciężarem!... Od tamtej chwili jakby mi wbito gwóźdź w serce. Zaczęłam myśleć, że już mnie nie kochasz jak dawniej. Że całą miłość oddajesz tej, która pojawiła się w naszym domu... To grzech, wiem o tym, ale właśnie takie rzeczy chodziły mi po głowie. Im bardziej ona dorastała i im bardziej tryskała radością i pięknością, tym bardziej ja marniałam... Mówię ci to teraz, bo może tego nie rozumiałeś... Odsunąłeś mnie od łowienia ryb, od wspólnego wychodzenia na festyny, na których przygrywałeś. Teraz miałeś Domnę... Nie dość tego, dałeś jej imię swojej matki, jakby to było nasze dziecko, z mojego ciała. Pytałeś mnie wiele razy,

co mi jest i dlaczego taka jestem, zgorzkniała i ponura. „Nic, nic”, odpowiadałam. Ciekawa jestem, czy się domyślałeś, o co chodzi? We wsi wszyscy o tym wiedzieli, plotkowali na mój temat: „No, ale żeby nie mogła pokochać sieroty, którą przyjęła do swojego domu!”. Przysięgam ci na pamięć o tobie: chciałam, ale nie mogłam. Wyciągałam ku niej rękę, żeby ją pogłaskać, i natychmiast ją cofałam. Chciałam się do niej uśmiechnąć i zamarzały mi usta. Jakby mnie coś trzymało, powstrzymywało. Jak się teraz okazuje, miałam rację. Nie wiem, od czego zacząć. Od schadzek na morzu? Od bezsennych nocy? Jak traciłam ją na całe dni? Od tego, jak przyprowadziła na uroczystości świętego Jana pewnego mnicha do domu i wszyscy o nas gadali? Jak – posłuchaj, posłuchaj! – związała się z nim? Czy może od... Jak mam to powiedzieć, wstydzę się, ja nieszczęsna, boję się... Jednak ci to powiem, żebyś wiedział, już dłużej nie wytrzymam. Twoja paskudna przybrana córka, jakby tego wszystkiego było mało, zaszła w ciążę z mnichem. Tak, z mnichem! Wydaje ci się to niestosowne? Wielki grzech? Niewybaczalny? No właśnie! Pomyśl o mnie, postaw się na moim miejscu. Jak mam spojrzeć ludziom w oczy?... Nawet ten Besikris, przestał teraz zapalać świece i gapi się, co robię, i słucha, co mówię nad twoim grobem. Co za gad. Raz spojrzałam na niego wściekle, założył kaptur i schował się za cyprysami... Och, ja biedna!... Co mam powiedzieć i co mam zrobić? Rozpacz! I parszywa pogoda. Zima pastwi się nad nami w tym roku chłodem i deszczem. Kończy się luty, a ona dalej daje nam popalić!... Nie, nie mogło być inaczej. Od Bożego Narodzenia wydawało mi się, że coś się dzieje. Ciągłe blada i wciąż wymiotowała. Śledziłam ją w dzień i w nocy. Zaprzeszała swoich częstych wypraw łódką i spędzania nocy na morzu. Potem, w pierwszy dzień roku, wzięłam ją na stronę i powiedziałam: „Na kości tego, który cię wychował, powiedz mi, co ci jest?”. Ani słowa. Dalej ją śledziłam. Wynajęłam swojego człowieka, Mimisa Liagurasa, który pojechał za nią do Kawali. On mi o wszystkim powiedział: „Poszła do lekarza, takiego, który usuwa ciążę u niezamężnych kobiet”. Nagle mnie olśniło. Przecież to było przedwczoraj. Przyszła i usiadła obok mnie, gdy oglądałam telewizję. Minęła chwila. Siedziałyśmy bez słowa. Nagle przyszło mi coś do głowy i mówię do niej: „Wiem o tym. Wszystkiego się dowiedziałam. I wszyscy ludzie też wiedzą. Wstydź się!”. Zamurowało ją. Zamiast opuścić głowę, obraca się do mnie i co mówi? „Mam w nosie ludzi”. No pewnie! Królowa, zadziera nosa. Nie przejmuje się innymi, tylko

o siebie dba. Zerwałam się na równe nogi. Czego jej nie wygarnęłam. Że na szczęście umarł jej ojciec, to znaczy ty, i uniknął takiego wstydu. Wtedy wybuchła płaczem. Widzisz, do ciebie miała słabość, kochała cię. Wściekłam się na dobre. Mówiliśmy, mówiliśmy, jedna nie słuchała, co odpowiadała druga. W pewnej chwili odwracam się do niej i mówię: „Zabieraj się i wynocha! Cała wieś wie, że ja nic złego nigdy nie zrobiłam. A ten dom nie zna bezwstydu, słyszysz? Odejdź!”. Zasnąłam zagniewana. Gdy wstałam rano, już jej nie było. Razem z nią zniknęła walizka, w której trzymała ubrania. Cały dzień spędziłam, gadając po próżnicy. I płacząc... Zanim przyszedł do ciebie, wspierałam się na taboret i zdjęłam z szafki futerał z twoim instrumentem. Wzięłam w ręce skrzypce, na których grywałeś na festynach. Pogłaskałam je z płaczem. Tylko tyle mi po tobie zostało. Co ja mówię! Przecież ty jesteś szczęściarzem, Fotis. Ach, udało ci się i odszedłeś wcześniej! To mnie opłakuj, że mnie zostawiłeś samą, samiutką. Mnie nieszczęsną, która teraz, na starość, nie ma ani męża, ani dziecka. To mnie opłakuj.

ξ

## ROZPOCZYNA SIĘ TRIODION POSTNY [103](#)

Wysoko, między oknami północnego skrzydła, widać było mały kwadratowy lufcik. Wpadała przez niego niewielka ilość światła, które rozбивało mroczną atmosferę. Mnisi i goście, pochyleni nad długimi stołami, w milczeniu opróżniali zawartość ocynkowanych talerzy. Słysząc było jedynie głos lektora.

Jedli wszyscy, poza jednym. Myśli Gedeona – a zdarzało mu się to ostatnio coraz częściej – znów podróżowały w minione lata. Cofnął się w czasie ku sławnej wyspie Krecie i wiosce Asi Gonja.

Widzi samego siebie, schowanego. Jest chudy i opalony, prawie go nie widać w ciemnościach. Nie mija wiele czasu i otwierają się drzwi, wchodzi matka. Lśni jej biała chusta. Coś mruży pod nosem, z kimś się posprzeczała i gasi gniew w samotności. Z ławki podnosi brytfankę z upieczonym chlebem. Zamyka za sobą drzwi. Nie zauważa go. Wtedy widział matkę ostatni raz. Wkrótce w pralni wściekły ojciec złapie go za włosy, wrzśnie mu prosto w twarz: „Też coś! Kapitan mi się znalazł!”. Jego matka nigdy nie weszła do stajni, gdzie zaciągnął go ojciec i powiesił do góry nogami za środkową belkę. Nie mogła znieść widoku syna, któremu z nosa sączyła się gęsta posoka. Kilka godzin później Sifisowi udało się uwolnić nogi z więzów, po kryjomu uciekł z wioski, dotarł do plaży, znalazł jakąś łódź i zaczął podróż, która doprowadziła go tutaj, na uświęconą Górę.

Gedeon, poruszony wspomnieniami, rozejrzał się na prawo i lewo; pozostali bracia w milczeniu kontynuowali jedzenie. Odepchnął talerz z ziemniakami duszonymi w pomidorowym sosie – mimo że pachniał koprem. Dziś wieczorem nie ma ochoty na jedzenie. Jest w dziwnym nastroju. I nie chodzi tylko o pamięć, która płata mu figle, ani o chwiejną pogodę („wciąż tylko południowe wiatry, dziurawią ci umysł...”). Powodem irytacji nie jest także igumen, który bezustannie wygłasza jakieś teorie, czym wpędza go w paskudny nastrój. Źródłem niepokoju jest Nifonas, nieposłuszny Nifonas. Gedeon czeka, aż skończy się posiłek, by wrócić

do celi w towarzystwie Arseniosa i rozpocząć modlitwę z komboskini i niekończące się „Panie, zmiłuj się”, może wtedy trochę się uspokoi.

W pewnej chwili słychać metaliczny dźwięk gongu oznaczający koniec jedzenia. Jeden za drugim mnisi przechodzą przed igumenem i otrzymują jego błogosławieństwo, po czym odchodzą, każdy do swojej celi. Wszyscy poza jednym. I ten jeden zapewne nie powinien się tutaj znajdować. To ten, który przysiągł, że porzuci Górę i uda się do zewnętrznego świata, by tam spędzić życie. A jednak... Minęły cztery dni, od kiedy zostały złożone te obietnice, i drugie tyle od dnia, gdy wziął udział w sesji zdjęciowej zorganizowanej przez Francuzów u starca, a Nifonas wciąż znajduje się na Górze. Co się stało w międzyczasie? Co mu przeszkodziło wprowadzić w czyn złożoną przysięgę?

Brat Ambrosios, któremu w ostatnich latach przypadła posługa bibliotekarza, niespodziewanie musiał na dłuższy czas opuścić monaster. Jego matka, żyjąca samotnie w jednej z górskich wiosek w Tegei, miała operację biodra i przynajmniej dwa miesiące musiała spędzić w łóżku. Czy znalazłby się ktoś inny, kto mógłby jej pomóc w tej potrzebie starości? Nie zastanawiając się dłużej, igumen dał Ambrosiosowi swoje błogosławieństwo i pozwolenie. Inny brat powinien zająć jego miejsce w bibliotece. Gdyby to było w innym okresie, nie byłoby nawet mowy o zastępstwie. Teraz jednak sytuacja była nagląca. Nifonas, jak oznajmił igumen, miał zastąpić Ambrosiosa, jako że znał dobrze to miejsce, gdyż przez pierwsze lata w Stawronikita pełnił posługę bibliotekarza.

Pierwszą i najbardziej nagłą potrzebą było wysprzątanie i uporządkowanie wieży w monasterze. Tam znajdowało się skryptorium, w którym kopiowano i robiono wszelkiego rodzaju naprawy starych manuskryptów. W owym miejscu, jak ustalono, przez najbliższy okres miał pracować pewien zakonnik z Zachodu, Lorenzo, którego przyjazdu z Włoch oczekiwano w tych dniach. Kim był Lorenzo? Jaką pracę miał do wykonania franciszkanin na przedmurzu prawosławia? Dlaczego wyczekiwano go z taką niecierpliwością? Gdy Nifonas przejmował biblioteczne obowiązki, te pytania nie dawały mu spokoju. Myślał zwłaszcza o tym, jak igumen ogłosił im decyzję, że z jednego z klasztorów we Włoszech muszą wezwać specjalistę od naprawy manuskryptów. Należy podjąć wszelkie wysiłki, by rękopisy ze Stawronikita zostały zabezpieczone przez doświadczonych konserwatorów, jeśli nie chcą, by uległy zniszczeniu! Zwłaszcza jeden z nich.

Oczywiście, wcześniej należało zaprowadzić jakiś ład w wieży. Porządnie wysprzątać, odkurzyć regały, porozmieszczać na półkach pozostawiane na ławach księgi i manuskrypty. Jedną rzecz w obliczu przyjazdu Lorenza miała znaczenie pierwszorzędne – co do niej igumen przekazał Nifonasowi precyzyjne wskazówki – by ze szczególną uwagą zatroszczyć się o jedną zamkniętą szafkę. „A gdy mówimy zatroszczyć się, oznacza to, że masz szczególnie uważać, by manuskrypt nie doznał jakiejś szkody. Zgoda, Nifonasiu? Zresztą, ty sam wiesz”.

Właśnie tym zajmował się teraz Nifonas w skryptorium. Chłód zamkniętej od dłuższego czasu sali przenikał go do szpiku kości. O wiele bardziej jednak „mroził go” obraz Domny, za każdym razem, gdy jego myśli wędrowały do niej i drugiego serca, które w niej biło. Nawet jego oddech zamarzał, gdy o tym rozmyślał.

Raz jeszcze z uwagą policzył kodeksy, które rozłożył na stole. Potem oddzielił pergaminy od papirusów. Uważnie wykonywał każdą czynność. Ręce, tak wprawne w wiosłowaniu i sieciach, odczuły się delikatnych ruchów, jakich wymaga zajmowanie się księgami. Mniej baczne oko! Co też mogło być zapisane w tych prastarych manuskryptach, które miał przed sobą? Jakie skarby skrywały? Rozłożył jeden ze zwojów, jednak nie mógł go odczytać; litery wydawały się posklejane jedna z drugą, słowa wyglądały dla niego jak hieroglify. To samo było z innym grubym rękopisem na pergaminie. Tutaj podobnie, słowa i frazy zupełnie niezrozumiałe – tylko małe rysunki na początku każdego rozdziału wydały mu się ciekawe. Nie miał ochoty na pracę. Chciałby być gdzie indziej, być kimś innym. Oby się był nie urodził!

„Nie przeklinaj, Nifonasiu, nie bluźnij. Cierpliwości!”

Pochylił się i położył głowę na dębowym stole. Pozostał przez jakiś czas w takiej pozycji. Potem wyciągnął rękę i przysunął w swoją stronę cienką książeczkę. Jej grzbiet pokryty był skórą, okładka zaś była z twardego kartonu. Otworzył ją. Psalmi Dawida. Zaczął czytać. Choć znał je wszystkie na pamięć, jawiły mu się jako balsam w tych okolicznościach. Czytał, a jego serce głośno biło, oczy wilgotniały od uczucia daremności wszystkiego. On sam czuł się teraz niczym, zerem, istnieniem bez znaczenia, dla którego byłoby lepiej, gdyby otwarła się otchłań i go pochłonęła.

Kolejne dni również mijały w ciężkiej atmosferze. Z jednej strony podły nastrój, z drugiej zaś przeciągająca się wstrętą zimowa pogoda zmusiły

Nifonasa, by spędzał niemal całe dnie w bibliotece. Trochę spokoju znajdował tylko w czytaniu. Co jakiś czas odkładał ścierkę do kurzu i otwierał losowo wybrany żywot świętego albo wertował jakiś manuskrypt, próbując znaleźć pocieszenie w słowach Ojców Kościoła. Ulga, jakiej doświadczał dzięki tym małym przyjemnościom, szybko wyparowywała, ilekroć przypominał sobie, jaka była rzeczywista sytuacja i co tak naprawdę przeżywał.

Dzień święta Trzech Hierarchów<sup>104</sup> również zaczął się deszczem i wiatrem. Trzydziesty dzień miesiąca. Dla Nifonasa oznaczało to: dziesięć dni, od kiedy rozpoczął nową posługę, i trzynaście, od kiedy odbyła się sesja fotograficzna Gedeona. Ale i jedenaście miesięcy od chwili, gdy po raz pierwszy spotkał się z Domną i ponad cztery miesiące od nocy, gdy zostało w niej zasiane nasienie.

Poczerwieniał. Nie tylko ze wstydu, ale i z szacunku dla starca Gedeona, który siedział kilka metrów dalej. Dotarł do biblioteki jakieś pół godziny temu w towarzystwie Arseniosa. Chciał go zapoznać ze sprawami monasteru i równocześnie sprawdzić, co słyhać u jego dawnego podwładnego. Gedeon mówił coś do Arseniosa, tłumaczył mu, od czasu do czasu zdejmował z półki jakiś manuskrypt i otwierał go przed nim. Jedyne starzec miał nieskrępowaną swobodę ruchów w całym monasterze Stawronikita, nikt inny. Mógł wchodzić do najświętszych miejsc monasteru, otwierać zamknięte przed innymi szuflady, sięgać na półki dla innych zakazane i kartkować rękopisy sprzed wieków. Przez cały czas, gdy starzec przemawiał do Arseniosa, tamten szukał okazji i rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę Nifonasa. Zaraz potem, szybkoitko, odwracał wzrok i wpatrywał się we wszystko, co z takim zapalem pokazywał mu starzec.

Nagle, bez żadnego pukania, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich igumen. Obaj mnisi cofnęli się kilka kroków.

– O! – powiedział zwierzchnik monasteru i zamarł w miejscu. Było jasne jak słońce, że spodziewał się spotkać tylko Nifonasa, podczas gdy teraz... Igumen nie uważał Gedeona za swojego wroga czy przeciwnika. Drażnił go tylko upór starca w sprzeciwianiu się kwestiom dogmatycznym. Niemal od samego początku, gdy przybył do Stawronikita, w oczach Gedeona igumen był „nastawionym filozachodnio papistą, nowatorem”. Jednym z tych, którzy „pewnego dnia zepsują Górę”. Igumen uśmiechał się tylko,

gdy docierały do jego uszu te określenia. Innym razem jednak – i tutaj rozumiał, że popełnia grzech – wpadał w złość i odpowiadał na zaczepki. Wskórał tyle, że otworzył szeroko drzwi własnej duszy na grzech gniewu.

Dzisiejsze spotkanie do tego właśnie zdawało się prowadzić, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Ich przykładu winniśmy się wszyscy trzymać!

– ...

– Ojcowie uczyli, co znaczy być dobrym chrześcijaninem i prawdziwym Grekiem.

Znów żadnej odpowiedzi. Delikatny uśmieszek na ustach igumena skłonił Gedeona do błędnej interpretacji, co z kolei prowadziło do nieporozumienia.

– Pamiętajmy, igumenie, zawsze o Grzegorzcu Palamasie, a nie o...

Chciał rzec: „Barlaamie”, ale się powstrzymał. Już kiedyś mieli ostrą polemikę na ten temat. Świadkiem tamtej kłótni był Nifonas. Chyba ku czemuś takiemu zmierzała dzisiejsza wymiana zdań.

– Darzę szacunkiem, starcze, żywot i wiarę Grzegorza Palamasa. Wiem dobrze, kim był i co oferował chrześcijaństwu. Czy nie skrzywdzilibyśmy jednak Barlaama z Kalabrii, gdybyśmy mu przypisali filopapizm i antychrześcijańskość?

Dobrze wiedział igumen, jakie było zdanie Gedeona na temat dwóch wielkich przeciwników dogmatycznych XIV wieku. Dlatego teraz starał się o zbalansowanie spornych kwestii. Czy było to łatwe? Słuszne? Czy nie próbował tego w przeszłości, a jedyne, co udało mu się osiągnąć, to na pewien czas ochłodzić relacje ze starcem?

Nifonas w milczeniu obserwował ze swojego miejsca całą scenę. Dobrze znał te potyczki, wiedział, jak zażarte bywały w przeszłości.

Spór między arcybiskupem Salonik Grzegorzem Palamasem a teologiem z Kalabrii Barlaamem wybuchł około 1340 roku. Punktem spornym była kwestia, czy mnisi są zdolni do poznania Boga za pośrednictwem modlitwy. To znaczy, czy było możliwe, by jakiś mnich, czy to na Świętej Górze, czy na Synaju, bądź w jakichś pustelniach, całkowicie tłumiąc cielesne myśli, modląc się nieprzerwanie dniem i nocą, zestrzajając rytm swojego oddechu z modlitwą (oddychając w tempie *Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami*) i ciągle spoglądając w głąb siebie (konkretnie w swój pępek), zdoła osiągnąć „spokój” w takim stopniu, by przyjąć Niestworzone Światło, które spowiło Jezusa podczas Przemienienia na górze Tabor. Innymi słowy,



by osiągnąć jedność z Bogiem. „Tak”, odpowiadał Grzegorz Palamas wraz ze swymi zwolennikami, hezychastami<sup>105</sup>. Barlaam i inni skupieni wokół niego oburzali się, obdarzając hezychastów mocnymi epitetami: nieuki, dyteiści<sup>106</sup>, heretycy, pępkoduszni<sup>107</sup>. W spór włączyło się także – jego stara metoda – Cesarstwo Bizantyńskie. Z jakim rezultatem? Niewiele brakowało, a doszłoby do drugiej schizmy. Jednak stało się to, co najgorsze: choć Bizancjum miało przed sobą krótki żywot, w państwie zawrzało od sporów wewnętrznych.

– Ech, jeszcze wspomnicie moje słowa. Nadejdzie dzień, gdy wszystko tutaj wpadnie w ręce antychrystów. Przepadnie Góra. Nawet jeśli uda nam się uratować od psów Turków, od Żydów, nie ujdziemy papieżowi!

Gedeon przemawiał, a jego oczy miotały iskry. Powiewał habit, broda, rozpuszczone włosy. W tym pomieszczeniu odżywał dawny dylemat, panował klimat jak w Konstantynopolu na krótko przed jego zdobyciem przez Turków: „Lepszy turecki turban niżli papieska tiara”. Tyle tylko, że teraz starzec to uprościł, zrównując ze sobą wszystkich „wrogów” prawosławia.

Nie czekał, jakiej odpowiedzi udzieli igumen. Skinął Arseniosowi, by poszedł za nim, i wyszedł z biblioteki mocno zagniewany. Minęło kilka minut, zanim pozostali byli zdolni coś powiedzieć.

– Zawsze to samo... – wymamrotał igumen. Nie miał już nastroju na rozmowę z Nifonaszem na temat postępu w pracach przed spodziewaną wizytą Lorenza. Ogarnęła go teraz gwałtowna potrzeba, by wyjść, poczuł, że znów pragnie ruszyć ścieżką ku jaskini w górach. Żyć przez kilka dni jak pustelnik. Może w ten sposób udałoby mu się uspokoić duszę i przynieść ulgę duchowi.

Tak więc podczas gdy to (i wiele innych ukrytych i skrywanych przed oczyma zwykłych ludzi wydarzeń) działo się na natchnionej przez Boga Górze, w odległym porcie w Kawali, pewnego mroźnego ranka, rybacy, w miejscu, gdzie porządkowali swoje sieci, ujrzeli podpływającą i przybijającą w pobliżu łódkę – kierowaną przez dziewczynę. Spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Zrobiło na nich wrażenie, że tak młoda kobieta miała odwagę, ale i umiejętności, by kierować łodzią. Ciekawi byli, skąd mogła przypląć. Kim mogła być? Czego szukała w ich mieście?

Domna, bo to właśnie ona przyplęła o poranku łodzią, przycumowała

ją i rzuciła rybakom zduszone „dzień dobry”. Potem ruszyła wzdłuż plaży w kierunku miasta. Ubrana była w dżinsowe spodnie i cienki sweterek. W rękach trzymała leciwą walizkę.

Hotel, którego drzwi otwiera i do którego wchodzi, należy do trzeciej kategorii, podobny jest do tych, jakimi dysponują wszystkie portowe miasta i które dają dach nad głową marynarzom bez pracy, nielegalnym związkom i wyrzutom życiowym. Tutaj postanowiła się zatrzymać, przynajmniej tak długo, na ile wystarczy jej oszczędności – „dwadzieścia pięć euro za pokój”. A potem? Nie chce myśleć, co się stanie, gdy skończy się jej trzydzieści euro, które ma w portfelu. Wchodzi do pokoju, ale nie zostaje tam długo, wychodzi znów na zewnątrz. Brudne zasłony, pleśń w łazience, skrzypiąca rama łóżka nawykłego do goszczenia dwóch ciał, wszystko ją irytuje. Ona sama jest przyzwyczajona do czystości morza i przestronności horyzontu.

To już trzecie z rzędu popołudnie od dnia, gdy dotarła do Kawali, i po raz kolejny zamyka drzwi pokoju i wychodzi w zimowe miasto. Spaceruje dłuższy czas bez celu ani planu. Nie odwraca wzroku ku witrynom z obniżkami. Nie podnosi oczu na przechodniów, którzy wciąż spoglądają z zaciekawieniem na samotną, dziwacznie ubraną kobietę. Nie rzuca spojrzenia nawet w kierunku wspaniałego budynku imaretu<sup>108</sup>, gdy wędruje w górę do starego miasta.

Gdy dotarła do opustoszałego placu, zatrzymała się. Budka telefoniczna natychmiast przyciągnęła jej uwagę. „Może by tak...” Jej serce zaczęło bić mocniej, czuła, że jej dłonie się pocą. „A jeśli mnie źle zrozumie?” Z drugiej jednak strony, czy nie będzie się niepokoił, od tylu dni nie mając od niej żadnych wiadomości? Teraz, gdy Nifonas wie, w jakim jest stanie, czy nie jest naturalne, że martwi się o nią jeszcze bardziej? Dziwne wiercenie w brzuchu skłania ją do podjęcia decyzji. Podnosi słuchawkę i wykręca numer: 2377023...

– Dobry wieczór, chciałabym rozmawiać z mnichem Nifonasem... Jestem jego siostrą...

– ...

– W porządku... Zadzwonię raz jeszcze za chwilę... Dziękuję.

Niebo jest ciężkie, znów zanoszą się deszcz. Dziewczyna odchodzi od budki i bezradnie idzie w kierunku posągu znajdującego się na środku placu. Jakiś jeździec. Wojownik? Król? Na głowie ma turban, taki jak

dawniej nosili Turcy, w rękach trzyma wielki kindżał. Nie wygląda na Greka. Podchodzi bliżej, by zobaczyć, co jest napisane na marmurze.

– To jest Muhammad Ali, władca Egiptu. Urodził się tutaj, w Kawali.

Nie zauważyła mężczyzny, który siedział w milczeniu w kącie. Na początku się przestraszyła; kto wie, kim może być. Może kimś takim, jak typek, który pierwszego wieczoru rzucił się na nią w porcie? Raczej nie. Nie wygląda na łajdaka.

– Napisałem książkę o Muhammadzie Alim. To moja praca... – ciągnie nieznamy. – Czy i tobie nie wydaje się on imponujący i wyniosły? Nie ma w sobie czegoś wyjątkowego? Zgodzisz się ze mną?

Nie wie, co mu odpowiedzieć. Nie odzywa się, udaje, że spogląda na posąg. Potem przytakuje i z pośpiechem się oddala – minęło dziesięć minut.

Przez telefon Nifonas wciąż zadawał pytania. Co porabia, jak się czuje, jak jej zdrowie, gdzie jest. Gdy mu opowiedziała, gdzie jest i co się wcześniej wydarzyło z matką, wpadł w panikę. Prosiła go, by się uspokoił. W głosie Nifonasa słychać było zdenerwowanie i gniew. Potem chciał się od niej dowiedzieć, w jakim hotelu mieszka. Powiedziała mu. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Wreszcie zapytał ją ściszym głosem:

– Co zrobimy?

Łzy na twarzy Domny mieszały się z kroplami deszczu. Schodząc w dół ulicą w stronę hotelu, wciąż miała w uszach jego prośbę: „Jutro! Zadzwoń do mnie znów jutro, o tej samej porze! Zgoda?”. Dlaczego? Co się zmieniło? Co miałyby zrobić, by jej życie znów stało się bez troski i radosne, jakie było, zanim go poznała? Zamknęła się w obskurnym pokoju i spędziła tam cały wieczór, czuwała, za jedyne towarzystwo mając monotony dźwięk deszczu. Jedyne, co napawało ją jakąś radością, to była istota, która wierciła się w jej brzuchu i od czasu do czasu przypominała o swoim istnieniu. Spała niewiele, a już było blisko świtu.

Tego samego ranka Nifonas przyjmował w bibliotece wizytę Arseniosa. W owej chwili starzec nie potrzebował chłopca, ten więc pomyślał, że pójdzie zobaczyć w spokoju, jak pracuje brat Nifonas. Czy nie przeszkadza? „Nie”, pokiwał mu głową Nifonas. Choć zdziwił się jego uporowi, że tutaj przyszedł, by spędzić z nim czas. Arsenios usiadł w kącie i zajął się swoim komboskini. Nifonas musiał dzisiaj pracować przy

konserwacji jednej szaty liturgicznej i czyszczeniu Ewangelii w srebrnej oprawie. Zapewne te czynności trwałyby cały dzień, może aż do popołudniowego telefonu Domny.

– Czy mogę?

Arseniosowi chodziło o pozwolenie, by się zbliżyć i sięść koło niego. Nifonas wskazał ręką siedzenie obok. Podszedł i usiadł. Głowę miał opuszczoną, wzrok też.

– Chcę ci coś powiedzieć...

Nifonas milczy; czeka, jaki obrót rzeczy przybierze wyznanie mnicha nowicjusza.

– Bracie mój, jest coś, co mnie dręczy...

Zebrało mu się na śmiech. Właśnie teraz! Znalazł najbardziej odpowiedniego, najbardziej nieudręczonego na całej Górze mnicha, by mu się zwierzyć ze swojego nieszczęścia. Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą:

– A co takiego cię dręczy?

Oczekiwał, że usłyszy o jakimś problemie starca bądź o kłopotach przybysza w nowym otoczeniu. Arsenios jednak spoglądał na niego i nic nie mówił. Dziwne milczenie nadało posępny wyraz jego twarzy. Przysunął swoje krzesło bliżej Nifonasa. Jego oczy wyglądały tak, jakby miały ogień. Nagle, choć nie wymienili między sobą ani słowa, Arsenios zerwał się gwałtownie z miejsca. Odepchnął mocno krzesło i wbił w Nifonasa wymowne spojrzenie, pokazując w ten sposób, że pragnie mu powiedzieć coś, co do czego się waha (lub czego się wstydzi). Potem odwrócił się na pięcie i wypadł biegiem z biblioteki.

Czy wszyscy się sprzysięgli, żeby go doprowadzić do szału? Co to za dziwactwa? Co to za obłąd?

Nifonas poszedł zamknąć drzwi. Zaciągnął zasłonę i pomieszczenie pogrążyło się w popielatym półmroku. Uklęknął przed obrazem Jana Chryzostoma – obrońcy ksiąg i wszystkich uczonych – i otworzył swoje serce w nabożnej modlitwie. Przez godzinę trwało to, co nazywano „opróżnianiem”. Gdy Nifonas skończył i poszedł otworzyć ciężkie drzwi, szeroko otworzył także okiennice. Światło wpadło z impetem do środka razem z powietrzem. Czas kontynuować pracę. Ponownie chwycił wilgotną ścierkę. Powolnymi ruchami czyścił front zamkniętej szafki. Potem próbował ją otworzyć, żeby strząsnąć kurz. Zamknięta. Nie poddał się pokusie

ciekawości. Wiedział, że w środku przechowywano manuskrypt, który znalazł jego starzec, Gedeon. Niektóre stronicie były zniszczone, inne posklejane ze sobą. Właśnie do tego manuskryptu potrzebowali pomocy franciszkanina Lorenza. Tylko on, igumen i oczywiście Gedeon mieli swobodę trzymania go w rękach. Pozostali będą mogli to zrobić po pracach naprawczych, jakie trzeba było przedsięwziąć.

– Dlaczego go ukrywają? Może to coś takiego, jak *Agathangelos*<sup>109</sup>?

Jeżeli była jakakolwiek księga czy manuskrypt, do których z jakichś powodów zabroniono dostępu, mnisi natychmiast sądzili, że to na pewno taki sam przypadek jak *Agathangelos*; do tego ograniczała się ich wiedza i wyobraźnia. Nie znali innej bardziej tajemnej księgi. Jako że właśnie *Agathangelos* był książką, która krążyła w XVIII wieku, nieznanego autora, pełna przepowiedni i prorocत्व, które jakoby miały zostać spisane w 1279 roku i zaczynały się od zapowiedzi upadku Bizancjum: *Konstantyn zapoczątkował i Konstantyn zgubę przyniesie Cesarstwu Bizantyńskiemu na Wschodzie*. Potem następowało tysiące podobnych „przepowiedni”: zwycięstwa, śmierci, wstępowanie na trony, postaci takie jak: Maria Teresa, Karol, Piotr Wielki. Nawet późniejszy rozbiór Niemiec „przewidywał” manuskrypt: *Biada, Germanio! Gdyż widzę cię w niezgodzie i wielce podzieloną*. Dla kogoś podejrzliwego i stosownie poinformowanego tekst ten w sposób oczywisty był dziełem politycznej propagandy, rusofilskiej i antypapieskiej. Mimo to mnisi ze Świętej Góry ani dawniej, ani także dzisiaj nie chcieli zdjąć z niej rzucającej się w oczy tajemnej otoczki. Dla nich była to księga zawierająca prorocтва, które „wszystkie okazały się prawdziwe”.

Przy takich myślach i przy pogodzie, która znów się rozszalała (chmury, wichury z deszczem – czyli to, co zwykle), nadeszła pora rozmowy telefonicznej. Nifonas zamknął starannie bibliotekę i zszedł do pokoju, w którym znajdował się telefon. Gdyby ktoś go widział, uznałby, że jego twarz jest śmiertelnie blada.

Tym razem Domna nie powiedziała mu nic zaskakującego. O wszystkim już wiedział: znał miasto, które gościło ją po ucieczce, odległość, jaka ich dzieliła, jej osobliwy stan. Gdy Nifonas odłożył słuchawkę, zdało mu się, że słyszy, jak coś w nim trzasnęło, jakby jego dusza pękła na dwoje. Jeśli nie chciał pograć się w otchłani szaleństwa, powinien zacząć myśleć

po chrześcijańsku. Po chrześcijańsku – tak, ale powinien też postąpić jak zacy i prawdziwy mężczyzna.

Przybył do Kawali następnego dnia w południe. HOTEL JA ON (zobaczył, że w neonach napisu brakuje centralnej litery) odnalazł błyskawicznie. Podobnie zresztą jak Domnę. Gdyby powiedzieć, że zdziwiła się jego przybyciem, nie byłoby to prawdą. W pokoju wymienili parę czułych choć niezręcznych słów, pełnych niepewności, co mieliby robić teraz i później. Późnym popołudniem wyszli na spacer po nabrzeżu. Gdy miał ją przy sobie, odzianą w niezbyt grube ubranie, w mroźnych powiewach wiatru, Nifonas poczuł, że przepęlnia go fala miłości. Jak bardzo chciałby wyciągnąć ramiona i wziąć ją w objęcia! Czy to jednak możliwe? Tutaj, przed wszystkimi ludźmi? Jedna czy dwie kobiety nie wytrzymały i zdumione zerkały na tę przedziwną parę, bo choć szli obok siebie, to w oddaleniu jedno od drugiego.

– Jak się czujesz? Marzniesz?

Czy ma pytać tylko o nią, czy także o życie, które nosi w sobie? Uśmiechnęła się do niego niezręcznie. Prawda była taka, że nie czuła się zbyt dobrze. Zimno przenikało ją do szpiku kości, huczało jej w głowie, zapewne miała wysoką gorączkę. Poprosiła, by wrócili do hotelu. Gdy tylko weszli do pokoju, natychmiast upadła na łóżko. Przykryta kocami i drżąca znalazła w sobie odwagę i zapytała go w pewnej chwili głosem pełnym beznadziei:

– Co teraz zrobimy?... Co zrobimy?...

Lekarz powiedział, że w tych dniach kończył się piąty miesiąc ciąży. Nifonas wiedział o tym. Jego głos brzmiał stabilnie, podjął już decyzję:

– Posłuchaj. Jedyne, co możemy zrobić, to wrócić na wyspę, do twojej matki... Oboje, oczywiście... Wszystko jej wyjaśnimy. Powiemy, co się stało, ale i o tym, co się stanie potem. Dziecko, które się urodzi, będzie miało ojca. Zrzucę habit. Będziemy żyć razem, jak rodzina. Najpierw w twoim domu. Potem zobaczymy...

Wybuchła płaczem. I sama nie rozumiała, czy to z radości, czy ze smutku, że jej ukochany będzie zmuszony porzucić stan mniszy. Wyciągnęła ręce, żeby go objąć. Głaskała jego włosy, twarz, obsypywała pocałunkami. Nifonas zadrżał, gdy w pewnej chwili niechcący położył dłoń na jej brzuchu.

– Naprawdę? – spytała go raz jeszcze, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

Nifonas skinął głową, „tak”, i spróbował się uśmiechnąć. Jednak,

naturalnie, w głębi duszy toczył straszną walkę: zmagaly się ze sobą prawość z miłością do Góry, honorowe słowo mężczyzny z mniszym życiem.

Było krótko po południu, gdy wyszli z pokoju, zapłacili za hotel i ruszyli w stronę przystani. Chłód jeszcze się wzmógł. Wiatr z zaśnieżonego Pangajonu zmuszał przechodniów, by biegiem kierowali się ku swoim celom. Na szczęście w porcie o tej porze nie było żywego ducha. Jak wielkim zdziwieniem byłby dla kogoś widok dziewczyny wsiadającej do łódki razem z mnichem!

Nifonas podjął się sterowania łodzią. Za jakąś godzinę, nie więcej, pewnie mogliby się znaleźć na Tasos, w jej wiosce, w ciepłe domostwa. Tego ciepła pragnęła teraz Domna, gdy otulała się, drżąc z chłodu, swoim cienkim sweterkiem. Nifonas widział, jak bardzo marznie, dlatego dodał gazu. Gdyby taka pogoda się utrzymała, nie mieliby problemu. Gdyby jednak zaczęła wiać tramuntana, wówczas poza jego własnymi umiejętnościami żeglarskimi potrzebowaliby z pewnością przychylności świętego Mikołaja.

Minęli Skalę Kallirachi, następnie Maries, już widać było pierwsze domy w Limenariach, pewnie zdążą dotrzeć do wioski Domny. Dzień gasnął, światła ubywało. To jednak nie przeszkadzało umiejętnie sterować doświadczonemu Nifonasowi, który rozmyślał równocześnie nad tym, w jaki sposób mógłby powiadomić Górę o podjętej decyzji.

Nie minęło wiele czasu i Nifonas zrozumiał, że fala uderza teraz w lewą burzę, więc wiatr zmienił kierunek. Wiało od wschodu, spychało ich na otwarte morze, nie pozwalając łodzi zbliżyć się do brzegów Tasos. Jęczał silnik małej łodzi, kadłub stawiał czoło fali, ale to wcale nie pomagało. „Tnij z prawej!”, zawołała do niego Domna. To właśnie powinien zrobić, jeśli nie chce, by fala przewróciła łódź. Najszybciej jak to możliwe powinni się oddalić od przylądka; może i opóźni to ich podróż, ale tylko w ten sposób zdołają się uratować. „Oby to nieszczęście, mój Boże, szybko się skończyło”, modlił się Nifonas i przez cały czas oglądał się na Domnę, na którą pryskała fala, mocząc ją od stóp do głów.

Minęło trochę czasu. Jedyne, co mogli teraz dostrzec od strony wyspy, to wysoki masyw Ipsarion<sup>110</sup> i nieliczne światełka na wybrzeżu. Wkrótce one też zniknęły w deszczowej mgle i nocnych ciemnościach. Nifonas nawet nie myślał o tym, by zbliżyć się do Domny – jak mógłby zostawić ster! Mógł jedynie do niej mówić. Niebawem jednak nie był w stanie usłyszeć jej głosu.

Ogarnęła go panika. „Dokąd płyniemy? Gdzie nas wyrzucą fale?” Zrobił to, co powinien był zrobić już godzinę temu: zgasił silnik i usiadł koło dziewczyny. Dotknął jej i zrozumiał: Domna była chora, drżała, jej ciało było rozpalone od gorączki. Ogarnęło go poczucie beznadziejności. Pewnie ich przeklął Najwyższy za wszystkie bezbożne czyny, jakich się dopuścili. Być może ich dręczy, zanim doprowadzi ich do zguby. Przycisnął ją mocno do siebie. Gdyby tylko mógł jej jakoś przekazać choć trochę ze swojego ciepła! Kolejne godziny zastały ich ciasno przytulonych i bezsilnych. Ile ich było? Jedna? Dwie? Więcej? Stracili już poczucie czasu. Jedyne, co Nifonas zdołał w pewnej chwili pojąć, to wrażenie, że fala niesie ich dryfującą łódkę w stronę ciemnego masywu góry.

– Ipsarion!

Im bardziej fala popychała ich w stronę tego czarnego masywu, tym bardziej w serce Nifonasa wkradało się podejrzenie, które za chwilę zmieniło się w pewność. To nie było Ipsarion, to nie była Tasos. To nie było nic innego, jak...

Łódka poruszała się teraz, jakby popychana jakąś niewidzialną siłą. Słysząc już było fale rozbijające się o brzeg przylądka. Nifonas zerwał się na równe nogi. Choć deszcz utrudniał widzenie, mógł w końcu zobaczyć. Co? Skały, przylądek, budowle, trochę wyżej kompleks budynków, wystającą wieżę, kilka domków rybackich na wybrzeżu.

– Monaster... Przystań...

W istocie. Wszystkie zbiegi okoliczności ostatnich dni, jedno dobre, inne demoniczne, doprowadziły łódkę Domny, z nimi dwojgiem jako załogą, w kierunku przeciwnym do Tasos, do przylądków Góry. Natychmiast chwycił wiosła. Wiosłował teraz umiejętnie, bez paniki. Nie bał się już fali ani skał, których nie było widać podczas złej pogody. Koniec końców, zdołał doprowadzić łódkę do przystani Stawronikita, swojego drugiego domu. Reszta była dla niego dziecinnie łatwa. Wyskoczył na nabrzeże, pobiegł i otworzył drewniane drzwi, następnie wciągnął łódkę pod dach i przywiązał ją koło ukochanej PRZEWODNICZKI.

Domna niewiele mogła zrozumieć z tego wszystkiego. Gorączka mąciła jej zmysły. Dziwne głosy, zamglone obrazy, morskie stworzenia, fantastyczne stwory zasiedlały jej głowę. Dotarły jednak do niej w pewnej chwili wysiłki Nifonasa, gdy starał się jej pomóc wyjść z łódki. Zaraz potem uprzytomniła sobie, że siedzi na jakimś murku. Jedyłą troską Nifonasa było teraz



znalezienie sposobu, jak uratować Domnę. Nie miał głowy do tego, by podziękować Najwyższemu za ocalenie. Oczywiście, nie miał też czasu pomyśleć, że tym czynem stawał się po raz kolejny winnym złamania świętego zakazu Góry. Domna i jej zdrowie, tylko to się teraz liczyło, nic innego!

W owej chwili dało się słyszeć dźwięk gongu. Wybijał godzinę jutrzni. Zaczynała się niedziela, Niedziela Celnika i Faryzeusza, zaczynał się Triodion. Dla mnichów był to początek okresu poprzedzającego Wielki Post, umartwienie, Golgotę i Zmartwychwstanie. Dla świeckich dzień ten oznaczał dobry humor, festyny, nadejście karnawału. Kobiety, mężczyźni i dzieci mieli teraz rozpocząć maskarady, żarciki karnawałowe i śmiechy. Jakby się nagle obudził, odwrócił się i spojrzął na Domnę. Jej ubranie ociekało wodą, gorączka zawładnęła oczami. Zdawało się, że jest w opłakanym stanie. Jeśli nie chciał, by zdarzyło się coś gorszego, powinien natychmiast coś zrobić. Ale co? Kto mu przyjdzie z pomocą? U kogo ma szukać ratunku? Jak ma się o nią zatroszczyć? Jak obniżyć jej gorączkę? Gdzie ma znaleźć miejsce suche i ciepłe, by ulżyć jej umęczonemu ciału?

Miejsce ciepłe i suche...

Znów dało się słyszeć dźwięk gongu. Zostawił Domnę. Poszedł otworzyć boczne drzwi, skąd zaczynała się ścieżka wiodąca do monasteru. Deszcz ustał. W ciemnościach nocy dało się jedynie usłyszeć podmuchy wiatru. Pewnie jego bracia już byli przygotowani; opuszczali swoje cele, jeden za drugim gromadzili się w katolikonie na niedzielną jutrznię.

Miejsce ciepłe i suche...

Jakieś ciało tam obok cierpiało. Jedno życie, podwójne życie było bezpośrednio zagrożone. Mogła nawet umrzeć. Kto wówczas byłby obciążony grzechem? Kto by zgrzeszył? Ten dylemat wściekle wyszczerzył do niego kły: czy powinien pozostać wierny niepisanej tradycji i temu, co ze sobą niosą, czy...

Wzdrygnął się na samą myśl. To nie było byle co! Świętokradztwem jest nawet sama myśl o tym. Zbrodnia przeciwko wierze. Czyn szatański i bezbożny! Zbrodnia! Zbrodnia! Zbrodnia!

Przestał chodzić nerwowo tam i z powrotem i znów spojrzął na skurczoną dziewczynę. Dreszcze targały ciałem Domny, dygotała od stóp do głów. Godny pożałowania widok: nieszczęsna istota skulona na zimnym murku przystani. Ile jeszcze zdoła wytrzymać? Jak długo jeszcze on sam da radę

patrzeć, jak ona cierpi?

Miejsce ciepłe i suche...

„Jedyne ciepłe miejsce znajduje się, mój Boże, jedyne miejsce... Przebacz swemu grzesznemu słudze... Wybacz mi, Panie wszechmiłosierny, to, o czym myślę... To, co chcę zrobić... Na chwilę tylko... Tymczasowo... Aż wydobreje... Aż zostanie uratowane jej życie... Zlituj się, Panie... Panie miłujący ludzi i litościwy...”

[103](#) Dziesięć tygodni przygotowawczych przed świętem Wielkiej Nocy.

[104](#) Święto Trzech Hierarchów – tzn. Bazylego Wielkiego, Jana Chryzostoma i Grzegorza Teologa – grecki Kościół prawosławny obchodzi 30 stycznia.

[105](#) Hezychazm (*isichazmos* [*hesychasmos*], ήσυχασμός od *isichija* [*hesychia*], ήσυχία – spokój) – mistyczna bizantyńska tradycja modlitewna, której szczyt przypada na wiek XIV. Ważną postacią związaną z tym nurtem był Grzegorz Palamas (1296–1359), który toczył spór z greckim mnichem z Kalabrii Barlaamem, który atakował ascetyczną metodę mnichów atońskich.

[106](#) Wierzący w dwóch bogów lub w Boga dwupostaciowego.

[107](#) Żartobliwe i zarazem obraźliwe określenie hezychastów. „Pępkoduszni” czy „z duszą w pępku” (*omfalopsichi* [*omphalopsychoi*], ήμφαλόψυχοι) – bierze się od praktyki medytacyjnej hezychastów, która zakładała koncentrację w czasie modlitwy właśnie na pępku.

[108](#) Imaret (z tur.) – publiczne kuchnie oferujące darmowe posiłki, głównie dla ubogich i dla pielgrzymów, funkcjonujące na terenach Imperium Osmańskiego od XIV do XIX wieku.

[109](#) *Agathangelos* – dosł. Dobry anioł (Αγαθάγγελος) – napisane ok. 1750 r. sławofilskie dzieło związane z literaturą profetyczną. Popularne na Bałkanach w licznych kopiach i przeróbkach.

[110](#) Najwyższy szczyt wyspy Tasos (1204 m n.p.m.).

## O

### „My, łacinnicy”

**Czwartek 24 lutego; według starego kalendarza: 11 lutego (ciąg dalszy poprzedniego notatnika):** Pogoda wciąż niestabilna. Przez całą drogę od Igumenitsy do Salonik nie przestawał padać deszcz. W ostatnich dniach pojawiło się jasne słońce, takie samo jak w Toskanii. Podczas tej podróży, podobnie jak podczas ostatnich dwóch, zdarzyły się różne nieprzewidziane rzeczy. Byłem świadkiem śmiesznego zdarzenia (...) przed dworcem autobusowym w Chalkidiki. Karies dzień za dniem traci swój duchowy charakter. Wciąż otwierają sklepy przypominające kościelne supermarkety. W restauracji, w której zatrzymałem się na obiad, wąsaty kelner nagle mnie zaczepił: „Lorenzo? Co to za imię?”. Uśmiechnąłem się do niego i ofiarowałem mu ostatnie jabłko, jakie miałem ze sobą z Montepulciano. Posiliłem się talerzem manestry i sałatką ziołową.

Przybył ojciec Gelasios i zabrał mnie. Uprzejmy jak zawsze, bardzo się uradował na mój widok. Chciał się dowiedzieć, co słyhać u ojca Emiliano. W czasie drogi nie oparł się pokusie i zapytał, czy podjąłem decyzję, by przechrzcić się na prawosławie. Zręcznie skierowałem rozmowę na inne tory, pytając o najnowsze wieści. Czułem się szczęśliwy, że wróciłem. Wszyscy zgadzają się co do tego, że Święta Góra jest dla wszystkich prawosławnych twierdzą ich wiary. W konsekwencji potrzeba wejścia w kontakt z Kościołem Wschodnim jest usprawiedliwiona, jako że stanowi on część Ciała Chrystusa.

Przepełniony tymi myślami, w pewnej chwili ujrzałem z góry monaster Stawronikita. Kolejne godziny spędziłem na spotkaniach z różnymi ojcami. Przekazywałem wszystkim braciom pozdrowienia z mojego zakonu. Wcześniej rano zabrałem się do posługi. Wieża została wysprzątana i była ogrzewana naczyniem z rozżarzoną węglą, które nazywa się mangali. Na stole leżał zestaw narzędzi, a w teczce oprawionej w skórę, w szafce, manuskrypt, tak jak go zostawiłem przed osiemnastoma miesiącami.

**Niedziela 20 marca (według nowego kalendarza):** Podczas Jutrznii zbliżył się do mnie ojciec Josif i wyszeptał: „Niechaj Bóg rozjaśni twe ciemności!”. Podziękowałem mu za życzenie skinieniem głowy. Przepisuję letni

harmonogram według czasu świeckiego, który zaczął obowiązywać od wczoraj:

3.00 Nabożeństwo o północy, Jutrznia, Małe Godziny (Pierwsza, Trzecia, Szósta), Boska Liturgia do około 7.15

8.00 Prośba do Przenajświętszej

8.30 pierwszy posiłek

9.00 posługi wewnątrz monasteru i poza nim

16.30–18.30 Dziewiąta Godzina, Wieczernia, posiłek, Powieczерze

20.15 czas wolny

22.00 spoczynek

2.00 pobudka

Podczas wczorajszej wieczerzy, jako że była sobota, podano koliwo<sup>111</sup>, które przypominało obraz malarski. Z kolei wino można porównać z chianti.

Gdy rozmawiałem z igumenem o różnych sprawach monasteru, rzekł do mnie: „Igumenem Świętej Góry jest Przenajświętsza”. Uznałem to za pretekst i wygłosiłem przed nim mowę o żeńskim zakonie, który znajduje się w odległości kilku minut drogi od naszego klasztoru. Odprawiają z nami Jutrznię i Mszę Świętą, podczas gdy w innych kwestiach zakonnice prowadzą życie autonomiczne. Nasz przeor jest bardzo surowy, jeśli idzie o ten temat. Igumen zdumiał się i odrzekł, że w takich kwestiach potrzeba daleko idącej uwagi. Zgodziłem się z nim. Spotkanie zamknęło się na dyskusji o świętej Klarze i głębokich duchowych więzach, jakie miała ze świętym Franciszkiem.

Co do rękopisu, składającego się w całości z papieru z jedwabnika, zaczęły się pierwsze trudności, znane także uprzednio. Na stronie dziesiątej brakuje całych siedmiu linii, a na dwunastej kolejnych sześć jest trudnych do odczytania. Trudności sprawia mi także skomplikowana różnorodność kształtów litery „rho”. Znajduję miejsca, które nietrudno błędnie zinterpretować. Potrzeba wielkiej uwagi przy renowacji.

**Środa 23 marca:** W czasie wczorajszej Wieczerni tutejsi bracia poprosili mnie, bym zaśpiewał po łacinie. Ojciec Gerwazy, przekomarzając się, powiedział, że pewnie już zapomniałem ten język, jako że studiuje język grecki, a zwłaszcza starogrecki. Wzruszony na wspomnienie moich braci w zakonie, zaśpiewałem „Gloria”. Na końcu zgromadzenia wszyscy ojcowie wyrazili pochwałę zachodniego sposobu śpiewania psalmów.

Odpowiedziałem im, że istnieją jeszcze piękniejsze tropariony, które mogą nakłonić człowieka do skruchy.

Do monasteru dotarła wiadomość, że Filip z Anglii, jako że był prawosławny, i syn Karola zakupili skit w południowej części Świętej Góry. Poruszenie wśród mnichów ogromne. Spędziłem wieczorne godziny, rozmyślając nad ustawieniem jadalni, które wygląda następująco:

(5) ..... (2) ..... (3)

(1) ..... (2)

(6) ..... (2) ..... (4)

(1) Tutaj siedzi igumen. (2) Stoły mnichów. (3) Stół dla nowicjuszy. (4) Miejsca dla gości (wśród nich także dla mnie). (5) Ambona dla lektora. (6) Wielki świecznik siedmioramienny, bardzo podobny do żydowskiej menory.

W porze posiłku jeden z mnichów głośno czyta fragmenty z pism Ojców Kościoła. Mają na to taki pogląd, że także w porze jedzenia umysł winien radować się nabożnymi słowami. Wraz z końcem posiłku igumen i pozostali mnisi wstają, ustawiają się w szpaler i pochylają się, a ich ciała tworzą dwa rzędy, między którymi wychodzą goście. Odbywa się wówczas jakby wyrażanie skruchy z powodu ubogiej gościny, jaką oferują. Tak właśnie tłumaczą ten zwyczaj.

**Wtorek 29 marca:** Znowu pada deszcz. Nie mam nastroju, żeby pracować nad manuskryptem. Pozostałem w celi, modląc się i rozmyślając nad sporem między dwoma Kościołami. Powody rozejścia się ogniskują się na Filioque<sup>112</sup> i nieomyślności biskupa Rzymu jako następcy apostoła Piotra. Tutejsi mnisi zachęcają mnie, bym się przechrzczył na prawosławie, jako że wierzą, iż my, katolicy, jesteśmy heretykami. Dyskusje z nimi nigdy nie przyniosły żadnego rezultatu. Poprzednim razem pragnąłem pokłonić się przed jednymi świętymi relikwiami, ale ojciec Cyprian mi tego zabronił. Później dowiedziałem się, że dostał reprimendę od igumena, i zmartwiłem się. Bardziej przystępny od innych wydaje się ojciec Nifonas, który poprosił mnie kiedyś, abym mu przywiózł trochę ziemi z miejsca męczeństwa apostoła Piotra albo z katakumb, by mógł oddać pokłon. Rzeczą tę zrobiłem z wielką radością. Przeprowadziłem z nim pewną interesującą rozmowę. Jego poglądy koncentrują się na fakcie, że Zachód wierzy w rozum, z kolei

Wschód w Ducha Świętego. Jego argumentacja jest dość dobra. Biegunowym przeciwieństwem Nifonasa jest ojciec Gedeon. Wczorajszego wieczoru wezwał mnie do swojej celi. Spośród wielu fotografii i ikon, które są przyklejone do ścian, pokazał mi jedną, przedstawiającą męczeństwo mnichów w czasach, gdy patriarchą Konstantynopola był Bekkos. On właśnie, jak utrzymywał ojciec Gedeon, sprzymierzył się w trzynastym wieku z katolikami, aby zjednoczyć oba Kościoły. W rzeczy samej, zostało wysłane wojsko na Świętą Górę, aby wygubić mnichów, którzy byli przeciwnikami jego polityki. W monasterze Kutlumusiu zostało zabitych trzynastu mnichów i drugie tyle w Zografu. Opowieść ojca Gedeona skończyła się przekleństwami miotanymi na Watykan, ale i na Turków, którzy okupują Konstantynopol. Z podeksycytowania nie mogłem zasnąć. Być może to jest także powód mojego dzisiejszego fatalnego stanu psychicznego.

**Piątek 1 kwietnia:** Wczorajszego ranka odwiedziłem w chacie ojca Joachima. Jego zdanie: „Pan czuwa, nawet gdy wierny śpi”, towarzyszyło mi w owej godzinie. Dyskutowaliśmy o wielu kwestiach religijnych. On sam przypomniał sobie czasy, gdy był młody i żył z pięcioma innymi mnichami nowicjuszami i starcem w pewnej jaskini w Karuliach. Wiedli niezwykle ciężkie życie. Dźwigali na plecach jedzenie i drewno. Każdej nocy przez dziesięć godzin ćwiczyli się w modlitwie rozumu, tak zwanej wewnętrznej modlitwie<sup>113</sup>. W Wielki Post jedli tylko mąkę zmieszaną z wodą i połykali na surowo nieprzeżutą fasolę. Podupadli na zdrowiu. W kolejnych latach zbiegli do monasteru i ich stan znacznie się polepszył. Poprosił mnie, bym mu udzielił informacji, w jaki sposób my pościmy w zakonie i czy istnieje szansa, żebyśmy wyrazili skruchę i zostali prawosławnymi. Ponadto ofiarował mi błogosławiony chleb<sup>114</sup> i święconą wodę, które trzymał od trzech lat schowane zawsze w tym samym pojemniku. Zapytał mnie o manuskrypt. Wszyscy wiedzą, że odkrył go ojciec Gedeon. Zrelacjonowałem mu postęp prac, ale i trudności, zapewniając, że zasadniczy sens przepowiedni – gdyż właśnie o nią tutaj chodzi – nie zmieni się za sprawą renowacji, której poddaję rękopis. Dzięki mojemu własnemu wkładowi, ale przede wszystkim dzięki łasce Pańskiej, tekst wkrótce będzie nadawał się do czytania. Słuchał mnie z zadowoleniem. Spożywaliśmy orzechy włoskie, a potem dał mi starą latarkę, bym bezpiecznie przeszedł przez las w czasie drogi powrotnej.

**Poniedziałek 11 kwietnia:** Wczorajszy dzień zbiegł się z postrzyżynami jednego mnicha. Przyjął wielką schimę, jako że przez ostatnie dwa lata pędził żywot „mnicha riasoformego”<sup>115</sup>. Uroczystość trwała około trzech kwadransów. Młody mnich był bosy i miał na sobie długą białą koszulę. Następnie został odziany w mnisze szaty, schimę z krzyżem, pas, habit, sandały i „kukol oraz skufię”<sup>116</sup>, czyli kaptur z czapą. Przyjął imię Szymon, gdy obcięli mu trzy kosmyki włosów. Igumen wygłosił specjalne kazanie o powrocie zbłąkanego na ojcowskie łono.

**Sobota 16 kwietnia:** Noc minęła spokojnie, ale dzisiejszy dzień zaczął się ciężko. Wszyscy są wzburzeni. Bracia są wstrząśnięci potwornym zdarzeniem: w monasterze dokonano morderstwa. Ofiara zaś to... Boję się wyznać. To kobieta. Wszyscy są przerażeni obecnością kobiety w monasterze. Sądzą, że sprawcą tej zbrodni jest mnich Nifonas. W tym miejscu pragnę wyznać swój własny grzech i zarazem poprosić o przebaczenie.

Już od jakiegoś czasu zacząłem podejrzewać, że coś dziwnego dzieje się z Nifonasem. Przede wszystkim za sprawą jego licznych i natarczywych pytań na temat żeńskich zakonów. Przeszła mi przez głowę myśl, że przytrafiło mu się coś niechrześcijańskiego. Wielekroć modliłem się, by Nifonas odnalazł swoją drogę. Jednakże nie chciałem posunąć się do dalszych podejrzeń. Ani także, co oczywiste, mówić o nich jakiemuś innemu mnichowi. Prosiłem tylko, żeby – podobnie jak święta Klara została oświecona przez świętego Franciszka – w ten sam sposób został oświecony Nifonas. Niestety, moja modlitwa nie została wysłuchana. Albo jestem zbyt mały na tego rodzaju wielkie błagania, albo rzeczony zdarzenie wykracza poza modlitwę zwykłego zakonnika. Jedynie Pan może to wiedzieć, żaden człowiek. Czy byłby prawosławnym, czy też katolikiem.

<sup>111</sup> Koliwo – gotowana pszenica (kasza albo ryż) z dodatkiem bakalii (rodzynek, migdałów, suszonych śliwek, orzechów). Przynoszone do świątyni przez wiernych w pierwszą sobotę Wielkiego Postu.

<sup>112</sup> *Filioque* (łac. *i od Syna*) – podstawa sporu teologicznego między prawosławiem a katolicyzmem, związanego z pochodzeniem Ducha Świętego.

<sup>113</sup> Wewnętrzna, inaczej: mentalna modlitwa (*noera prosefchi* [*noera proseuche*], *νοερά προσευχή*) – zwana też Modlitwą Serca.

<sup>114</sup> *Antidoron* (*αντίδωρον*) – chleb poświęcony, ale niekonsekrowany.

<sup>115</sup> Obecnie w większości monasterów, zgodnie z tradycją studycką, mnich riasoformy,

czyli noszący habit, zwany riasą (gr. *raso*, ράσο), po krótkim okresie może zostać wypromowany na wielkiego schimnika.

[116](#) Kukol (*kukuli*, κουκούλι), skufia (*skufia*, *skufos* – σκούφια).



π

## WIELKI POST

Drewniana podłoga... Deski długie, wąskie i zniszczone... Zapach wapna... Na wieszaku czarne ubranie... Na przeciwległej ścianie korona cierniowa... I Ukrzyżowany... Przyćmione światło z okna... Drwa trzeszczące w płomieniach... Znów spojrzenie w podłogę: krawędź jakiejś szmacianej narzutki, znoszone pantofle, brzeg jakiejś walizki... Ale i zapach kadzidła...

Poczuła, że robi jej się niedobrze. Próbowwała odwrócić się na bok. Wyciągnęła rękę z pościeli i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Mimo wszystko nie czuła się najgorzej, nie było niczego, co by ją denerwowało. Gdzie się jednak znajdowała? Co to był za pokój? A jej matka? Dlaczego matki nie było obok niej?

Spojrzała teraz z większą uwagą. Zaraz przed nią ściana pełna świętych obrazków. W oknie światło stało się jakoś intensywniejsze. Potem się zdziwiła; w nogach łóżka ujrzała Nifonasa siedzącego na niskim taborecie. Jego ciało zgięte było wpół, oczy zamknięte we śnie. W dalszym ciągu nie rozumiała. Naraz przypomniała sobie wszystko: walizkę w ręce, miasto Kawalę, HOTEL JA ON, Łódź, Ipsarion, które nie było Ipsarion, mroźną noc, jeszcze chłodniejszy murek... Znajdowała się więc... Czy wszystko z nią dobrze? A może widziała to w jakimś śnie?

W tej chwili Nifonas otworzył oczy. Gdy tylko zobaczył, że się obudziła, wstał natychmiast z miejsca i podszedł do niej. Wydawał się zaniepokojony.

– Jak się masz? Jak się czujesz?

Położył dłoń na jej czole. Cofnął ją, zadowolony. Nie, nie miała gorączki. Poukładał pościel, kołdrę i dwa koce.

– Co się stało?

W jej głowie wciąż jeszcze kotłowały się różne obrazy. Podobnie liczne i pomieszane były pytania, które chciała mu zadać: co się zdarzyło na morzu, jak to się stało, że zamiast na Tasos znaleźli się na Górze, jak dotarła do jego celi...

– Leżałaś dwie doby z wysoką gorączką. Majaczyłaś. Bałem się, żebyś przypadkiem nie... Teraz jednak już z tobą lepiej, prawda? Czujesz się lepiej?

Usiadł na skraju łóżka i próbował się do niej uśmiechnąć. Ona do niego też. Włożyła w to całą siłę i wyciągnęła rękę, by odnaleźć jego dłoń. Gorące dłonie, wilgotne palce, uścisk, który poświadczał miłość obojga. Teraz jednak musieli pomyśleć o tym, co dalej począć. Było bowiem oczywiste: musi minąć kilka dni, może nawet wystarczy jeden, aż Domna dojdzie całkiem do siebie, to bardziej niż konieczne. Nawet przez chwilę nie powinni jednak zapominać (zwłaszcza Nifonas), że popełnili czyn straszny i bezprawny: pogwałcili w najgorszy możliwy sposób nienaruszalny zakaz Świętej Góry. Przy pierwszej okazji Domna powinna odejść z uświęconej ziemi. Razem z Nifonasem powinna udać się do przystani, wsiąść na łódź i wyruszyć – choćby i sama – w drogę morską. Czyż nie to właśnie powinno się stać? Czy nie naprawiliby w ten sposób swojego bluźnierczego czynu?

W ustach czuła pogorzeliśko. Z tęsknotą spojrzała na szklankę. Pewnie Nifonas nabierał z niej wody i zwilżał jej wargi, gdy miała gorączkę. Natychmiast zrozumiał, czego pragnie. Przysunął jej szklankę do ust i pomógł wypić kilka łyków.

– Przygotować ci coś gorącego?

Skinęła głową, „tak”. Została sama. Mogła teraz przyjrzeć się spokojnie pokojowi. A więc to tutaj Nifonas spędza dni i noce... Pewnie tutaj się modli, odprawia pokutę i inne swoje chrześcijańskie obrzędy... Na tym łóżku siedzi nocami i rozmyśla o latach, gdy był świecki, gdy był dzieckiem... Pewnie zostawia tutaj swoje myśli, by biec także do niej. Do niej i do owocu, który w niej dojrzewa.

Nifonas wrócił bardzo szybko. Trzymał kubek naparu z szaławii i tackę z dwiema kromkami chleba. Domna musi coś zjeść, żeby nabrać sił. Tylko w ten sposób uda jej się stanąć na nogi. Będą mogli oddalić się z uświęconego, ale i zabronionego miejsca. Tasos znajduje się tuż obok, naprzeciw nich. Tam czekają ludzie, by przygarnąć nową rodzinę. Choć nie była ona święta.

Potoczyły się blade godziny dnia, minęło południe, nadszedł wieczór, zapadł lutowy zmierzch, na dobre zapadła noc. Wcześniej ustalili, że o tej porze opuszczą celę i zjedną w stronę przystani, do łódki Domny. Wreszcie czuła się dobrze, nie było nic, co by jej dokuczało, ani gorączka, ani słabość.

Pewnie było około godziny dwudziestej trzeciej według czasu świeckiego, gdy dwa cienie odkleiły się od bocznych drzwi monasteru i ruszyły szybkim krokiem po brukowanej ścieżce. Trzymali się za ręce, ale ich strach był tak

wielki, że niemal nie oddychali. Nifonas znał dobrze okolicę (gdzie są zagłębienia erozyjne, gdzie kamienne wybrzuszenia) i dzięki temu nie byli narażeni na niebezpieczeństwo potknięcia się albo upadku. Zostało im jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów do celu, gdy Domna gwałtownie stanęła.

– Spójrz!

Z małego lufcika przystani sączył się drżący promień światła. Nifonas również przystanął zaskoczony. Co się dzieje? Kto tam jest o tej porze?

Podkradli się i stanęli przed wielką dwuskrzydłową bramą. Ostrożnie zerknęli przez szparę. Widok, jaki ujrzeli, był niezwykle osobliwy.

Na murku, na tym samym murku, na którym odpoczywała uprzednio Domna, rozsiadło się teraz dwóch mnichów. Trzymali w rękach po butelce malamatyny i od czasu do czasu podnosili ją i pociągali solidny haust. Gawędzili, przekrzykiwali się, zanosili śmiechem. Ich twarze oświetlała gruba świeca, którą przymocowali, skapując wosk na nadburcie PRZEWODNICZKI. Twarze im poczerwieniały od zimna i retsiny. Ich włosy, one też były w kolorze ognia. Zapewne byli to goście z jakiegoś innego monasteru, którzy dotarli spóźnieni, pewnie zastali zamknięte drzwi Stawronikita i wymyślili, że spędzą noc na przystani, w tymczasowym wyszynku. Nifonas nie znał ani jednego, ani drugiego. Wywnioskował tylko, że zapewne są Rosjanami. „Gierasimow”, tak w pewnej chwili starszy z nich zawołał młodszego.

W ten sposób minęło jakieś dwadzieścia minut. Domna przyłgnęła do Nifonasa. Poczowała, że znów ma gorączkę. Po drzeniu jej ciała on też to zrozumiał, ale nie mógł nic powiedzieć ani zrobić. Rosjanie sprawiali wrażenie, jakby zimno im nie przeszkadzało, jakby nie mieli żadnej innej potrzeby, ludzkiej lub boskiej. W istocie, wkrótce rozpoczęli śpiewanie – jedyne, czego im brakowało, to bałałajka. Niebawem wilgotna przystań przypominała atmosferą ich odległą ojczyznę – wypełniła się słowami i melodiami z ich rodzimych stron, pełnymi nostalgii obrazami z zaśnieżonej wioski, wspomnieniami o ukochanych bliskich znajdujących się tysiące kilometrów stąd. Słodkawa melancholia pieśni sprawiła, że Nifonas i Domna rozmarzyli się na chwilę. Jej myśli podążyły ku festynom, na które jeździła ze swoim ojcem muzykantem; jak dobrze jej tam było – często jej nogi same się rwały do tańca. Z kolei Nifonas przypomniał sobie centra rozrywki i zabawy studenckie, na których bywał z bratem i ich przyjaciółmi. Teraz

jednak znajdowali się tutaj, przed przystanią, całkowicie wbrew pierwotnemu planowi. Coś powinni zrobić. I to natychmiast.

Po jakichś dwóch godzinach wrócili do celi. Zmordowani, rozczarowani, niespokojni o to, co się może wydarzyć. Jedyne pocieszeniem było to, że gorączka Domny nie rosła. Nifonas zatroszczył się jednak o to, by przykryć ją grubą kołdrą, dorzucił też obficie drewna do piecyka. On sam przysiadł na taborecie. Zresztą wkrótce dadzą znak do jutrzni.

Zabrzmiął dźwięk obwieszający jutrznię, nastąpiła Boska Liturgia, która też w pewnej chwili się skończyła. Gdy tylko ciemność zaczęła się rozpraszać i wylaniało się światło dnia, Nifonas znalazł okazję i biegiem dotarł do celi. Domna spała spokojnie. Chwilę później, pochylony nad talerzem w jadalni, nie miał głowy do posiłku i myślał tylko o tym, jak zapewnić Domnie jedzenie. Ale i o tym, jak i kiedy znaleźć okazję do ucieczki z monasteru.

W południe igumen wysłał zawiadomienie do wszystkich mnichów, by zebrali się w sali, w której zwykle odbywali zgromadzenia. Nifonas, wchodząc do środka, jakkolwiek trochę spóźniony, zawahał się na chwilę, a potem szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Obok igumena, z jego prawej i lewej strony, ujrzał siedzących Rosjan. Teraz poważni, czysti i umyjni, ze spojrzeniem, z którego biła wyłącznie świętość i nabożność.

– Obecność dwóch braci ze wspólnoty monastycznej – tak rozpoczął swoje krótkie przemówienie igumen – jest zaszczytem dla monasteru Stawronikita.

Celem wizyty nie było nic innego, jak tylko pragnienie obu, by zrobić kopię ikony świętego Mikołaja Ostrygarza. Mieli gościć w monasterze około miesiąca. Kopię ikony mieli następnie przewieźć do swojej ojczyzny, do miasta Rostów Wielki, a tam inni artyści mieli zrobić tysiące kolejnych kopii, tak aby cudowna ikona weszła do domów niemal wszystkich Rosjan. Dlatego też jeszcze większy zaszczyt uczynili ich monasterowi, który w ten sposób zapewne stanie się sławny aż po krańce Syberii. W konsekwencji wszyscy powinni im pomóc z ochotą w każdej potrzebie i konieczności. Czy ktokolwiek z mnichów zgłasza może jakiś sprzeciw? Chce coś powiedzieć?

Z tylnych siedzeń usłyszano grzmiący głos Gedeona. Nie, żadnego sprzeciwu nie mieli, wszyscy powinni spojrzeć na nich oczyma miłości.

– Rosjanie to nasi bracia. Oni też są prawosławni, tak jak i my! – Wśród słuchaczy panowała całkowita cisza. – Przypomnijmy sobie o więzach, jakie nas łączą z tym narodem. Jak bardzo nam pomogli w trudnych czasach. –

I starzec zaczął przytaczać stare historie z czasów Bizancjum. Jak doszło do chrystianizacji Rusi, jak pomogli Stolicy w czasach ciężkich i w czasie oblężeń, jak oba narody skolidowały się dzięki ślubom książęcym. Igumen słuchał starca i uśmiech zadowolenia rozszerzał się na jego twarzy. Dobrze, że przynajmniej w tym przypadku uniknął sprzeczek i potyczek ze swoim „przeciwnikiem”. Od czasu do czasu pochylał się raz do jednego, raz do drugiego Rosjanina i coś im szeptał do ucha; zapewne tłumaczył gorące słowa Gedeona.

Jeśli Grecja pragnie pójść naprzód, tylko w Rosji powinna mieć sprzymierzeńca, ciągnął dalej tamten. Zwłaszcza teraz, gdy udało im się wygnać z głowy czerwonego potwora komunizmu. Po co im Europejczycy i łacinnicy? Czy można dojść do porozumienia z tymi liczygroszami? Nie mówiąc o Turkach! Czyhają tam, za naszymi granicami, gotowi, by rzucić się jak wilki i odebrać Trację i wyspy.

– Dlatego powiadam wam, jedynie Rosjan mamy w tym świecie za braci. Niech żyje Rosja! Niech żyją nasi bracia Rosjanie!

Tę scenę raz po raz przywoływał w myślach Nifonas następnego ranka, gdy kroczył przez las. Wcześniej skończyło się drewno, a Domna, w jej obecnym stanie, potrzebowała nie tylko jego troski, ale przede wszystkim ciepła piecyka. Na szczęście jej temperatura spadła jeszcze bardziej. W istocie, gdy w pewnej chwili Nifonas wrócił sprawdzić, jak się ma, zastał ją sprzątającą pokój. Pościeliła łóżko, poukładała jego rzeczy i uporządkowała swój tymczasowy mały świat. Nie mógł ukryć uśmiechu zadowolenia. Jednak w tej samej chwili jego serce zamarło na myśl: „Kobieta tutaj, na Górze...”.

Wszystko to wydarzyło się poprzedniego dnia. Teraz szybkimi krokami przemierzał las i dręczył się historią z Rosjanami. „Czy można równocześnie być pijanym i cnotliwym? Czy mogą dwaj zdegenerowani bracia wykonać takie natchnione przez Boga dzieło, jakim jest kopia świętej ikony?” Rozmyślał także nad uporem starca, by wywyższać wszystko, co prawosławne, pogardzając wszystkim innym lub przeklinając inne doktryny chrześcijańskie. Od dawna znał uprzedzenia starca, ale w ostatnim czasie to, co złe, przybrało niespotykane rozmiary. Choć wobec francuskich fotografów zachowywał się uprzejmie, „niech zobaczą, że Góra to współczesne Termopile prawosławia”, to jednak Nifonas drżał na myśl, że Gedeon z dnia na dzień ujawniał słowami lub czynami swoją niechęć

do innego oficjalnego gościa, franciszkańskiego zakonnika Lorenza.

Zagubiony w tym chaosie myśli, obaw i poczucia winy, nie zauważył ciemnej postaci, która wypadła nagle z krzewiastego zagajnika i przecięła mu drogę. Na początku wziął ją za dzikie zwierzę. Gdy tylko jednak czarny kształt wstał na nogi, zobaczył, że to nie kto inny, jak Arsenios we własnej osobie.

– A ty co tutaj robisz? Skąd się tu wzięłeś?

– Ruszyłem do celi Charidimosa, ale zgubiłem drogę.

Było jasne, że kłamie; cela Charidimosa znajdowała się dokładnie po przeciwnej stronie lasu. I jeszcze coś innego: gdyby miał taki zamiar, czy nie powiedziałby mu o tym, gdy wpadł na niego wcześniej przed katolikonem?

– Pewnie się zgubiłem... Nie wiem, co robić. Mogę pójść z tobą tam, dokąd idziesz?

Nifonas wzruszył ramionami, jednak był trochę niezadowolony. Coś go irytowało w zachowaniu Arseniosa; za każdym razem, gdy przyłapywał go na tym, że się na niego gapi, coś mrocznego i niewytłumaczalnego było w jego spojrzeniu. Oczywiście, nie zapomniał także o porannym zdarzeniu w bibliotece: jak tamten przerwał w połowie rozmowę i wypadł, jakby go ścigali.

Zaczęło siąpić. Założyli kaptury i szli dalej w milczeniu. Po kwadransie Nifonas przystanął. Wąwóz rozpościerający się przed nimi był odpowiednim miejscem do zbierania drewna, którego potrzebowali. Przez prawie godzinę Nifonas ciął sekatorem, a Arsenios układał drwa we wiązki. Tymczasem mżawka przeszła w regularny deszcz. Krajobraz był czysto zimowy, okolica pogrążona w najmroźniejszej ciszy. A co do nastroju Nifonasa...

W drodze powrotnej kroczyli obok siebie, niosąc na plecach wiązki drewna. Myśli Nifonasa podążały raz w kierunku Domny, raz do Rosjan i gniewnego Gedeona. A Arsenios? Ciekawe, co mu teraz chodziło po głowie?

Gdy tak Nifonas szedł pogrążony w myślach, w pewnej chwili zrozumiał, że Arsenios zbliżył się do niego, poczuł, jak dłoń młodego mnicha dotyka jego ręki. Zamurowało go, przeraził się. Od razu przypomniał sobie o owych mężczyznach, którzy... Ale nie, to przecież niemożliwe! Na wszelki wypadek zrobił jeden krok na bok i oddalił się nieco. Gdy teraz ukradkiem spoglądał na Arseniosa, dostrzegł, że jego twarz zrobiła się krwistoczerwona.

Słysząc było, jak stawia ciężkie kroki na błotnistej ścieżce, która wiodła ich z powrotem do monasteru i do ich codziennej męki.

W celi Nifonasowi nie udało się ukryć zmieszania, choć bardzo tego pragnął. Domna spytała go, czy dobrze się czuje, czy może w lesie przytrafiło mu się coś nieprzyjemnego. „Nic, nic”, odparł szybko, a następnie sprytnie skierował rozmowę na drugą próbę opuszczenia Góry, którą mieli podjąć tego samego wieczoru. Jednak nie nocą, ale o świcie, w porze jutrzni.

– Nifonasiu, może teraz ty masz gorączkę?

Próbował się do niej uśmiechnąć; po prostu już jest spóźniony. Czekając na niego posługa, Lorenzo się pewnie niepokoi.

Katolickiego zakonnika spotkał w kolumnadzie dziedzińca. Od dnia, w którym tamten przybył do monasteru, aż do teraz spotykali się o tej samej godzinie, a potem szli razem do ich wspólnej posługi.

– Witaj, Nifonasiu.

Odkłonił się lekkim skinieniem głowy. Z pęku kluczy wybrał największy i otworzył niskie drzwi. Gęsiego weszli po wąskich i stromych schodach, które wiodły do wieży Stawronikita. Przeszli pierwsze piętro, tam gdzie przechowywano szaty liturgiczne i wszelkiego rodzaju cenne naczynia, potem drugie z rypidami<sup>117</sup> z sześciokrzydłymi cherubinami i Ewangeliami ciężkimi od szlachetnych kamieni, i dotarli na trzecie, ostatnie – tutaj znajdowało się skryptorium i biblioteka. Jeszcze większym kluczem uniwersalnym (który razem z alarmem i kamerami był dodatkowym środkiem ochrony przed kradzieżą) Nifonas otworzył ciężkie drzwi i weszli do środka. Każdy zajął swoje miejsce: Nifonas przed półką z księgami leżącymi w nieładzie, Lorenzo przy wielkim stole, na którym czekał na niego przysparzający mu tylu problemów manuskrypt.

Biblioteka w Stawronikita była jedną z najbogatszych na Świętej Górze. Do jej skarbów zaliczano sto osiemdziesiąt jeden rzadkich manuskryptów, sześćdziesiąt jeden zwojów liturgicznych spisanych na pergaminie i ogromną liczbę ksiąg. Oczywiście, porównując kodeksy z liczbą, którą podał podróżnik Curzon w połowie XIX stulecia, „osiemset pergaminów i dwieście zwojów”, obecna wydawała się bardzo mała. Niszczycielskie pożary i kradzieże zdarzające się od czasu do czasu zrobiły swoje. Nifonas z zamkniętymi oczami wiedział, gdzie znajdują się Żywoty i Męczeństwa Świętych, Ewangeliarze, a na której półce Psalterz zawierający sto

pięćdziesiąt psalmów Dawida i dziewięć ód. Do najcenniejszych należał kodeks nr 50 z XIV wieku. Znajdowało się w nim wiele małych przedstawień ukazujących mnichów na drabinie Jana Scholastyka. Większość postaci zdawała się stąpać po ciałach kobiet, które nosiły imiona takie jak Gadulstwo, Donosicielstwo, Próżność, Chciwość. Inne kobiety nosiły dobre imiona i wspierały mnichów w ich dążeniu do Boga: Miłosierdzie, Milczenie, Łagodność, Prostota. Jednak, oczywiście, najcenniejszym manuskryptem biblioteki był ten, nad którym pochylał się teraz Lorenzo i zmagał się, by nadać mu pierwotną postać.

– Ach, Nifonasiu, żebyśmy nie zapomnieli. Przywiozłem ci to, o co prosiłeś.

Z zewnętrznej kieszeni wyciągnął i położył obok siebie mały płócienny woreczek. Nifonas chyba zapomnieli o zamówieniu, jakie złożył u brata franciszkanina podczas jego ostatniej wizyty, bo wydawał się zaskoczony. Szybko jednak sobie przypomniał. Wyciągnął rękę i wziął podarunek. Mieć trochę ziemi z woniejącego zapachem olejku grobu świętego Piotra – to nie było co!

Spędzili trochę czasu w milczeniu, pogrążeni w głębokiej koncentracji nad swoją pracą.

– Przepraszam, przyjdiesz na chwilę mi pomóc?

Z radością! Cieszyło go wyciąganie pomocnej dłoni do Lorenza, ilekroć tamten go wzywał. Chętnie mu pomagał w trudnym dziele naprawy prastarego manuskryptu. Taka bowiem była specjalizacja Lorenza: restaurował stare dokumenty i potrafił zarazem odczytywać specjalne skróty, ligatury, tachyografię. Za pomocą uchwyty trzymał teraz mały kawałek papieru i próbował go dopasować do strony. Nifonas naciągał jej krawędzie, czekając, aż Lorenzo znajdzie właściwe miejsce. Powoli i z uwagą w końcu sobie poradził i kawałek trafił tam, gdzie było jego miejsce. Następnie wyciągnął z tubki specjalny klej i rozprowadził go na rogach restaurowanej strony. Wydawało się, że litery idą jedna obok drugiej. Rzędy biegły równo i poziomo na całej stronie. Jak bardzo Nifonas chciałby móc czytać średniowieczne pismo i dowiedzieć się, co zostało spisane w tej księdze!

Krótko po południu ich pracę i spokój przerwało przybycie Elisaiosa. Na tacy, którą trzymał, znajdowała się karafka parującej herbaty i miska z oliwkami i chlebem. Przyniósł także najnowsze wieści z monasteru.

– Igumen zszedł do przystani i znalazł tam jakąś łódkę. Nie jest to jedna z naszych. Prosił mnie, bym cię zapytał, Nifonasiu, czy wiesz może, do kogo



należy.

Jakiś węzeł ścisnął mu gardło. Poczuł, że jego serce bije szybciej, nierytmicznie. Odnalazł jednak odwagę i pokiwał głową, „nie”. Dotarło do niego, jak niebezpiecznie skomplikowały się sprawy, zarówno dla niego, jak i dla Domny. Stracił ochotę na herbatę czy jakąkolwiek przekąskę, w przeciwieństwie do Lorenza, który brał kawałki chleba i zanurzał je w pachnącym naparze. Jedyne, co w jakiś sposób poprawiało Nifonasowi nastrój, pozwalając mu na chwilę o wszystkim zapomnieć, to dyskusja, jaką prowadził z zachodnim bratem na temat zakonów żeńskich w katolickich klasztorach. Rozmowę tę zaczęli już kilka dni wcześniej. Nifonas nieustannie pytał, niemal natarczywie, a Lorenzo szczegółowo opowiadał mu o tym osobliwym, ale i głęboko chrześcijańskim, cenobitycznym sposobie życia wspólnym dla obu zakonów.

„Doprawdy chrześcijańskim?”, zastanawiał się Nifonas, wchodząc późnym popołudniem po schodach do celi. Domna tym razem ani nie leżała, ani nie wykonywała żadnej pracy. Stojąc przed oknem, spoglądała na wzburzone Morze Egejskie. Tasos ginęło w chmurach. Podszedł do niej. Wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu. Odwróciła się do niego z uśmiechem. W jej oczach można było dostrzec cień melancholii. Albo też strachu. Otworzyła usta: „Jestem gotowa”. Spojrzeniem wskazała na mały tobołek, który mieli ze sobą zabrać o świcie, w chwili, gdy inni mnisi będą zgromadzeni na nabożeństwie jutrzni.

Dręcząco wolno potoczyły się kolejne godziny. Domnie udało się zamknąć oczy tylko na chwilę, a i to we śnie pełnym koszmarów. Nifonas chodził tam i z powrotem po celi, skrajnie zdenerwowany i pełen niepokoju. Nie chciał dać najmniejszego powodu do podejrzeń innym mnichom, pragnąc, by jego nieobecność na jutrzni, o ile to możliwe, pozostała niezauważona.

Ranek, godzina szósta. Ciemność zaczęła z wolna zmieniać się w barwę ciemnoniebieską. Wysoko na Athos niebo zapowiadało jasny bezchmurny dzień. Jednak Nifonas i Domna nie mieli głowy, by podziwiać to piękno, nie rozglądali się nawet. Szli naprzód szybko i mocno. Dotarli bez zwłoki do przystani. Otworzyli ją ostrożnie i weszli do środka. Domna poczuła radość i ulgę. Pozostało im jedynie wyciągnąć łódkę na zewnątrz i ruszyć na otwarte morze. Nifonas miał już wcześniej przygotowany tobołek z ubraniami i innymi rzeczami osobistymi, a teraz przygotowywał silnik. Wkrótce, niezależnie, jak wielką czułby gorycz z powodu tego, co za sobą

zostawiał, miało się dla niego rozpocząć nowe życie. Nie mogło być inaczej!

– Poczekaj chwilę, zaraz wracam...

Domna otworzyła boczne drzwi i pośpiesznie wyszła. W jej obecnym stanie wszystko było usprawiedliwione. Jednak zwlekała z powrotem, a jutrznia, w jakimkolwiek momencie była, już miała się ku końcowi. Nifonas chodził tam i z powrotem po przystani nerwowymi krokami. Przystosował raz po raz łódkę i nie wiedział, co ma myśleć o tej zwłoce. W pewnej chwili ujrzał, jak Domna wchodzi niepewnym krokiem i z pobladłą twarzą. Jej ręce zrobiły taki gest, jakby dostała mdłości.

– Krew... Zaczęłam krwawić...

Oboje wiedzieli, co to oznacza. Domna miała świadomość, że teraz, gdy zamierzali „wracać”, był to już koniec piątego i początek szóstego miesiąca, i być może dlatego pojawiło się krwawienie. Czuła jednak, że z jej ciążą dzieje się coś niedobrego. Nifonas zamarł w miejscu jak posąg. Nie wiedział, co robić, co powiedzieć, jak jej pomóc. Przeszła mu przez głowę tylko jedna myśl – jeśli Domna nie chciała stracić owocu ich miłości w swym łonie, powinna raczej odłożyć wyprawę i ucieczkę. A w konsekwencji musieli zapomnieć na tę chwilę o łodzi i zostawić na później opuszczenie Góry.

I tak się rzeczywiście stało. Wrócili do celi zdrętwiali, ze ściśniętym sercem. Domna natychmiast położyła się do łóżka. Była bliska płaczu, czuła, że ściska ją w żołądku. Już świtało. Był słoneczny dzień, odmienny od poprzednich. Pewnie wiosna sposobiała się do gwałtownego nadejścia. Domna starała się teraz nie robić gwałtownych ruchów, bała się nawet odwrócić na bok. Sparaliżował ją jakiś dziwny, można by rzec zwierzęcy strach. W pewnej chwili zdołała zamknąć oczy. Po obudzeniu się stwierdziła z radością, że znajduje się wciąż w tym samym miejscu. Gdy raz czy dwa razy poprosiła o wodę, zrobiła to na leżąco, tylko trochę unosząc głowę.

Nifonas również się bał. Jego strach był bardziej skomplikowany od lęku Domny. Przede wszystkim on również był roztrzęsiony na myśl, że mogłaby stracić to maleńkie życie, które nosiła w sobie. Bał się też o samą Domnę; co się teraz stanie? Ale niezależnie od tego wszystkiego dręczyły go poważne wyrzuty sumienia z powodu przysięg, które pogwałcił. Tężała w nim krew za każdym razem, gdy rozmyślał, w jaki sposób wyznać prawdę starcowi, gdy pójdzie do niego się wyspowiadać.

Z takimi obawami i w całkowitym bezruchu minęły kolejne cztery dni, może nawet pięć. Przez cały ten czas Nifonas troszczył się, by Domnie

niczego nie brakowało. Gorących napojów, ciepłych nakryć, ognia tłącego się w dzień i w nocy, czułych słów, by ją natchnąć odwagą i cierpliwością, wszystko było do jej dyspozycji. Ona z kolei uspokajała go, że czuje się już dobrze, że już nie krwawi. Czasem pozwalała sobie na płacz, łązy swobodnie ciekły z jej oczu, zwłaszcza gdy Nifonas schodził do katolikonu albo szedł do swoich posług, a ona zostawała sama w celi. Wówczas chwycił ją żal, że życie, minione i obecne, tak szorstko się z nią obeszło. Radziła sobie jednak i wkrótce dochodziła do siebie. Jej wybranek był odziany w habit, ale czy jest na całym świecie ktoś lepszy i czulszy niż on? Mężczyzna, który nad przysięgi złożone Bogu przedkładałby przysięgę miłości do niej? Człowiek bardziej uprzejmy i godny szacunku od Nifonasa? „Jakby był aniołem. Aniołem zesłanym z nieba na ziemię”.

Mniej więcej to samo odczuwał także Nifonas względem Domny. Jest południe i stoi on w tej chwili schylony nad garnkiem w kuchni. Jest udręczony bombardującymi go pytaniami: ciekawe, czy usłyszał ich któryś z braci w sąsiednich celach? Czy Domna pamiętała o tym, by zamknąć drzwi? Do czego doprowadzi ta sytuacja? Czy sprawy pójdą gładko? I czy Gedeon poprosi go, by się wypowiedział?

Znów skoncentrował się na zawartości garnka. Dołożył jeszcze trochę pszenicy i zamieszał wszystko. Dodał opiekanego chleba, cynamonu, goździków, cukru i rodzynek. Potem przysmażonego sezamu, który wcześniej ubił w morderzu. Gdy mieszanka zaczęła wrzeć, dorzucił dwie skórki suszonej pomarańczy i migdałów. Po jakimś czasie powstała z tego papka, która pięknie pachniała. Nifonas ostrożnie przełożył ją na głęboki talerz, zgasił ogień i przygotowywał się, by podać Domnie wielkopostne asure.

Kuchnia znów pograżyła się w ciemnościach i spokoju. Tylko słodka woń w powietrzu ujawniała, co działo się wcześniej. Nie minęło wiele czasu, a z ciemnej niszy za szafkami wychynął cień, który zbliżył się do kuchenki. Przez chwilę Arsenios pozostawał niewidoczny w ciemnościach. Potem z wolna ruszył ku wyjściu. Wystawił ostrożnie głowę i starał się dojrzeć, dokąd, do jakiego brata spieszył Nifonas, by mu przynieść wyborny posiłek.

[117](#) Rypidy (z gr. *Rypidion* – wachlarz) – przedmioty o znaczeniu liturgicznym, metalowe krążki, czasem w kształcie kwadratu albo gwiazdy, ozdobione wizerunkami sześcioskrzydłych (gr. *eksapterigo*, εἰσπτερυγο) serafinów, zamocowane na drążkach.

**P**

## **„Wiem, kto jest winny!”**

Na początku pragnę oświadczyć, że przychodzę złożyć zeznania z własnej inicjatywy, bez niczyjej namowy. Przyczyną jest to, że znam prawdę o tym, co się stało. Przede wszystkim jednak chcę panu powiedzieć, kim jestem i jakie prace tutaj wykonuję. Nazywam się Ananias Kalibaridis, pochodzę z Nea Madito i podjąłem się wykonania prac związanych z restauracją nowego skrzydła monasteru...

.....

Tak, to o mnie pisały gazety. W całej historii chodziło o koszty i wynagrodzenie. Przetarg sięgnął trzystu tysięcy euro i wygrała go moja firma, choć za konkurentów miałem szakali przedsiębiorców z Aten i Salonik. Do rzeczy jednak. Prace, o które chodzi, zaczęły się półtora roku temu i jak dotąd, chwała Bogu, idzie nam dobrze. Naturalnie, mamy pewne trudności, ale mnisi są cierpliwi i pomagają nam we wszystkim, o co ich prosimy. Najlepszy z nich jest igumen. Niezrównany człowiek! Wykształcony w Ameryce, z otwartym umysłem. Ja razem z chłopakami z warsztatu mieszkamy w dwupiętrowym domu obok monasteru. W sumie osiemnaście osób. Wszystko szło dobrze, aż do wczoraj, gdy stało się to, co się stało...

.....

Gdzie byłem wczoraj wieczorem? Spędzałem czas w towarzystwie chłopaków. Upiekliśmy parę śledzi i popijaliśmy wino. Kto by się odważył wystawić nos z domu w taką ulewę! O szczegółach dowiedziałem się wcześniej rano. Wpadłem na ojca Euzebiusza, który opowiedział mi o wszystkim ze szczegółami. Stałem z otwartymi ustami. Podobnie jak inni, oczywiście. Zamurowało mnie to nieszczęście, które spotkało biednego Nifonasa...

.....

Dlaczego tak o nim mówię? Właśnie dlatego jestem tutaj, panie policjancie. Żeby wam opowiedzieć, co wiem o zdarzeniu. A zwłaszcza żeby i pan się dowiedział, jaką uknuto intrygę, żeby obciążyć Nifonasa. Nie jestem jakiś

wczorajszy ani nie jestem dzieckiem. Znam się na ludziach i znam życie lepiej niż ktokolwiek inny tutaj. Co więcej, jednym rzutem oka potrafię człowieka przenicować! Niełatwo mnie oszukać. To nie przypadek, że w Madito nazywają mnie Poirot. Moje oczy są jak peryskop, mój umysł jak brzytwa...

.....

W porządku, przechodzę do rzeczy. Z Nifonasem znam się niemal od pierwszych dni na Górze. Przybył do Jerissos i pomógł mi przewieźć swoją łódkę – wie pan, że ma łódkę, prawda? – pomógł mi więc przewieźć pudła z narzędziami, gdy urządzaliśmy plac budowy. Człowiek chętny do pomocy i życzliwy. Nie posępny, jak wielu innych, ani wycofany, jak jego starzec. Umiarkowany w słowach, a w czynach szlachetny. Nie został moim przyjacielem, ale mam do niego wielki szacunek. Gdybym któregoś dnia miał potrzebę się wypowiedzieć, poszedłbym do niego, do nikogo innego. Tak właśnie jest. Tylko jeden raz zaskoczyło mnie jego zachowanie, aż mnie zamurowało. Było to w połowie zimy. Dokładnie nie pamiętam kiedy. W każdym razie owego dnia spadło dużo śniegu. Jechaliśmy unimogiem z Karies i znalazłem go leżącego na ziemi, prawie nieprzytomnego, w śniegu. Zawieźliśmy go do Stawronikita. Prawdę mówiąc, od Nifonasa zionęło wtedy tsipouro. Był kompletnie pijany...

.....

Nie, nie zapytałem go. Skąd mam wiedzieć, jakie troski i sekrety kryją w sobie mnisi! Nie są takimi samymi ludźmi jak my? W każdym razie, w ostatnim okresie widziałem jakieś podejrzane ruchy za jego plecami...

.....

Co na przykład? A więc po kolei. Po raz pierwszy usłyszałem, że namawiają się przeciwko niemu, od jakiegoś mnicha z innego monasteru. Było to wówczas, gdy przyszli tutaj bracia Tomasz i byli goszczeni przez mnichów ze Stawronikita. Nifonasowi przypadł pewien Rosjanin z pochodzenia, z okolic Kawali. Pewnego wieczoru usłyszałem, jak się skarżył na niegościnność i przykry charakter Nifonasa. Że jest „przycięzki” i nie da się z nim łatwo zaprzyjaźnić. A co najgorsze, że Nifonas ciągle myśli o zewnętrznym życiu. Ściśle rzecz biorąc, tamten sugerował, że przy najbliższej okazji Nifonas zbierze się i ucieknie. Nakłaniał go bowiem, aby

wciąż mówił mu o Kawali i co wie o Tasos. Denerwowało go to ciągle upieranie się przy świeckich tematach. Był pewien, że z dnia na dzień Nifonas może zrzucić habit i wrócić do życia w zewnętrznym świecie...

.....

Nic wam to nie mówi, prawda? Niech pan jednak posłucha dalszego ciągu, panie policjancie. Na wszystko to nadstawiał uszu i słuchał tego z wielką uwagą jeden wróg Nifonasa. Tak, tak! Dokładnie tak, jak mówię: wróg! Kim on jest? O którym mnichu teraz mówię? Niech mi pan powie, czy przyszedł tutaj złożyć zeznania taki grubasek bez brody? Nazywa się Arsenios. Od niedawna jest w monasterze. Zajął miejsce Nifonasa w służbie Gedeona. Ach, co to jest za gad! Nie będę się nad tym rozwodzić, żeby Pana nie znużyć, przechodzę od razu do sedna. Posłucha pan i zrozumie jego charakter i naturę. Dzięki temu, co powiem, zgodzi się pan ze mną, że za wszystkim kryje się Arsenios. Pomijam już uwagę, z jaką przysłuchiwał się słowom Rosjanina, gdy tamten mówił o Nifonasiu. Pomijam także coś innego; szepty i wymowne uśmiešky, które mnisi robią za jego plecami, jakoby Arsenios był... Rozumie pan, co chcę powiedzieć. Otóż pewnego ranka, jakiś czas temu, zanosło mnie do lasu, tam, gdzie znajduje się kapliczka Przenajświętszej Matki Boskiej Kukulizy. Miejsce jest niedostępne, prawdziwa puszcza, gdzie nie przebija się słońce. Rzadko można spotkać mnicha, który by się wspinał po tamtym zboczu. Udałem się tam, bo chciałem zobaczyć, jak wygląda z góry nowy dach, i chciałem mu zrobić zdjęcia. Gdy dotarłem na miejsce, usłyszałem rozmowę. Zdziwiłem się i przystanąłem. Podszedłem bliżej i co widzę? Leżący na ziemi Arsenios, cały zapłakany. Mówił głośno. Minęło sporo czasu, zanim dotarło do mnie, że przemawia do Przenajświętszej...

.....

Tak, pamiętam. Niezbyt dokładnie, ale co nieco. Otóż prosił Matkę Boską, by go ocaliła przed jakąś pokusą. Że zмага się z nią, próbuje ją pokonać, ale mu się nie udaje. Że chce się od niej uwolnić raz na zawsze. Opuścił jeden monaster, ale to znowu nic nie pomogło, próbował modlitw, umartwień i innych tego typu rzeczy. Potem przez jakiś czas trwał w bezruchu. W pewnej chwili podniósł głowę i wstał. Pobiegł szybko i objął kapliczkę. Wyglądało na to, że jest już w innym nastroju. Jakby znalazł to, czego szukał. I wtedy powiedział...

.....

Dokładnie pamiętam to, co powiedział. Tak wielkie wrażenie zrobiły na mnie jego słowa. Powiedział: „Dziękuję Ci! Tak, wyrzucę Nifonasa całkowicie ze swojego życia, pozbędę się go! Zrobię tak, jak mi mówisz, poradzę sobie. Dziękuję Ci, moja Przenajświętsza!”.

.....

Właśnie to powinniśmy teraz ujawnić. Skoro znamy podstawową przyczynę nieszczęścia, pozostaje nam wykryć, jak udało się Arseniosowi złapać Nifonasa w pułpkę. To znaczy, gdzie znalazł kobietę i w jaki sposób po kryjomu umieścił ją w celi Nifonasa, a następnie zamordował. A wszystko po to, by go obciążyć winą i wygnać z monasteru. By grzesznik się uratował, a inny człowiek, niewinny, został zniszczony. Dlatego też, panie policjancie, niech mi pan powie, co powinniśmy zrobić, jestem do pana dyspozycji.

σ

## PIERWSZY WIENIEC

## POZDROWIENÍ<sup>118</sup>

Raz rozmawiali po grecku, raz w swoim własnym języku. W większości przypadków mieszały rosyjskie słowa z greckimi, tworząc zdania, z których ktoś – gdyby uważnie nadstawił uszu – mógłby wyłapać jakiś sens. W każdym razie wyglądało na to, że dręczy ich jakiś wielki problem. Obaj wydawali się sceptyczni; rozprawiali i gestykulowali, jakby musieli w owej godzinie podjąć decyzję co do czegoś bardzo ważnego. Jednak tym, na co nie zwracali najmniejszej uwagi, była ikona. Mieli rozłożone farby i pozostałe przyrządy malarskie, ale stali odwróceny plecami do sztalugi rozstawionej naprzeciw natchnionej przez Boga ikony świętego Mikołaja Ostrygarza. Od jakiegoś czasu w pustej świątyni obu mnichów zajmował tylko jeden problem.

Co to był za problem?

Na tyle, na ile Gedeon mógł dosłyszeć, rozmowa dotyczyła kwestii, kto ma zostać igumenem w monasterze Świętego Pantelejmona. Ostatnio starzec z własnej woli zaofiarował się, że podejmie się posługi przy świętych relikwiach. Miał czyścić srebrne relikwiarze, skrapiać je wonnościami i wystawiać do pokłonu dla odwiedzających. Tym sposobem także dzisiejszego dnia zszedł ze swojej celi do katolikonu. Wchodząc do przedsionka, przystanął. Z wnętrza świątyni docierały rozmowy Rosjan. Początkowo się ucieszył. „No proszę, bracia pracują z zapalem, dyskutując o swojej sztuce!”, pomyślał zadowolony. Usiadł na chwilę, żeby, choćby w ukryciu, radować się duchowością sceny. Jednak z wolna zaczął rozumieć, że grubo się pomylił. Jaka duchowość i jakie religijne zainteresowanie! Jedyne, co zajmowało dwóch Rosjan, to był problem, by igumenem w ich monasterze nie został jakiś Ukrainiec o nazwisku Wasiliew.

To fakt – mówił jeden, a uzupełniał drugi – że w ostatnich latach Ukraińcy zdobyli większość głosów w Pante. Stosunek był jeden do trzech; jeden Rosjanin i trzech mnichów z okolic Kijowa. Czyż w konsekwencji nie było to logiczne, że będą chcieli mieć za igumena Ukraińca? Tak – ciągnęli swoją



argumentację Gierasimow z „wujkiem” – ale Pantelejmon był od zawsze rosyjskim monasterem. Przybyło tutaj w czasach Piotra Wielkiego i pędziło mniszy żywot około siedmiu tysięcy Rosjan. Wielu Europejczyków wówczas mówiło, że car znalazł okazję, by stworzyć na Morzu Egejskim wielką bazę floty (odwieczne marzenie Rosjan). Oczywiście, dla wzmocnienia argumentacji w tej grecko-rosyjskiej rozmowie obaj domniemani malarze ikon wymieniali także między sobą płaską butelkę koniaku. Raz po raz zmieniała ona ręce i trafiała w ich złąknione usta.

Gedeona aż zamurowało. Czego innego spodziewał się po Rosjanach, inaczej wyobrażał sobie ich postępowanie i związki ze sztuką. Jeśli poprosił wszystkich mnichów, by pomagali w ich dziele, było tak dlatego, iż niezachwianie wierzył, że Rosjanie to bratni lud, naród współtlotny greckiemu. Teraz jednak widział coś nie do opisania i słyszał rzeczy niesłychane: że powinni otrzymać zgodę z Fanaru, aby odwrócić sytuację i wysłać więcej rosyjskich mnichów; że coś takiego będzie trudne, gdyż relacje Bartholomaiosa z Aleksiosem są złe; że Wasiliew jest człowiekiem Szatana; że wszyscy Ukraińcy mają nie po kolei w głowie z powodu Czarnobyli; że jeśli spróbują podjąć się przewodzenia monasterowi, będą musieli przejść po ich trupach. A wszystko to zaprawiali alkoholem, plecami odwróceniu do świętej ikony.

Gedeonowi krew uderzyła do głowy. Nie przeszkadzało mu tak bardzo to, że się pomylił w ocenie, ale w większym stopniu fakt, że rozumiał, iż w ostatecznym rozrachunku niebezpieczeństwo dla prawosławia pochodziło z samego jego wnętrza. Pewnego dnia prawosławni z całego świata wydlubią sobie oczy swoimi własnymi rękami. Był gotów im to powiedzieć. Ścisłej rzecz biorąc, podejść blisko i wykrzyknąć, żeby zaprzestali domowych sporów i pojednali się; by uczynili pokój w swoim monasterze; by wszyscy zrozumieli, że wrogiem jest Turek i łacinnik; i wreszcie, by zabrali się do swojej pracy, a nie zajmowali się niepotrzebnie sprawami przeznaczonymi dla wyżej postawionych osób.

Z powodu przyplýwu odwagi, ale i zamętu, który zapanował w jego głowie, Gedeon nie oszacował należycie swoich kroków i, schodząc z ławy, potknął się. Padł jak długi na posadzkę przedsionka. Rosjanie, zaskoczeni i wystraszeni hałasem, odwrócili głowy. Gdy ujrzeli starca leżącego na podłodze, natychmiast podbiegli, by go podnieść. Pomogli mu wstać, pytając, czy się potłukł i gdzie. On jęczał z grymasem bólu na twarzy. Mógł

jednak pokazać im lewe biodro. Być może doznał jakiegoś poważnego urazu, pęknięcia albo złamania.

Trzymając Gedeona pod pachami, wnieśli go powoli do celi. Położyli starca do łóżka, a następnie starszy mnich poprosił o pozwolenie przyjrzenia się ranie. Uważnie wymacał uderzone miejsce i stwierdził, że kość raczej nie doznała urazu. Cały ból pochodził ze stłuczenia. Zapewne ciało zsinieje i sińce się rozszerzą. I to wszystko. Krótko mówiąc, udało mu się ustrzec przed najgorszym. Rosjanie zatroszczyli się o niego tak, jak umieli, a następnie Gedeon posłał ich po Nifonasa i Arseniosa. Niech się pośpieszą, by zaopiekować się swoim starcem. Natychmiast! Potrzebował ich.

Był jeszcze marzec, a w marcu jak w garncu. Temu miesiącowi ufać nie można. Czemu więc miałyby zaufać Rosjanom? Do licha, co to za pory roku, nikomu innemu prócz Najwyższego i Przenajświętszej nie można ufać!

Gedeon był wściekły i zwał winę na cały świat.

Pierwszy przybył Arsenios.

– Co się stało, ojcze? Co się stało?

Odpowiedział mu warknięciem. Wyjaśnił, co się wydarzyło, pokazując uderzoną nogę. Nowicjusz stał oszołomiony. Co miał robić? Jak o niego zadbać? Jak zatroszczyć się o starca, który jęczał z bólu i miotał się na łóżku jak zraniony byk?

Pozostałe godziny, aż do pojawienia się Nifonasa, Gedeon spędził, pojękując, a Arsenios wśród cebuli. To było lekarstwo, o które poprosił starzec. Nie chciał, żeby wzywali Synesiosa ani kogokolwiek innego. Arsenios udał się do kuchni, wziął całą wiązkę cebuli, obrał je, pokroił na duże kawałki i wrzucił do moździerza, a w tym czasie z jego oczu lały się strumienie łez. Następnie przełożył tę papkę w białe płótno, którym uważnie owinał stłuczone biodro starca. Tak mu kazał zrobić, a podwładny wykonał polecenie bez słowa sprzeciwu. Gedeon czekał, aż gorąco wydzielane przez cebule „wyciągnie zapalenie ze stłuczonego miejsca” i powstrzyma „martwą krew przed rozprzestrzenianiem się po całej nodze”. Niestety, dodatkowa przykrość była taka, że starzec musiał obnażyć dość wysoko biodro, żeby Arsenios mógł przyłożyć kompres; w ponad dziewięćdziesięcioletnim życiu Gedeona nikt prócz matki nie widział ukrytych części jego ciała. Teraz jednak znalazł się w sytuacji przymusowej!

Wraz ze wspomnieniem matki przysły mu do głowy także inne obrazy, gdy był chory albo miał jakiś wypadek w dzieciństwie, jak był uczniakiem

i stawiali mu bańki, jak innym razem leciała mu krew z głowy po bitwie na kamieniu na podwórku w Asi Gonia albo jak mu dali do picia mleko oślicy, żeby mu przeszedł kaszel krztuścowy...

Nagle otworzyły się drzwi. Do środka wpadł zdenerwowany Nifonas.

– Co ci się stało, ojczy? Jak się czujesz? Powiedzieli mi, że...

Odpowiedział jęknięciem pełnym bólu i skargi. Ból był szczery. Skargę wyraził, by zaznaczyć, że pamięta o obojętności, jaką ostatnio okazywał mu Nifonas, zaniedbując nawet sakrament spowiedzi.

Nifonas zrozumiał. Podszedł do niego i pierwsze, co zrobił, to położył ze współczuciem dłoń na jego spoconym czole. Serce Gedeona zaczęło mięknąć; Arseniosa z kolei było miotane sztormem. Każdy z nich inaczej interpretował czułość Nifonasa, niewinną i szczerą. Jeden uznał ją za wyraz przeprosin i skruchy. Inny wyobraził sobie swoje własne czoło. Albo też inne miejsce.

Całe popołudnie, aż do wieczora, Nifonas spędził, wędrując między swoją celą a celą Gedeona. Czasem szedł zobaczyć, co słychać u Domny (jak mógłby się nie niepokoić po ostatnich wydarzeniach?), czasem zaś chciał się dowiedzieć, czy przykuty do łóżka starzec ma jakieś pragnienia. Oboje potrzebowali jego obecności; Domna, by jej pomógł przy jedzeniu i przy innych potrzebach ciała, starzec, żeby stwierdzić, że podwładny jeszcze o nim nie zapomniał, nie porzucił go, że nadal pozostaje posłusznym pomocnikiem w jego starczym życiu.

Wczesnie rano następnego dnia Nifonas poprosił zarówno Domnę, jak i Gedeona o wybaczenie. Dzisiaj przez kilka godzin, prawie do popołudnia, będzie nieobecny, nie może im służyć pomocą. Tego dnia miał odebrać skrzynki z książkami wysłanymi do Stawronikita przez Świętą Komisję, dzięki którym biblioteka monasteru miała się wzbogacić.

Samochód ciężarowy z Karies dotarł zaraz po pierwszym posiłku. Wyładowanie książek, a następnie wniesienie ich do wieży zabrało Nifonasowi ponad trzy godziny. Lorenzowi, który oferował pomoc, uprzejmie podziękował. Rola gościa w monasterze była inna, nie odbył tak długiej podróży po to, by dźwigać pakunki! Gdy skończył, zbliżało się już południe. Usiadł na chwilę, żeby odpocząć i ochłonać. Z zamkniętej karafki nalał dwie szklanki wody. Jedną zabrał i bezgłośnie postawił obok Lorenza. Ów podniósł oczy i uśmiechnął się, dziękując mu. W bardziej sprzyjającej chwili pewnie zaczęliby pogawędkę o świętej Klarze i zakonach żeńskich.

Dziś jednak pierwszeństwo miały książki i tylko one.

Otworzył pierwsze kartonowe pudła. Mniej więcej wszystkie nowe książki, czy to albumy, czy wydania papierowe, były na temat Świętej Góry. Mapy i przewodniki po nawiedzanych przez Boga monasterach, reprinty starych manuskryptów, osobiste świadectwa i wizje wiekowych starców, książki o sztuce kucharskiej mnichów, ale także i tomy z psalmami, którym towarzyszyły płyty CD – wszystko to stanowiło zawartość pudeł.

„Ale dlaczego nie wysłali także innych książek?... Książek o świecie zewnętrznym?”, zastanawiał się Nifonas i natychmiast doznał poczucia winy. Kimże on był, by krytykować innych? Ostatecznie był tylko prostym rybakiem.

Kiedy otworzył trzecie z rzędu pudło, jego oko zatrzymało się na dziwnej okładce. Naturalnie, książka była na temat Świętej Góry, ujawniał to zresztą jej tytuł. I właśnie tutaj pojawiała się dziwna sprawa: na zdjęciu zamieszczonym na okładce przedstawionych było trzech mnichów, z których jeden trzymał zapalonego papierosa. Tak, papierosa!

Wziął książkę. *NA GÓRZE ATHOS – fragmenty z dziennika pewnego malarza*, to był jej tytuł. Autor: Theodoros Rallis. Oddalił się do kąta pomieszczenia, obok skrajnego okna. Lorenzo zajęty był gazami, klejami i uchwytami. Panowała całkowita cisza. Otworzył na pierwszej stronie i zaczął czytać.

Książka opowiadała o podróży artysty na Górę w początkach sierpnia 1885 roku. Zaczynała się od modlitwy wiernych muzułmanów, płynących na statku: „la ilaha illa Allah...”<sup>119</sup>. Wyposażony w listy polecane, dźwigając tubki z farbami, malarz dotarł do Karies, gdzie spędził noc. Odwiedził po kolei kilka monasterów (Watopedi, Esfigmenu, Zografu, Pawłu, Kutlumusi); z jednych miał dobre wrażenia, z innych nie. Podróż zakończyła się po piętnastu dniach. Wrócił na ten sam statek przy wieczornej modlitwie muzułmanów rozbrzmiewającej w jesiennym powietrzu.

Gdy Nifonas zaczął czytać, oprócz papierosów, które palili mnisi, inne trzy elementy zrobiły na nim wielkie wrażenie.

Pierwszym z nich była kara dla jednego z mnichów. Za pewien błąd lub jakiś grzech, który popełnił, igumen wyznaczył mu karę – stał wyprostowany przez całych osiem dni, z rozkrzyżowanymi rękami przyczepionymi do dwóch palików na ścianie. Inny mnich z kolei, siedząc w kucki

na podłodze, obserwował go i równocześnie głośno mu czytał święte teksty, by mu ulżyć w bólu.

„Pomyśleć, jaka kara mnie czeka, jeśli wyjdzie na jaw, że...”, przyszło do głowy Nifonasowi i się wzdrygnął.

Drugim elementem, który wywarł na nim wrażenie, był przypadek mnicha, którego umysł dręczyły uporczywe idee. Jego myśli natrętnie nawracały do wspomnień o rzeczach zmysłowych. Oprócz tych sprośnych obrazów nieszczęśnik mamiony był dniem i nocą wizją jakiejś ukochanej dla niego osoby. Pod wpływem owego widzenia czasami miotał się po wełnianych pośłaniach lichego łóżka, a czasem biegł całować Ukrzyżowanego z takim obłędem, że ranił sobie wargi i usta.

„I ja tak skończę...”, wyszeptał Nifonas i zmroziło go na myśl o życiu bez miłości, życiu udręczonym szaleństwem umysłu.

Ostatnią rzeczą, jaka sprawiła, że Nifonas zaniemówił, była strona sto dziewięć. Przeczytał ją ponad trzy razy. Jak gdyby nie mógł się nasycić gorzką prawdą, jaka jawiła się w słowach. A na tej stronie napisane były następujące zdania:

„Pewnego pięknego ranka angielski kuter zbliżył się do Watopedi. Dwóch mężczyzn w nieokreślonym wieku, którym towarzyszył pozbawiony zarostu młodzieniec, wysiadło na ląd i weszło do monasteru.

Zostali przyjęci z otwartymi ramionami, zwiedzili świątynię, skarbiec, bibliotekę, zostali poczęstowani małym deserem. Następnie, oczarowani wizytą, zostawili w świątyni datki i wrócili na swój statek. Pogoda zmieniła się w burzową, owego wieczoru nie mogli podnieść kotwicy. Następnego ranka jeden z mnichów, który łowił ryby w pobliżu, na małym cyplu niedaleko kutra, spostrzegł dwóch Anglików spożywających posiłek na mostku w towarzystwie pewnej kobiety.

Biegnie, by przekazać tę wieść do monasteru, mnisi kierują na kuter lunety i rozpoznają w tej kobiecie owego młodzieńca, który towarzyszył Anglikom. Natychmiast powstaje zamęt w monasterze. Rozbijają na kawałki talerze, których użyli, by tamtych poczęstować, palą krzesła i stół w sali dla gości, a gdy już wyheblowali podłogę, wybielili ściany i raz jeszcze pomalowali drzwi i okna, na końcu pokropili święconą wodą drogę prowadzącą do monasteru”[120](#).

„Mój Boże, jak wielkim jestem grzesznikiem!”, pomyślał przerażony

Nifonas i odwrócił wzrok od tekstu. Oczywiście, nie potrzebował czytać książki, by się dowiedzieć, jaki wstręt odczuwają mnisi na myśl o obecności kobiet na Górze. Po prostu ten epizod jeszcze jaskrawiej oświetlił jego własny haniebnny czyn. Był plugawcem, grzesznikiem, kreaturą. Na dworze zaczęło szarzeć. Dzień się miał ku końcowi i zapadał zmrok. Za sprawą zajęć i przez czytanie stracił poczucie czasu. Wrócił, by zobaczyć, co robi Lorenzo. Lorenza jednak nie było. Musiał być tak pochłonięty lekturą, że nie zauważył, kiedy franciszkanin wstał i bezgłośnie wyszedł z biblioteki.

Jakieś pół godziny wcześniej Gedeon podejmował w celi niespodziewanego gościa. Był sam. Arsenios zszedł na wieczernię, otrzymawszy uprzednio jego błogosławieństwo. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, zmuszony był zakrzyknąć z łóżka, że ktokolwiek to jest, niech swobodnie wchodzi. Zdziwienie, jakiego doświadczył na widok Lorenza, można było porównać tylko ze zdumieniem, gdy Francuzi zapytali, czy mogą go sfotografować. Lorenzo zbliżył się do łóżka i wyciągnął rękę.

– Proszę mi wybaczyć, ale właśnie się dowiedziałem o tym strasznym wydarzeniu. Jak zdrowie?

Gedeon trzymał w stwardniałej dłoni białą rękę łacinnika i nie wiedział, co odpowiedzieć. Podziękować mu za jego zainteresowanie? A może lepiej szybko opowiedzieć, jak to się stało, że upadł i się poobijał, a potem odprawić go, by sobie poszedł z błogosławieństwem Matki Boskiej?

– Dobrze, mam się dobrze – odrzekł i skinął mu głową, żeby usiadł na taborecie obok niego. Najpierw mówili o wypadku i o tym, jak na każdym kroku trzeba uważać, potem rozprawiali o pogodzie: „do góry nogami, nie do przewidzenia, nie zanosz się na to, żeby się uspokoiła”, o igumenie (coś bez związku i obojętnego), a potem rozmowa zeszała na Nifonasa: jak dobry i użyteczny jest w bibliotece, jaki pracowity. To był most, który sprowadził dyskusję na manuskrypt. Było rzeczą zupełnie naturalną, że Gedeon będzie zainteresowany; to on go znalazł i przekazał igumenowi, i dzięki temu zapoczątkował cały ciąg następujących po sobie zdarzeń.

– Dobrym pytaniem jest, w jakim miejscu jesteście teraz, bracie? Co robicie?

Większości z tego, co inni nazywali „restauracją manuskryptu”, Gedeon nie rozumiał. Jednakże ciekaw był się dowiedzieć, co było napisane w tej zjedzonej przez mole księdze, którą znalazł pod posłaniem starca Laurentiosa dzień po jego śmierci. Sam podjął się wysprzątania celi. Był to jeden

z najstarszych zwyczajów w Stawronikita: gdy któryś z mnichów odchodził do królestwa niebieskiego, najstarszy w monasterze porządkował celę, czyścił ją, a następnie przekazywał pomieszczenie temu mnichowi, którego uznał za najbardziej odpowiedniego. Tak samo było z Laurentiosem. Tyle że tutaj czekała na Gedeona wielka niespodzianka. Początkowo wziął ją za książkę z psalmodiami. Bądź za jakąś księgę z żywotami świętych. Podobną do tych, mniej więcej, jakie wszyscy mnisi mają obok siebie, gdy kładą się do łóżka, żeby poczytać i pomarzyć o tym, że oni także pewnego dnia mogą zostać świętymi. Jednak gdy Gedeon zaczął ją kartkować i przebiegł wzrokiem przez pierwsze linijki, zrozumiał, że to coś zupełnie innego. Nie było tak dlatego, że od początku do końca napisano ją jakimiś mikroskopijnymi, posklejanymi literami podobnymi do wszy. Liter nie rozumiał wcale, wydały mu się obce. Pewnie w niektórych miejscach mól albo jakiś inny owad dobrze wykonał swoją robotę. „Na miłość Boską!”, rzucił i zamknął księgę zagniewany. Następnego dnia udał się do igumena i przekazał mu ją. Ów będzie wiedział... był uczony, studiował w Ameryce. Jego mądrość, wielka sprawa!

– A więc co nowego? Jak idzie z księgą?

Lorenzo spodziewał się tego pytania. Zarówno igumen, jak i Nifonas mówili mu o Gedeonie – każdy za pomocą innych słów, oczywiście, i innych określeń. Dlatego też teraz poczuł, że jest mu winien informację.

– Chodzi o stary tekst. Dokładna datacja na razie się nie powiodła. Jednak szacujemy, że księga powstała w XVI albo XVII wieku. Prace postępują z trudnościami, jako że w wielu miejscach strony są zniszczone. Pracujemy dzień i noc i sądzę, że osiągniemy dobre rezultaty. Zasadniczy sens udało nam się ustalić. Chodzi o pewną przepowiednię...

Gedeon zareagował tak, jak zareagowałby każdy mnich znajdujący się na jego miejscu: wybałuszył oczy i, mimo bólu w biodrze, lekko uniósł się na łóżku. Czy dobrze usłyszał? Chodzi zatem o prorocstwo? Jakie? O czym mówi?

Widząc starca w takim uniesieniu, Lorenzo pomyślał, że go uspokoi, mówiąc, że przepowiednie to jakby bajka. Że prawdziwy chrześcijanin nie powinien w nie wierzyć. Większość z nich, jeśli nie wszystkie, zostały spisane przez ludzi innej epoki, przez mnichów, którzy wierzyli, że mogą przewidzieć przyszłość. Mieli wrażenie, że są natchnieni przez Boga; że spłynęła na nich Łaska Boska i mieli wizje, co się może wydarzyć

w nadchodzących czasach. Oni jednak, to znaczy Lorenzo ze swoim zakonem i cały Kościół zachodni, nie przykładają żadnej wagi do przepowiedni, które od czasu do czasu wychodzą na światło dzienne. Byłoby dobrze, gdyby człowiek prawdziwie wierzący nie przykładał wagi...

– Ale co też mówisz! – przerwał mu Gedeon podniesionym głosem, jakim się gani nieposłusznego dzieciaka. – Gadaj rychło, co mówi prorocstwo. Zamieniam się w słuch!

– I wzrok... – uzupełnił cicho i nieco szyderczo Lorenzo, gdy tak spoglądał na starca, całego poczerwieniałego, z oczyma, które niemal wyszły z orbit.

– Mówi wiele rzeczy – zaczął tajemniczo. – Większość stronic odnosi się do tego, jak doszło do rozłamu Kościoła. Obszernie mówi o osławionej schizmie. – Zrobił małą pauzę, czekając na jakąś reakcję Gedeona. – Wspomina o wszystkich strasznych wydarzeniach z dziejów Cesarstwa Bizantyńskiego. Spory i wojny domowe. Jednak największą część zajmuje zdobycie Konstantynopola. – Starzec drgnął, wydając z siebie głębokie westchnienie. – Cytuje hymny i pieśni związane z upadkiem Stolicy<sup>121</sup>. Autor tekstu, bolejąc nad tym tragicznym wydarzeniem, na końcu dochodzi do sformułowania przepowiedni.

– Na miłość Boską! Powiedzże wreszcie, byśmy i my usłyszeli! – Ekscytacja Gedeona sięgnęła szczytu, już dłużej nie mógł wytrzymać.

Lorenzo skrzyżował ręce na piersiach. Zatrzymał przez dłuższą chwilę wzrok na ikonach na ścianie za plecami starca.

– Mówi ona, że niebawem nadejdzie dzień, w którym Konstantynopol znów będzie grecki. Wróci w ręce chrześcijan, Turcy zaś wycofają się aż do samego wnętrza Azji.

Nie słychać było nic poza trzaskiem drew w piecyku. Lorenzo zwrócił spojrzenie w kierunku sędziwego mnicha, starzec ciężko westchnął. Przez chwilę franciszkanin myślał, że może mu się coś stało. Sprawiał wrażenie człowieka rażonego piorunem. Jakby miał przed sobą jakiś obraz Apokalipsy lub jakby stanął twarzą w twarz z Aniołem Pańskim. Przez głowę Lorenza przeszła myśl, że trzeba go zapytać, czy dobrze się czuje, czy może potrzebuje jakiejś pomocy.

– A więc to tak? – Z ust Gedeona dobył się szept. – Mówi, że zdobędziemy Miasto...

Lorenzo nie wiedział, co mu odpowiedzieć, i dlatego wolał kiwnąć głową



takim ruchem, który nie oznaczał ani tak, ani nie. Starzec podniósł się i usiadł na krawędzi łóżka. Jego wzrok wędrował poza okno, pewnie ruszył w drogę nad Bosfor. Wkrótce doszedł do siebie:

– A kiedy się to w końcu stanie? Coś mówiłeś, że niebawem...

– Tej kwestii jeszcze nie wyjaśniliśmy. Dokładamy starań, by został naprawiony fragment manuskryptu, który wymienia dokładny rok, ale także mówi o tym, kim będzie człowiek, który poprowadzi taką wyprawę zbrojną.

Czy on go słuchał? Czy nie słuchał? Gedeon poczuł dreszcz przechodzący od stóp do głów. W jego wyobraźni ożywały obrazy, które miały się stać rzeczywistością: krzyż w Hagii Sophii, w Blachernai<sup>122</sup> biało-niebieska flaga, barbarzyńcy wypędzeni ze Stolicy, a oni powracający znów do Azji... Twarz starca miała teraz spokojny wyraz. Jeszcze trochę i wykrzyczałby z całą mocą swojej duszy: *Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu*<sup>123</sup>.

– Tak więc Miasto znów stanie się greckie! – rzekł i ukrył twarz w dłoniach, jakby był gotów zapłakać ze wzruszenia. Nie minęło kilka sekund, gdy doszedł do siebie i miał już inne pytanie:

– A czy przepowiednia mówi coś o tym, kto będzie zwycięskim dowódcą?

Lorenzo zdawał się zakłopotany. Wyglądało na to, jakby nie chciał mu odpowiedzieć. Coś go powstrzymywało przed mówieniem o bohaterze tej przyszłej chwały. Był jednak zmuszony do ujawnienia tego, co wiedział. Jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że kolejne słowa wstrząsną starcem, w jego uszach zabrzmiały jak jakiś straszny paradoks. Wziął głęboki oddech:

– Ten... To znaczy człowiek, który dokona... Ów... Ów, któremu przypadnie coś takiego, narodzi się... Nie wiem, jak to powiedzieć, waham się!... Przepowiednia utrzymuje – przynajmniej na podstawie tego, co udało nam się dotychczas odczytać – że człowiek, o którym mowa, narodzi się... Narodzi się tutaj...

– Jak to „tutaj”? – zapytał zdumiony starzec, a niejasne podejrzenie, które zaczęło w nim rosnąć, odrzucił jako absurdalne.

Lorenzo chrząknął. Może bał się powiedzieć całą prawdę? Może ten tutaj starzec wstydziłby się usłyszeć taką niewiarygodną opowieść, którą miał mu przekazać? Serce się w nim ścisnęło, czuł, że wargi uparcie odmawiają mu posłuszeństwa.

– Mówże wreszcie, mój chrześcijaninie! – nakłaniał go Gedeon, ale i on sam miał ściśnięty żołądek. Pewnie już coś zaczął podejrzewać.

– Tutaj... W Ogrodzie Bogurodzicy... W Sadzie Przenajświętszej...

Zapadła przeraźliwa cisza. Dwóch mężczyzn spoglądało sobie prosto w oczy. Jeden jakby winny, drugi zaś jakby przeklęty.

Gedeon nabrał siły i wstał. Kuśtykając, podszedł do miejsca, w którym stał Lorenzo. Tamten powstrzymał go, niepewny, jakie zamiary ma starzec.

– Chodzi o to, co wam, ojcze, wcześniej powiedziałem. Nikt nie powinien przykładać wagi do przepowiedni. Dowodem są właśnie te fantasmagorie. Czy nie należy się śmiać z takiej fantastycznej i dziwacznej treści?

Gedeon nie tylko się z nim zgodził, ale i sam zrozumiał ogrom zniewagi. Dobra i święta przepowiednia o zdobyciu Miasta. Złota i dająca nadzieję wizja z greckimi wojskami w Stolicy. Ale poród!... Poród na Górze!... Jakim cudem? Jak mógł ów chrześcijanin wbić sobie do głowy taką potworność? Skąd mu przyszło do głowy, by prorokować coś takiego? Niewiasta – tutaj? Poród – tutaj?... Chryste Panie, Matko Boska! *Postaw, Panie, straż moim ustom!*<sup>124</sup>

Starzec zbliżył się do zakonnika na odległość oddechu. Na jego twarzy i w jego ruchach widać było wściekłość. Podniósł rękę i chwycił go za ramię. Był gotów nim potrząsnąć, jakby to Lorenzo zawinił, był autorem przepowiedni, był tym człowiekiem, którego słowa zbrukały Górę i jej tysiącletnią tradycję. Gedeon zrozumiał nietakt i zawstydzony zabrał rękę. Nadal jednak trząśł się z wściekłości.

Lorenzo nic nie mówił. Co miał zresztą powiedzieć? Rozumiał gniew starca, on sam jednak nie był niczemu winny. „Przepowiednie to nic dobrego, nic dobrego!” Swój obowiązek jednak wykonał, a nawet więcej: odwiedził też niedołęznego starca i zdał mu relację z treści rękopisu. Może nadszedł czas, aby powrócić do biblioteki i do swojej trudnej pracy?

– Pozwólcie mi wrócić do moich obowiązków. Wszystkiego dobrego, ojcze. I powrotu do zdrowia!

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Chwileczkę! – zatrzymał go Gedeon tuż przed drzwiami. Lorenzo odwrócił się i spojrzał na niego. Starzec miał teraz inne pragnienie:

– Czy możesz przepisać i przynieść także do mnie tę starą przepowiednię?

Oczywiście, zresztą miał do tego prawo. Starzec w jakiś sposób był jej właścicielem, przecież to on ją odkrył. Lorenzo uśmiechnął się uprzejmie do Gedeona, obiecał mu, że stanie się to tak szybko, jak tylko możliwe, a potem pożegnał go po raz drugi.

Gedeon wycedził coś na kształt błogosławieństwa. Potem zobaczył, jak łacinnik odwraca się do niego plecami i wychodzi z celi. Drzwi się za nim zamknęły. Znowu pozostał sam. Sam i zdenerwowany. Co za dzień dzisiaj! Wypadki, odkrycia, przepowiednie... Jak by było pięknie, gdyby przepowiednia była połowiczna! Gdyby mówiła tylko o ponownym zdobyciu Miasta, a nie przez kogo zostanie zdobyte bądź – to niesłychane! – gdzie ma się ów człowiek narodzić. Poczuł gulę w gardle. Spróbował się pomodlić. Na próżno. Jak by było dobrze mieć z kim podyskutować o tym wszystkim, posłuchać jakiejś innej opinii. Nie, nie Arsenios. Jest jeszcze młody i niedoświadczony, dzieciuch. Ale Nifonas... Z Nifonaszem da się rzeczowo podyskutować. Jest rozsądny i ma dojrzałe słowa w ustach. Teraz jednak zapewne znajdował się w katolikonie. Od jakiegoś czasu było słycać dźwięk gongu wzywającego mnichów do świątyni. Dziś zaczynały się Pozdrowienia i oprócz niego złożonego w łóżku nikogo innego nie mogło zabraknąć na nabożeństwie.

Tak też w istocie było. Od jakiegoś czasu, niczym smukłe cienie, mnisi ze Stawronikita wchodzili do przedsionka, nabożnie całowali ikony, a potem każdy udawał się do swojej ławy i siadał. Od tego dnia, przez pięć kolejnych piątków, mieli się modlić do Przenajświętszej, Matki wszystkich ludzi. Już odśpiewali chóralnie jednym głosem: *O, Waleczna Hetmanko, zwycięską wdzięczności pieśń*, a ojciec Theodotos gotowy był zaśpiewać Pierwszy Ikos: *Archanioł z nieba posłan był, by „Witaj” Matce Boga rzekł*.

Nabożne uniesienie ogarnęło wszystkich mnichów razem z Nifonaszem. Siedząc w ciemnej ławie, modlił się, choć jego umysł wcale nie był spokojny. Rozmyślał raz o tym, raz o tamtym, jego myśli biegły ku Matce Boskiej, innym razem ku Domnie. Usiłował całym sobą oddać się świętości chwili. Odtworzył w myślach całą sekwencję Akatysty, by móc skoncentrować uwagę. Zaczął przywoływać dwadzieścia cztery ikosy, czyli tyle, ile jest liter alfabetu. Za każdą stasis, zawierającą liczne pochwalne „Witaj”, szła kolejna z kilkoma wersami kończącymi się jednym prostym „Alleluja”. W ten sposób miały minąć cztery pierwsze piątki, aż nadejdzie dzień Akatysty. Cały ten hymn pochwalny o poczęciu Dziewicy, brzemienności i o połogu Nifonasz znał i recytował z pamięci. Tak więc wielokrotnie, gdy łowił ryby, śpiewał wersy takie jak te: *Czyż łono moje dziewicze może począć i porodzić Syna?* albo: *Witaj, błędu depcząca szaleństwo* czy też: *Chciał Symeon opuścić ziemi tej marność*, zawsze kończąc niezrównanym: *Witaj, Oblubienico Dziewicza*.

Mimo wieczornego chłodu na czole poczuł pot. Jak strasznie pogmatwało się jego życie! Jak wielkim był grzesznikiem! Jak ma się wydostać z tego labiryntu? Pochylił się jeszcze bardziej i pogrążył w błaganiach kierowanych do Matki Dziewicy.

Taki sam zamęt w głowie, jednak z innych powodów, odczuwał także Gedeon. Rosjanie i ich plugawe postęпки, wypadek i ból w stłuczonych miejscach ciała odeszły już do przeszłości. W tej chwili liczyło się jedno: przepowiednia wznieciła pożar obejmujący całe jego jestestwo. Jak miód zmieszany z gorzkim lekiem, taki był jej smak, za każdym razem, gdy o niej myślał. Słodyczą wypełniała się jego dusza, gdy przywoływał obraz Stolicy z biało-niebieską flagą. W tej samej jednak chwili czuł, że pokrywa się brudem za sprawą świętokradczego i bezbożnego podejrzenia, że Góra może zostać splugawiona obecnością kobiety. Nie wiedział, w co wierzyć, co myśleć, co robić. Poczul przyływ odwagi. Nie trzeba mu było dużo czasu, nie myśląc o bólu, wstał z łóżka. Kuśtykając, zbliżył się do okna. Nieprzenikniony mrok, żadnego dźwięku. Nagle przeszło mu przez głowę: „Zostawię mu wiadomość!”.

Powłócząc potłuczoną nogą, wyszedł na korytarz. Odczuł zadowolenie na myśl, że podzieli się ze swoim dawnym podwładnym interpretacją przepowiedni. Przeciął zadaszoną werandę, skręcił w stronę nowego skrzydła, przeszedł przed zamkniętymi drzwiami innych pokoi i znalazł się przed celą Nifonasa. Zamierzał mu zostawić jakiś oczywisty znak, aby tamten, gdy tylko wróci, natychmiast przyszedł się z nim spotkać. Zdjął czapkę z głowy, żeby ją włożyć w drzwi. Zawsze go powiadamiał w ten sposób: Nifonas widział czapkę i rozumiał, kto go szuka, więc bez zwłoki przychodził na spotkanie. Zawiesił czapkę na gałce drzwiowej, ale gałka się odchyliła i drzwi się otwarły. Zapomniał je zamknąć, biedaczek.

– Nifonasi! – zawołał i otworzył je jeszcze szerzej. Wszedł do środka prawą nogą. Półmrok. I cisza. Postąpił krok naprzód, potem jeszcze jeden i zatrzymał się. Zamarł jak posąg na swoim miejscu. Lub, bardziej biblijnie, stał jak słup soli.

[118](#) Pierwsza część Akatystu (hymnu liturgicznego) do Matki Boskiej. Akatyst ku czci Bogurodzicy (*Akathistos Hymnos*, Ἀκάθιστος Ὕμνος) – powstały najprawdopodobniej w V/VI wieku. hymn liturgiczny przypisywany jest Romanosowi Melodosowi, składa się z 24 strof, każda z nich zaczyna się od kolejnej litery alfabetu greckiego. Strofy składają się na przemian z kondakionów (dłuższych, kończących się aklamacją „Alleluja”) oraz

ikosów (krótszych, zakończonych inkantacją „Witaj, Panno Niepoślubiona”). Pierwszy wieniec pozdrowień to pierwszy ikos.

[119](#) „Nie ma Boga prócz Allaha”.

[120](#) W tekście oryginalnym fragment ten pochodzi z książki Theodora Rallisa, *NA GÓRZE ATHOS – fragmenty z dziennika pewnego malarza: ΣΤΟ ΟΡΟΣ ΑΘΩΣ – Αποσπάσματα από το ημερολόγιο ενός ζωγράφου, υπό Θεοδώρου Ράλλη, μετάφραση-εισαγωγή-σχόλια Μίρκα Παλιούρα, Αθήνα: Καστανιώτης, 2004.*

[121](#) Upadek Konstantynopola – Turcy rozpoczęli oblężenie miasta 6 kwietnia i zdobyli je 29 maja 1453 roku, kładąc kres istnieniu Cesarstwa Bizantyńskiego.

[122](#) Chodzi o cesarski pałac Porfirogenetów w dzielnicy Blachernai, ostatnią siedzibę cesarzy Bizancjum, Paleologów.

[123](#) Łk 2, 29.

[124](#) Ps 141 (140), 3.

T

## „Już to rozegrałem”

- TAKIS DOSTAŁEŚ SMS? CZEMU NIE ODPOWIADASZ? POŚPIESZ SIĘ BO ZARAZ MI PADNIE BATERIA.
- NIE PYTAJ ZA DUŻO. NIE WIEM KIEDY WRÓCIMY. STATEK NIE PRZYPŁYNAŁ. JEST SZTORM. NIE ZAPOMNIJ I ZRÓB DLA MNIE KSERO NA KORKI.
- CO TO JEST: NOSI HABIT, SŁUCHA ROCKA I PRZYPOMINA CARBONARA? POPOSPAGHETTI! DOBRE NIE?
- NIECH BĘDZIE. FAKES I PIKLE. MNIAM. MAM JESZCZE BATONIKI CZEKOLADOWE.
- POWIEDZ LITSY NIECH SIĘ GONI... WIDZIAŁEM JĄ NA WŁASNE OCZY Z WANGELISEM. TERAZ POSŁUCHAJ NIE UWIERZYSZ. TUTAJ WCZORAJ ZABITO JEDNEGO MNICHA. TO NIE BYŁ DOKŁADNIE MNICH ALE KOBIETA. ZNACZY MNISZKA.
- SKASUJ TO CO POPRZEDNIO NAPISAŁEM. BYŁO INACZEJ. PO KRYJOMU JEDEN MNICH WPROWADZIŁ LASKĘ DO SWOJEJ CELI. TO ZNAJOMY OJCA. NASZA CELA JEST BLISKO NIEGO. MORZE CAŁY CZAS NIESPOKOJNE. JAK POSZEDŁ TEST Z FIZYKI?
- OJCIEC POSZEDŁ NA PRZESŁUCHANIE. PADA MI BATERIA. MYŚLISZ ŻE I MNIE WEZMĄ? MÓWIĘ CI STARY JESTEM WYCZERPANY.
- BATERIA ZAŚWIECIŁA NA CZERWONO. TUTAJ WIELKIE ZAMIESZANIE. JEŚLI POGODA SIĘ NIE ZMIENI COŚ CZUJĘ ŻE Z EGZAMINAMI KICHA.
- NIEWIELE WIEM. TAMTEGO WIECZORU PRZESZEDŁEM PRZED JEGO CELĄ. SZEDŁEM DO TOALETY. COŚ USŁYSZAŁEM ALE NIE ŚMIEJ SIĘ DOBRZE? JAKBY MIAUCZĄCE KOCIĘTA. PRZESTRASZYŁEM SIĘ I DAŁEM DYLA. ŚMIEJESZ SIĘ ŁAJZO?
- PRZYJEŹDŹAMY JUTRO. POGODA LEPSZA. BATERIA PADA. O SIÓDMEJ PRZED SZKOŁĄ. OK?
- CO NOSI HABIT I OPOWIADA ŻARTY O LODÓWCE? LODODU

U

# NIEDZIELA ADORACJI KRZYŻA ŚWIĘTEGO

Coś czarnego, jakby smoła, gęsta i ciemna substancja, coś mrocznego, co nie pozwalało mu widzieć nawet odrobinę. Taki był jego wzrok. Nawet myśleć nie mógł. Wszystko wokół niego (i w nim) całkowicie czarne. Przez chwilę pomyślał, że umarł. Że w końcu nadeszła śmierć. Śmierć, z którą od lat mierzył się razem z Nifonasem w ossuarium. Może doznał udaru? Może pękła jakaś żyłka i krew zalała mózg?

Minęły już dwie godziny z okładem od chwili, gdy Gedeon otworzył drzwi celi Nifonasa i zobaczył to, co zobaczył. A jednak. Nawet po tak długim czasie ciemność nie zamierzała ustąpić. Jego głowa, myśli, zmysły, aż do szpiku kości, wciąż były porażone doznany szokiem. Umysł nie mógł poradzić sobie z obrazem, który ujrzały jego oczy. Wydawał mu się kłamstwem. Sądził, że czart podesłał mu pokusę, by go wypróbować. Albo też, że mógł to być jakiś koszmar senny. Pewnie zaraz się obudzi i z ulgą wyszepta: „Chwała Ci, Boże”. Niestety, nie. Mijała godzina za godziną, a wraz z upływem czasu rosło także jego zdziwienie, wzbierał w nim gniew, narastała wściekłość i czarna beznadzieja rozlewała się niczym ocean, który nim zawładnął.

Leżał bez ruchu na deskach posadzki. Nie mógł ani nie chciał nic robić. Nawet się modlić. Choćby zapłakać zdruzgotany nad tym, co zobaczył. Albo też poprosić o wybaczenie i karę dla swojego podwładnego, który popadł w taki „NIE-PO-JĘ-TY grzech”. Czuł, że zrobienie czegokolwiek, choćby logiczne myślenie, było poza jego mocą. Dlatego też sądził, że już umarł. Albo zaraz się to stanie.

Minęła kolejna godzina. Z wolna ciemność zaczęła się rozpraszać. Stawała się jak noc, która zbliża się do świtu. Powoli zaczął odzyskiwać wzrok. W pewnej chwili potrafił już rozróżnić nogi od stołu, stare kapcie do prac rolniczych pod łóżkiem, insekta, który pędził, by się zaszyć w jakiejś szparze, promień bladego światła na swojej ręce. Głęboko westchnął. Następnie resztką sił, jakie mu zostały, stanął na nogi.

Jęknął, jakby go bolało całe ciało i całe jestestwo. I doprawdy go bolało.

Powoli, ciężko, pozwolił swojemu ciału, by opadło na jedyne krzesło, jakie miał w celi. Ukrył twarz w dłoniach i poczuł, że chce mu się płakać. Jednak łzy nie pociekły. Tylko gniew, gniew i wściekłość. I ta mieszanka wybuchowa pobudziła jego zmysły i umysł. Wstał i zaczął krążyć po kilku metrach kwadratowych celi. Znów stawał się starym Gedeonem: tym, który z całą mocą kochał Pana, tym, który nie tchórzył przed jakąkolwiek trudnością, by czcić Matkę Boską. Coraz bardziej przytomny, na chłodno zaczął teraz rozważać, jaka kara należałaby się za taką bezbożność, jak ukarać Szatana, który znalazł sposób i wszedł do monasteru. Układał kary jedną po drugiej, po kolei.

Poczeka na odpowiednią okazję, po kryjomu wejdzie do celi i udusi ją własnymi rękami. (A jeśli podniesie głos i usłyszą ją w całym monasterze? Czy nie dowiedzą się o tym mnisi i nie będą zszokowani tą obecnością-świętokradztwem?)

Może powinien ją śledzić, pozwolić jej wyjść na balkon i stamtąd zrzucić ją w dół? (Jednak co by się stało z ciałem w przepaści? Czy woń rozkładu nie przyciągnęłaby dzikich zwierząt albo nie zwróciła uwagi jakiegoś mnicha?)

Co więc ma robić? Jak ukarać przeklętego Szatana, który się przebrał za kobietę?

Chodził po celi tam i z powrotem jak dzikie zwierzę w potrzasku, jak opętany z Ewangelii przed swoim ocaleniem.

Tyle Gedeon. Tymczasem całkiem niedaleko grzech we własnej osobie żył i panował w celi Nifonasa. Domna leżała pod ciepłą pościelą i walczyła, by utrzymać przy życiu istnienie, które chroniła w swoim łonie. Przeraziła ją krew, która z niej popłynęła. Może byłoby lepiej, gdyby owoc w jej brzuchu nie istniał, jednak w tej chwili czuła, że kocha go całą swoją duszą; zrobi co w jej mocy, by pozostał bezpieczny i żywy przyszedł na świat.

Na skraju łóżka siedział Nifonas. Rzecz niestosowna w takich przypadkach, ale rozgadał się i nie przestawał opowiadać historii ze swojej przeszłości.

– Początkowo było mi naprawdę trudno... Warunki były bardzo ciężkie... Nie byłem gotów na takie życie...

Domna poprosiła go wcześniej, by jej opowiedział o życiu na Górze. Od chwili, gdy otworzyły się drzwi i stanęła w nich postać nieznanego mnicha, jej zdenerwowanie wcale się nie zmniejszyło. Nie chodziło o to, że



powiedział do niej coś lub wystraszył ją jakimś gestem. W tej samej chwili, gdy minęło początkowe zdziwienie, sędziwy mnich wycofał się zdumiony, a potem, równie bezgłośnie, zamknął drzwi i zniknął. To przecież niemożliwe! Starzec bez wątpienia jest zszokowany tym, co widział, najpewniej rozpuścił straszne wieści w całym monasterze. Można się spodziewać, że niebawem usłyszą pukanie do drzwi. Gdy Nifonas je otworzy, będzie musiał stawić czoło zgromadzonym na zewnątrz mnichom, gotowym rozerwać na strzępy plugawych bezecników.

Przez cały czas Domna zastanawiała się i zmagala z dylematem: powiedzieć od razu o wszystkim Nifonasowi, czy trzymać w tajemnicy odwiedzin starca? By zyskać trochę czasu, raz jeszcze zapytała go o coś bez związku z ostatnimi zdarzeniami: kiedy podjął decyzję, by zostać mnichem, jak spędził początkowy czas na Górze... Wierzyła, że w ten sposób może oszukać czas i swój los.

– Na początku przyrzekłem posłuszeństwo jednemu staruszkowi, który mieszkał w chatce rybackiej w pobliżu Kafsokaliwia. Nazywał się Abimelech, nosił imię obrońcy Dawida. Jego cela była zbudowana na skale, blisko morza. Trochę wyżej znajdował się kościół. Żywiliśmy się rybami. Wielokrotnie, gdy uszczelniał łódź, stary Abimelech śpiewał, z wodorostami przyklejonymi do bosych stóp... Dzięki niemu wyćwiczyłem się w posłuszeństwie i posługiwaniu, ale i od niego nauczyłem się sztuki łowienia ryb. U kresu życia tracił wzrok, wreszcie oślepl. Wówczas podarował mi łódź, PRZEWODNICZKĘ. Na niej mógłbym uciec od brzemienia, które dźwigałem na barkach...

Domna już miała zapytać, co to było za brzemie. I dlaczego było takie ciężkie. Jednak myśl jej uciekla, bo za drzwiami celi dał się słyszeć jakiś hałas. Odwróciła z przerażeniem głowę. Nifonas skorzystał z okazji i wstał. Pogrzebaczem poprawił węgle w naczyniu i przysunął je nieco w stronę łóżka. W pokoju panowała dziwna atmosfera. Było ciepło, ale równocześnie miało się wrażenie, że z chwili na chwilę coś się ma wydarzyć. Domna podciągnęła wyżej kołdrę. Intensywny ból w dolnej części brzucha niepokoił ją od dłuższego czasu. Nie miała apetytu, najmniejszej ochoty na jedzenie, choć Nifonas upierał się, że pójdzie jej sporządzić jakiś napar lub krzepiącą zupę. Jedyne, czego teraz pragnęła (ale oczywiście tego nie mogła zrobić), to zamienić się w ptaka, mieć skrzydła i odlecieć. Żalowała wszystkiego: pocałunków na łodzi i ucieczki z domu, zdjęta strachem, że może poronić,

zamknięta w pułapce w tym państwie-więzieniu.

Nifonas wyciągnął dłoń ku niej, by ją pogłaskać po ręce. On też był osamotniony i nie wiedział, co robić, a czego nie. W owej chwili znów dał się słyszeć na korytarzu jakiś dziwny hałas. Oboje odwrócili wzrok w stronę zasuw. To pewnie wiatr. Nifonas wrócił do swojej opowieści:

– Mniej więcej po czterech latach Abimelech odszedł do Pana. Musiałem teraz podjąć decyzję. Ruszyłem, by się udać do Paisjusza...

Tak było wewnątrz celi. Jednakże na korytarzu to nie wiatr powodował dziwne hałasy. Był to człowiek, pewien mnich. Gedeon. To on o tej porze znajdował się przed celą Nifonasa. Dotarł tutaj, stąpając na palcach, kryjąc się po kątach. Gdy stanął przed celą, znów się schował. Potem, bardzo ostrożnie, podszedł i przyłożył ucho do drewnianych drzwi. Następnie oddalił się, znów się schował, ponownie się zbliżył...

A tymczasem rozmowa między Nifonasem a Domną sięgnęła dość odległych czasów, lat, gdy był człowiekiem świeckim. Wyznawał jej swoje grzechy:

– Ja byłem winien wszystkiemu...

Jakiemu wszystkiemu?

Opowiedział jej historię o swoim bracie Stamatisie i o tym, jak doszło do wypadku. Ale bardziej skupił się na tym, co nastąpiło potem. To znaczy na dniach, gdy leżał na oddziale nagłych wypadków w szpitalu w Patras, jak się czuł, gdy doszedł do siebie i uświadomił sobie, co się stało, jak dwukrotnie próbował się zabić (nadal miał na nadgarstkach blizny po cięciach brzytwą), jak następnie podjął decyzję, by zniknąć dla świata. Jak dotarł na Górę.

Domna słuchała go. Jakby jej nie wystarczało wszystko to, co przeżyli razem od roku, od kwietnia do kwietnia, teraz jeszcze miał ją niepokoić dodatkowo swoim życiem świeckim. A jednak, mimo tego wszystkiego, nawet przez chwilę nie opuściła jej postać świętego mnicha. Zastanawiała się, czy teraz ma opowiedzieć Nifonasowi o „wizycie”, czy zostawić to na później.

Wbiła spojrzenie w jego oczy. On jakby był nieobecny. Mówił o swojej matce, opowiadał historie z dzieciństwa:

– ...Gdy byłem mały, miała zwyczaj myć mnie na łodzi. Właśnie tam myła mi głowę i mnie namydłała. Za każdym razem, gdy jej dłonie docierały do moich boków, zatrzymywała się. Spoglądała i spoglądała na czarne

znamię, które mam poniżej lewej pachy. Matka nazywała je „pocałunkiem anioła”. Mawiała, że takie znamię ma niewielu ludzi na świecie. Tylko ci, którzy przyszli na ziemię dla jakiegoś wielkiego celu. Tak mawiała...

Znajdowali się w oku najgorszego cyklonu, a on miał w głowie wspomnienia z dzieciństwa! Jednak Nifonas zawsze czynił tak, gdy widział, jak Zło zaczyna władać jego życiem. W takich przypadkach dwie kobiety miał jako schronienie, Przenajświętszą i swoją matkę. To w nich szukał ratunku, raz za pomocą modlitwy, innym razem wspominając swoje dzieciństwo.

Pocałunek anioła...

Bezwiednie położył rękę na sercu. Małe, okrągłe czarne znamię było znakiem, na który inne dzieci, gdy kąpali się rozebrani w morzu albo mieli gimnastykę, spoglądały z wielką ciekawością. Jak się pojawiło? I dlaczego? Czy było tak, jak mówiła jego matka, że jakoby w chwili narodzin zstąpił jakiś anioł i złożył usta na różanym niemowlęcym ciele, trochę poniżej pachy? No dobrze, można uwierzyć w taką bajkę. Ale „posłany do większego celu w życiu”... Niby jaki miałby on być? Ciekawe, czy to w ogóle była prawda?

Otrząsnął się, jakby się obudził ze snu. Rzeczywistość znajdowała się tutaj, wokół niego, i była mroczna. Znów usłyszał skrzypnięcie deski na korytarzu, „pewnie wzmógł się wiatr”, i w tej samej chwili spojrzał na Domnę, jakby ją ujrzął po raz pierwszy.

– Chce ci się pić, prawda? Pójdę ci przyrzadzić zupę? Coś ciepłego do picia?

– Chcę tylko, żebyśmy wstali i uciekli. Nie wytrzymam już tutaj dłużej, nie wytrzymam!

Jeszcze trochę i wybuchłaby płaczem. Im bardziej myślała o tym, gdzie się znajdowała i w jakie perypetie uwikłała mnicha z Athos, tym bardziej jej zdenerwowanie zmieniało się w panikę i poczucie beznadziei.

– Ucieknijmy, Nifonasiu. Przy pierwszej okazji, gdy tylko poczuję się lepiej, dobrze?

Pokiwał głową, że się zgadza. Oboje dobrze rozumieli, że nie ma innej możliwości. Jeżeli chcieli ocalić coś ze swojej godności (Domna) lub wiary (Nifonas), powinni znaleźć sposób na ucieczkę najszybciej, jak to tylko możliwe, gdy tylko Domna poczuje się lepiej. I to za wszelką cenę.

Czując ulgę dzięki podjętej decyzji, Nifonas wstał, żeby udać się

do kuchni. Mijając dziewczynę, wyciągnął rękę i pogłaskał jej czoło. Domna uśmiechnęła się do niego i zebrała siły, by wstać. Tym razem nie zaniedba ostrożności: natychmiast zamknie zasuwę przy drzwiach, mocno ją zawrze.

Była to pora, gdy bracia mnisi znajdowali się w swoich celach. Jeden się modlił, inny na klęczkach przesuwiał w palcach komboskini, jeszcze inni wyznawali ciężkie grzechy dręczące ich dusze: nieprzyzwoity sen, jakieś złamanie postu wielkanocnego... Gęsty mrok ułatwił Nifonasowi wyjście z celi po kryjomu; nikt go nie zauważył. Dziwny zapach docierający do jego nosa nie wzbudził w nim ciekawości, nie próbował się dowiedzieć, czym był i skąd pochodził.

Gdy tylko Nifonas zniknął w głębi korytarza, z kryjówki wychynęła wysoka postać Gedeona. Starzec spojrział ostrożnie w prawo i w lewo, a potem ruszył w stronę drzwi celi. Tym razem nie próbował ich otworzyć. Nawet nie przyłożył ucha, by wyłapać dźwięki i hałasy w środku. Poruszał się ostrożnie, znów powrócił do miejsca, gdzie miał kryjówkę w ciemnościach. Po krótkim czasie wyszedł, trzymając w ręku ciężkie ocynkowane naczynie wypełnione po brzegi jakąś płynną substancją o intensywnym zapachu. Plan Gedeona był prosty, a równocześnie skuteczny: zamierzał spryskać naftą drzwi do celi Nifonasa, a potem podłożyć ogień. W ten sposób Szatan, który zbrukał święte państwo Dziewicy Maryi, będzie mógł zostać oddany „w zewnętrzny ogień”<sup>125</sup>.

Był gotowy wylać naftę na drzwi. Szukał teraz zapalek, bo bez nich nie buchnie płomień.

Wszystko było przygotowane na ogień oczyszczający i odkupiający.

Mocnymi dłońmi uniósł puszkę i spojrział na zamknięte drzwi, by zobaczyć, gdzie dokładnie miałby ją wylać. Podniósł puszkę jeszcze trochę wyżej, na wysokość barków. Jednak w tej chwili zamarł w bezruchu. Stał jak rażony piorunem, oniemiały na widok tego, co objawiło się jego oczom.

Gedeon ujrzał, jak drzwi wypełniły się oślepiającym blaskiem, z tysiącami maleńkich żarzących się gwiazdek, a pośrodku z wolna pojawiło się oblicze jakiejś kobiety. Jej twarz... Przenajświętszej...

Jej oczy zdawały się wielkie i smutne – tak wyglądały na ikonie Ukrzyżowania. Na Jej czoło zarzucona była żałobna chusta – taka sama, jaką nosiła na obrazie Zdjęcia z Krzyża. A słowa, których wysłuchał zdumiony

Gedeon i które popłynęły z Jej ust, pełne były tego samego niewypowiedzianego spokoju, jak te, które wypowiedziała, gdy chciała się dowiedzieć o Zmartwychwstaniu swego Syna.

Gedeon tkwił w miejscu jak posąg. Już wcześniej zdarzało mu się, we śnie lub w czasie czuwania, że zjawiała się przed nim Przenajświętsza. Nigdy jednak nie doświadczył tego tak jak teraz. Jego osłupiałe oczy widziały i nie wierzyły; uszy słyszały, ale starzec nie wiedział, czy ich świadectwo jest prawdą, czy nie. Słowa wydobywały się z tego nadnaturalnego światła i niczym stopiony ołów przebijały się do niego, zagnieżdżały się w nim. Przemienił się w niemy byt, był świadkiem Boskiej wizji.

Nie mógł już dłużej spoglądać na płomienne oblicze Przenajświętszej i dlatego zakrył dłońmi oczy. Poczł, że kolana się pod nim uginają, że już dłużej go nie utrzymają. Zwalił się na ziemię. Ale nawet leżąc, słyszał jeszcze, jak przemawia do niego nieziemski głos. Jednak nie miał siły, by wykrztusić najmniejsze słowo, by w jakikolwiek sposób odpowiedzieć.

Wizja trwała dość długo. Gdy w pewnej chwili głos ucichł, Gedeon zdołał wreszcie podnieść wzrok. Wszystko już zniknęło: głos, blask, Jej oblicze. Wyglądał jak człowiek rażony piorunem. Szok, jakiego doświadczył, był porażający. Jednak bardziej porażające były słowa, jakie usłyszał od Przenajświętszej. Człł, że całkiem opuściły go siły. A pewnie i rozum też. Miał nieodparte wrażenie, że to wszystko było nie z tego świata. Że teraz znajdował się w innej rzeczywistości, przeszedł na przeciwległy brzeg. Ale przecież nie. Był nadal w monasterze; wokół znajome cele; znajdował się teraz przed jedną z nich. Wstał ostatkiem sił. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było zabranie puszek z naftą i schowanie jej w kącie. Następnie powolnymi krokami ruszył w drogę powrotną do swojej celi.

Tymczasem, dokładnie o tej porze, Nifonas zajmował się bardziej przyziemnymi sprawami. Znalazł Eliseosa, udał, że jest chory i że chciałby się napić czegoś gorącego. Szybko sporządzili papkę z dzikich mleczy, mniszka pospolitego, pokrzyw i z innych ziół, w które zaopatrzył ich dobry Joanikios.

– Smacznego i powrotu do zdrowia. Ale zrób także jakieś nacieranie! – doradził Eliseos niecierpliwącemu się Nifonasowi, gdy dawał mu do ręki talerz z gorącą zupą ziołową.

Tak potoczył się wieczór. Domna jadła, powoli podnosząc łyżkę, a Nifonas jej tłumaczył, którą ścieżką tym razem spróbują uciec. W swojej celi Gedeon

przeżywał Hiobowe męczarnie. Próbował dojść do siebie po szoku wywołanym wizją. Starał się przypomnieć sobie dokładnie co do joty wszystko święte i porażające, co przeżył. Jednak najbardziej zmagął się ze sobą, by uwierzyć, że to, co usłyszał z nieskazitelnych ust Matki Boskiej, było prawdziwe, a on sam został obciążony ciężkim brzemieniem obowiązku, by wprowadzić w czyn Jej polecenie.

W środku nocy w pewnej chwili dano znak do jutrzni; zaczynała się Niedziela Adoracji Krzyża Świętego. Niedziela ta, w środku wiosennego postu, była dla wszystkich chrześcijan na ziemi najważniejsza ze wszystkich niedziel Wielkiego Postu. Nifonas świetnie o tym wiedział. Znał dobrze także małą uroczystość, którą odprawiano owego dnia. Zgodnie ze zwyczajową celebracją zaraz po „Wierzę” ojciec Timotheos, który wykonywał owego dnia obowiązki celebransa, wystawił w Pięknych Wrotach szlachetny kawałek czcigodnego drzewa Krzyża, by mnisi pokłonili się przed nim. W Stawronikita z dumą utrzymywali, że posiadali prawdziwy kawałek, a nie jakąś podróbkę Krzyża Świętego. Dla niego przeznaczona była skrzynka, cała ze złota, dla niego były także szlachetne kamienie, które ją ozdabiały. Jeden za drugim mnisi podchodzili i z wielkim szacunkiem nabożnie całowali odkupieńczy Krzyż. Dzięki temu pokłonowi nabierali siły, by kontynuować postne zmagania i walkę ze Złem. Wzorem bogobojnych protoplastów musieli się zbroić w moc, by strząsnąć z siebie pierworodne nieposłuszeństwo i pierworodny grzech. Z uwielbieniem Krzyża spływała na nich Łaska Pana, dzięki niej mogli lepiej wytrzymać wszelkiego rodzaju pokusy i odnaleźć drogę do zbawienia. Co do Nifonasa, choć rozumiał, że to wykluczone, by można było znaleźć na całym świecie grzesznika większego od niego, czuł teraz, że przepełnia go aura spokoju. Niebawem miał naprawić straszliwe potknięcie: mimo że nadal „zbroczeni krwią”, ostatecznie i definitywnie uciekną z Góry. Miał rozpocząć świeckie życie w jakimś mieście lub wsi, zamierzał wieść z Domną życie cnotliwe i chrześcijańskie. Kładąc usta na chłodnym metalu relikwiarza, poczuł, że cały jest rozpalony. Wrócił do ławy i pozostałą część Boskiej Liturgii spędził, śpiewając mocnym głosem, pełnym zdecydowania. Jego golgota, gdziekolwiek była, kończyła się, zbliżało się zmartwychwstanie.

Na słowa kapłana: „Przez modlitwy”, mnisi brali błogosławiony chleb, pili święcone wino i znów składali pokłony przed Czcigodnym Krzyżem. Na zewnątrz czekał na nich słodki kwietniowy dzień, mimo że mgła, która

schodziła z Athos, powoli gęstniała. Jak to mieli w zwyczaju w każdą niedzielę, czekając, aż zabrzmie gong na posiłek, tworzyli grupy i rozpoczynali spacer po dziedzińcu. Dzień nie był chłodny. Wydawało się, że dobiega końca rozszalała zima, która tak bardzo ich udręczyła. Dobrze by było jednak się nie śpieszyć; według starego kalendarza był jeszcze marzec, a zatem za wcześnie na wiosenną piękną aurę i letni optymizm.

O takich interesujących tematach rozprawiali mnisi w oczekiwaniu na ośmiorniczki gotowane z krojonym makaronem. Był to dodatkowy powód tego, że na ich twarzach jaśniała ogromna radość i szczęście.

Nie u wszystkich jednak. Gdy tylko Gedeon ujrzał, że Nifonas oddała się od Lorenza, by pogawędzić z jakimś świeckim, który był jego dawnym znajomym, podszedł do zakonnika, opierając się na lasce i kuśtykając. Zjawił się bezgłośnie, jakby zrodziła go mgła. Na początku zaskoczył Lorenza. Franciszkanin przeraził się jeszcze bardziej, gdy lepiej przyjrzał się twarzy starca: jego oczy patrzyły, a nie widziały, takie odniósł wrażenie, dolna warga lekko drgała w nienaturalny sposób, a najgorsze ze wszystkiego było to, że włosy i broda starca jeszcze pobieleły, zrobiły się śnieżnobiałe. Lorenzo nie przypominał sobie, by tak wyglądał, gdy widział go ostatnim razem, podczas odwiedzin w celi.

Gedeon zbliżył się na odległość oddechu do twarzy Lorenza. Jego usta otwały się z trudem:

– Powiedz mi, czy wy, łacinnicy, wierzycie w cuda?

Chciał powiedzieć „wizje”, ale jego umysł jeszcze nie potrafił poprawnie funkcjonować. Lorenzo zdziwił się, ale milczał. Nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, jaką odpowiedź starzec przyjąłby jako właściwą. Wzruszył ramionami, dwuznaczny gest. Nagle Gedeon chwycił zakonnika za rękę i odciągnął go daleko od innych. Niemal zniknęli we mgle, która wkrótce miała pochłonąć budynki, drzewa, czarne postacie mnichów.

Dość długo i ze swobodą, na jaką pozwalał mu język, Gedeon zwierzał się Lorenzowi ze swojej wizji. Opowiedział mu szczegółowo o tym, co zobaczył na drzwiach celi. Nie powtórzył mu jednak słów, które usłyszał z ust Przenajświętszej. Bo gdyby to zrobił, musiałby powiedzieć, kto znajdował się wewnątrz celi Nifonasa, ale i co mu nakazała zrobić Matka Boska. Pierwsze nie przeszło mu przez gardło, wstydził się (kobieta na Górze... pogwałcenie świętego zakazu...); drugie zaś było nie do pojęcia (nie mógł uwierzyć, że Matka Boska poprosiła go o coś takiego). Dlatego też pośpieszył

do Lorenza, a nie do któregoś ze swoich braci w wierze. Wśród mnichów nie było nikogo, kto by mu powiedział, że może się pomylił, że być może zwiódł go wzrok. Wszyscy radowaliby się wizją i Boskim Objawieniem. Zapewne zrobiliby też czuwanie, by świętować błogosławiony los starca. Podczas gdy Lorenzo... On był katolikiem, racjonalistą, łacinnicy nie bardzo wierzą w objawienia czy w Boskie wizje. Dlatego też Gedeon, wciąż tym samym drżącym głosem, powtórzył pytanie:

– Tak więc co ty o tym sądzisz? Wierzysz, czy nie wierzysz, że stał się cud i objawiła mi się Przenajświętsza?

Lorenzo nie miał powodu, by się sprzeciwiać rozgorączkowanemu starcowi, i nie zrobił tego. W rzeczy samej poprosił, by Gedeon uzupełnił swą relację o inne szczegóły. W ostatecznym rozrachunku jego oczy tak wiele już widziały, a jego uszy tak wiele zdążyły usłyszeć tutaj, na Górze, że jedna wizja więcej nie robiła różnicy!

Gedeon nagle zrobił w tył zwrot, bez pożegnania, i zostawił go osłupiałego we mgle. Zakłopotany Lorenzo ruszył, by odnaleźć pozostałych mnichów, którzy już od jakiegoś czasu siedzieli w refektarzu.

Gedeon skierował się do swojej celi. Był pogubiony, roztrzęsiony. Próbował jeszcze kilkakrotnie przekonywać samego siebie, że nie miał żadnej wizji, że to był twór jego wyobraźni. Chciał w ten sposób uniknąć wielkiej udręki. Na próżno. Próbował się pomodlić, byleby tylko uspokoiły się jego dusza i umysł. Też nie. Następnie przywoływał w myślach po kolei każdego mnicha ze Stawronikita, ale i wszystkich innych znajomych, których miał na Górze. Ciekawe, czy jest wśród nich ktoś, z kim mógłby się podzielić swym brzemieniem? Nikt! Wyczerpany upadł na kolana: „Wolałbym umrzeć w tej chwili!”. Szybko dotarło do niego, że bluźni, i wstał. Zaczął przechadzać się po swojej wąskiej celi; dostał zawrotów głowy i o mało nie upadł. Usiadł na skraju łóżka; ale wciąż czuł, jakby stał przed gorejącym krzewem. Poszedł zapalić świecę na ołtarzyku; jego spojrzenie padło na jedną z wielu ikon Przenajświętszej i przeraził się. Natychmiast przypomniał sobie, co jest Jej dłużny. Z jego oczu, udreńczonych oczu, potoczyły się strumienie łez. Płakał i modlił się, płakał i oburzał się, płakał i prosił Matkę Boską, by go uratowała od gorzkiego kielicha ciężkiej próby. Od czasu do czasu przestawał płakać i nadstawiał uszu, czy może Przenajświętsza zesłała mu już jakiś znak, który by go uwolnił od tej udręki. Nic.



W ten sposób minęła nie tylko ta trudna noc, ale i nieznośne godziny kolejnych dni. Raz czy dwa razy, gdy Arsenios otworzył drzwi i wszedł do celi, przeraził się jego widokiem. Zrozumiał, że starzec zмага się z jakąś wielką pokusą. On sam nie mógł ani wziąć na siebie części jego brzemienia, ani nawet wyciągnąć ku niemu pomocnej dłoni. Mógł jedynie przychodzić i kłaść koło sędziwego mnicha tacę z jedzeniem i karafkę wody. Ale za każdym razem zabierał je niemal nietknięte. Gdyby to miało trwać dłużej, udałby się do igumena lub do Nifonasa i opowiedział im, co się dzieje. Jednak nie musiał nic robić, wydarzenia go wyprzedziły.

Gdy nastał piątek, niedługo po pierwszym posiłku Arsenios ponownie przyszedł do celi Gedeona, przynosząc mu suchary, napar z lipy i papkę z mąki kukurydzianej. Zastukał w drzwi, ale nie otrzymał odpowiedzi. Otworzył więc i wszedł. Nie widząc Gedeona, zdziwił się, gdzie też o tej porze może przebywać starzec.

Sędziwy mnich był tam, gdzie mu nakazała wizja, gdzieżby indziej. Rozkazom Przenajświętszej jedynie bezbożni mówią „nie”. Od chwili, gdy Matka Boska wybrała go na wykonawcę Jej polecenia, był zmuszony doprowadzić do końca swoją misję. Koniec, kropka! Choćby miało to być zobowiązanie przekraczające jego siły, choćby wyglądało na czyn irracjonalny i całkowicie szaleńczy.

Krocząc jak skazany na śmierć, przed świtem dotarł Gedeon przed celę Nifonasa. Znów schował się w kącie. Czekał, aż otworzą się drzwi. Wreszcie po godzinie ujrzał, jak Nifonas wychodzi bardzo ostrożnie, a potem usłyszał szcęk ryglowania drzwi od środka. Odczekał kilka minut, a potem zgarbiony, siwowłosy starzec zbliżył się. Podniósł rękę. Zastukał dwa razy. Wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi – przynajmniej na początku. Dlatego spróbował ponownie. Teraz jednak ze słowami:

– Otwórz... Jestem starcem... Tym starcem, który...

Całkowita cisza. Jeszcze jedno stuknięcie w drzwi.

– Wiem, że jesteś w środku!

– ...

– To ja... Otwórz... Widziałem cię...

– ...

– Nie chcę ci zrobić nic złego... Tylko ja mogę ci pomóc... Otwórz, proszę!

– ...

– Nie bój się!... Mówię prawdę... Pomogę ci...

Minęły chwile wieczności.

Zastukał raz jeszcze.

Od wewnątrz dał się słyszeć odgłos podnoszonej zasuwę i pociągnięcia za rygiel. O to chodziło.

[125](#) Wyrażenie greckie „w zewnętrzny ogień” powstało najprawdopodobniej ze zmieszania dwóch biblijnych fraz: „w ogień wieczny” Mt 25, 41 i „w ciemności zewnętrzne” Mt 8, 12 (wg Biblii Gdańskiej).

φ

## „Ja, samotny i nieszczęsny”

A niech to, Arsenios... Wspaniale, bardzo szczęśliwe imię mi znaleźli! Do licha, lepiej byłoby chyba Astathios<sup>126</sup>. Bo rządzą mną najgorsze namiętności. Wiedziałem o tym, czyż nie wiedziałem? Od samego początku mówiłem, że nie chcę zostać mnichem. Niechbym był zwykłym psalmistą na wsi, nawet nie popem. Jednak biskup nalegał, no i teraz dręczą mnie tysiące pokus. Nie powinienem też odchodzić z Grigoriu. Świetnie mi tam było, na dobre się przyzwyczaiłem przez trzy lata. Ale co innego wola... I przybyłem tutaj, i spotkałem tego, który sprawił, że nie mogę spać. Gdy go ujrzałem po raz pierwszy, ugięły mi się kolana. Gdy już uwierzyłem, że zostałem ostatecznie uratowany, znalazł się... Wpadłem, to było to. Na początku wydał mi się jak anioł na ziemi. Lśniły jego oczy, twarz, cały promieniał od stóp do głów. I od tamtego dnia zaczęło się moje staczanie. Znow zaczął wychodzić na wierzch dawny ja. Grzesznik, zanurzony w namiętnościach, ten, z którym toczyłem wielką walkę, żeby go pokonać. Na nic modlitwy, na nic posty. Z jakim wyrazem twarzy mam się iść wyspowiadać? I co mam powiedzieć? Że znow zapragnąłem... Czy mówi się takie rzeczy? Nie mówi się! Bo ile razy można prosić starca o przebaczenie i wyrażać skruchę? Pięć, dziesięć, dwadzieścia? W końcu i on nie wytrzyma i wrzaśnie na ciebie. Czy tak się nie stało ze mną? Czyż wielokrotnie nie doprowadzałem mojego starca na skraj wytrzymałości i nie wymierzał mi najgorszych kar? Oczywiście, starzec w Grigoriu był dla mnie dobry i cierpliwy. Za każdym razem doradzał mi, jak uspokajać myśli i przewycięzać cielesne namiętności. Tutaj jednak napotkałem trudności. Gedeon to nie byle kto. Gdy po raz pierwszy usłyszał w czasie spowiedzi o moim minionym życiu i marzeniach, jakie nocą nachodzą mnie w snach, mało brakowało, a podniósłby rękę, żeby mnie uderzyć. Jak mógł się nie domyślać, co czuję do... Nawet trzy miesiące nie jestem tutaj, a czuję się, jakbym spędził z nim lata. Jest, tak właśnie, jest człowiekiem, który nazaczył moje życie! Także wcześniej, gdy żyłem na wsi, zdarzało się, że tak się czułem. To była skłonność, która ściągnęła mnie z prostej drogi i sprawiła, że teraz jestem, kim jestem. Moje uczucia do niego są jeszcze

mocniejsze. Ale po wczorajszym...

Nie wiem, co robić i co powiedzieć. Nawet nie mam do kogo iść, by mu o tym opowiedzieć. Gedeonowi? Daleki jestem od tego! Może igumenowi? Ale czy mnie zrozumie? Uwierzy mi? Wydaje się dobry, ale trochę wycofany. Wszyscy tutaj w Stawronikita mówią na niego „intelektualista”. A więc do kogo? Z kim mam się podzielić wielką tajemnicą? Tym, czego byłem świadkiem wczorajszej nocy przed jego celą... Boję się. Dlatego wcześniej rano przyszedłem tutaj, do lasu, i chowam się. Boję się to wyznać nawet samemu sobie. Nie do wiary! To ja go miałem za anioła bez grzechu, nie wiedziałem, jak mam mu okazać swoje uczucia, a on... Ach, mam ochotę wrzeszczeć i tarzać się po ziemi. Jak mam znosić swoją dolę? Wytrzymam, czy rzucę to wszystko i tyle mnie widziano? Na co mi była Góra? To są wyzwania dla silnych, dla tych, którzy mocują się z Szatanem i wygrywają. A ja z jakim Szatanem mam się zmagać, skoro Szatanem jestem ja sam?

Ach, dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego mnie? Nie zrozumiałeś od początku moich uczuć? Dlaczego? Dlaczego? Gdy na dobre minie ta ulewa, zabieram się i odchodzę. Już dłużej nie wytrzymam. Wrócę z powrotem na wieś. Lepsza harówka na polach niż ta męka, którą teraz przechodzę. Gdyby mnie pop nie przyprowadził do biskupa, miałbym się świetnie. „Weź, biskupie, Andonakisa. To dobry chłopak, zostanie człowiekiem Kościoła”. Tak go prosił. Tak też się stało i skończyłem tutaj. Ach! Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak się to wszystko skończy i gdzie mnie los rzuci. Muszę jednak pomyśleć na chłodno, co mam robić.

No więc już wiem. Pójdę i przemówię do niego otwarcie i szczerze. Bez ogródek. Powiem mu: „Popatrz, tutaj w Stawronikita ja jestem samotny i nieszczęsny. Może i jestem posłuszny Gedeonowi i usługuję mu, ale ja pragnę ciebie za ojca duchowego. Rozumiesz? Chcę być w twoim cieniu, spełniać każde twoje pragnienie. Starczy mi, że na ciebie patrzę, że słucham twoich słów, że mam twój oddech w uszach. Niczego innego nie pragnę. Zrozum, że moje życie wobec twojego to jedno wielkie nic. Tylko tyle. A jeśli powiesz «nie», że mnie nie chcesz, wtedy ja też stanę się zły, i wszystko wszystkim powiem. Rozgłoszę to, co wiem o tobie, co usłyszałem wczoraj wieczorem, gdy przypadkiem znalazłem się przed twoją celą. Dlatego że wiem WSZYSTKO! Wszystko słyszałem.

Tak, tak, słyszałem westchnienia. Najpierw mnie zamurowało. Pomyślałem, że słuch mnie zawodzi. Jednak nie. Mijał czas, a westchnienia

stawały się coraz mocniejsze, stawały się... Stawały się jękami! To były jęki namiętności. Ty, w swojej celi, na łóżku, cieszyłeś się i bawiłeś, a ja w ciemnościach marniałem. Czy to jest sprawiedliwe? No powiedz mi, czy jest sprawiedliwe? W głowę zachodziłem, jaki brat mógł być z tobą, i nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Pomyślałem o Lorenzie, pomyślałem o Ilarionie, ostatnio cię z nim widziałem, łączy was przyjaźń, albo o Nikostratisie, o wszystkich pomyślałem. Nawet starzec przyszedł mi do głowy, a był to wielki grzech. Ale co to ma za znaczenie! Prawda jest taka, że ty się bawiłeś swoją namiętnością, a ja marniałem na zewnątrz. Dlatego teraz powziąłem decyzję, że po południu lub najpóźniej jutro przyjdę z tobą porozmawiać. I powiem ci wszystko bez ogródek. Byś mnie wziął do swojej celi. Byś mnie miał zimowymi nocami, żebym ci grzał łóżko”.

[126](#) Imiona mówiące; budzą oczywiste skojarzenia u greckojęzycznego odbiorcy: gr. Arsenios (Αρσένιος) – kojarzy się z „męskim”, Astathios (Αστάθιος) – to „niestabilny”, „chwiejny”.

# X

## NOC AKATYSTU

Najpierw odczekał dwie minuty. Potem popchnął drzwi nogą, te drzwi ziemskiego piekła, i wszedł do środka. Powolnym krokiem i nie rozglądając się, poszedł na środek pomieszczenia. Czuł zapach palonego drewna i świeżo upranych ubrań. Stanął przed oknem. Przed nim rozpościerało się wzburzone morze; za nim... Nie przestawał szeptać modlitw, takich, jakie mu przychodziły do głowy w owej chwili. Razem z nimi także liczne: „Panie, zmiłuj się”. Znów minęło kilka minut niczym niezmałconej ciszy. Potem skupiając w sobie całą siłę duszy, odwrócił się, by spojrzeć. Zobaczył. Demon-kobieta znajdowała się tam, leżała na łóżku. Podciągnęła pościel aż po podbródek i widać było tylko pół jej twarzy. Oczy szeroko otwarte, pewnie ze strachu, były w niego wbite i śledziły każdy jego ruch. Gedeon też na nią spojrzał. Jednak on się nie bał; ogarnęło go uczucie odrazy. Im dłużej uprzytamniał sobie, co teraz przeżywa (kobieta na Górze... w celi... w łóżku mnicha...), tym bardziej czuł, że nie dowierza żadnemu ze swoich zmysłów. A jeszcze bardziej swojemu rozsądkowi. A może już umarł i znajduje się teraz na tamtym świecie?

Zaczerpnął głęboki oddech, żeby dojść do siebie. Myślami wrócił do powodu tej wizyty. W głowie znów pojawiła się wizja Przenajświętszej i Jej słowa. Ale i jego zobowiązanie. Bo było to zobowiązanie. Ze wszystkich sił powinien starać się wykonać to, co usłyszał z ust Matki Boskiej. Choć ten czyn wydawał mu się całkowicie absurdalny, prawda jest jedna: będzie zmuszony porozmawiać ze znajdującą się przed nim kobietą.

– Jak... Jak się nazywasz? – Znalazł w sobie odwagę i zapytał. W innych przypadkach, pokojowych i naturalnych, uzupełniłby pozdrowienie o „moja droga”. Ale teraz!...

Domna odpowiedziała. Tu, w środku, z tym mnichem stojącym przed nią, nie była już odważną rybaczką, dziewczyną, której ręce potrafiły zarzucać sieci i takle, która wypływała daleko w morze, która była mocna i walczyła z morskimi bożkami i demonami. Tutaj i teraz stała się bladą, bezsilną istotą, którą spowijał strach, dręczyły mdłości, doprowadzało do paniki wściekłe spojrzenie mnicha. „Chyba jesteśmy w niebezpieczeństwie!”, tylko tyle

mogła pomyśleć. A liczba mnoga obejmowała ją samą, Nifonasa, ale także życie trzepoczące wewnątrz niej.

Znow zapadło milczenie. W rzeczy samej mnich potrzebował wielkiej siły, żeby zadać następne, podwójne pytanie: „Jak się tu znalazłaś? Kto cię przyprowadził?”. Takiej samej determinacji, a może i większej, potrzebowała skulona na łóżku Domna, żeby odpowiedzieć. Zapytał ją, uprzednio zbliżywszy się jeszcze o jeden krok. Domna wzięła głęboki oddech i odpowiedziała cichym głosem. I znowu martwa cisza. Starzec chrząknął, przyglądając jej się teraz uważniej. Dziewczyna zrozumiała, że nadeszła pora, by wszystko wyznać. Cichym głosem, strwożonym i przerywanym, zaczęła powoli snuć opowieść o swoim związku z Nifonasem.

Ciekawe, czy Gedeon spodziewał się usłyszeć to wszystko, co mu opowiadała dziewczyna? Czy jednak nie tak – mniej więcej – to sobie wyobrażał, od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał? Czy nie jest tak, że właśnie ciało wykorzystuje zawsze po trzykroć przeklęty, gdy pragnie skusić jakiegoś mnicha i zwieść go z Bożej ścieżki? Wszystko, co usłyszał od dziewczyny (gdzie pierwszy raz spotkała Nifonasa i co się wydarzyło w ciągu tych miesięcy), właściwie go zupełnie nie zdziwiło. Skoro już sprawy zaszły tak daleko, „on się chyba Boga nie boi, że wprowadził kobietę, swoją kochankę, do celi!”, wszystko inne było już przewidywalne. Oczywiście, starzec czuł wściekłość. Słuchał, jak mu opowiadała o wypadku Nifonasa z mureną lub o spotkaniach podczas połowów, i aż go ręka świerzbiła, by go trzepnąć raz a dobrze. Dowiedział się także o wizycie, jaką młody mnich złożył w jej wsi i o wieczerni w czasie święta. Ach, to tak! No, niechby go miał teraz przed sobą! Ekskomunikowałby go. Tak, tak, ekskomunikowałby go.

Nifonasa jednak nie było w celi. Dziś był piątek, a w każdy piątek na Świętej Górze Boska Liturgia trwała znacznie dłużej. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby się jeszcze pomodlić za zbawienie swojej duszy i równocześnie za ich bezpieczną ucieczkę z Góry. Ale i Gedeonowi go wystarczyło, by się wszystkiego od Domny dowiedzieć.

Minęło dość dużo czasu. To, co przed kilkoma dniami czy godzinami było całkowicie nie do wyobrażenia, teraz wydawało się naturalne. Jako że właściwie starzec nie zareagował na to, co powiedziała, Domna z wolna odzyskała panowanie nad sobą. Bo spodziewała się, że mnich zachowa się inaczej, będzie gwałtowny i wściekły, a teraz widziała, że reaguje powściągliwie. Odniosła zatem wrażenie, że sprawy idą dobrze. Gedeon,

ze swojej strony, ostrożnie i cierpliwie tkął swój plan. Przewycięzył gniew, udawał opanowanego i starał się, by jego pytania brzmiały spokojnie. Wysłuchał jej i dowiedział się już wszystkiego o Nifonasi i o Domnie. W głębi duszy jednak wzdrygał się. Mimo to okazywał cierpliwość i dalej pytał. Pytał o to i o tamto: jaka jest jej rodzina, czy uczęszcza do kościoła, jak się jej żyje na wsi. Ponadto: jak spędzała czas tutaj, w celi, co na to wszystko Nifonas. Jednak decydującego pytania Gedeon jeszcze nie zadał. Czy była to kwestia strategii? A może Duch Święty jeszcze go nie oświecił?

– Dlaczego jesteś w łóżku? Dlaczego leżysz?

Od dobrej chwili Domna czuła się swobodniej, leżała z rękami na kołdrze. Gdy minął pierwszy szok i mogła opowiedzieć wszystko o sobie i Nifonasi, miała teraz odczucie, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Żadnych złorzeczeń, przekleństw czy rękoczynów. Leciwy mnich sprawiał wrażenie nieszkodliwego. Naturalnie, dziki wyraz twarzy robił złe wrażenie, ale w gruncie rzeczy pewnie dusza człowieka z niego. Podobnie jak ci starcy w jej wsi, z którymi Domna wiele razy gawędziła lub zabierała ich na swoją łódź na połowy. Przypomniła sobie niektórych i na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

„Szydzi sobie ze mnie Szatan, drwi ze mnie...”, pomyślał Gedeon, spoglądając na nią. Ale przełknął także i tę urazę. Musi przemierzyć jeszcze długą drogę męki, aż wypełni swoją misję. Domna z kolei zrozumiała, że powinna odpowiedzieć, z jakiego powodu leży w łóżku. Utwierdziła się w przekonaniu, że nie ma żadnego powodu do obaw. Skoro mnich nie zareagował, gdy znalazł ją w celi, i co ważniejsze, zachował spokój, gdy mu powiedziała o swojej miłości do Nifonasa, dlaczego miałby się zdenerwować na wieść, że jest z nim w ciąży?

I powiedziała mu o tym.

Kłęczał tylko kapłan przed ołtarzem. Pozostali mnisi, gdy tylko usłyszeli z jego ust pełne szacunku: *to, co Twoje, z Twoich darów*, niemal wszyscy upadli twarzą na posadzkę kościoła. Dzisiaj celebrował mnich zajmujący wysokie stanowisko, wysłannik Fanaru, mający oddzielne obowiązki i szczególne nakazy od Patriarchy. Wysoki, dostojny, przemawiający i zachowujący się w taki sposób, do jakiego mnisi nie byli przyzwyczajeni. Igumen powiedział im parę rzeczy na temat jego wizyty. Podczas zwykłego cotygodniowego zebrania wytłumaczył im, z jakiego powodu przybywa



wysłannik z Konstantynopola i jakie miłe Bogu, ale trudne dzieło mu powierzono – tak więc „wszyscy winniśmy być posłuszni jego nakazom i jakimkolwiek życzeniom”. W tym przypadku sprawy nie były tak proste, jak z rosyjskimi pisarzami ikon („Niechaj Bóg ich takimi uczyni!”). Najczcigodniejszy metropolita Filadelfii, Dositheos, przybywał, by zaprowadzić pokój na Górze. Dobrze byłoby zatem być posłusznym jego pragnieniom. Ciężarówka i inne pojazdy należące do monasteru mają być zaparkowane w odpowiednim do tej sytuacji miejscu i nikt nie powinien ich ruszać bez jakiegoś poważnego powodu.

Czoło Nifonasa spoczywało na zimnych płytach posadzki. Do uszu docierały szeptane prośby metropolity-kapłana. Czuł w sobie gmatwaną uczuć i myśli. „Nie jest ze mną dobrze, zwariuję!”, pomyślał i raz jeszcze spróbował skoncentrować się na modlitwie. Rozumiał, że znalazł się w ślepej uliczce. Zdawał sobie sprawę coraz bardziej boleśnie, że jego życie jest tak poplątane i grzeszne, że nikt nie będzie mógł mu pomóc. Przed nikim nie miał odwagi wyświadczyć się ze swoich grzechów, nie było nikogo, kto by mu podał pomocną dłoń. Przychodziły mu do głowy różne osoby, z którymi mógłby porozmawiać, które mogłyby mu jakoś pomóc w tej gołgocie. Wszystkich wykluczył. Nawet swojego starego przyjaciela, który klęczał tuż obok, razem ze swoim synem, nawet jego uznał za nieodpowiednią osobę do zwierzeń. Być może... Być może z Charidimosem mógłby się podzielić swoim brzemieniem. Być może.

Gdy kończyła się Boska Liturgia, nie usiadł, żeby dotrzymać towarzystwa innym mnichom na dziedzińcu – stary zwyczaj cenobickich monasterów. Nie miał nawet ochoty iść do refektarza. Przed wyjściem wpadł na swojego starego przyjaciela. Ale i on zdawał się śpieszyć, musiał natychmiast ruszyć do Filotheu. Ustalił wcześniej z kilkoma mnichami, że udadzą się na wspinaczkę na szczyt Góry Athos, żeby się pomodlić w kościółku Przemienienia Pańskiego. Wymienili na szybko kilka słów, a potem Nifonas życzył mu „pomyślnej drogi”.

Zostawił za sobą łukowato sklepioną cysterne z unoszącymi się na wodzie nenufarami. Z sadu Joanikios kiwnął do niego głową, coś wołając, czego jednak Nifonas nie usłyszał. Minął zaparkowane pojazdy i skręcił w prawo za domkami, w których mieszkali albańscy robotnicy i ich pracodawca – tajemniczy typ z Chalkidiki. Nie poszedł drogą, która wiodła do Pantokratoros. Na pierwszym skrzyżowaniu zostawił szeroki gościniec

i poszedł ścieżką. Las bardzo nieśmiało sposobił się na nadejście wiosny. Klony, modrzewie, lipy, gęste krzewy i dęby skalne, wszystko przygotowywało się na nadchodzące kwitnienie. Ale ich także Nifonas nie miał ochoty ani oglądać, ani podziwiać. Jedyńm jego pragnieniem było to, by mógł otworzyć przed kimś swoje serce. Podzielić się z kimś swoją udręką.

„A jeśli zastanę go przy pisaniu wierszy?”

Uśmiechnął się. Znał dobrze Charidimosa; wiedział, kim był, jaka była jego przeszłość, jakiej sztuce oddawał się po kryjomu. Gdy przed czterema laty igumen poprosił go, żeby pomógł nowemu bratu pokonać szok wywołany „rozczarowaniem, jakie spotkało go w świecie ludzi”, i równocześnie go „oddalił od alkoholu”, Nifonas chętnie się zgodził. Towarzysząc Charidimosowi i rozmawiając z nim przez nieskończone godziny, pokazał mu drogę do Pana. Nawet teraz w modlitwach zawsze znajdował miejsce dla tego „wykształconego”. Myślał o nim codziennie, odczuwał go i kochał tak, jak dawno temu odczuwał i kochał swojego świętej pamięci brata.

„Jeśli pisze wiersze, powiem mu, żeby napisał też jeden dla mnie”.

Znów się uśmiechnął, ale zmienił zdanie.

Jednak nie, Charidimos nie pisał wierszy. Pochylony nad stołem, który służył mu za biurko, zajęty był historią Teofana Kreteńczyka. Wyjaśnił to Nifonasowi później, gdy już go pozdrowił, wyraźnie uradowany niespodziewaną wizytą. Zaproponował mu jedyne krzesło. Chata – kathisma<sup>127</sup> – była dosłownie zagnieżdżona w lesie. Była jedną z tych kryjówek, które od czasu do czasu budują anachoreci, gdy pragną się wycofać z monasteru i poszukiwać Pana w jeszcze większej samotni. Taką pustelnią był także domek Charidimosa. Tutaj się skrył i tutaj, za pomocą modlitwy, ale także i pisania, pragnął znaleźć spokój duszy.

Zaczęli od typowych spraw: jak zdrowie tego czy tamtego, jak się im powodzi, co nowego w monasterze. Potem zapadła kilkuminutowa cisza. Charidimos odgadł, że coś jest nie tak, gdy zauważył nerwowe ruchy gościa. Zdaje się, że nie są to przypadkowe odwiedziny. Jego przeczucie okazało się słuszne.

– *Nie możecie służyć Bogu i Mamonie*<sup>128</sup>, drogi Charidimosie, *nie możecie!* – usłyszał zdyszany głos Nifonasa.

Zgodził się, potwierdzając ruchem głowy. Ale o kim Nifonas mówił? Kogo dotyczyła ta dwoista niewiara? Może była to aluzja do jego własnej przeszłości? Do tego, że w istocie jego teraźniejszy żywot nie jest wystarczająco chrześcijański, aby mógł odpokutować grzechy cielesne, które go tak bardzo udręczyły?

Dalsze słowa Nifonasa przerwały natychmiast jego ciąg skojarzeń.

– Wiesz, co mówi w pewnym miejscu Ewangelia? Że jest rzeczą konieczną, żeby zgorzenia pojawiały się na ziemi, gdyż tylko w ten sposób chrześcijanin zostanie poddany próbie i jego wiara także. Z drugiej jednak strony, przeklęty jest ten, kto je wywoła<sup>129</sup>. Tak mówi Pismo... Dlatego też Pan opowiada przypowieść o niesprawiedliwym zarządcy.

Nifonas pragnął wyznać swoje namiętności Charidimosowi i znalazł najgorszy możliwy sposób: mówił słowami Chrystusa. Z drugiej jednak strony, choć Charidimos był w odpowiednim nastroju, żeby go wysłuchać, to źle zrozumiał jego słowa; sądził, że aluzje Nifonasa dotyczyły jego własnego przypadku. Wieża Babel!

Zapadło milczenie.

W pewnej chwili Nifonas odwrócił wzrok od Charidimosa i zwrócił go w stronę lasu. „Jak pięknie jest siedzieć tutaj i pisać...”, pomyślał i w głębi duszy ucieszył się, że jego przyjaciel ma ten przywilej. On również ma udręczoną duszę, oby znalazł spokój, którego pragnie.

Charidimos przez cały ten czas nic nie mówił. Był mądry i swoim milczeniem ułatwiał przyjacielowi doprowadzenie rozmowy do miejsca, do którego tamten dążył. Usłyszał, jak Nifonas odchrząknął. Pewnie podjął decyzję, by mu powiedzieć, co naprawdę się z nim dzieje, jaki krzyż męczeństwa dźwiga. Początkowo zamierzał mu to wyłożyć w łagodny, oględny sposób.

– Otóż, Charidimosie, ostatnio dręczy mnie... Dręczy mnie sens pewnego passusu z Ewangelii według świętego Mateusza. Chciałbym usłyszeć i twoje zdanie na ten temat. Ty pewnie będziesz wiedział...

Mnich dał mu znak, żeby kontynuował, był gotów go wysłuchać. Nifonas wbił wzrok w obraz na ścianie.

– *Nie wlewa się też młodego wina do starych bukłaków. W przeciwnym razie bukłaki pękają, wino wycieka, a bukłaki się psują...*

– *...raczej młode wino wlewa się do nowych bukłaków* – przerwał

mu Charidimos, kontynuując passus jednym tchem – *a tak jedno i drugie się zachowuje*<sup>130</sup>.

Obaj się uśmiechnęli. Jakby byli dziećmi i jeden pomagał drugiemu naprawić jakąś zepsutą zabawkę. Choć w głowie Charidimosa natychmiast pojawiły się obrazy pijaństwa i butelek z jego grzesznej przeszłości.

– Tak więc?

– Otóż nowe idee, podobnie jak nowe rzeczy, muszą pochodzić od nowych ludzi. Czyż nie tak? Ale o kim mowa w Ewangelii?

Głos Nifonasa zdradzał niepokój. Charidimos z pewnością znał odpowiedź, pisał artykuły, książki, był czytany i zajmował się teoretycznymi kwestiami wiary. Dlatego też – kontynuował swoją myśl Nifonas – odpowiedź, którą miał mu dać przyjaciel, może zostawiłaby maleńkie okienko, wąską szparę, by ciężki grzech, który przygniatał jego ramiona, mógł zostać usprawiedliwiony lub wybaczony.

– Co ty o tym sądzisz, Charidimosie?

Charidimos nie był przeciwny nowinkom. Wiara jest rzeką, która się wolno toczy. Płynąc w stronę oceanu chrześcijaństwa, poszerza swoje koryto, otwiera nowe drogi, burzy brzegi, zмага się z ziemią i kamieniami. Czasem woda zmętnieje, może nadejdą dni, że nawet wyschnie. Wówczas okaże się, jak mocna jest czyjaś wiara! To znaczy, jak ów człowiek poradzi sobie z tym, by znów się umocnić; jak oczyszczą się wody, by znów płynęły obficie. Jak sobie da radę z tym, by nie skwaśniało wino i nie stało się octem. Równocześnie jednak, by wytrzymał także bukłak. Niezależnie od tego, czy jest stary, czy nowy. Dobry chrześcijanin powinien być otwarty na nowinki, przede wszystkim jednak ma pilnie przestrzegać i strzec tradycji. To jest arka jego zbawienia.

Nifonas słuchał go ze spuszczoną głową. Otrzymał odpowiedź, ale odkupienia nie zobaczył. Zmagał się z nagłym dylematem: „Powiedzieć mu? Otworzyć przed nim swoje serce?”. Jednak po chwili zmienił zdanie. „Czy on naprawdę może mi pomóc? Co zyskam, jeśli mu powiem o mnie, o niej... A może w ten sposób niepotrzebnie wystawię go na pokusę?”

Ostatecznie postanowił trzymać język za zębami. Przynajmniej w ten sposób ochroni przyjaciela przed niechybnym szokiem, nie wystawi go na pokuszenie, nie narazi na to, by przypadkiem przypomniał sobie o swojej przeszłości. Spojrzał w stronę lasu. Na szybie pojawiły się pierwsze krople

deszczu.

– Na mnie już czas...

W jego głosie zabrzmiało znużenie – była w nim jakaś skarga. Charidimos w dalszym ciągu był zakłopotany. Wahał się, czy nie zapytać, co tak naprawdę się dzieje. Bo było jasne jak słońce, że coś poważnego nęka Nifonasa. Jego osobliwe zachowanie całkowicie jednak zbiło z tropu Charidimosa. Wstali. Podeszli do siebie. Spojrzeli sobie w oczy niczym ludzie, którzy wiedzą, że nie powiedzieli całej prawdy. Ale którzy równocześnie nie mają pojęcia, czy w końcu wyszło im to na dobre, czy też nie.

Pożegnali się w drzwiach celi. Jakiś zapach wilgotnego zioła dotarł do nosa Nifonasa. Zrobił kilka kroków w drobnym deszczu, po czym przystanął. Odwrócił głowę i jakby nabrał odwagi, łamiącym się głosem powiedział coś, co zaniepokoiło Charidimosa i sprawiło, że jeszcze większy miał zamęt w głowie:

– *Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień*<sup>131</sup>, mój bracie! – I palcem wskazującym pokazał na swoją pierś. Że mianowicie jego samego dotyczył ten passus ewangeliczny.

Ruszył teraz szybkimi krokami. Nie zważał na deszcz, martwiła go tylko myśl, że Domna mogła się zaniepokoić jego wielogodzinną nieobecnością. Samotna kobieta... w takim stanie... w celi...

Szedł zygzakiem, żeby ominąć błoto i kałuże. Niebo w kolorze stali, Athos niewidoczna. „Pewnie idzie jakaś ulewa”. Potrzebował około pół godziny, by dotrzeć do monasteru. Przyśpieszył więc kroku. Prawie biegł między drzewami i gęstymi krzewami. Biegł i rozmyślał, biegł i czuł, że w głowie ma wulkan. A w chwili gdy deszcz zaczął na dobre smagać jego twarz, a jego oddech był coraz bardziej zdyszany od biegu, z krzewów wychynął jakiś ciemny kształt, który wpadł na niego i powalił na ziemię.

„Szatan!”, tylko tyle zdążył pomyśleć Nifonas, zanim upadł jak długi w grzęzawisko.

Nie był to jednak Szatan. Ujrzał, jak mijają go, popiskujące ze strachu, biegnąc jedno za drugim, cztery zwierzątka o czarnym futrze. Za nimi ciężki i ciemny kształt, locha. To ona go zaatakowała; albo ze strachu, albo żeby ochronić swoje młode. Warchlaki teraz pędziły, żeby się skryć w jakiejś kryjówce. Z dala od niepożądanych gości, daleko od mnichów, którzy

zamiast siedzieć w swojej celi i modlić się, wałęsają się po lesie w tak nieodpowiedniej porze.

Wrócił do monasteru w załosnym stanie. Od stóp do głów był ubłocony. Jego habit był tak utyłany, że gdyby w owej chwili ujrzał go któryś z mnichów, albo by opacznie zrozumiał sytuację (że stoczył się w otchłań grzechu), albo by się roześmiał. Na szczęście nie spotkał nikogo. Pośpiesznie wszedł po schodach i dotarł do celi. Przystanął, by zaczerpnąć oddechu. Potem podniósł rękę i zastukał w umówiony sposób.

Domna sprawiała wrażenie opętanej. Jej oczy wyglądały tak, jakby trawiła ją wysoka gorączka. Wargi drżały, jej ruchy przypominały człowieka w delirium. I jakby tego było mało, była ubrana i wyraźnie na niego czekała.

Nifonas stanął jak wryty. Świeży zapach lasu zastąpiła teraz ciężka woń kadzidła, oddechów i znoszonych ubrań. Ale większe zdziwienie wywołały jej słowa:

– Uciekajmy! Teraz! Natychmiast! – I pokazała mu tobołek, który dźwigali także podczas poprzednich nieudanych prób opuszczenia Góry.

– Ale... co się wydarzyło? Co ci się stało? – z trudem wydusił z siebie Nifonas. Spoglądał na nią i nie wierzył własnym oczom. Domna zupełnie nie przypominała siebie z ostatnich dni: kobiety z powolnymi i ostrożnymi ruchami. Przed nim stała dawna Domna, dziewczyna, której żywiołem było morze. Związała włosy w kucyk, a jej głos brzmiał jak syk węża:

– Uciekajmy natychmiast! Zrozumiałeś?

Nie trzeba mu było powtarzać dwa razy. W kącie szybko zmienił mokre ubranie, zebrał jakieś osobiste rzeczy i przygotował się do kolejnego wyjścia. A wszystko to robił, zastanawiając się, co zaszło w międzyczasie, że Domna podjęła taką nagłą decyzję.

Korytarz był pusty i ciemny. Od jakiegoś czasu słyhać było uderzenia gongu zwołującego mnichów na wielką noc Akatystu. Z przodu Nifonas, z tyłu Domna, opatuleni od stóp do głów w habity, zeszli drewnianymi schodami i dotarli na dziedziniec. Główna brama była zamknięta. Jednak w Stawronikita zawsze zostawiano otwartą boczną małą furtkę. Przez nią wyszli. Klucze do dzipa należącego do monasteru znajdowały się ukryte pod siedzeniem kierowcy – „wszystkie pojazdy w każdej chwili są do dyspozycji najczcigodniejszego Dositheosa”. Dziewczyna, wciąż ponura i milcząca, usiadła na miejscu dla pasażera. Tymczasem deszcz jeszcze się wzmógł. Droga stawała się coraz bardziej nieprzejezdna. Dłonie Nifonasa zachowały

wprawę w kierowaniu (mimo że niegdyś splamiły się krwią). Potrafił omijać kałuże i prowadzić w taki sposób, żeby Domna nie cierpiała w czasie jazdy.

Niestety, z wyroków losu sprawy miały potoczyć się inaczej. Niedługo przed skrzyżowaniem na Iwiron, gdy wycieraczki pracowały z większą prędkością, z tyłu dał się słyszeć jakiś mocny stukot i dżip nagle zmienił kierunek jazdy. Wyglądało na to, że Nifonas traci panowanie nad kierownicą; manewrował, starał się wyprostować samochód, ale na próżno. Nie minęło kilka sekund, a dżip z impetem wpadł do rowu.

– Ach! – krzyknęła Domna. Jednak nie ze strachu czy z powodu dotkliwego uderzenia. Jęknęła, bo w dolnej części brzucha poczuła przeszywający ból. A najgorsze ze wszystkiego było to, że natychmiast poczuła, jak krew ścieka jej po nogach. Duży upływ krwi, który mógł przerwać życie, jakie w sobie nosiła.

Wrócili do monasteru w deszczu, przemoknięci do szpiku kości. Jedną ręką Domna wczepiła się w Nifonasa, drugą trzymała swój brzuch. Sądziła, że w ten sposób uda jej się powstrzymać gorący strumień, który nie przestawał się sączyć z jej wnętrza. Weszli do celi mokrzy nie tylko od deszczu. Z katolikonu dochodziła do ich uszu psalmodia, *O, Waleczna Hetmanko, zwycięską wdzięczności pieśń*. Wysławiali mnisi Przenajświętszą, która ocaliła Stolicę w czasie wielkiego oblężenia przez Arabów<sup>132</sup>. A kiedy miało się skończyć ich oblężenie? I w jaki sposób?

– Nie czuję się dobrze! – powiedziała cicho i ciężko opadła na niepościelone łóżko. Jednak chwilę potem poderwała się z głośnym „och!”. Nie wiedziała, co robić, żeby powstrzymać bóle. Nifonas obserwował ją w milczeniu. Już wcześniej widział ją cierpiącą, ale nie z taką intensywnością i nie tak długo, jak teraz. Nie wiedział, w jaki sposób jej pomóc. W pewnej chwili przyszła mu do głowy myśl, że może nadeszła godzina porodu. Jednak nie. Z ich obliczeń wynikało, że ma się to stać w połowie czerwca, za dwa miesiące. Wtedy mieli się znajdować poza Górą, jak normalna para, nieobciążeni już żadnym grzechem. Co zatem mogło się dziać?

Gwałtowny rozbłysk i uderzenie pioruna uświadomiły im, że burza dalej trwała z taką samą jak wcześniej intensywnością. Nifonas podszedł do okna.

– Oby tylko żaden...

Chciał powiedzieć: „Oby tylko żaden rybak nie znajdował się w tej chwili

na morzu”, ale jego myśl bez związku została przerwana w połowie. Krzyk Domny przeszył mu uszy. Odwrócił się w jej stronę przerażony.

Kolejne godziny miały być dla Domny pełne bólu. Dla Nifonasa przeraźliwe. To, czego oboje oczekiwali (równocześnie drząc na samą myśl o tym), w końcu miało się wydarzyć. Domna zrozumiała to pierwsza – wszak dotyczyło to jej ciała: wszystko wyglądało na pierwsze fazy porodu. Dotarło do niej, że urodzi, gdy na jej nogi wylały się obficie wody płodowe. „Odeszły wody”, wyszeptła i zagryzła wargi. Osunęła się na łóżko, sądząc, że zaraz zemdleje z bólu, który stawał się nie do wytrzymania. Nifonas patrzył na nią bezradnie, a grube krople potu perliły się na jego twarzy. Zebrał w sobie siły i zbliżył się. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać jej włosy. Domna chwyciła ją gwałtownie. Ścisnęła mocno i przyciągnęła do ust, jakby chciała ją ugryźć. Nie wiedziała, co robić, jak się uwolnić od bólu. Nifonas odsunął się i niczym lunatyk przykucnął w kącie na podłodze. Ze strachu, ale i ze wstydu, skulił się w sobie. Od czasu do czasu zerkał ukradkiem, by zobaczyć, co się dzieje na łóżku. Wielka próba dopiero się zaczynała.

– *Pięknem dziewictwa Twego i blaskiem nieziemskim Twej świętości...* – cicho śpiewał Arsenios, zbiegając po schodach. Spieszył się, by szybko skończyć to, co miał do zrobienia. Chciał wrócić do pozostałych braci, którzy po nabożeństwie Akatystu mieli się zebrać w wielkiej sali, by posłuchać ogłoszeń igumena. Nie może go tam zabraknąć; powróci szybko, zaraz po tym, jak ulży swoim wnętrznościom, „temu obrzydliwemu ciału!”.

Dotarł do ciemnego korytarza. Dobrze znał usytuowanie, więc nie było niebezpieczeństwa, że może się potknąć i upaść. Gdy mijał celę Nifonasa, zatrzymał się. W tej chwili przypomniał sobie ze zdumieniem, że nie widział go na dzisiejszym nabożeństwie. Dlaczego? Ciekawe, dlaczego go nie było? Ale chwileczkę! Co to za dziwne dźwięki i westchnienia tam w środku? „Jezusie i Matko Przenajświętsza!” Zmroziło go. „Ach, więc to tak!”, pomyślał, rozpalony do czerwoności. „To my się modlimy, a on...” Z trudem dochodził do siebie. Gryzł z wściekłości paznokcie, nie wiedząc, co ma robić i co ma powiedzieć. Potem odwrócił się i zapominając o cielesnych potrzebach, pomknął jak pocisk do wielkiej sali. Chciał zobaczyć, którego mnicha brakuje. Którego brata miał Nifonas za towarzysza podczas tej nocnej cielesnej uczyty w jego celi.

Gdyby jednak Arsenios był trochę bardziej cierpliwy i pozostał na swoim



miejscu, chwilę później usłyszałyby przeraźliwy krzyk, który towarzyszył „miłosnym” westchnieniom. A gdyby był bardziej śmiały lub niedyskretny, po otwarciu drzwi celi ujrzałyby scenę, która zaparłaby mu dech w piersiach i wprawiała w osłupienie. A scena ta była najgorszą, najbardziej rozwiązłą i grzeszną, jaka kiedykolwiek wydarzyła się na Górze. Scena bezbożna i plugawa. Bezecna i lubieżna. Z każdej strony niemoralna. Płód Szatana i twór intrygi Lucyfera. Dlatego że ten świętokradczy czyn obraca wniwecz świętość miejsca, mistycyzm świętego zakazu i przysięgę czystości, ale i ponadtysiącletnią walkę niezliczonych mnichów, którzy poświęcili sprawy ziemskie w imię świętej Niewinności. Szczęśliwie dla Arseniosa scena ta rozegrała się bez jego udziału. Zbliżała się bowiem północ, gdy z łona Domny wyłoniła się nowa istota. Nowe życie.

Gdyby tę scenę zobaczył jakiś malarz i namalował na jej podstawie obraz, pewnie nadałby mu tytuł: „Z otwartymi ustami”. Bo tak właśnie było. Szeroko otworzyła usta Domna – na początku z bólu i z ulgi na końcu. Otwarte usta miał też Nifonas. On z powodu potwornego zdumienia na widok tego, co działo się w jego celi w jego obecności. I oczywiście nowo narodzone dziecko otworzyło swoje maleńkie usta, zanosząc się płaczem donośnym i życiodajnym. Jednak z wyroków losu nikomu niedane było usłyszeć tego płaczu. Potężny piorun uderzył w tej chwili i wstrząsnął nie tylko monasterem Stawronikita, ale i całą przyrodą. Grzmot i błyskawica były tak potężne, że z pewnością nie było nikogo w okolicy, kto nie zadrżałby na całym ciele, komu by krew nie zastygła i kto nie przywołałby w myślach trzęsienia ziemi, które wywołał Ów, by pokazać rozdarcie w chwili, gdy Jego Jednorodzony Syn rzekł na swoim krzyżu męczeństwa: „Wykonało się”.

Tyle że tutaj nie chodziło o śmierć, ale o narodziny. Na zewnątrz wszechświat zdawał się toczyć walkę irracjonalną i nierozstrzygalną. Jednak w celi Domna spokojnie obmyła nowo narodzone maleństwo, zawięła w czyste ubranie i położyła delikatnie obok siebie.

Nifonas patrzył i nie dowierzał, widział i sądził, że to kłamstwo. Znajdował się w celi-żłobku absurdu. On sam był nowym Józefem w niepojętym Betlejem.

[127](#) Kathisma (κάθισμα) – najmniejszy typ celi na Górze Athos, niewielkich rozmiarów budynek z kaplicą, przeznaczony dla jednego mnicha. Zwykle główny monaster przydziela go mnichowi na całe życie.

[128](#) Łk 16, 13.

[129](#) Mt 18, 7.

[130](#) Mt 9, 17.

[131](#) Por. J 8, 7.

[132](#) Akatyst ku czci Bogurodzicy śpiewano, by podziękować za uratowanie Konstantynopola w czasie oblężenia przez Awarów w 626 roku. Inne źródła podają, że był śpiewany także podczas oblężenia Miasta przez armię kalifatu Umajjadów w latach 674–678.

ψ

## „Wszystko idzie dobrze”

From: evgenios@otenet.gr

To: minister1@ypex.gr

Subject: STAWRONIKITA

Drogi Mironie,

z powodu wczorajszej burzy komórki nie łapią zasięgu (nie uczyniła swojego cudu Przenajświętsza Vodafonissa)<sup>133</sup>. Kontynuuję zatem to, co Ci napisałem rano. Minęło dość sporo czasu i dopiero teraz mogę powiedzieć, że sytuacja się jakoś załagodziła. Potrzebuję jednak także Twojej pomocy, by doprowadzić plan do końca. Nie ukrywam, że podejmuję ryzyko, ale – chcę, żebyś o tym wiedział – to, co Ci proponuję, jest konieczne. Jeśli chcemy zachować sprawę w tajemnicy, żeby nie wybuchł skandal, który wykorzysta opozycja, powinniśmy wprowadzić mój plan w życie. Gazety, oczywiście, o wszystkim poinformują, napiszą to, co wiedzą. Dobrze by było jednak, gdyby dowiedzieli się TYLKO TEGO, co znajdzie się w przeciekach, na które my pozwolimy. Wiem, że opozycja ma mnie na oku. Nie minął miesiąc, od kiedy w Parlamencie padło ponowne pytanie na temat niby źle zarządzanego Centrum Ochrony Dziedzictwa Athoskiego. Nie powstrzymali się nawet przed rzucaniem oskarżeń, że powierzyłem eksploatację połowów i handlu rybami w strefie przybrzeżnej Góry firmie mojego krewnego. Koniec końców, tym zajmiemy się innym razem. Rozumiesz teraz, co się stanie, gdy wyjdzie na jaw to, co wydarzyło się w Stawronikita. Krótko mówiąc, proponuję następujący plan. Najpierw wypędziłem z monasteru policjanta prowadzącego śledztwo. Był tak uparty, że nalegał, aby wszyscy mnisi złożyli zeznania. Zagmatwał całe zdarzenie. Siłą wsadziłem go do dżipa i przed godziną wyjechał do Karies. Prawda jest taka, że wszyscy mnisi są wstrząśnięci. Wielu z nich poprosiło metropolitę Filadelfii, który w tych dniach przebywa w monasterze jako wysłannik Patriarchatu, aby podjął kroki w celu obłożenia ekskomuniką tego, którego uważają za winowajcę. Wezwałem mnichów do sali przyjęć i przemówiłem do nich. Powiedziałem, jaka jest sytuacja, jaka korzyść dla nich samych i dla monasteru płynie z milczenia. Ostrzegłem, że istnieje niebezpieczeństwo, iż reputacja

Stawronikita może doznać skazy, jeśli nie utrzymają w tajemnicy tego, co się wydarzyło. W końcu się zgodzili. Dwóch świeckich, ojciec z synem, którzy w tych dniach goszczą w monasterze, oni również okazali się skłonni do milczenia. Są przyjaciółmi mnicha, który zniknął. Przechodzę teraz do tego, co powinno nastąpić w dalszej kolejności. Przede wszystkim mamy szczęście. Jeden z mnichów znalazł w przystani łódkę, która nie należy do monasteru. Zapewne na niej dotarła tutaj dziewczyna, a potem ukryła ją przy pomocy swojego przyjaciela. To jest element bardzo ułatwiający realizację mojego planu. Posłuchaj, co wymyśliłem i o jaką pomoc Cię proszę. Po pierwsze, zaniesiemy zwłoki do przystani i złożymy je w łodzi. W ten sposób stworzymy pozory, że to, co się stało, nie wydarzyło się w monasterze. Dylemat, w związku z którym proszę Cię o pomoc, dotyczy tego, czy mamy powiedzieć, że łódź dotarła do przylądków Góry i znalazł ją przypadkiem jakiś mnich, który odkrył w środku zwłoki kobiety, czy mamy tę łódź puścić swobodnie na morze, żeby ją zabrały fale? Nie sądzisz, że tak byłoby prościej? Że to dla wszystkich najlepsze możliwe rozwiązanie? Dzięki temu nikomu nie stanie się krzywda, a reputacja monasteru pozostanie nieskalana. Oczekuję także Twojej propozycji. Co do winnego lub winnych, chcę, żebyś wiedział, że jeden z nich, o imieniu Nifonas, zniknął. Gdzie może przebywać i gdzie się ukrywa, tego nie wiem. Nie wiedzą tego także inni mnisi. Drugiego z podejrzanych mam ze sobą. Utrzymuje, że wszystkiego dokonał sam, bez współudziału kogokolwiek innego. Nie ukrywam, że jego zachowanie jest bardzo dziwne. Chodzi o starca Gedeona, który twierdzi, że jest wyłącznym winowajcą i że niesprawiedliwie oskarżamy Nifonasa. W każdym razie jutro zabieram go do Dafni i stamtąd do Salonik, do komendanta policji, z którym rozmawiałem przez telefon i który mnie oczekuje. Być może tam się wszystko wyjaśni. To właśnie chciałem Ci powiedzieć. Czekam na odpowiedź. Mam však nadzieję, że wszystko idzie dobrze, dla naszej wspólnej korzyści.

Pozdrawiam Cię serdecznie,

EWJENIOS LUKIDIS,

Zarządca Świętej Góry

[133](#) Żart językowy. Aluzja do popularnego w Grecji operatora sieci komórkowej Vodafone.

Ω

## SOBOTA ZADUSZNA [134](#)

W pomieszczeniu panował dziwny spokój. Tak jak osobliwe i nienaturalne było wszystko to, co się wydarzyło przed kilkoma godzinami. Ale i wszystko, co miało miejsce od końca lutego, gdy Nifonas, pogwałciwszy całkowicie świętość, wprowadził Domnę do swojej celi, aż do dzisiejszego wieczoru, do narodzin dziecka, które teraz znajdowało się koło niej.

Odwrócił się i spojrzał.

Maleńka istota zawinięta w białą mniszą koszulkę. Czy nie była to apoteoza życia? A równocześnie całkowite zbezczeszczenie Góry? Zwycięstwo przebiegłości Szatana?

Nifonas miał w głowie mętlik; myśli, wyrzuty sumienia, poczucie winy, strach, wstyd. A razem z tym wszystkim odczuwał także odrobinę radości na widok nowego życia. W tej chwili dał się słyszeć głos Domny:

– To dziewczynka...

Nifonas szybko zamknął okno i spojrzał na nią; właśnie wyrzucił w przepaść cały tłumoczek skrwawionych i zabrudzonych ubrań. Powtórzyła to już po raz trzeci albo czwarty. Jakby płęć nowo narodzonego niemowlęcia była tym, co sprawiało jej największą radość. Nie wytrzymał i zapytał ją o to, dorzucając dREW do ognia.

– No wiesz... – Jej głos nie był stabilny, zacinała się. Nifonas wziął krzesło i usiadł obok niej. Noworodek, z zamkniętymi oczyma, ssał swój paluszek.

„Być może się cieszy, że da dziecku imię swojej matki... Albo to przyrzekła Przenajświętszej...”, przemknęły mu przez głowę możliwe przyczyny radości Domny.

– Posłuchaj... nie przestraszysz się tego, co ci powiem, prawda?

Poczuł w sobie dziwny chłód.

– To się stało jakiś czas temu, gdy ty... Wyszedłeś, a ja nie zamknęłam drzwi... Zapomniałam... Nie wstałam, nie zasunęłam rygla...

– I?

– ...

– No więc?

– Otworzył i wszedł do środka...

Myśli Nifonasa natychmiast popędziły do tamtego, do tego innego. Taka scena ożyła w wyobraźni przerażonego mnicha: otwierają się drzwi, słysząc ciężkie kroki, pojawia się ogromna postać, siwe włosy, śnieżnobiała broda, Domna podnosi się w zdumieniu z łóżka, a potem...

Nie chciał myśleć więcej. Drżał na całym ciele. Ale było zbyt wcześnie na takie skrajne odczucia, dalszy ciąg miał być jeszcze gorszy.

– Przyszedł także po raz drugi... – mówiła Domna.

Nadeszła chwila, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Wszystkie szczegóły ze spotkania ze starcem Gedeonem. „Czy nie tak się nazywa?” Nifonas skinął głową, „tak”, i zamarł w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

Domna przez chwilę milczała, ale wydawało się, że zajmuje ją coś innego. Zaczęły nią wstrząsać dziwne dreszcze. Nie minęły dwie minuty, a jęknęła z bólu. Dziecko obok niej dalej spało szczęśliwym snem. Podniosła rękę do czoła i odgarnęła kosmyk włosów. Znów jęknęła. I zaraz po chwili głośne „ach!” wyrwało się z jej ust. Nifonas spanikowany wodził oczami na prawo i lewo; krzyk pewnie było słyszeć na całym korytarzu.

– Co jest? Co się dzieje?

Nie otrzymał odpowiedzi. Drugi krzyk, który z siebie wydała, wbił się jak nóż w jego serce. Działo się coś bardzo dziwnego. Ale co? Skoro poród się skończył i wszystko poszło dobrze, co mogło sprawiać, że Domnę tak bardzo boli? Może jakieś powikłanie z tego powodu, że rodziła sama? A może coś poważniejszego? Hałas obudził dziecko, które teraz żałośnie płakało. Jęki i krzyki Domny, płacz noworodka – Nifonasa ogarnęła całkowita panika.

Nagle przeraziła go jedna myśl:

„To nie tylko jedno... Ma też w sobie drugie... Bliźnięta... Podobnie jak ja... Ja i Stamatis...”

Nagły podmuch wiatru otworzył okiennice, które zaczęły gwałtownie łomotać. Nifonas wstał i poszedł je zamknąć. Gdy tylko otworzył okno, deszcz smagnął jego twarz. To nie wyglądało na zwyczajną burzę. Natura objawiała swoją wściekłość, gęsty mrok, w oddali ryczące morze, nawałnica tak potężna, jakby chciała zmieść monaster z powierzchni ziemi. „Panie, zmiłuj się”, wyszeptał przerażony i odwrócił się do Domny.

Pot lał się strumieniami. Rzucała się na łóżku, zagryzała wargi, wydawała z siebie zduszone okrzyki, jej oczy wyglądały tak, jakby miały wyjść z orbit. W pewnej chwili udało jej się wydusić z siebie to, co i ona podejrzewała. Rzeczywiście, zaczynał się drugi poród.

„Ile jeszcze, mój Boże?”, myślał Nifonas. A raczej chciał powiedzieć: jak długo jeszcze ma go karać Najwyższy? Jak długo jeszcze ma pić z gorzkiego kielicha próby?

Od tego momentu przez półtorej godziny Nifonas przeżywał to samo, co wcześniej, wszystko się powtórzyło. Ponownie krew, ból, jęki, znów walka Domny z własnym ciałem. Jeszcze jeden raz w męczarniach uwalniała ze swojego łona drugie życie, dziecko powoli przychodziło na świat. Nifonas przez cały czas trwał w swoim kącie, zgięty w pół, tak jak uprzednio, z zamkniętymi oczyma. Modlił się – przynajmniej chciał tak myśleć. Wypowiadał rozliczne „Panie, zmiłuj się”, ale nieskładnie i bez skupienia. W istocie przedstawiał sobą nieszczęsny i godny pożałowania widok. Gdy trwał w takim stanie, w pewnej chwili dotarł do jego uszu nowy płacz. Dopiero wtedy podniósł wzrok i ujrzał drugie dziecko. Bliźniaka.

Domna odcięła pępowinę i raz jeszcze zrobiła to, co w podobnych przypadkach robi położnik. Potem zaczęła obmywać noworodka i była gotowa zawinąć go w kolejną koszulkę. Kiedy podniosła lewą rękę dziecka, Nifonas ujrzał coś, co wbiło go w ziemię. Spoglądał i nie wierzył własnym oczom. Ze zdumienia otworzył usta. Tam, pod pachą, widać było maleńkie znamię, ciemną plamkę na różowym ciałku.

– Pocałunek anioła!

Spojrzał w kierunku Domny, by sprawdzić, czy go słyszała. Jednak nie. Przez cały ten czas była posępna i milcząca. Wiedziała już, że jej drugie dziecko nie jest dziewczynką, i jakaś chmura przykryła jej oczy. W całej tej niepojętej, niesamowitej sytuacji pojawiło się jeszcze jedno niewytłumaczalne. Nifonas to zrozumiał, ale nie miał siły zapytać. Tysiące wątpliwości i lęków pętało go z każdej strony. Zostawił ich wyjaśnianie na później. Teraz powinni się zająć czymś poważniejszym; oboje dobrze o tym wiedzieli: sprawy nie szły gładko. Drugi poród był zupełnie niepodobny do pierwszego. Teraz, po urodzeniu bliźniaka, Domna w dalszym ciągu cierpiała. Jej twarz była całkiem żółta, spojrzenie nieobecne, ruchy nieskoordynowane i zdradzające wyczerpanie. Nifonas szybko znalazł przyczynę. Gdy porządkował pościel, ujrzał na pościeli czerwoną plamę. Domna krwawiła. Szeroko otworzył z przerażenia oczy, ale nic nie rzekł, by jej nie przestraszyć jeszcze bardziej. Coś jednak powinien zrobić. Tylko co?

Domna też to rozumiała. Być może i udało jej się samej urodzić, ale

nieprzerwanie cieknąca krew napełniała ją przerażeniem. Milczała. Nawet nie zwracała uwagi na dzieci popłakujące obok. Martwiła się tylko, jak zatrzymać ten czerwony potok.

Na dworze grzmoty nie miały końca. Burza osiągnęła apogeum. Wiatr wył, błyskawice i grzmoty następowały jedno po drugim. Pod jakimś względem tak było lepiej, bo zagłuszały płacz dzieci. Nifonas chodził tam i z powrotem posępny, nie mogąc ofiarować Domnie jakiegokolwiek, choćby najmniejszej pomocy. Rzadko się odzywali, wszystko wyrażali wzrokiem. Po jakiejś chwili Domna wyciągnęła rękę spod kołdry i raz jeszcze poprosiła o ręcznik lub chustę. Przez dziesięć minut oboje karmili się nadzieją. Gdy jednak wyjęła ręcznik, zobaczyli, że był cały zbroczony krwią.

Nifonas pochylił się nad nią, starając się ją pocieszyć. Ale co ma powiedzieć? Co mógłby zrobić, żeby ją uspokoić? Chciał się pomodlić do świętego Krzysztofa, patrona wyspiarzy, i poprosić go, by ocalił dziewczynę; w zamian udałby się do Karulii i tam na rok, dwa złożyłby śluby milczenia. Jednak w głowie miał mętlik i modlitwa okazała się niemożliwa. Tymczasem Domna coraz częściej prosiła go o czysty ręcznik. Wyglądało na to, że sytuacja się pogarsza.

Tak minęła kolejna godzina. Strach przerodził się w poczucie beznadziei, Zło stukało do drzwi celi.

Domna nie wytrzymała i wybuchła płaczem. Tak dalej się nie da. Coś trzeba zrobić. Jej życie jest w niebezpieczeństwie. Tak, ale gdzie mają poprosić o pomoc? Kto mógłby im ją ofiarować?

– Może zawołamy tego...

Głos jej drżał. Nifonas spojrzał na nią zdumiony. I pełen przerażenia. Nie wystarczy, że starzec dowiedział się o tajemnicy, mieli go teraz uczynić współuczestnikiem innego bluźnierczego czynu? Poród to święta rzecz, zgoda, ale gdy odbywa się w normalnych warunkach, w zewnętrznym świecie. Jak mają poprosić Gedeona o pomoc? Jak mają mu powiedzieć: „Chodź i pomóż uratować dziewczynę, która razem z Nifonasem pogwałciła wszelką świętość i pobożność na Górze”?

Trzymał się za głowę obiema rękami i nic nie mówił. Od czasu do czasu spoglądał na Domnę i wciąż widział jej śmiertelnie bladą twarz. Wszystkie chusty i ręczniki, które miał pod ręką, już się kończyły. Drżącą dłonią podał jej ostatni czysty ręcznik do twarzy. Co będzie potem? Wyobraził sobie Gedeona tutaj, w celi, i wzdrygnął się. Jednak tylko on mógł im pomóc.



Tylko on znał sposób (i miał odwagę), by poprosić Synesiosa o jakiś lek. Albo, jeszcze lepiej, zadzwonić do Straży Portowej, by wysłali łódź motorową.

Nifonas szedł ciemnym korytarzem, a nogi mu się trzęsły. Gdy myślał, co zamierza zrobić i w czyje drzwi zastukać, czuł, że kolana się pod nim uginają. Jego mnisze życie dosięgło dna grzechu. Razem ze sobą pociągał w czeluści piekielne także niewinnego starca. Ale co ma zrobić, skoro taka jest konieczność! Odpędził wahania i ruszył do przodu. Zagrożone było życie, z chwili na chwilę ktoś mógł przestać istnieć. Był czas na twardą skruchę i jeszcze twardszą karę. Teraz powinien uczynić swoje serce skałą. Musi spojrzeć starcowi prosto w oczy i poprosić go, by pomógł bezsilnej Domnie. I niech się nie waha ani chwili.

Gedeon nie spał. Od dnia, w którym poszedł do celi Nifonasa i zobaczył to, co zobaczył, jego zoperowane oczy nie radowały się ani chwilą spokoju czy snu. Modlił się, śpiewał psalmy, przesuwał w palcach komboskini niekończącymi się godzinami, mówił sam do siebie, majaczył, nieustannie płakał. Prawdziwy Hiob. Przyczyną jego stanu było coś więcej niż grzech, który ujrzał na własne oczy. Albo rozmowa, którą był zmuszony odbyć z kobietą. Albo też obawa, co by powiedzieli inni mnisi – „Matko Przenajświętsza!” – gdyby się przypadkiem dowiedzieli o tym spotkaniu. Najgorsze ze wszystkiego było to, że...

Usłyszał stukanie do drzwi. Kto to mógł być o tej porze? Czego mógł chcieć? Zdziwił się, gdy ujrzał Nifonasa. A jeszcze bardziej, gdy zobaczył, jak wygląda. Wydał mu się niczym ścigane zwierzę, stworzenie opętane przez diabła. Ale czy tak nie było? Od dnia, w którym Gedeon dowiedział się, co się kryje w jego celi, dzisiaj po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz. W jakiś osobliwy, ale także i niegodziwy sposób łączyła ich nieczysta tajemnica. Dlatego też obaj umykali wzrokiem, jakby jeden chciał uniknąć spojrzenia drugiego. Nifonas postąpił jeszcze krok naprzód i zatrzymał się. Stał zwrócony plecami do starca. Obaj milczeli. Był jednak zmuszony wyjawić, po co odbył ten wieczorny spacer.

– Potrzebuję cię... Jest nagła konieczność... Ona jest w niebezpieczeństwie...

Gedeon nie potrzebował pytać, kto i gdzie. Ale „konieczność”, o co chodzi?

Żadnej odpowiedzi, milczenie. Jak było wcześniej, tak i teraz! Zaczerpnął

głęboki oddech. Zrobił wydech, jeszcze dwa oddechy, potem skinął głową, „tak”. Nifonas wyszedł pierwszy. Starzec pośpiesznie wezwał świętego Antoniego, narzucił na siebie habit i wyszedł, kuśtykając skierował się ku celi grzechu. Los sprawił, że jego oczy miały zobaczyć coś innego! Nifonas zostawił na wpół przymknięte drzwi. Gedeon popchnął je lekko nogą – jego stara sztuczka... – i wszedł. Gdy znalazł się w środku, zderzył się z dźwiękami i obrazami, które były obce jego mniszej egzystencji: w łóżku blada dziewczyna... coś jakby płacz... na podłodze porozrzucane ręczniki... okiennica, którą porusza wiatr... w ręku dziewczyny skrwawiona chusteczka... obok niej... Co to? Co to za zawiniątka w białych ręcznikach?

Od razu wszystko zrozumiał. W następnej chwili zwałił się zemdlony na podłogę.

– Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną. Panie Jezu Chryste... – szeptał Nifonas, gdy próbował ocucić starca. Uderzał go lekko w policzki, mówił do niego, podłożył mu pod nos buteleczkę wody kolońskiej, której używał do spryskiwania świętych obrazów. W końcu Gedeonowi udało się otworzyć oczy. Jednak natychmiast je zamknął. Jakby nie chciał uwierzyć w to, co zobaczył. Jednak ujrzał to znowu: to, co niepojęte, znajdowało się obok, ucieleśnione w dwóch maleńkich istnieniach. A więc dziewczyna... Pomyliła się zatem wcześniej, gdy mu wyznała, że coś takiego nastąpi później? A może celowo skłamała? Co też się mogło wydarzyć? I dlaczego dwoje? A... plan?

Chwycił się ręki Nifonasa i wstał. Rozejrzał się uważnie dokoła, jak gdyby ktoś się czał. Ma dowierzać własnym oczom czy nie? Raz jeszcze wbił wzrok w dwoje niemowląt. Zadrzał. Od ilu to lat nie widział takiego obrazu? Lub raczej: czy jego oczy kiedykolwiek oglądały taki obraz? Słysząc było, jak wzdycha. Domna i Nifonas obserwowali go w milczeniu. Byli ciekawi i bali się, jak zareaguje, co powie. Jednak bardzo potrzebowali jego pomocy. Minęła kolejna minuta całkowitego milczenia. Dzieci, jakby im nakazała jakaś nieziemską siłą, przestały płakać. Zwrócił się do Domny:

– Co się stało? Miałaś...

Jego głos się urwał. Sama myśl o wypowiedzeniu tego słowa napełniała go lękiem. „Poród”. Gdzie? Tutaj, na Górze! Zadrzał. Znow zaczęło mu mrocznieć przed oczyma. Musiał włożyć wiele wysiłku, by pokazać, że jest mocny i potrafi przezwyciężyć wahania. Tylko w ten sposób będzie mógł wprowadzić w życie swój pomysł. Znow, niczym błyskawica,

przemknął mu przez myśl Jej obraz. Rozpalił go, ale i oświecił. Dał mu siłę do dalszego działania. Podszedł do Nifonasa. Spojrzał mu prosto w oczy, mruknął, „hm, hm”, a następnie zwrócił się do dziewczyny. Przez moment pomyślał, żeby do niej mówić z zamkniętymi oczyma. Czy byłoby to właściwe? Ale skoro sprawy zaszły tak daleko...

Raz spoglądał na leżącą Domnę, a raz na nowo narodzone dzieci obok niej. Choć korciło go, by ją zapytać o wszystko, co mu nie dawało spokoju, zmuszał się do cierpliwości. Inne sprawy mają pierwszeństwo. Przede wszystkim jej zdrowie. Tak naprawdę dlaczego go zawołali? Dlaczego Nifonas poszedł w nocy i go wezwał? W tej chwili Domna wyciągnęła do niego rękę. Czego mogła chcieć?

Jak dobry hagioryta<sup>135</sup>, czule zamknął w swych dłoniach słabą rękę dziewczyny. Jej oczy natychmiast wypełniły się łzami.

– Pomóż mi! Znajdź sposób... Pewnie ty coś wiesz... Tracę krew...

Czuł, że nie może wydusić słowa. Miał wrażenie, jakby jego usta były puste, wyschnięte. Nifonas także obserwował wszystko w milczeniu.

– Proszę cię, zrób coś. Dla dobra dziecka... – powiedziała i ruchem głowy wskazała miejsce, gdzie leżały dwa noworodki.

Nifonas jakby się nagle obudził. Czy dobrze usłyszał? Domna nie powiedziała „dla dobra dzieci”. A jej upór, by wezwać starca, jak można go usprawiedliwić? Zgoda, Gedeon znalazł ją w celi. Jednak wcale nie wpadł w furię na widok takiej bezbożnicy, wyglądało raczej na to, że się z nią zaprzyjaźnił. Co za dziwne rzeczy się tutaj działy, istny obłęd! Zaraz, zaraz, przypomniał sobie: Domna zaczęła mu mówić także o drugiej wizycie, ale nie skończyła, bo chwyciły ją bóle. Być może tu właśnie kryło się rozwiązanie wszystkich tych niewytłumaczalnych sekretów.

Spojrzał na nich teraz innym okiem. Gedeon w dalszym ciągu trzymał dłoń Domny, a jego spojrzenie zwracało się raz ku niej, a raz ku nowo narodzonemu maleństwu. „Dla dobra dziecka...” Nifonas musiał włożyć sporo wysiłku w panowanie nad głosem.

– Może... Może jest coś, o czym ja też powinienem wiedzieć?

Grymas bólu wykrzywił twarz Domny. Gwałtownie wyrwała rękę z dłoni Gedeona i schowała ją w pościeli. Gdy ją ponownie wyciągnęła, trzymała ręcznik unurzany we krwi.

– Chrystusie i Matko Przenajświętsza! – krzyknął przerażony Gedeon

i zrobił krok w tył. Nifonas z kolei postąpił do przodu. Podał jej czystą chustę. Nie było innej możliwości, coś musieli zrobić. Zresztą, czyż nie dlatego poszedł wezwać starca?

Gedeon nie potrafił ukryć swojego zdenerwowania.

– Szybko! Musimy powiadomić igumena. Niech zadzwoni, żeby przyleciał helikopter.

Gedeon natychmiast pożałował tego, co powiedział. Bo gdzie się znajdował? W jakimś mieście w zewnętrznym świecie? Pomyślał teraz o zamęcie, zaniepokojeniu mnichów, zaburzeniu porządku, nieuchronnym skandalu. Jaki „igumen” i jaki znowu „helikopter”, po co to powiedział? Położył rękę na ustach i zrobił znak krzyża, jakby wypowiedział bluźnierstwo. Musi być jakiś inny sposób. Ale jaki?

Nifonas mówił teraz coś do Domny i ocierał z potu jej czoło. Gedeon przyglądał się tej scenie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się oglądać czegoś podobnego. Podobnie jak nigdy nie przyszło mu do głowy, że coś podobnego może się rozegrać na Górze.

„Azali prawda to, co widzę, czy sen może?”, usłyszał w głowie wściekły ryk. Może to wszystko marzenia senne? A może Szatan drażni go diabolicznymi obrazami?

– Tak więc... Co macie do powiedzenia?... Co się stało?

Nifonas. Nadeszła chwila, by się dowiedział prawdy. By w końcu usłyszał, co się wydarzyło podczas spotkania Gedeona z Domną. Co zostało powiedziane, co oboje uzgodnili za jego plecami. Bo taka była prawda: coś się stało, a on nadal nic o tym nie wie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Spytał ponownie. Poczekał chwilę, aż Domna odda mu ręcznik. Potem oparł się plecami o ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i znowu czekał. Słyszać było jedynie mocno padający deszcz. Dzieci zasnęły. Starzec usiadł na niskim taborecie i przesuwając palcami swoje komboskini. Spojrzenie Nifonasa wędrowało to na niego, to na Domnę.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami... Ja zaś najgorszym... Przyjdź, dobry Joasafie, ujrzyj, jak się stoczyłem!

Wezwanie Gedeona skierowane było zapewne do jakiegoś mnicha, którego miał za wzór. Chodziło mu o to, jak potężny był grzech, którego teraz doświadczał. Zresztą, on sam znacząco przyłożył do niego swoją rękę. Czyż nie tak? Dlatego też teraz był zobowiązany złożyć wyjaśnienia. Jak bardzo niecierpliwie oboje czekali, by usłyszeć z jego ust całą prawdę.

– Przeklęty papież jest winny wszystkiemu. On wysłał na Górę tego... jak go zwał... Bo Lorenzo... Jak to powiedzieć! On pomógł odczytać rękopis. Rękopis z przepowiednią...

Spojrzał niepewnie na Nifonasa. Wiedział bowiem, jak bardzo nieufny był za każdym razem, gdy rozmawiali o prorocत्वach i przepowiedniach. Utrzymywał, że najlepszym prorocत्वem jest wiara. Nie interesowało go, co ma się wydarzyć po stu lub tysiącu lat, nie chciał się tego dowiedzieć. „Czego pragnie Najwyższy, to się stanie”, to była jego wiara. Ta niechęć Nifonasa irytowała Gedeona. Bo jego, Gedeona, pociągały prorocत्वa. Przyciągały go tak, jak rozkwitłe kwiaty wabią pszczoły. Zwłaszcza gdy miały jakiś związek z Apokalipsą lub jakąś kwestią narodową... Na przykład z Miastem.

– No więc jaką przepowiednię zdołał odczytać Lorenzo? – W głosie Nifonasa dało się wyczuć lekką ironię. Można się było po nim tego spodziewać. Nawet w takiej chwili, z Domną leżącą obok i krwawiącą.

– Lorenzo mówi... To znaczy... przepowiednia głosi... – Gedeon jękał się i wahał. Nie dlatego, że nie wierzył w słowa zapisane w starym manuskrypcie, ale raczej z tego powodu, iż wątpił, że oni w nie uwierzą, zwłaszcza Nifonas.

– Jest napisane, że my, Grecy, znów odbierzemy Miasto Turkom...

– A kiedy się to stanie?

Znów tym samym drwiącym tonem. Było jasne jak słońce, że Nifonas nie wierzy także i w tę przepowiednię.

– Zgodnie z tym, co mówi ten, który to napisał, i wedle tego, jak zdołał odczytać jego słowa katolik, zdobędziemy Miasto sześćset lat po jego upadku, czyli w...

Pamiętał szczegóły, nie pamiętał jednak dokładnego roku. Nieważne. Podobnie jak to, że pominął jeden rok, by wypełniła się przepowiednia. To również nieważne. Nifonas szybko próbował wyznaczyć datę. Jego myśli szły jednak dalej: „Kto dożyje do 2053 roku!”.

Domna słuchała z łóżka, nie przerywając.

Nifonas spoglądał zakłopotany. Rozumiał, że sprawy nie były takie proste, jak sobie wyobrażał (spodziewał się raczej czegoś na kształt spowiedzi, jaką Domna odbyła przed Gedeonem). Nie były też niewinne. W oczach Gedeona widać było jawne oznaki poczucia winy. Widział także nerwowe ruchy, jakie tamten wykonywał. Nagle starzec przerwał chodzenie w tę i we w tę i zwrócił

się do Nifonasa.

– Chcesz się dowiedzieć całej prawdy, czyż nie?

Na zewnątrz niebo żłobione było błyskawicami. Grzmoty obudziły maleństwa, które znów zaczęły płakać. Domna poprosiła Nifonasa, by wziął je na ręce i uspokoił. Początkowo się wahał, ale zaraz potem to zrobił. Gedeon na ten widok poczuł, że go mdli.

– Prawda, prawda!... Jak wam powiedziałem, wszystko zaczęło się od Lorenza. To on odczytał w księdze przepowiednię. Tyle że... Mówi ona nie tylko o tym, kiedy zdobędziemy Miasto... Mówi także, kto je zdobędzie...

Odwrócił się i spojrzał na Domnę. Jej oczy lśniły jak rozpalone węgle na poszarzałej jak popiół twarzy.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że dziecko, które urodzisz, będzie inne od wszystkich dzieci, że będzie wyjątkowe?

W tym momencie Nifonas zdumiał się jeszcze bardziej. Tak więc Gedeon wiedział o ciąży, powiedziała mu o tym. Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

– Ocaliła cię Jej Łaska! – Znów zwracał się do Domny. – Owego wieczoru, gdy stanąłem przed drzwiami celi, miałem zamiar was oboje ukarać. To było... Jest wielką zbrodnią to, co zrobiliście, bezczeszcząc Górę. I skończyłbym, co zacząłem, gdyby nie zainterweniowała Ona.

Trzykrotnie nakreślił znak krzyża i coś wyszeptał nabożnie z na wpół przymkniętymi oczyma.

– Ona, Szersza niż Niebiosa, Bogurodzica... Otóż przyszedłem, żeby podłożyć ogień pod celę i ją spalić. A razem z celą także i ciebie. Byłem gotów spryskać drzwi naftą, gdy w tamtej chwili miałem wizję.

Słuchali go z zapartym tchem. Czekali, by się dowiedzieć, czemu zawdzięczają swoje ocalenie.

– Wizja... Na drzwiach pojawiła się Jej postać w oślepiającym blasku... Ja stałem nieruchomy. Nie byłem w stanie zebrać myśli. Trzymałem puszkę w dłoniach, spoglądałem i nie dowierzałem. A potem... Potem Ona podniosła wzrok na mnie. Och, mój Boże, co to było za spojrzenie! Poczułem, że płonę. Powiedziałem, że spłonę, poruszony, ale i z radości, że okazałem się godny tak wielkiego cudu. I wtedy do mnie przemówiła. Usłyszałem Jej głos. Słuchałem, jak do mnie mówi i opowiada...

Oboje słuchali go uważnie, ale czy mu wierzyli? Wierzyli czy nie, to Ona ich ocaliła! Zatem ciągnął swoje wyznanie:

– O tobie mówiła Jej Łaska. To ciebie pragnęła ocalić. Miała, jak widać, swoje powody...

Spoglądał na Domnę, która wydawała się całkiem bezcielesna i bardziej przypominała ducha niż istotę z krwi i kości.

– Nawet teraz pamiętam Jej słowa i przeszywa mnie dreszcz. Głosem, którego nie jestem w stanie wam opisać, rzekła do mnie: „Nie czynź zła. Pomóż ją ocalić. Taka jest moja wola”. Tak powiedziała. I od tamtej chwili wszystko się zmieniło. Upadłem na podłogę i płakałem z radości, że okazałem się godny, by Przenajświętsza objawiła się właśnie mnie, grzesznemu słudze. Gdy wstałem, wszystko zniknęło. Po chwili nabrałem sił i zastukałem w drzwi celi. Pamiętasz, prawda? Cokolwiek zrobiłaś, jak bardzo nieczysty był twój czyn, musiałem przestrzegać Jej polecenia. Podjąłem decyzję, że pomogę ci opuścić Górę. Zamierzałem cię wyprowadzić z monasteru nocą, gdy nikt nie będzie patrzył, byś poszła z Bogiem... Taki właśnie, jak widzicie, miałem zamiar. Ale... ale ty to wszystko zniweczyłaś.

Z jakiego powodu ją obwiniał? Niby dlaczego miała być winna?

– Wszystko potoczyłoby się tak, jak zaplanowałem, gdybyś wtedy nie powiedziała... Gdybyś, kiedy cię spytałem, dlaczego leżysz w łóżku, nie powiedziała, że spodziewasz się dziecka.

W porządku; może i czuł strach czy wstręt wobec cielesnego grzechu i strasznego błędu Nifonasa. Ale jaką rolę w zniweczeniu planu starca mogła odegrać ciąża?

– Pamiętasz, o co cię poprosiłem, gdy doszedłem do siebie po kolejnym szoku? O pewną przysługę w zamian za twoje ocalenie, którego miałem dokonać?

Domna odpowiedziała z wyraźnym trudem:

– Jeśli będzie chłopiec, ochrzczimy go... Nadamy mu imię Konstandinos.

– Jedyne, o co wtedy zapytałaś, to było suche „dlaczego?”. „Bo dziecko, które się narodzi, będzie wyjątkowe, jego przeznaczeniem będzie odzyskać Miasto i ponownie uczynić je greckim”, odpowiedziałem ci. Nie odezwałaś się, uznałaś to za bajkę. Ja jednak wiedziałem. W owej godzinie mój umysł został oświecony i pojąłem całą prawdę. Udało mi się dopasować wizję do przepowiedni. Ujrzałem z całą wyrazistością, jaka jest moja rola. Zrozumiałem, o co dokładnie prosiła mnie Wielce Łaskawa. Wówczas pojąłem w końcu, dlaczego i ty znalazłaś się tutaj, na Górze.

Zebrała wszystkie siły, jakie jej pozostały. Jej głos był ledwie słyszalny:

– Tego się obawiałam... Nie chciałam, żeby to był chłopiec, żeby go nie... To, co mówiłeś, wydało mi się głupstwem... Lepiej, żeby to była dziewczynka...

Nifonas położył dzieci na stole i słuchał w milczeniu. Burza z wolna zdawała się słabnąć. W piecyku dopalały się resztki dREW. Knot lampy również powoli się kończył.

Gedeon przeszukał kieszeń i coś znalazł. Wyciągnął z niej złożoną na pół kartkę. Podał ją Nifonasowi.

– Dał mi ją Lorenzo. Przeczytaj ty, masz mocne oczy.

Chodziło o przepowiednię.

Przez moment Nifonas zdawał się wahać. Spoglądał na kartkę, ale nie brał jej do ręki. Czy miał nie wierzyć temu, co na niej było napisane? (Przecież już wcześniej wyjaśnił swoje stanowisko wobec przepowiedni i im podobnych). Czy miał się obawiać? (Czego? Cóż mogły mu uczynić bezduszne słowa?) W końcu wyciągnął rękę. Zanim rozłożył kartkę, rzucił spojrzenie na Domnę. Potem podniósł wzrok na niecierpliwującego się Gedeona. Dzieci zdawały się spać. Jednak nie, jedno z nich wyraźnie na niego patrzyło i machało rączkami. Czy to mógł być chłopiec?

Zaczął czytać pierwszą stronę.

IS	ChR
zwy	cięża

wZNIoSŁO SIĘ sŁoWo TaKie z OtchŁani

I został wyPOWIEDZIANY ten PaPIeR

O U(dz)IALE i wyJŚCIU

SŁuGi

i ZAKR(Y)stIANA... PANA JezuSa CHRYSTUsa

Bo(GA)

JuST..

Lorenzo skopiował przepowiednię słowo w słowo, pewnie by pokazać Gedeonowi, jakie trudności związane są z manuskryptem. Trochę poniżej tekst był łatwiejszy do odczytania, widać było wyraźnie odręczne pismo franciszkanina.

*Niniejsze rzeczy zostały spisane przeze mnie... i będącego mnichem*



*w obrębie... w monasterze...*

Nifonas minął kilka wersów z dość dużą liczbą pustych miejsc – to znaczy tych, których Lorenzowi nie udało się rozszyfrować – i dotarł do „miąszu”, czyli do miejsca, gdzie była mowa o Konstantynopolu.

*Owo miasto, przewodzące wielu narodom i miastom, nie zostało zdobyte przez narody ani ludzką ręką...*

*Dawna chwała. Stolica.*

*Bowiem Bogurodzica strzegła go, biorąc pod własne skrzydła, i dzięki Jej wstawiennictwu zostało ono ustrzeżone i pozostało nietknięte. Prócz tego, ilekroć jakieś ludy forsowały jego mury, zmuszone były ze wstydem odstępować od oblężenia. Przeto zdarzyło się, iż ród Innowierców przypuścił atak...*

I w takim stylu przez kilka kolejnych akapitów. Tego rodzaju przepowiedni przeczytał już Nifonas wiele, tak więc i ta nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Przeskoczył kilka passusów i odwrócił stronę. Może raczej tutaj znajdzie „miąsz”.

*W roku po sześciokroć „ro”<sup>136</sup> plus jeden od zdobycia Miasta przez po trzykroć przeklętych Innowierców znów Stolica ma na powrót znaleźć się we władaniu wiernych chrześcijan.*

Jego głos drżał jak płomień świecy. Wziął głęboki oddech i kontynuował czytanie:

*Ma się to wydarzyć za sprawą męża zrodzonego nie wśród ludzi, jak tylko tutaj, w tym najwonnejszym, a zarazem odludnym Ogrodzie...*

Zatrzymał się, ale nie odwrócił wzroku od kartki. Słysząc było teraz, jak wiatr porusza gałęziami drzew.

*...w tym najwonnejszym, a zarazem odludnym Ogrodzie najczcigodniejszej i miłosiernej Matki Pana naszego Jezusa Chrystusa. Zaprawdę stanie się to w przyszłych wiekach. Tak mówię. Amen. I Chwała Bogu.*

Zapadło całkowite milczenie. Jakby wszystko utonęło w półmroku celi.

Minęło kilka minut bezkresnej ciszy.

– Czyli...

Nie pytał. Po prostu starał się wyrazić, co myślał. To, co usprawiedliwiało starca i jego piekielny plan.

– To ty nam powiedz! – dał się słyszeć napastliwy głos Gedeona. Nie mógł stawić sprzeciwów i wahań swego podwładnego co do przepowiedni. A oto teraz był przez niego usprawiedliwiany. Z niezręcznej sytuacji wyrwał ich słaby głos Domny:

– Co oznacza to „ro”?... Jaki „Ogród”?

Choć wydawało się absurdalne, że zajmują się przepowiedniami, zamiast próbować ją ratować, Nifonas zaczął wyjaśniać, że w taki sposób starożytni mierzyli chronologię. Za pomocą alfy symbolizowali jeden, jotą dziesięć, a literą ro sto. Tak więc gdy prorocstwo mówi: *w roku po sześciokroć „ro” plus jeden*, należy pomnożyć sto przez sześć, dodając jeden. To znaczy sześćset jeden lat. Co do „Ogrodu”, no, tutaj sprawa była jasna jak słońce! Mowa jest o Sadzie Przenajświętszej, Jej Ogrodzie, to znaczy o Świętej Górze. To, co w dawniejszych latach mnich Kesarios Dapontes<sup>137</sup> powiedział wersami: *Dlatego też sprawiedliwie wszyscy ciebie zowią / Ogrodem tudzież i Sadem Przenajświętszej Paniarki.*

– Rozumiecie teraz, jakiej ofiary dokonałem? By zatriumfowało prawosławie, zgodziłem się, zaakceptowałem, że został pogwałcony święty zakaz! Zgodziłem się, żebyś pozostała i urodziła dziecko na Górze. Dziecko, które zostanie wielkim wodzem. Czyż może być większe poświęcenie od mojego?

Oczy Gedeona błyszcząły jak u szaleńca, na usta wystąpiła piana.

Domna dała znak Nifonasowi, by podszedł bliżej. Potrzebowała pomocy, żeby podnieść kołdrę, która zsunęła się z łóżka. Nifonas przestał roztrząsać możliwe interpretacje przepowiedni i pośpieszył do dziewczyny. Wtedy zobaczył na posłaniu czerwone jezioro. W tej samej chwili dostrzegła je także Domna. Źrenice ich oczu rozszerzyły się z przerażenia. Nogi, biodra, koce, pościel, wszystko było unurzane we krwi. Wszystko było czerwone. Ostatkiem sił uczepiła się jego ręki. Rozumieli już, że nie są w stanie zatamować tego strumienia.

Jednak Domna nagle odwróciła wzrok od Nifonasa i wbiła go w miejsce nad jego ramieniem. Otworzyła szeroko oczy. Nifonas również odwrócił

głowę, by zobaczyć, co ją tak bardzo przestraszyło. I natychmiast głośno krzyknął, „ach!”.

Gedeon trzymał w dłoniach jedno z dzieci. Nie trzymał go jednak zwyczajnie; uniósł je w powietrze, tak jak kapłan podnosi w Pięknych Wrotach kielich z komunią w czasie Komunii Świętej.

– Z tym tutaj jako dowódcą zdobędziemy Miasto!

Podczas gdy Nifonas zajmował się Domną, starzec podszedł do noworodków, rozebrał je i sprawdził, które z nich było chłopcem. To jego właśnie teraz podniósł do góry i grzmiącym głosem ochrzcił jako triumfatora przyszłej narodowej chwały. Jego oczy lśniły irracjonalną radością. W jego pełnym uniesienia głosie słychać było wspaniałe uczucie spełnienia najwyższego obowiązku. Wspaniałe i równocześnie niezwiązane z jakąkolwiek ziemską umową czy powinnością.

Nifonas zaniemówił. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że łącznikiem przepowiedni z wizją jest ten nowo narodzony chłopiec. Dziecko, które zgodnie z prorocstwem ma sprawić, że Konstantynopol znów będzie grecki, w roku *po sześciokroć „ro” plus jeden...* Potrzasnął głową. Czy naprawdę to przeżywa, czy też jest to jakiś koszmar senny? Powiódł wzrokiem dokoła i wszystko zdało mu się fałszywe. Tyle tylko, że jednak było rzeczywiste.

– Ty... – wycedził, zdobywając się na odwagę i patrząc prosto na starca. – To do ciebie niepodobne... Martwić się tak bardzo o Miasto, a nie o święty zakaz, o Górę...

Gedeon przerwał mu, wściekły. By zatriumfowało prawosławie, potrzeba ofiar, ofiar wszystkich! Jemu przypadła właśnie taka. No bo co ma począć? Zdaje się, że była to wola Boska, by sprawy właśnie tak się potoczyły.

Nifonas nie wiedział, co odpowiedzieć. Żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Zwrócił wzrok na Domnę i przeraził się na jej widok. Przyskoczył do niej, uklęknął obok łóżka i chwycił ją za rękę. Zimne, lodowate. Miała na wpół przymknięte oczy, jakby z wielkiej senności. Minęło tyle godzin, a ona była całkiem pozbawiona pomocy. Cóż z tego, że sprowadzili Gedeona! Dziewczyna wciąż traciła krew, a nikt nawet nie próbował jej ratować.

– Domno! Domno, mów do mnie! Powiedz coś. Co z tobą? Jak się czujesz?

Ostatkiem sił uściśnęła mu rękę. Wyglądało, że chce z nim porozmawiać, coś mu powiedzieć. Jednak nie potrafiła. Słowa zdawały jej się ogromnymi głazami, a ona nie miała sił, by je toczyć. Jej oczy zmętniały. Nie czuła

swojego ciała. Nawet umysłu, nawet myśli nie była już w stanie kontrolować. Odczuwała jedynie sączącą się powoli z jej wnętrza ciepłą ciecz. Niewiarygodnym wysiłkiem udało jej się w pewnej chwili otworzyć oczy. Ujrzała obok siebie klęczący czarny cień. Trochę dalej inny, wyprostowany i większy – wydał jej się podobny do góry na Tasos. A jeszcze dalej, daleko, niemal tam, gdzie kończył się zasięg jej wzroku, mogła dostrzec, o ile w ogóle mogła coś zobaczyć, dwie maleńkie białe plamki. Przeszył ją dreszcz radości. Jednak ta ostatnia myśl urwała się w połowie, to był koniec, tutaj dla niej wszystko dobiegło kresu.

– Niech dzieci zostaną uratowane... Oboje...

I gdy wyszeptała swoje pragnienie, głowa opadła jej na bok. Płomień w niej zgasł. Jej świeca dogasła, nad ikonostasem jej życia zapadł czarny mrok. Dusza Domny uleciała w nieznane. W owo nieznane, które niezliczoną ilość razy wyśpiewywały usta Gedeona i Nifonasa, ku któremu kierowali tak wiele próśb i niekończących się terirem<sup>138</sup>. Nieznane, które ich trwożyło, które niosło im odkupienie.

Gdy Nifonas zrozumiał, co się stało, objął martwe ciało i wybuchnął płaczem. Płakał bez lęku i wstydu, z prawdziwie rozbitą duszą. Płakał nad wszystkim i nad wszystkimi: nad życiem nieszczęsnej Domny, które skończyło się tak nagle; nad swoim własnym, które zataczało kręgi wokół nieszczęść i śmierci; nad starcem, który został uwikłany w tak grzeszną historię; nad dwójką dzieci i nad tym, co je może czekać teraz i w przyszłości. I, oczywiście, nad wstydem, który, jak czuł, znowu kierował jego spojrzenie i modlitwę ku Niemu.

Nifonas płakał, ale Gedeon zdawał się nie mieć nastroju do żałobnych lamentów. Dał mu kilka minut. Potem zbliżył się, położył dłoń na ramieniu klęczącego Nifonasa i delikatnie pokazał mu, że na niego już czas. Potem podszedł do Domny i zamknął jej oczy. Cichym głosem wyszeptał błogosławieństwo i trzykrotnie zrobił znak krzyża na ciele dziewczyny. Skończył. Teraz znów stał się dawnym Gedeonem. Kreteńczykiem, hagiorytą, mistrzem w wierze. Tym, który dobrze pojmował, jak należy trzymać wodze w rękach. Najważniejszą troską było teraz to, co ma się stać z dziećmi. Gdyby historia ich narodzin wyszła poza monaster, wówczas biada i po trzykroć biada Górze i Grecji. Byłby wstyd na Wschodzie i Zachodzie. Pośmiewisko dla psów Turków i przeklętego papieża.

– Posłuchaj! – zabrzmiał jego szorstki głos. Błyskawicznie snuł plany. Mówił, co mają robić, oni obaj, jakie posunięcia wykonać, jak uniknąć błędów. Krótko mówiąc, jak zebrać się i jak najszybciej uciec ze Stawronikita i z Góry.

– Kto? – zapytał Nifonas, a oczy miał czerwone od płaczu. Nie był w stanie zrozumieć liczby mnogiej użytej przez starca.

Czy chodzi mu o to, że zabierze bliźnięta i ucieknie? A on? Co on ma począć? A co się stanie z ciałem?

Gedeon wyjaśnił wszystko bez ogródek. Przykrył ciało Domny kocem, dając równocześnie wskazówki podwładnemu.

– Posłuchaj mnie uważnie. Ja pozostanę tutaj, a ty nie. Znajdę sposób, by to wszystko połączyć. Ty musisz odejść. Wezmiesz dzieci i znikniesz. Uważaj jednak, mój biedaku, by cię żadne oko nie dostrzegło, bo przepadliśmy. Opuść Górę i jedź, gdzie cię oświeci...

Chciał powiedzieć „Najwyższy”, ale zawstydził się, nie godzi się wzywać Bożej pomocy przy kolejnym bezbożnym czynie.

Nifonas słuchał w milczeniu. Już się zdarzało, że to, co niepojęte, stukało w drzwi jego życia, ale teraz poczucie absurdu przekroczyło wszelkie granice. To, co się działo, to były odmęty szaleństwa, niewyobrażalna groza. Trwał w bezruchu, gdy Gedeon kończył dawać mu wskazówki. Tak samo potem, gdy starzec stanął nad stołem. Doszedł do siebie, kiedy pojął, co tamten mu włożył w ramiona. I oprzytomniał jeszcze bardziej, gdy usłyszał cichy płacz. Przeszyło go dziwne drżenie. Jego monastyczne życie dobiegało kresu. Wielki nawias zamykał się za nim, oczekiwała go z rozwartymi szponami mroczna przyszłość w świecie zewnętrznym.

– Znajdź jakieś miejsce i ukryj się. Razem z dziećmi. Żeby cię nikt nie zauważył. Pilnuj dzieci jak oka w głowie! Zwłaszcza chłopca. Rozumiesz dlaczego, prawda? On jest naszą nadzieją. Wyobraź sobie, jak wkracza do Miasta jako zwycięzca!

Nifonas poczuł, że robi mu się słabo. Starzec snuł marzenia, gdy przed nimi spoczywała martwa Domna. Chętnie sam znalazłby się na jej miejscu, wówczas ona by żyła. Jednak skoro coś takiego nie może się wydarzyć... Znów dał się słyszeć podwójny płacz. Niech będzie, co ma być, tak szybko, jak to tylko możliwe. Wkrótce dadzą znak do jutrzni i monaster zacznie budzić się do kolejnego dnia. Ucieczka jest jedynym rozwiązaniem. Teraz to do niego dotarło. Starzec znajdzie sposób, by zatuszować sprawę i jakoś

je wytłumaczyć. Ucieczka, tak, ale dokąd? W jakim kierunku?

Spojrzał na to, co trzymał w ramionach: maleńka twarzyczka patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczyma. Potem skierował wzrok w drugą stronę: ten sam widok, identyczny. Usłyszał, jak zbliża się Gedeon. Znów z radami i wskazówkami.

– Początkowo nie dawaj żadnego znaku życia. Zniknij z oblicza ziemi. Nie wiem... Zostań pustelnikiem, zacznij życie w stolicy, w jakimś innym mieście... Radź sobie sam. Razem z dziećmi, z dzieckiem... Troszcz się o nie... Gdy upłyną dwa, trzy lata, wówczas skontaktuj się ze mną... Jeśli oczywiście będę jeszcze żył... Zrozumiałeś? Teraz jazda! Z...

Znów fraza utknęła w połowie – ze wstydu. Popchnął go ku wyjściu. Ku ucieczce i ku nieznanemu. Nifonas stanął przed drzwiami. Jeden krok, a potem... Potem co? Jego twarz zbieleła jak płótno, w ustach mu zaschło, czuł, że ręce mu drżą. I nie z powodu ciężaru małych zawiniątek. Po raz ostatni rzucił spojrzenie na nieruchome ciało. To ciało, które zrodziło w nim cielesną namiętność i rozkosz. A wraz z nimi pogwałcenie nienaruszalnych nakazów czystości oraz świętego zakazu. Ale które zrodziło także te dwa maleńkie istnienia.

„Żegnaj, najdroższa”, powiedziałyby, gdyby byli zwykłymi ludźmi, a on sam z ciężkim sercem żegnałby małżonkę, która wyruszyła w bezpowrotną podróż.

Ale słyhać było tylko, jak pociąga nosem – lament ma w sobie coś żalosego, niezależnie od tego, jak bardzo byłby święty. Tymczasem starzec podniósł zasuwę i wyjrzał na korytarz.

– Nikogo nie ma. Szybko! I tak jak ustaliliśmy, dobrze? – I popchnął go lekko do wyjścia.

Fala strachu zalała Nifonasa. Dokąd pójdzie? Co by się stało, gdyby wpadł na jakiegoś mnicha? Co go czeka teraz i w przyszłości?

Ostatecznie nie udało mu się uciec od tego, czego się obawiał. Gdy tylko zszedł po schodach i znalazł się na parterze, zobaczył, że z naprzeciwna nadchodzi Joanikios. Czy ma zawrócić do celi? Było już za późno. Czy ma się ukryć w jakimś kącie? Bez sensu. Szybko opatulił niemowlęta, pochylił głowę i minął go pośpiesznie, modląc się, by maleństwa nie wydały przypadkiem z siebie jakiegoś kwilenia, bo wówczas...

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz monasteru, odetchnął z ulgą. Jego bracia uniknęły spotkania z obrazą Boską, jaką był widok mnicha trzymającego

w objęciach owoce swojego grzechu. To już było coś.

Wiatr był wilgotny i zimny, jednak nie padało. Wszędzie błoto. I kałuże. Taka sama sytuacja, jak przed dziesięcioma, dwunastoma godzinami, gdy wrócił z celi Charidimosa, gotów do ucieczki z Domną. Jak odległe wydawało mu się teraz tamto wszystko! Wciąż stał bez ruchu w ciemnościach. Po prawej stronie miał ogromny masyw Athos, po lewej huk morza. Który z dwóch kierunków ma wybrać? Udać się ku zaroślom i chaszczom? Czy wybrać fale i popłynąć, gdzie go poniesie los?

Przystanął niezdecydowany pod winoroślą przy bramie do Stawronikita i zaczął rozmyślać (jeżeli człowiek w takiej sytuacji jest w stanie rozmyślać). Nie, to zbyt duże ryzyko. Wyprawa z niemowlętami na morze byłaby czystym samobójstwem. Ruszył więc szybkim krokiem ku górze po zalesionym zboczu. Gdzieś pewnie znajdzie jakieś schronienie, gdzie spędzi noc. Tak wiele groźnych zwierząt, „takich jak dziki”, miało tam swoje legowiska. On też coś znajdzie. Schowa się w jakichś zaroślach i gdy na dobre Bóg rozświetli brzaskiem dzień, ruszy ścieżką, która powiedzie go do Uranupolis. Zapewne z góry, wraz z pierwszym światłem, będzie mógł zobaczyć, co się dzieje w monasterze: zbiegowisko, zamieszanie, krzyki...

To ostatnie go zniechęciło. Nie chciał już widzieć, słyszeć, mieć jakiegokolwiek związku z tym, co było wcześniej. Już wystarczy. Potknął się, wszedł na drogę grzechu i był to błąd, który musi się skończyć. W następnych dniach okazałby skruchę i poprosił o przebaczenie. Swoimi czynami pokazałby, że nie utracił wiary. Zresztą, przecież podjął już decyzję: ani w kolejnych miesiącach, ani za trzy czy nawet za trzydzieści trzy lata nie da znaku życia starcowi! Znajdzie sposób, żeby wieść spokojne i normalne życie wśród innych ludzi. On i jego dzieci. W jakiejś normalnej rodzinie. Choć będzie brakować im matki. Tak więc droga, którą musi obrać, prowadzi przez morze.

Gdy Nifonas przygotowywał w przystani PRZEWODNICZKĘ, przez głowę przepływały mu obrazy ze spotkań z Domną w tym miejscu. Jakiś ból przeszył mu serce. Opróżnił jeden koszyk z linek rybackich i haczyków. W jego wnętrzu, jak w kołysce, ostrożnie umieścił bliźnięta. Otarł oczy i poszedł otworzyć duże drzwi przystani. Ciemność się rozstała. Na niebie widać było chmury sunące ku przeciwnemu przylądkom. Wiatr ucichł. Sztorm ustał, fale nie były spienione. Zapowiadał się piękny słoneczny dzień.

Skoro tylko PRZEWODNICZKA wyszła w morze, Nifonasa znów zaczęły

dreńczyć wątpliwości. Dokąd popłynie, co ma zrobić, jakie będzie odtąd jego życie? Czyli nic nowego. A ponadto wyrzuty sumienia z powodu tego, co się wydarzyło. Płynął łodzią i z chwili na chwilę coraz bardziej poseępniał. Nie minęło wiele czasu, a jakiś podstępny wąż zagnieździł się w jego głowie. Stał się pokusą. Pokusa miała głos, a on słuchał, jak mówi do niego i opowiada: „Jakie życie cię czeka, nieszczęśniku, ciebie i twoje dzieci? Czy jesteś zdolny do tego, by cię nazywano ojcem?... Jakie życie będą miały te biedaczyska? Nie byłoby lepiej, gdybyś już dalej nie płynął? Byś zatrzymał się tutaj?... Może zatopisz łódź i położysz kres swoim zbrodniom? Czyż nie jest to najlepsze rozwiązanie?”.

I podczas gdy Nifonas znajdował się na krawędzi otchłani, daleko za nim, w celi, Gedeon przeżywał ostatnie sceny swojego męczeństwa. Był współwinny świętokradztwa, ale to nie jedyny ciężar, jaki dźwigał na swych barkach. Nie była to także śmierć człowieka – chociaż kobiety, i w dodatku tutaj, na Górze. Jednak jego głównym zmartwieniem było teraz zatuszowanie sprawy w taki sposób, żeby najmniejszy cień podejrzeń nie padł na Nifonasa. Gdyby bowiem tak się stało, wszyscy dowiedzieliby się o tajemnicy, a wówczas wyszłaby na jaw historia z dwojgiem dzieci. A wtedy przypadnie wyzwoliciel Narodu, przypadnie zdobycie Miasta, które ma nastąpić za pięćdziesiąt lat.

„Niech się innym wydaje, że to ja dokonałem wszystkiego. To jest najbardziej słuszne”. Usiadł i opanowany zaczął snuć swój plan. Po pierwsze i najważniejsze: jak usprawiedliwić obecność kobiety w monasterze? „Powieм, że znalazłem ją w przystani w złym stanie i zabrałem ją tutaj, żeby jej pomóc”. Po drugie, muszą zniknąć wszystkie skrwawione ubrania i ręczniki. „Wyrzucę je przez okno w przepaść, do morza”. I oczywiście najbardziej podstawowa sprawa ze wszystkich, należy przenieść ciało z celi Nifonasa. „Do mojej własnej celi... Tak będzie najlepiej”.

Dotarło do niego, jak daremne są jego wysiłki, gdy próbował podnieść martwe ciało Domny. Czy to w ogóle możliwe, by jego wyjaśnienia uznano za wiarygodne? Czyż wszyscy i tak nie będą podejrzewali Nifonasa, który zniknął bez usprawiedliwienia? A szok, jakiego niewątpliwie doznają mnisi, jak miałby stawić mu czoło? Najstarszy w monasterze, czcigodny Gedeon uwikłany w sprawę z kobietą! Czy mu uwierzą, czy uznają jego słowa za prawdę? Wiadomość spadłaby na głowy braci jak grom z jasnego nieba.

Usiadł na brzegu łóżka i pozwolił swoim ramionom odpocząć. Nie czuł się



żywy. Miał wrażenie, że przekroczył granicę oddzielającą życie od śmierci – ale z otwartymi oczyma. Był na wpół martwy, na wpół żywy. Największy grzesznik. Dlaczego wszystko spadło na niego? Dlaczego dowiedział się o przepowiedni? Dlaczego miał wizję? Dlaczego? „Dlaczego ja, mój Boże?” W innej sytuacji szukałby ulgi w modlitwie. Teraz pozostało mu tylko spoglądać w próżnię, podczas gdy jego oczy wylewały strumienie łez. Plany i założenia, usprawiedliwienia i preteksty, wszystko to doprowadziłoby natychmiast do zamętu, jaki wywołałaby wśród mnichów wiadomość, że na Górze stanęła stopa kobiety. Kobiety, która następnie – Bóg wie jak! – wyzionęła ducha w celi mnicha.

W owej chwili w jego głowie błyszczały dwa maleńkie światełka: oczy nowo narodzonego chłopca. Jakby patrzyły na niego osobliwie. Jakby mówiły mu, żeby nie zapominał, iż to jemu powierzono misję, by Miasto znów stało się greckie. Dlaczego teraz się obawia? Dlaczego nie wykonuje Jej nakazu? Wszelkimi siłami powinien doprowadzić plan do końca!

Wstał i otworzył okno. Chłodne powietrze jakoś go ocuciło. Wziął głęboki oddech. Zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą. Odwrócił się, zbliżył do łóżka i przykrył kocem zastygłe ciało dziewczyny. Teraz był już gotowy kroczyć do końca drogą swojej własnej golgoty.

Tymczasem na zewnątrz zaświtał słoneczny dzień. Niebo było nieskazitelnie błękitne, wody morza spokojne. A na nich łódka zmagająca się z falami, byle tylko odpłynąć najdalej, jak to możliwe. Największą walkę toczy mężczyzna na łodzi. Nifonasowi pęka głowa. Zmaga się, by odpędzić węża pokusy doradzającego mu, by już dalej nie płynął. By wyciągnął korek spustowy łodzi i zatonął wraz z niemowlętami w głębinach morskich. W ten sposób położyłby kres świętokradztwu, które sam spowodował swoimi grzechami.

Minęło sporo czasu, zanim zdołał przezwyciężyć pokusę samobójstwa. Oczywiście, w dalszym ciągu czuł się grzesznikiem, łajdakiem, plugawym świętokradcą. I nie przestawał płakać. Gdy jednak kierował wzrok w miejsce, gdzie położył koszyk z niemowlętami, jakieś dziwne uczucie – czy mógł je nazwać radością? – nabrzmiewało w nim. Przez parę chwil zaczęła się w nim zagnieźdzać myśl: „jestem ojcem”. To określenie wydało mu się jednak na tyle obraźliwe, że wziął je za nową pokusę po trzykroć przekłętą. Bo to on go zwodził tyle czasu. To wszystko były jego dzieła. A Nifonas był na jego zawołanie. Wpadł w jego pułapkę, został zwiedziony i teraz zbierał

resztki swojej duszy.

„To może być ostatni raz...”

Ostatni raz, gdy oglądał Górę. Pełen goryczy uświadamiał sobie teraz, że już nigdy więcej nie postawi stopy na poświęconej ziemi. Nawet gdyby udało mu się uciec przed policją, sam sobie raz na zawsze wzbroni wstępu do tego miejsca, nawet jako gość. Ostatecznie zamknął rozdział swego życia zatytułowany „Góra”. Dobiegło zatem kresu życie z braćmi mnichami, skończyła się ścieżka, którą wybrał przed dziesięcioma laty, by znaleźć drogę prowadzącą do Nieba. Zasmucony odwrócił wzrok, by po raz ostatni spojrzeć na Stawronikita. Monaster stał tam: milczący, wyniosły. Tak jak znajdował się tutaj od setek lat i jak miał stać na wieki wieków. Ponadto zdało się Nifonasowi, że monaster rzucił na niego pogardliwe spojrzenie. Jako że on, nic nieznaczący, chciał zbrukać jego świętość namiętnościami ciała. Oczy Nifonasa zalały się łzami. Jego płacz był głośniejszy od tego, który dochodził z głębi koszyka. A jednak w pewnej chwili usłyszał silnik dżipa na drodze z Karies, zmierzającego do Stawronikita. Wiedział, co to był za samochód i kto był jego kierowcą. Miał świadomość, z jakiego powodu jechał do monasteru.

Podkręcił jeszcze trochę silnik. Skręcił na lewo, by ominąć Pantokratoros. Na horyzoncie zaczął się jawić zamglony niebieskawy masyw. „Tasos...”; Nifonas nie był w stanie ujarzmić tego, co ludzkie, w swojej pamięci. Z obrazów, które pojawiały się teraz w jego głowie, zwłaszcza jeden rozbił go doszczętnie: Domna w pokoju owego wieczoru, gdy przybył na nabożeństwo podczas święta... Nowa rzeka smutku porwała go teraz ze sobą.

„Miała pecha, że poznała właśnie mnie!”

Podwójny płacz powstrzymał go przed powrotami pamięcią do minionych czasów. Życie domagało się tego, co mu należne. Ciało potrzebuje pożywienia, a nie tylko pocałunków i pieszczot. Nifonas poczerwieniał lekko na tę myśl. Ustabilizował ster PRZEWODNICZKI i skierował się na środek łodzi. Małeństwa płakały, bo pewnie były głodne. Gdyby biedaczki mogły zrozumieć, gdzie się znajdowały i co się wcześniej wydarzyło, zdumiałyby się „darami”, jakie im ofiarowało życie na początek. Ale nie potrafiły myśleć o takich rzeczach, to je przerastało. Jedyne, co czuły teraz, to był głód. A ten głód w brzuskach powinien uśmierzyć ich ojciec, Nifonas. Przystanął na chwilę i omiótł wzrokiem całą łódkę. Zatrzymał się na dziobie. Pod grubą

workową tkaniną miał schowany podarunek od braci Daniela<sup>139</sup>. Jakiś czas temu gwałtowny sirocco<sup>140</sup> wyrzucił go na ich cyplu. Ugościli go ochoczo w kelli, a on im podarował cały swój połów; oni zaś, ze swojej strony, dali mu pięciolitrowy dzban miodu.

Nifonas zanurzył palec w płynnej słodyczy. Nie wiedział, czy robi dobrze. Pamiętał, że noworodki żywią się jedynie mlekiem matki. Tak, w normalnej sytuacji. Jednak te, które mają tylko ojca? A za matkę – morze? Życie domaga się swego, pierwszym instynktem, który rządzi ciałem, jest fizyczny głód, potem przychodzi głód serca. Przybliżył palec do pierwszych ust, najspieszniejszych. Łapczywie zlizwały miód. Powtórzył to z drugim niemowlęciem. To bardziej się wahało, było mniej chętne. Wolną ręką Nifonas rozwiązał zawiniątko i zobaczył, że jest płci męskiej. „A więc to tak?”, zdumiał się głośno. Nie wiedział jednak, czy powiedział to z zadowoleniem, gdy rozpoznał w zachowaniu chłopczyka umiar, czy dlatego, że może wyrosnąć na mężczyznę z wyjątkowym charakterem. Takim, który przystoi „wybrańcom Bożym”.

PRZEWODNICZKA skierowała się dziobem ku otwartemu Morzu Egejskiemu. Nifonas ułożył maluchy w koszyku i usiadł ponownie do steru. Płynął teraz bez określonego celu. Nie wiedział, dokąd zmierza i co się może wydarzyć od tej chwili. Troszczył się tylko, by zrobić tak, jak mu nakazał Gedeon: zniknąć. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mogłaby go szukać policja w celu przesłuchania i złożenia zeznań. Z wolna akceptował osobliwość sytuacji, w jakiej się znalazł, ale większej dawki dziwności by nie wytrzymał.

Minęło jakieś pół godziny. Z myślami, które nie chciały się ułożyć w ciąg, ale i z lękami i zmartwieniami, które mu zżerały serce. W pewnej chwili poczuł ból w całym ciele. Uzbroił się jednak w cierpliwość. Tasos zaczęła być coraz bardziej widoczna. Nifonas zrozumiał teraz, jaki mógłby być cel tej podróży. Znajdował oczywiście na to argumenty. Takie jak:

„Ostatecznie to jej własna krew... Od kiedy była dzieckiem... Choć nie była rodzonym dzieckiem... Dlaczego ma ich nie pokochać?... Niech je wychowa tak, jak sama potrafi... Ja jej też pomogę... Choćby z daleka... Dzieci jej własnego dziecka są... jej wnukami”.

Miał na myśli matkę Domny, panią Janulę. I wyobrażał sobie, z jaką miłością i czułością ta podeszła wiekiem kobieta mogłaby przyjąć dzieci

swojej nieszczęsnej córki. Wychowałyby je, dbałyby o nie, opowiadałyby im bajki, byłyby dla tych biednych istot kochającą babcią.

Ujął mocniej ster, zacisnął usta. Miał przed sobą wytyczony cel.

Za górami wyspy Limnos pojawiło się słońce. Przez moment Nifonas pomyślał, że może dobrze byłoby odkryć bliźnięta, żeby je ogrzały słoneczne promienie. Były to jednak wcześniaki i – na tyle, na ile mógł wiedzieć – potrzebowały ciepła.

Jednakże w owej chwili, całkiem niespodziewanie, jakiś cień przeleciał obok niego. Początkowo się przeraził. Ster niemal wypadł mu z rąk. „To zapewne moja wyobraźnia...”, przeszło mu przez myśl i zaczął się modlić. Nie minęło wiele czasu i drugi cień przeszył powietrze, znów napawając go strachem. Tym razem zdążył lepiej się przyjrzeć. Zobaczył i zrozumiał. Zaczął się uśmiechać, ale nie wiedział, czy to był dobry znak, czy może raczej procesja śmierci, w której aniołowie zstępowali z niebios i towarzyszyli mu, gdy odpływał z Góry. Westchnienie uwięzło mu w gardle. Maleństwa znów zaczęły cicho popłakiwać. „A wy czemu płaczecie, biedactwa!”, pomyślał, gdy zobaczył, jak się wierciły na dnie kosza. Ścisnął ster i lekko skrzywił. Nie chciał się wypuszczać za daleko na otwarte morze. Lepiej mieć przylądki Góry w pobliżu, by go nie porwał dalej jakiś prąd.

W oddali zaczął już rozróżniać Watopedi. Winnice, ogrody, tereny podległe monasterom, metochia błogosławione łaską Pana. Bogaty monaster. Do niego należała sławna Szkoła Athoska, tam gdzie dawniej studiowało tylu kleryków i mnichów. Teraz została z niej ruina. Zwrócił tam wzrok i ujrzał na szczycie wzgórza zrujnowaną budowlę. Nifonas patrzył i rozmyślał, ile tysięcy mnichów spędziło życie na Górze, modląc się z prawdziwą skruchą, wysławiając Górę czynami i słowami. Czuł, jakby oni wszyscy znajdowali się teraz przed nim i byli gotowi poddać go osądowi wstydu za wszystko, czego się dopuścił.

Znów spojrzał w kierunku wzgórza i krew w nim natychmiast zastygła na widok, który ujrzał.

Ze zgliszcz starej i sławnej szkoły wyłoniła się ogromna bestia, bestia nienaturalnych rozmiarów, obracająca łeb raz w stronę monasteru, a raz ku morzu. Jej ślepia były szare, uszy nastroszone. Sierść, ruchy, błysk oczu przypominały wilka. Straszliwego wilka. Nifonas już wcześniej widywał wilki z bliska. Po raz pierwszy, gdy był dzieckiem i jacyś myśliwi obwozili zabite wilcze szczenię na przyczepie rolniczego samochodu. Po raz drugi

przed kilkoma laty, gdy wyruszył w pieszą wędrówkę do kościółka Przemienienia Pańskiego na szczycie Athos. Natychmiast ogarnęły go wątpliwości:

„Przecież to niemożliwe... Tutaj? W pobliżu morza?... Tutaj... Tutaj jest za mała wysokość dla wilków...”

„Dla świętych też!”, uzupełnił szyderczo – naprawdę dla kogo? Gdzieś w głębi duszy zaczął pojawiać się dziwny uśmiech. Przypomnił sobie, jaką walkę toczył przez te wszystkie lata, by odpokutować za swoje grzechy. Ile wyrzeczeń, skruchy, modlitw, postów i modlitw przy komboskini, by okazać się godnym drogi do Raju. A kilka ostatnich miesięcy rozbiło to wszystko w drzazgi. Nifonas nie miał już prawa nazywać się ani świętym, ani nawet wiernym chrześcijaninem!

Znów spojrzał w kierunku zwierzęcia. Teraz w całej jaskrawości jawiło się jego ogromne cielsko. Wielkimi susami zstępowało po zboczu w stronę wybrzeża. Krzewy i drzewa łamały się, gdy parło naprzód. Ptaki pierzchały przerażone, jak najdalej od niego, z jego nozdrzy wydobywało się coraz wyraźniej słyszalne sapanie.

Nifonas zrozumiał. Pojął, co to za zwierzę, dlaczego przybrało postać wilka i kogo szukało. To był po trzykroć przeklęty! On ma w zwyczaju przeobrażać się w wilka. I, oczywiście, zwierzyną łowną był on sam i jego dwa maleństwa. Poczuł strach, który przeszedł w panikę. O swoje życie nie troszczył się aż tak bardzo; lepiej skończyć w ten sposób, lepszy straszny kres. Jednak niemowlęta? Niewinne istoty? Cóż one zawiniły, by stać się ofiarą apetytu Szatana? Dodał gazu. Za nim zwierzę dotarło już do wybrzeża i wchodziło do wody. Zapewne przygotowywało się, by na nich zapolować.

Podczas gdy na morzu działy się takie rzeczy, w Stawronikita Gedeon przemierzył już pierwsze stadia własnego męczeństwa. Od chwili, gdy pozostał sam z martwą Domną, aż do momentu, gdy kończyła się jutrznia i nakrywano do stołów, przeszli po kolei przez celę: Modestos (to jego Gedeon poprosił, by powiadomił igumena), następnie sam igumen („co za zamęt, ale szok!”), ze dwóch, trzech braci („przybył Antychryst!”) i oczywiście policjant. Przysłuchiwał się teraz, jak w sąsiednim pomieszczeniu przepytuje po kolei każdego, o kim sądził, że może być w jakiś sposób uwikłany w sprawę. Gedeona policjant poprosił, by został w pokoju obok do czasu, aż się nim zajmie. Zresztą, czyż nie był on głównym podejrzanym?

„Podejrzany tak”, myślał Gedeon, „ale o co?”. I uzupełniał: „Nie rozumiem, że nie chodzi o morderstwo? Że to jest...”. Nadal wahał się i nawet w myślach nie używał słowa „poród” – jakkolwiek owo wydarzenie napełniało go radością, gdyż wzmacniało jego wizję: „Miasto znów greckie, Miasto w naszych rękach!”. Głosy w sąsiedniej sali co jakiś czas się zmieniały. Jedne były znajome, innych słuchał po raz pierwszy. „Kim oni mogą być? Jaki mają z tym związek?” Zegar ścienny dręczył go powolnym przesuwaniem się wskazówek. On sam nie miał innej troski, jak tylko to, żeby Nifonas zyskał trochę czasu i zniknął z oblicza ziemi. Bo właśnie jego mieli teraz wszyscy szukać, na niego miały spaść podejrzenia. „Tylko wobec Pana jesteśmy odpowiedzialni!”, wyszeptał sędziwy mnich z trwogą i upadł na kolana, by pomodlić się raz jeszcze.

Jego starcze oczy zwilgotniały, a w myślach przywołał żywot i męczeństwo świętego, od którego wziął swoje imię. Święty Gedeon, urodzony w 1771 roku we wsi Kapurna w północnej części Pelionu, został przemocą nawrócony na islam w bardzo młodym wieku. By ocalić swoją duszę, zbiegł później na Górę. Umarł śmiercią męczeńską. Psy Turcy obcięli mu ręce i nogi, zanim zabili go w Tirnawos. „Prawdziwy męczennik”, rozmyślał terazniejszy Gedeon. I zaraz potem dodał: „Nie taki jak ja, nieszczęśnik, bluźnierca”. Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny lament, gdy zaczął śpiewać troparion: *Szlachetnego wojownika Chrystusa i wspaniałego, najprzedniejszego Gedeona, nowego świętego męczennika, uwieńczymy wieńcem chwały...* Po niedługim czasie wstał. Nie był spokojny. Nie mógł także zapanować nad swoimi myślami, które biegły to do skrwawionego pomieszczenia, to do męczeństwa świętego, to do Nifonasa i tego, co ze sobą zabrał.

Dokładnie w tym samym czasie Nifonas odwracał z niepokojem głowę i spoglądał na bestię, która płynęła w jego kierunku. Teraz już widać było wyraźnie jej otwartą paszczę i wstrętne zęby. Był to widok, który paraliżował jego ciało i myśli. „Matko Przenajświętsza, ocal nas!”, tylko tyle udało mu się wyszeptać zamiast innej modlitwy w obliczu niebezpieczeństwa ze strony zwierzęcia, które pewnikiem miało ich rozszarpać.

Jednakże w owej chwili jeden, dwa, trzy, dziesiątki cieni przybyło i podleciało do niego. Usłyszał w powietrzu uderzenia skrzydeł. Początkowo się zdumiał. Potem zrozumiał. Ujrzał, jak aniołowie powoli tworzą wokół łodzi mur, by ochronić jego i niemowlęta przed krwiożerczą bestią.

Rozbłysły w porannym świetle niematerialne niebiańskie istoty, wybawcy. Nifonas poczuł, że się uspokaja. Teraz już nie potrzebował innego wstawiennictwa ani ochrony. Wszechdobry mu wybaczył. Wielce Łaskawa raz jeszcze uczyniła swój cud. Nifonas poczuł spokój. Puścił ster i uklęknął, żeby się pomodlić. Łódź płynęła sama, kierowana Boską Opatrznością.

Jednak nagle coś go tknęło. Jakaś myśl wynurzyła się z otchłani duszy. Wstał z klęczek i podszedł do koszyka. Maleństwa miały oczy zamknięte, spały zapewne. Jego oczy błyszcząły. Próbował sobie przypomnieć jakąś kołysankę z tak wielu, które śpiewała mu matka, gdy był dzieckiem. Na próżno; jego myśli były jak wzburzone morze. Wyszeptał coś, zbliżając się jeszcze trochę. Potem wziął niemowlęta w ramiona, tak jak leżały, nagie i brudne. Spojrzał w niebo. Uniósł dzieci. Zaśmiał się dziwnym śmiechem i tak głośno, jak potrafił, zakrzyknął:

– ...to, co Twoje, z Twoich darów!... to, co Twoje, z Twoich darów!...

A jeśli istnieje Bóg, zapewne usłyszał ten okrzyk Nifonasa. I – kto wie – może się ulitował, a może i przebaczył uczynki jego ziemskiego życia.

*Mój Boże, niemal nigdy nie wierzyłem w Ciebie,  
ale zawsze Cię kochałem.*

**ANTONIO PORCHIA**

*Wybór z Voces, tłumaczenie E.Ch. Gonatas*

*ATENY: stigmi, 2000*

## **Alfa i Omega**

To ja, we własnej osobie. To znaczy, niedokładnie ten, którego wymieniasz na końcu swojej książki, ale jego część. Ściślej rzecz biorąc, jedna trzecia. Równa jednak i współistotna. Równoważna. Chociaż, prawdę mówiąc, najpotężniejszym, tym, który ma zwierzchnictwo, jest On. Pierwszy z pierwszych. On, który nie ma ani początku, ani końca. Którego umysł ludzki nie ogarnie.

Pewnie będziesz się teraz zastanawiać, dlaczego zimowym porankiem składam ci tę wizytę i czego od ciebie pragnę. Tak więc chcę, żebyś wysłuchał uważnie tego, co mam ci do powiedzenia, a potem wprowadził to w czyn. Bo jeśli chcesz wiedzieć, to twoja ostatnia szansa na zbawienie. Przede wszystkim pragnę wyznać, że podejmuję się tej inicjatywy, dlatego że z powodu twojego zajęcia postrzegam cię jako swojego człowieka.

Ja, Duch Święty, przybywam, żeby cię ochronić w pewnej sprawie całkowicie duchowej. Ostatecznie, czyż nie jestem twoim protektorem? Patronem całego twojego fachu?

Przechodzę teraz do naszej sprawy.

No dobrze, bezbożniku, czy to, co napisałeś w książce, to był naprawdę „koniec”? Czy to jest epilog, czy bluźnierstwo największe? Posłuchaj tylko: „A jeśli istnieje Bóg...”. Powiedz mi, czy może być większa obelga? Nie przeszło ci przez głowę, że takie słowa popychają cię prosto ku bezbożności i ateizmowi? Nie wzięłeś wcale pod uwagę Jego gniewu?

Do rzeczy jednak. Cokolwiek uczyniłeś, jakkolwiek to napisałeś, ja przybywam po to, by cię ochronić. Zanim jednak wyłożę plan, który przygotowałem, muszę ci zadać kilka pytań. Najpierw zapytam cię, dlaczego nie trzymałeś się pierwotnego planu? Otwórz zeszyt i zobacz, co napisałeś, gdy robiłeś pierwsze notatki: „Na końcu Nifonas razem z dziećmi ucieka do wsi Domny na Tasos. Tam: 1. przekonuje jej matkę, by podjęła się wychowywania dzieci (gniew starszej kobiety łagodnieje, gdy dowiaduje się o śmierci swojej przybranej córki), 2. jako dobra babcia wychowa oboje dzieci, 3. chłopiec po latach...”.

To są twoje własne słowa. Więc co cię skłoniło do zmiany początkowej koncepcji? W porządku, co do obłądu Nifonasa zgadzam się. Taki szalenie Chrystusowy nie jest niezwykłym zjawiskiem na Górze, a obłąkanie nie jest czymś nieprzystającym do mentalności młodego mnicha, zgodnie z tym, jak się potoczyły sprawy. Jest rzeczą całkowicie naturalną, że Nifonas mógł się pogрузić w świętym szaleństwie i zrobić „skok wiary”, wzgardziwszy ludzką logiką. Jego obecna sytuacja jest Bożym darem, gdyż: *To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi*<sup>141</sup>. Problem leży gdzie indziej, chodzi o twoje bluźnierstwo, twoje wątpliwości, czy istnieje Bóg, czy nie. Wiem, wiem, co powiesz. Podświadomość kogoś, kto wymyśla historie i je przedstawia jako prawdziwe, jest mroczna i nieprzewidywalna; w każdej chwili „bohater literacki” może zejść ze swojej drogi i skierować się ku całkowicie odmiennemu działaniu od tego, które początkowo ustalił pisarz...

Czy to nie jest twój argument? Czyż nie wierzysz w coś takiego? Poczekaj, a zobaczysz!

Kolejną, poważniejszą sprawą, o którą chcę cię zapytać, jest to, czy



ostatecznie znalazłeś odpowiedź na pytania, które popchnęły cię do napisania tej powieści. Przypomnij sobie, co cię dręczyło, zanim zacząłeś snuć opowieść o losach bohaterów: „Co sprawia, że człowiek porzuca świat i zostaje mnichem? W jaki sposób podejmuje się taką decyzję?”.

Czy nie pomógł ci Gedeon i jego pełne zamętu życie? Do jakiego stopnia cię przekonał jego czyn, jego decyzja, by pomóc kobiecie na Górze? A Nifonas? Byłeś zadowolony z jego wyborów, a przede wszystkim z tego, że wprowadził swoją przyjaciółkę do celi, pogwałciwszy świętą tradycję Świętej Góry? Co masz do powiedzenia? Minęły ponad trzy lata, od kiedy zajmujesz się tym tematem. Piszesz, szukasz, piszesz, tracisz nadzieję, znów piszesz. Jaki zatem jest rezultat? Znalazłeś odpowiedź, której szukałeś? Jaka korzyść płynie z walki z tworami twojej wyobraźni? Z walki z samym sobą? Co w końcu wygrałeś?

I ostatnie pytanie.

W tekście jest mowa o dwóch burzach. Co do tej, która rozpętała się w noc porodu, całkowicie się z tobą zgadzam, gdyż w ten sposób ujawnia się gniew Boży. Jaki jednak był twój cel przy wcześniejszej nawałnicy? Mam na myśli burzę, która zniosła łódź z kursu i doprowadziła ją do brzegów Góry. Co właściwie chciałeś powiedzieć? Że natura stała się współsprawcą tego, że Domna znalazła się w monasterze? Że wszystko wydarzyło się na skutek Boskiej interwencji? Że niby z Naszej własnej woli został zdeptany święty zakaz? Zastanów się dobrze, bo w tym również tkwi wielkie bluźnierstwo.

Przejdźmy teraz do mojej propozycji: zmień zakończenie książki! Nie całe, tylko miejsce, gdy Nifonas złorzeczy. Krótko mówiąc, nie każ Nifonasowi na łodzi unosić w górę niemowląt i mówić tego, co mówi. Napisz, że nowo narodzone wkrótce stracą życie – urodziły się w siódmym miesiącu, biedactwa, jak mają przeżyć bez opieki lekarskiej? Następnie wyślij Nifonasa z powrotem na Górę. Każ mu zostać eremita w Kastunakia lub w Kafsokaliwa. Niech wraca na wpół nagi i niech znajduje pożywienie jak niebieskie ptaki. Teraz już jak zwykły Chrystusowy szaleniec.

Jeżeli uważasz, że przez taką zmianę tekst straci coś ze swojej siły, mam ci do zaproponowania inne wersje końca. Ja ci je opowiem, a ty wybierz taką, którą uznasz za najlepszą.

No więc... Gdybyś chciał dodać kolorytu policyjnego, powiedziałbym ci, żebyś zrobił użytek z rosyjskiego mnicha, Gierasimowa. Napisz, że policjant przed wyjazdem z monasteru poszukuje go, chcąc go zabrać

ze sobą, ale Rosjanin zniknął. A zniknął dlatego, że zaczął wprowadzać w życie swój plan: a mianowicie nic innego, tylko kradzież rękopisu z przepowiednią. Mógłbyś usprawiedliwić jego czyn, mówiąc, że coś takiego było dawniej taktyką rosyjskich mnichów już od XVII wieku, gdy sławetny Sichanow, na polecenie cara Aleksego i patriarchy Nikona, przybył na Świętą Górę, żeby skraść manuskrypty, które miały posłużyć do zrewidowania tekstów liturgicznych. To samo robi teraz Gierasimow. On robi to jednak dla pieniędzy. Kradnie rękopis, jedzie do Aten, sprzedaje go jakimś handlarzom antyków, tam go aresztują itd., itp.

Jeśli z kolei chcesz nadać powieści wymiar teologiczny i polityczny, zrób ekskurs na temat świętego zakazu. Że mianowicie niebawem Parlament zostanie zobowiązany do zatwierdzenia decyzji Unii Europejskiej, że Święta Góra przestaje być miejscem z zakazem wstępu dla kobiet. Napisz, że jest południe, na placu Sindagma manifestują tysiące prawosławnych chrześcijan, którzy przybyli z różnych zakątków Grecji wszelkimi środkami lokomocji. Trzymają czarne flagi, słysząc hasła, psalmodie, głosy świętego oburzenia. Na jednym z chodników zgromadzili się mnisi z Góry, którzy także zjednoczyli swój głos w walce. Niestety, decyzja nie będzie przychylna dla prawosławia. Mimo że od dnia, gdy Grecja stała się członkiem EWG, istnieje rezolucja na temat szczególnego traktowania i specjalnego ustroju Świętej Góry, polityka Europy teraz się zmieniła: żadnego rozróżnienia między dwiema płciami! Tak więc...

Ostatnia wersja, jaką ci proponuję, ma zabarwienie narodowe, związana jest z Konstantynopolem. Tutaj mógłbyś zrobić wzmiankę, że kraje Unii Europejskiej ostatecznie nie zgadzają się, żeby Turcja weszła do Wspólnoty jako równoprawny członek. Po takim rozwoju wypadków Turcy wpadają we wściekłość. W odwecie zmuszają Patriarchę do ostatecznego opuszczenia Miasta, wyganiają go. Otóż porzuca on Stolicę i znajduje schronienie na Świętej Górze, gdzie, w miejscu Szkoły Athoskiej, zostaje zbudowany nowy patriarchat. Ostatnią rzeczą, na jaką pozwolą Turcy, jako gest dobrej woli, albo i wyższości, będzie odprawienie ostatniej wieczni w Hagii Sophii. To i tylko to. Co oznacza: inaczej wyobrażał to sobie biedny Gedeon i inaczej się teraz stało.

Wybierz jedną z tych wersji. Albo i wszystkie trzy. Ty znajdziesz sposób, żeby je połączyć. W każdym razie dołoż wszelkich starań, żeby zmienić ostatnie linijki tekstu! Dobrze?

Aha, skoro o Gedeonie mowa, żebym nie zapomniał o czymś równie ważnym. Chodzi o pewien fakt, o którym na pewno nie wiesz, to wykluczone, żebyś wiedział. Jest on poza granicami wyobraźni, dlatego że należy do przeszłości. Ktoś, kto snuje zmyślane historie, może sobie wyobrazać przeszłość tak, jak chce, tak samo to, co się stanie w przyszłości. Wykluczone jednak, by znał dokładnie wszystko, co się do tej pory wydarzyło. I tę właśnie lukę pragnę uzupełnić. Tak więc posłuchaj: przepowiednia była oszustwem. Nie chodzi o to, że nie istniała albo że nie odnosiła się do zwycięzcy, który sprawi, że Miasto znów będzie greckie. Błąd tkwi w mylnej interpretacji *Ogrodu Matki Pana*. Wszyscy sądzą, że ów Ogród to Święta Góra. Otóż rzecz wygląda zgoła inaczej! Dowiedz się teraz o rzeczywistym źródle wszystkich strasznych rzeczy i nieszczęść, które towarzyszyły przepowiedni.

Pod koniec XVIII wieku żył w pewnej pustelni nad Morzem Czarnym mnich o imieniu Justos. Zajmował się czytaniem Pisma Świętego i studiowaniem żywotów świętych. Pisał hymny, tropariony, psalmodie. Jego marzeniem było wskrzeszenie Bizancjum, a wraz z nim jego rodzinnego miasta. A miasto nazywało się – tak, tak! – Ogrody<sup>142</sup>. Małe miasto nad Bosporem Kimmeryjskim, ale z historią zaczynającą się od okresu, gdy było kolonią Milezyjczyków. To znaczy dwa tysiące lat z okładem wstecz. Z upływem wieków miasto podupadało, nadeszła zaraza, jego populacja zmniejszyła się do minimum, aż w końcu zostało zniszczone przez Hunów. Tylko nieliczni starcy pozostali w owych latach w Ogrodach, wśród nich także Justos. To on właśnie był autorem przepowiedni. A Ogród, który wzmiankuje w przepowiedni, to właśnie jego miasto. Nieszczęsny modlił się o to, by narodziło się dziecko, które później zostanie wielkim wodzem, zdobywcą Konstantynopola, i wskrzesi Bizancjum. Justos chciał, żeby przepowiednia została rozpowszechniona na świecie i żeby tłumy zjechały do Ogrodów, aby miasto znów odzyskało dawną sławę. Do dzisiaj wszyscy opacznie rozumieli jego przesłanie, ponieważ po prostu nie mogli tego wiedzieć. Tak więc Gedeon i Lorenzo oszukali samych siebie. I na tym niezrozumieniu została oparta książka. Czy to nie powód do śmiechu?

Tyle miałem ci więc do powiedzenia i sądę, że reszta jest zbyteczna. Poznałeś już całą prawdę; czyn teraz tak, jak uważasz. Jednak chcę cię prosić o jedno: gdy nadejdzie czas i staniesz twarzą w twarz z Nim – ufam,

że rozumiesz, co mam na myśli – nie mów o tym tutaj spotkaniu, trzymaj je w tajemnicy. Zgoda?

Nie słyszę, o co pytasz? Że kiedy się to stanie? Kiedy przyjdę, byś wydał ostatnie tchnienie? Ech, lepiej nie wiedzieć wszystkiego, mój przyjacielu! Niech się tym zajmie On, Wszechmocny i Wszechwiedzący, ty zajmij się swoimi tekstami. I w końcu przestań ciągle patrzeć przez okno na padający śnieg.

A więc to tak? *Zmieniają skrzydła aniołowie...*

6 lipca 2003 (Gadzea Piliu) – 24 lutego 2007 (Św. Monaster Konstamonitu)

## Góra Athos – miejsce poza czasem

*...as I now see it through the glancing waves, it does not look as if it belonged to this world.*

Patrick Leigh Fermor, Góra Athos, 24 stycznia 1935

U północnych brzegów Morza Egejskiego znajduje się charakterystyczny, „trójpalczasty” Półwysep Chalcydycki. Jego wschodnim odgałęzieniem jest długi na prawie 50 km cypel Athos, na którego południowym krańcu wznosi się najwyższy szczyt półwyspu, majestatyczna Góra Athos (2033 m). Właśnie od niej wziął swoją nazwę jeden z najbardziej niezwykłych w Europie zakątków, Autonomiczna Republika Mnichów Świętej Góry, zwana potocznie Świętą Górą (*Ajon Oros* [*Hagion Oros*]) – żywy relikwiarz średniowiecznej duchowości bizantyńskiej, autonomiczny obszar na terytorium Grecji, pozostający w jurysdykcji Patriarchy Ekumenicznego z Konstantynopola, ponadpaństwowy organizm prawosławny. Miejsce to szczególne, albowiem obowiązuje w nim bezwzględny zakaz wstępu dla kobiet i zwierząt płci żeńskiej, poza jednym wyjątkiem: obecnością... Przenajświętszej (*Panaja* [*Panagia*]), której władza rozciąga się nad całym półwyspem, nazywanym w związku z tym także „ogrodem” lub „winnicą Matki Boskiej”; to właśnie ona otacza szczególną opieką i chroni Athos.

Święta Góra jest integralną częścią Grecji, ale przestrzeń i czas, które ją tworzą, niewiele mają wspólnego ze współczesnością. Tutaj nadal obowiązuje stara rachuba czasu, liczonego według dawnego kalendarza juliańskiego, i inaczej dzieli się pory dnia i nocy: doba rozpoczyna się, gdy

słońce stoi w zenicie, co jest nawiązaniem jeszcze do starotestamentowej rachuby, którą przejęło Bizancjum. Miejsce to jest żywym przypomnieniem chrześcijańskiego Cesarstwa Bizantyńskiego, które – mimo upadku Konstantynopola w 1453 roku – przetrwało w tym odludnym i jakby zawieszonym poza historią zakątku Europy. Święta Góra to równocześnie skarbiec bogactwa Bizancjum, wpisana na listę UNESCO w 1988 roku, kryjąca w sobie niezwykle zabytki architektury i sztuki bizantyńskiej oraz bezcenne zbiory manuskryptów stanowiące jedną z największych kolekcji na świecie (najwięcej w Wielkiej Ławrze, Watopedi i Iwironie). Monastery Athos, warowne twierdze zespolone w jedno ze skalistą rzeźbą terenu, trwają niezmiennie od setek lat, stojąc na straży kultury duchowej chrześcijańskiego Wschodu.

Oczywiście, świat ten również podlega gwałtownym zmianom w płynnie zmieniającej się nowoczesności. Nowe pokolenie mnichów jest otwarte na nowinki technologiczne, starając się łączyć w twórczy sposób tradycję z nowoczesnością. Gdy w 1997 roku zbudowano na półwyspie pierwszy nadajnik telefonii komórkowej, wkomponowano go w wysoką wieżę w stylu bizantyńskim, tak by nie był widoczny i nie burzył średniowiecznej harmonii miejsca. Oprócz telefonów komórkowych mnisi – często dobrze wykształceni na zachodnich uniwersytetach i pochodzący z różnych, niejednokrotnie egzotycznych i dalekich krajów – posługują się internetem i korzystają z poczty elektronicznej. Często sprzedają swoje prace malarskie albo produkowane wino za granicą. Korzystają także z dotacji unijnych na remonty zabytkowych budowli bizantyńskich. W związku z tym, że półwysep nie ma połączenia z siecią elektryczną Grecji, mnisi na szeroką skalę stosują generatory prądu i baterie słoneczne. Nawet w dzwonach używane są coraz częściej elektryczne młoteczki, a w celu zabezpieczenia cennego dziedzictwa stosuje się elektroniczne alarmy. Choć mnisi używają również samochodów terenowych i łodzi motorowych, jednak charakter miejsca pozostaje specyficzny – zanurzony głęboko w prawosławnej duchowości sięgającej początków chrześcijaństwa.

## **Rys historyczny**

Nie wiadomo, kiedy dokładnie na ten wąski pasek lądu, w większości niedostępny, gdzieśkolwiek lesisty, a przede wszystkim jałowy i skalisty, zaczęli przybywać pierwsi pustelnicy, gdyż brak jest na to wiarygodnych

źródeł historycznych. Istnieją hipotezy, że na półwyspie już w IV wieku zakładano ośrodki monastyczne, podobne do istniejących wówczas w Egipcie i na Bliskim Wschodzie. Niepotwierdzone są także przypuszczenia, jakoby początków monastycyzmu na Athos należało szukać po ekspansji Arabów w VII i VIII wieku, gdy rzesze mnichów palestyńskich miały szukać tam schronienia. Równie mało wiarygodne są informacje, że to okres ikonoklazmu (754–843) zapoczątkował życie monastyczne na półwyspie.

Prawdopodobnie pierwsi pustelnicy pojawili się na Athos pod koniec VIII wieku i z czasem zaczęli tworzyć wspólnotę życia monastycznego. Pierwszym oficjalnym dokumentem, w którym jest mowa o Górze Athos, jest kronika z IX wieku, w której pojawia się wzmianka o delegacji z Góry, biorącej udział w uroczystości przywrócenia kultu ikon w Konstantynopolu w marcu 843 roku. Kilkadziesiąt lat później, w roku 883, cesarz Bazyli I (867–886) wydał Złotą Bullę, w której zwolnił mnichów z podatków i ogłosił, że na Athos nie może się osiedlać nikt poza nimi (wykluczeni zostali na przykład pasterze i rolnicy). Granice Świętej Góry zostały wytyczone po raz pierwszy w latach 942–943 przez cesarza Romana I Lekapena, który ponadto przyznał mnichom doroczną pensję.

Najstarszy monaster na Świętej Górze, co do którego posiadamy źródła historyczne, to Wielka Ławra, założona w 963 roku przez mnicha Atanazego z Trapezuntu, dzięki wsparciu cesarza Nicefora II Fokasa (963–969). Wiadomo jednak, że w chwili śmierci Atanazego, na początku XI wieku, pojawiają się wzmianki o 46 monasterach, z których wiele istniało zapewne przed Wielką Ławrą. Do dzisiaj przetrwały tylko cztery z tamtego czasu: Iwiron, Watopedi, Esfigmenu i Kseropotamu.

Dopiero jednak od założenia Wielkiej Ławry oficjalną dokumentację Świętej Góry można prześledzić w źródłach historycznych. Wydarzenie to było także punktem zwrotnym – rok, w którym zaczęto budowę Wielkiej Ławry, przyjmuje się jako początek dziejów Republiki Mnichów na półwyspie. Wówczas rozwinęło się życie monastyczne zorganizowane ściśle według reguły cenobitycznej. Wspólnota otrzymała także od cesarza wiele przywilejów, na przykład coroczną zapomogę w wysokości 244 złotych monet i dużych zapasów ziarna. Gdy pewna część mnichów prowadzących pustelnicze życie zwróciła się z protestem do cesarza Jana Tzimiskesa (971–972), ten nie tylko potwierdził przywileje Góry, ale i – co ważniejsze – kierując się opinią uczonego mnicha Eutymiusza Studyty,

w 972 roku wydał pierwszy statut (*typikon*), spisany na trzymetrowym pergaminie wykonanym z kozłej skóry (stąd nazwa *tragos*, czyli kozioł), który przechowywany jest do dzisiaj w Protatonie w centrum administracyjnym Republiki Mnichów, Karies, i nadal jest podstawą organizacji i zarządzania mniszym państwem. Święty Atanazy ułożył także wewnętrzny statut Wielkiej Ławry, szczegółowy zbiór praw.

Od tamtego czasu Athos zaczęła przyciągać coraz większe rzesze pielgrzymów ze wszystkich stron chrześcijańskiego świata. W drugim *typikonie*, pochodzącym z 1045 roku, ratyfikowanym w 1046, autorstwa cesarza Konstantyna IX Monomacha (1042–1055), w którym po raz pierwszy pojawia się nazwa Święta Góra, wspomnianych jest 180 monasterów. Obecność mnichów innych narodowości, zwłaszcza Słowian, Rumunów, Gruzinów czy Włochów, odnotowuje się jeszcze w X wieku. Wiemy, że na Athos pojawiali się także Ormianie, Syryjczycy i Libańczycy. Wspomniany statut z 1045 roku regulował także inne znaczące dla późniejszego rozwoju monasterów kwestie, takie jak zakaz przyjmowania bezbrodych nowicjuszy i eunuchów, rozmiary łodzi i ich używanie do celów handlowych, użytek z bydła, sprzedaż nadwyżek płodów rolnych.

Pod koniec XI wieku na półwyspie pojawiło się nowe zagrożenie – pasterze wołoscy, którzy wraz z rodzinami zaczęli się osiedlać w granicach Świętej Góry. Chodziło w tym wypadku nie tyle o samych pasterzy i ich trzody, ile o ich żony, które handlowały z mnichami i miały doprowadzać do skandali obyczajowych. Cesarz Aleksy I Komnen (1081–1118), kierując się dawną tradycją (wcześniej wykluczone było na przykład powstawanie monasterów żeńskich), wydał specjalny dekret, skazując na wygnanie pasterzy, ale – co najistotniejsze – zakazując całkowicie kobietom oraz zwierzętom płci żeńskiej wstępu na półwysep.

Ów „święty zakaz” (*awaton* [*abaton*]) wstępu dla kobiet, który pełni kluczową rolę w powieści Kostasa Akrivosa, od tamtego czasu pozostaje prawomocny, mimo że wiele innych zakazów złagodzone bądź uchylono. Trzeba jednak pamiętać, że przez niemal całą historię Athos jest to zasadniczo niepisane prawo (w żadnym dokumencie bizantyńskim nie ma mowy o wyraźnym wykluczeniu kobiet), gdyż było ono tak mocno zakorzenione w mentalności i obyczajowości, tak oczywiste, że zapewne nie było potrzeby jego spisania. Dopiero Karta Statutowa Świętej Góry (*Katastatikos Chartis Ajiu Orus*) z 1926 roku, o której będzie mowa poniżej,

w szczególony sposób regulująca działalność i ustrój Republiki Mnichów, w artykule 186. jasno to stwierdza. W ponadtyśiącletniej historii Świętej Góry zdarzały się odosobnione przypadki złamania tego zakazu, jak na przykład w trakcie wizyty cara Serbów, Stefana Urosza IV Duszana, z żoną Heleną w 1347 roku.

W XII wieku zwiększa się rola mnichów słowiańskich na Górze Athos, skupionych w monasterach: Pantelejmona (Rosjanie), Chilandar (Serbowie) i Zografu (Bułgarzy). Za panowania Michała VIII Paleologa (1259–1282), który odzyskał Konstantynopol z rąk łacinników w 1261 roku i który dążył do zbliżenia Kościoła zachodniego i wschodniego, miało dochodzić, według różnych przekazów, do najazdów i aktów gwałtu w Republice Mnichów, zwłaszcza wobec tych, którzy byli przeciwni łacynizacji Kościoła. Nie ma jednak na to przekonujących dowodów w postaci źródeł historycznych, a cesarz Michał Paleolog zapisał się raczej jako jeden z hojniejszych władców wobec Świętej Góry.

W latach 1307–1309 łupieżcze wyprawy na Górę Athos organizowali Katalończycy sprowadzeni przez cesarza Andronika II Paleologa (1282–1328) do obrony przed Turkami. Z półwyspu Kassandra najemnicy z Kompanii Katalońskiej dokonywali pirackich najazdów, plądrując monastera, pałac włości klasztorne i zabijając mnichów. Według przekazów z istniejących wówczas 300 monasterów ocalało tylko 25. Cesarz Andronik w dekrete z 1312 roku ustalił, że wspólnotą Świętej Góry ma kierować *Protos*, wybierany przez cesarza, oraz zarządził, że władza centralna ma podlegać Patriarchatowi Ekumenicznemu w Konstantynopolu, co obowiązuje po dziś dzień.

W pierwszych dekadach XIV wieku na Górze Athos zaczęła zyskiwać popularność nowa technika medytacyjna i modlitewna, wprowadzona przez Grzegorza Synaitę, polegająca na kontroli oddechu i ciągłym odmawianiu Modlitwy Serca (Jezusowej), co doprowadzało modlących się do stanu, w którym doświadczali oni mistycznej więzi z Bogiem. Twierdzili, że są w stanie ujrzeć Boskie światło, w jakie spowity był Chrystus podczas przemienienia na Górze Tabor. Rozwinął się wówczas nowy, mistyczno-teologiczny nurt, który został nazwany hezychazmem (*isichija* [*hesychia*] – spokój, milczenie, cisza), gdyż jego adepci uzyskiwali wewnętrzny spokój, wyciszając zmysły i namiętności. Głównym teoretykiem i gorliwym zwolennikiem hezychazmu został Grzegorz Palamas (1296–1359), mnich



z Wielkiej Ławry, arcybiskup Tesaloniki. Dla Palamasa istota (*ousia*) Boga jest niepoznawalna, natomiast nieskończone Boskie energie czy działania (*energeiai*), wypływające z Bożej istoty, dzięki hezychastycznej praktyce modlitewnej można dostrzec jako niestworzone światło – właśnie takie jak na Górze Tabor. Między innymi to założenie było przyczyną sporu teologicznego, jaki wybuchnął w XIV wieku między italsko-greckim mnichem Barlaamem z Kalabrii (1290–1348), który zakwestionował twierdzenie o niestworzonej Boskiej światłości dostrzegalnej zmysłami, a wspomnianym Grzegorzem Palamasem, który odpierał poglądy Barlaama i jego zwolenników w traktacie *Triady, czyli w obronie świętych hezychastów*. Doktryna hezychazmu została oficjalnie przyjęta przez Kościół prawosławny w 1351 roku, a Kościół bizantyński kanonizował Grzegorza Palamasa w 1368 roku.

Król Serbów, Stefan IV Duszan, który zajął półwysep atoski w 1345 roku, utrzymywał ze wspólnotą mnichów bardzo dobre relacje. Zgodził się potwierdzić przywileje, jakie uzyskali w przeszłości, i hojnie obdarowywał monaster, nie tylko wyposażając je w cenne przedmioty liturgiczne, lecz także darując znaczne obszary ziemi. Pamięć o Stefanie Duszanie jest do dzisiaj kultywowana w niektórych monasterach.

Po krótkim okresie panowania Turków w latach 1383–1402, w których wolność mnichów ani przywileje monasterów nie zostały ograniczone, Góra Athos wróciła w ręce Bizantyńczyków, których władza również niebawem miała się zakończyć. W 1406 roku cesarz Manuel II Paleolog (1391–1425) wydaje, w postaci Złotej Bulli, czwarty *typikon*, w którym dokonuje nieznacznych zmian w funkcjonowaniu Państwa Mnichów, jeśli idzie o wewnętrzne zasady, związane między innymi z majątkiem monasterów, i raz jeszcze potwierdza bezwzględny zakaz przebywania istot płci żeńskiej na półwyspie.

Po zdobyciu Konstantynopola przez Turków Osmańskich w 1453 roku sułtan Mehmed II ratyfikował obietnice, które jego ojciec, Murad II, złożył mnichom w 1430 roku, a także potwierdził władzę mnichów na półwyspie i przywileje, jakie posiadali. Dzięki temu, że kolejni sułtani uznawali status Athos, monaster, przez cały okres dominacji tureckiej cieszył się autonomią. Pewne zmiany nastąpiły w XVI i XVII stuleciu, kiedy zwiększone zostały zobowiązania podatkowe wobec Turków oraz gdy monaster utracił część swoich ziem poza granicami półwyspu. Postępujące

zubożenie monasterów, wynikające nie tylko z podatków przekraczających ich możliwości, ale spowodowane także częstymi najazdami piratów, przyczyniło się do ich pustoszenia i wyludniania się, a niektóre z nich popadły w całkowitą ruinę. Większość monasterów zrezygnowała wówczas z cenobitycznej formy życia wspólnotowego (co oznacza regularną i zdyscyplinowaną formę życia zakonnego, gdzie mnisi razem się modlą, jedzą, pracują i medytują), przechodząc na idiorytmiczną (swobodniejsza forma życia monastycznego: małe grupy mnichów skoncentrowane na realizowaniu indywidualnych potrzeb duchowych, uprawnione do posiadania własności prywatnej i żyjące dzięki własnej pracy). Mnisi zaczęli się łączyć w niewielkie wspólnoty, pomimo wydanego przez Patriarchę Jeremiasza II w 1573 roku piątego *typikonu*, w którym próbował przywrócić dawną regułę.

Monastery pozostały idiorytmiczne aż do końca XVIII wieku, gdy ich sytuacja ekonomiczna uległa znaczącej poprawie. Wszystko to za sprawą gospodarów Mołdawii i Wołoszczyzny oraz rosyjskich carów, którzy hojnie wspomogli finansowo Świętą Górę, nie tylko ogromnymi kwotami pieniężnymi, lecz także przekazaniem licznych *metochii*, z których zyski wykorzystywane były do konserwacji i rozbudowy monasterów. Pomocna była także forma jałmużny od bogatych mieszczan czy książąt, którzy w zamian za otrzymane łaski dokładali się do utrzymywania budynków klasztornych.

Ważnym wydarzeniem w historii Republiki Mnichów było założenie w 1748 roku przez Patriarchę Cyryla V z Konstantynopola Akademii Athoskiej w pobliżu monasteru Watopedi. Dzięki temu, że do nauki dopuszczano nie tylko mnichów, ale i świeckich z różnych stron Grecji, Akademia przyczyniła się w znaczącym stopniu do poprawy poziomu edukacji w narodzie, znajdującym się przez ponad trzysta lat pod okupacją turecką, i do przekazania idei oświeceniowych. Uczono nie tylko teologii, ale i literatury greckiej i łacińskiej, filozofii i matematyki, logiki i etyki oraz współczesnych filozofów (Kartezjusza, Leibniza, Wolfa i Locke'a). Po zwolnieniu ze szkoły jej dyrektora, Ewjeniosa Wulgarisa (1716–1806), czołowego przedstawiciela ruchu oświeceniowego, tłumacza Woltera i Locke'a, nastąpił powolny upadek szkoły przypieczętowany pożarem w 1760 roku, po którym już nigdy nie wznowiła działalności w dawnym kształcie.

W 1783 roku Patriarcha Gabriel IV w szóstym *typikonie* przeprowadził wiele znaczących reform zmieniających funkcjonowanie Świętej Góry. Ustanowił Świętą Wspólnotę, centralny organ władzy wykonawczej, składający się z 20 przedstawicieli pochodzących z 20 monasterów, z których każdy pełnił przez rok swoją funkcję. Powołał także Świętą Komisję z siedzibą w Karies, złożoną z czterech członków Świętej Wspólnoty, która dbała o wykonywanie jej postanowień. Każdy z monasterów miał co pięć lat w Komisji swojego reprezentanta. Reformy te dały później podstawę do sporządzenia konstytucji Grecji z 1927 roku i obowiązują po dziś dzień. Dzięki reformom wiele monasterów wróciło także do reguły cenobitycznej.

W związku z przystąpieniem części mnichów z Athos do wojny o niepodległość Grecji w 1821 roku Turcy spustoszyli obszar Świętej Góry, plądrując i paląc monastera, a także biorąc zakładników. Przez kolejne dziesięć lat trzytyśięczne wojsko tureckie przebywało na półwyspie, mieszkając w monasterach i żyjąc na ich koszt. Populacja mnichów w tamtym okresie zmniejszyła się z 2980 do 590. Na Górę zaczęli powoli wracać dopiero w 1830 roku, po wycofaniu się wojsk tureckich, a wraz z nimi przybywali liczni mnisi z terenu Bałkanów, a także z Rosji.

Rosjanie zaczęli w tym czasie hojnie wspomagać monaster św. Pantelejmona, dotując rozbudowę dotychczas małych budynków klasztornych. Zakupili także kilka zrujnowanych budowli i zmienili je w skity: św. Andrzeja, Chromitsa i Nea Tebais. Rosjanie ze skitu św. Andrzeja chcieli między innymi nabyć tereny od monasteru Stawronikita, pragnąc zbudować przystań dla wielkich okrętów. Rosyjska przewaga mnichów na Świętej Górze w owym czasie zaczynała przybierać niespotykane dotychczas rozmiary: w 1912 roku rosyjskich mnichów było 3615, z kolei greckich 3207. Dopiero rewolucja z 1917 roku powstrzymała ten proces.

## **Republika Mnichów jako autonomiczna część państwa greckiego**

Flota grecka zdobyła Świętą Górę 2 listopada 1912 roku, co spowodowało gwałtowny sprzeciw Rosjan, domagających się, by półwysep należał do „wszystkich narodów prawosławnych”. Góra Athos została przyłączona do Grecji dopiero po wojnach bałkańskich, w 1913 roku, stając się integralną częścią jej terytorium, zachowując jednak swój autonomiczny status, potwierdzany przez prawo międzynarodowe (traktat z Neuilly-sur-Seine

w 1919, układy z Sèvres, 1920 i z Lozanny, 1923). Ostatni z układów zawierał ponadto klauzulę związaną z ochroną praw społeczności mnichów bułgarskich, serbskich i rosyjskich.

W czasie pierwszej wojny światowej, w styczniu 1917 roku, Athos wraz z północną częścią Grecji były okupowane przez Ententę i zachowały neutralny charakter. Gdy w styczniu 1917 roku grecka prasa rozpuściła pogłoskę, jakoby mnisi z Watopedi kolaborowali z Niemcami, na półwysep wtargnął francusko-rosyjski oddział. Rosjanie pozostali na Athos do czerwca tego samego roku, z kolei Francuzi aż do 1919. Po „katastrofie małoazjatyckiej” w 1922 roku monasterium na Athos bezpowrotnie utraciły swoje *metochia* w Azji Mniejszej, a rząd grecki w latach 1924–1927 wywłaszczył włości należące do monasterów, znajdujące się na terytorium kraju poza półwyspem.

Karta Statutowa Świętej Góry z 1926 roku, w której zostały uwzględnione bizantyńskie *typikony* i rozporządzenia wydawane przez cesarzy, to pierwszy jednolity kodeks prawny Góry. Wówczas po raz pierwszy Athos uzyskała status Republiki Teokratycznej. Obowiązującą moc prawną Karty zatwierdził dekret legislacyjny Rządu Greckiego z września tegoż roku, potwierdzając tym samym autonomię Świętej Góry, która była gwarantowana także przez wszystkie kolejne konstytucje Grecji (1927, 1952, 1975 [z poprawkami w 1986, 2001 i 2008]: artykuły 105–112 konstytucji Grecji). Karta zawierała między innymi regulacje związane z przywilejami i ulgami podatkowymi mnichów, zasady przyjmowania nowicjuszy (bez względu na narodowość, każdy mężczyzna prawosławny mógł tam pozostawać dowolnie długo i automatycznie zostawał obywatelem greckim, ograniczono natomiast obecność osób innych wyznań). Podtrzymany został święty zakaz (*awaton*) wstępu kobiet i zwierząt płci żeńskiej (artykuł 186 Karty), który uzyskał moc prawną i jego przekroczenie podlega karze od dwóch miesięcy do roku więzienia.

W czasie drugiej wojny światowej na Górze Athos nie doszło do żadnych tragicznych wydarzeń, gdyż półwysep znalazł się pod protekcją samego Hitlera. Ani Niemcom, ani Bułgarom nie wolno było wkraczać na Świętą Górę – założono jedynie mały punkt obserwacyjny na południowo-wschodnim krańcu. W czasie wojny domowej w Grecji (1944–1949) komuniści wdarli się na Athos, plądrując monasterium. Znany jest epizod z 1948 roku, gdy partyzanci, wśród których była grupa 25 kobiet, dotarli

do Karies i spędzili noc na dziedzińcu kościoła Protaton. Wówczas święty zakaz został pogwałcony po raz trzeci w ciągu tysiąclecia – po pasterkach wołoskich i Helenie, żonie Stefana Duszana.

Ważnym wydarzeniem we współczesnej historii były także obchody pierwszego tysiąclecia Świętej Góry w 1963 roku, gdy w Karies zjawili się najwyżsi patriarchowie Kościoła prawosławnego i Kościołów wschodnich oraz przedstawiciele innych Kościołów, w tym także katolickiego. Patriarcha Ekumeniczny Konstantynopola odprawił wówczas liturgię dziękczynną w świątyni Protaton.

### **Święta Góra w Unii Europejskiej**

Po przystąpieniu Grecji do Unii Europejskiej w 1981 roku wszystkie przywileje Świętej Góry zostały utrzymane i jej status prawny został potwierdzony specjalnym załącznikiem w formie deklaracji do umowy członkowskiej. Największe kontrowersje powodował (i nadal wzbudza) zakaz wstępu kobiet, który został uznany za łamanie praw człowieka i naruszenie jednej z podstawowych zasad unijnych o swobodzie przemieszczania się i pobytu osób w krajach członkowskich. Kilkakrotnie próbowali w tej sprawie interweniować parlamentarzyści unijni oraz różne organizacje feministyczne, ale jak dotąd bezskutecznie. Rezolucja Parlamentu Europejskiego z 15 stycznia 2003 roku, w której wzywano rząd grecki do uchylecia tego zakazu, poskutkowała jedynie tym, że zniesiono wizy pozwalające na wstęp na Górę. Obecnie kobiety mogą oglądać Athos tylko z morza, na statkach wycieczkowych, które nie mogą się zbliżyć na odległość mniejszą niż 500 metrów od brzegu.

Żeby odwiedzić Górę Athos, należy postarać się o specjalną przepustkę, *diamonitirion*, w biurze obsługi pielgrzymów w Salonikach lub Uranupolis na Chalkidiki, która wydawana jest maksymalnie na pobyt czterodniowy. Dziennie może pojawić się na górze 110 pielgrzymów (100 Greków i 10 cudzoziemców). Każdego dnia o godzinie 9.45 z portu w Uranupolis odpływa prom do Dafni, skąd można się udać w dalszą podróż po półwyspie. Pielgrzymi mają zakaz filmowania i powinni być także stosownie ubrani – zabronione są na przykład krótkie spodnie.

Święta Góra jako region autonomiczny podlega greckiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Na Górze Athos działa obecnie 20 monasterów i ich liczba, zgodnie ze statutem, nie może ulec zmianie, podobnie jak ich

hierarchia (wymieniane są zawsze w tej samej kolejności z zachowaniem hierarchiczności monasterów zwierzchnich). Władzę administracyjną i w niektórych przypadkach sądowniczą na Górze sprawuje Święta Wspólnota, składająca się z 20 przedstawicieli wszystkich monasterów, którzy pozostają w siedzibie Wspólnoty w Karies przez cały rok, obradując dwa razy w tygodniu i podejmując decyzję większością głosów. Monastery podzielone zostały na pięć tetrad, z których każda zaczyna się od monasteru głównego. Każda tetrada przewodzi co pięć lat Świętej Komisji – organowi władzy wykonawczej Świętej Wspólnoty, a przewodzi jej mnich zwany *protoepistatis*, czyli „pierwszy zarządca”.

Wszystkie monasterium są obecnie cenobityczne. Każdy z nich ma swój wewnętrzny regulamin, zatwierdzony przez Świętą Wspólnotę, zawierający własne reguły stosowane w szczególnych sytuacjach. Na czele każdego z monasterów stoi igumen, wybierany w tajnym głosowaniu i pozostający na tym stanowisku do końca życia. Kieruje monasterem wraz z „radą starców” (*gerontia*) i kolegium złożonym z dwóch lub trzech zaufanych doradców (*epitropoi*).

Inne jednostki monastyczne Góry Athos to dwanaście skitów, które podlegają władzy monasterów. Osiem z nich jest idiorytmicznych: św. Anny, św. Trójcy lub Kafsokaliwia, św. Dymitra, Prodromu (św. Jana Chrzciciela), św. Pantelejmona, Ksenofontos, św. Dymitra lub Lakkos (rumuński), Nea Skete. Cztery są cenobityczne: Bogurodzicy (rosyjski), Profitu Iliu (Proroka Eliasza), Timiu Prodromu (św. Jana Chrzciciela) (rumuński), św. Andrzeja lub Serai.

Inne jednostki to wspomniane w powieści *Akrivosa kellie, kaliwie, kathismaty* i najskromniejsze z nich *hesychasteria* (pustelnie) – chaty lub grotty w skalnych zboczach. Według spisu powszechnego z 2011 roku liczba stałych mieszkańców Świętej Góry wynosi 1811 osób. Dla porównania: w 1912 – 7754, w 1950 – 2160, w 1968 – 1238, a w 2001 roku były to 2262 osoby.

## **Rytm życia mnichów**

Życie codzienne mnichów niewiele się zmieniło mimo upływu stuleci. Żyją tak, jak przed wiekami, według wytycznych ustalonych w III i IV wieku n.e. przez prekursorów życia monastycznego, takich jak św. Antoni (założyciel anachoreckiego monastycyzmu) czy św. Pachomiusz Egipski (prekursor

cenobityzmu). Pielęgnując cnoty skromności i posłuszeństwa, czystości i braku własności, praktykują codzienną modlitwę (wspólnotową i prywatną) i wykonują swoje posługi według ściśle określonego porządku dnia. Większość monasterów stosuje stary czas bizantyński (według tradycji starotestamentowej), zaczynający się o zachodzie słońca – wówczas bramy klasztorne się zamykają i wszyscy powinni udać się do swoich pomieszczeń. To czas, gdy rozpoczyna się dobowy cykl nabożeństw, w którego skład wchodzi: wieczernia, powieczere, nabożeństwo o północy, jutrznia, pierwsza, trzecia, szósta godzina kanoniczna oraz dziewiąta godzina kanoniczna i święta liturgia.

Godziny nocne przeznaczone są na modlitwę i odpoczynek. Między 3.00 a 4.00 w nocy (10.00 według starego czasu) dźwięk specjalnej drewnianej kołatki (*talando*) lub metalowego gongu (*simandron*) daje mnichom znak do zebrania się na wspólną modlitwę w katolikonie, gdzie następnie odprawiają jutrznię, czyli główne nabożeństwo (według bizantyńskiej rachuby czasu wypada ono o północy). Trwa około trzech godzin i dopiero potem podawane jest skromne śniadanie w refektarzu, zazwyczaj znajdującym się naprzeciwko katolikonu (rośliny strączkowe, warzywa, owoce, jajka, ser i chleb). W kolejnych godzinach mnisi wykonują przydzielone im posługi (praca w sadach, winnicach, kuchni, piekarni, bibliotece, magazynach, w polu i szklarniach, przy łowieniu ryb i pszczelarstwie itd.). Około 12.00 udają się na dwugodzinny spoczynek, a potem znów podejmują się przydzielonych im prac, które wykonują do 17.00, gdy po raz kolejny słychać dźwięk kołatki wzywający braci na wieczernię (nieszpory), po której podawany jest drugi posiłek w ciągu dnia, równie skromny jak poprzedni, ale często z dodatkiem czerwonego wina. Następnie mnisi udają się na ostatnią wspólną modlitwę, powieczere (kompleta), trwające około trzech kwadransów. Potem wracają do swoich cel, by albo zająć się niedokończonymi sprawami, albo oddać się indywidualnej modlitwie lub odpoczynkowi aż do zachodu słońca, gdy dobowy cykl rozpoczyna się na nowo.

Pozostałe cykle liturgiczne, zarówno tygodniowy, jak i roczny, nie różnią się od tych, które stosowane są w innych Kościołach prawosławnych. Na Świętej Górze, przeciwnie do Patriarchatu w Konstantynopolu i Greckiego Kościoła Prawosławnego, obowiązuje kalendarz juliański. W związku z tym wszystkie święta wypadają na Athos 13 dni później niż

w pozostałym świecie prawosławnym, wszystkie z wyjątkiem Wielkanocy.

Niezwykle ważną rolę w życiu monastycznym odgrywają posty, które obowiązują w poniedziałki, środy i piątki oraz w ważnych okresach w roku liturgicznym (40 dni przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem, przed Zaśnięciem NMP [1–14 sierpnia], post przed świętem Apostołów Piotra i Pawła [8 dni po Pięćdziesiątnicy do 29 czerwca]). Post zakłada całkowite powstrzymanie się od pokarmów mięsnych, których zresztą mnisi i tak niemal nigdy nie spożywają, ale także od produktów mlecznych, ryb, wina i oliwy.

### **Architektura i sztuka Świętej Góry**

Monastery na Świętej Górze zbudowane zostały jako solidne fortyfikacje. Na środku dziedzińca, który jest brukowany, znajduje się główna świątynia monasteru (katolikon), otoczona wysokim murem, który stanowi także część zabudowań klasztornych. Nad kompleksem budynków góruje wysoka wieża, pełniąca także funkcję dzwonnicy. Zwykle w obrębie murów znajduje się tylko jedno wejście w postaci bramy z kratą, która bezwzględnie zamykana jest o zmierzchu i otwierana dopiero o świcie. Wszystkie katolikony, poza monasterem Stawronikita, zbudowane są na planie krzyża greckiego, nad którym góruje kopuła wsparta na czterech kolumnach. W kierunku zachodnim świątynia jest wydłużona w podwójny przedsionek (*nartheks*, *eksonartheks*), od wschodu zaś w potrójną apsydę. Świątynie atoskie, raczej niewielkich rozmiarów, stały się podstawą i wzorcem dla prawosławnej architektury klasztornej rozpowszechnionej na Bałkanach. W pobliżu katolikonu znajduje się *fiala*, marmurowy zbiornik na wodę święconą, otoczony kolumnadą i przykryty kopułą.

Zwykle naprzeciwko świątyni, ale czasem także włączony do kompleksu budynków, znajduje się refektarz przeznaczony do wspólnych posiłków. To jedno z najbardziej zdobnych miejsc w monasterze, z malowidłami zawierającymi motywy Ostatniej Wieczerzy, cuda rozmnożenia chleba i ryb oraz wizerunki świętych. Do refektarza często przylega kuchnia, piekarnia, spiżarnia oraz piwnice. W pozostałych częściach kompleksu klasztornego znajdują się rozmieszczone na różnych poziomach, w dłuższym boku budynku, cele mnichów, biblioteka, pracownie i magazyny oraz, w krótszym boku, pokoje gościnne. Poza murami każdy monaster posiada także własną przystań do cumowania i naprawy łodzi.



Najstarsze zachowane zabytki malarstwa ściennego znajdują się w monasterze Watopedi. Są to freski przedstawiające świętych Piotra i Pawła datowane na drugą połowę XII wieku. Większe zespoły malarstwa monumentalnego w Protatonie w Karies, Watopedi i monasterze Chilandar pochodzą dopiero z pierwszej połowy XIV wieku. Szkołę malarską, jaka wówczas dominowała, określa się mianem macedońskiej, a jej najwybitniejszym przedstawicielem był, wspomniany w *Pandemonium*, Manuel Panselinos. Jednak to wiek XVI, w którym rozwija się tak zwana szkoła kreteńska, przynosi największe zmiany w działalności artystycznej w monasterach. Teofan z Krety, działający w latach 1527–1559, pozostawił po sobie przynajmniej trzy zespoły fresków (Wielka Ławra, Stawronikita oraz kościół św. Mikołaja Anapafosa w Meteorach) oraz kilkadziesiąt ikon, między innymi w ikonostasie Wielkiej Ławry i Stawronikita, a także w Deesis Protatonu w Karies. Malarstwo Teofana, łączące w sobie tradycyjną sztukę bizantyńską epoki Paleologów z ówczesną sztuką włoską, dało początek szkole kreteńskiej, której twórcy, zarówno znani z imienia, jak i bezimienni, pozostawili po sobie wiele malowideł i ikon, które można dziś oglądać w atoskich monasterach i do których nawiązywał także sławny El Greco, czyli pochodzący z Krety Dominikos Theotokopoulos (1541–1614).

### **Athos w oczach polskiego podróżnika**

Krakowski jezuita, uczony i podróżnik Marcin Czermiński (1860–1931), który w czasie swoich misji wielokrotnie był na Bałkanach, w Grecji i w Turcji, w 1906 roku odwiedził także Świętą Górę. Sporządził on niezwykle ciekawą, obszerną relację ze swojej podróży. Zwiedził między innymi monastery św. Pantelejmona, Iwiron, Wielką Ławrę oraz skit św. Andrzeja, przekazując wiele intrygujących i cennych informacji związanych z wyglądem mniszycel, jadłospisem, historią odwiedzanych miejsc i na poły legendarnymi opowieściami na temat najdawniejszych dziejów miejsca. Jego książka pełna jest także odniesień do aktualnej sytuacji politycznej. Bezценne dla badaczy Świętej Góry są zwłaszcza liczne fotografie jego autorstwa, niektóre z nich przedstawiające nieistniejące już dziś obiekty i wnętrza. Tajemniczość półwyspu i jego mistyczny urok przyciągały duchownego ze zdwojoną siłą, gdyż – jak wyjaśnia we wstępie – od wielu lat planował taką podróż. Zbliżając się do przylądków półwyspu

od strony Konstantynopola, tak pisał:

*W miarę zbliżania się parowca do Athosu oko dostrzega coraz więcej z zachwycających szczegółów. Oto obłoki otoczyły szczyt jego, kapliczka Przemienienia Pańskiego jakby unosiła się w niebiosach. W dali widzimy, lecz już jakby we mgle spowity, monaster Pantokrator, jeszcze dalej Stawronikita, Iwiron, Karakalu, kryjący się w cieniu drzew, a już najbliżej u samego podnóża najwyższego szczytu Ławrę św. Athanazego z potężnymi murami, basztami obronnymi, jak zamek staroświecki stojący na straży rzeczypospolitej mniszej. [...] Około mołdawskiego wspaniałego skitu, o budowlach najnowszych czasów, parowiec zwraca się ku stronie południowej Athosu o bardzo dzikim wyglądzie poszarpanych skał, zupełnie niedostępnych do wylądowania, o który odbijają się fale i wracają spienione do swego morskiego łóżyska. Rzadka z tej strony roślinność, bo spadzisty teren nie utrzyma ziemi, gdzieniegdzie tylko widać nędzną chatkę jakiegoś pustelnika lub grotę w czeluściach skał, zamieszkałą przez tych, co świat opuścili i dlań już umarli.*

(M. Czermiński, *Na Górze Athos. Wśród mniszej republiki*, Kraków 1908, s. 15)

Michał Bzinkowski

[134](#) Sobota Zaduszna (*Psichosawato* [*Psychosabbato*], Ψυχοσάββατο) – obchodzona dwukrotnie w ciągu roku liturgicznego: przed Trzecią Niedzielą Wielkopostną oraz przed Niedzielą Pięćdziesiątnicy.

[135](#) Hagioryta – mnich ze Świętej Góry (Hagion Oros).

[136](#) Ro (stgr. *rho*) – siedemnasta litera z greckiego alfabetu.

[137](#) Kesarios Dapontes (Καισάριος Δαπόντες, 1713/14–1784).

[138](#) Te-ri-rem – sylaby charakterystyczne dla śpiewu melizmatycznego popularnego w monasterach o tradycji bizantyńskiej.

[139](#) Gr. Δανιηλαίοι (Daniilei) – kellia w Katunakia.

[140](#) Siroko (σιρόκο), sorokada (σοροκάδα) – gwałtowny południowo-wschodni wiatr.

[141](#) 1 Kor 1, 25.

[142](#) Керои (Κήποι), czyli Ogrody – starożytne miasto na Półwyspie Tamańskim (obecnie Kraj Krasnodarski w Rosji).

Tytuł oryginału greckiego: *Παιδαμώγιο*

Redakcja: Elżbieta Regulska-Chlebowska

Korekta: Urszula Włodarska, Damian Piechaczek

Projekt okładki: Magdalena Kocińska | O!Studio

Konwersja: Wioleta Kowalska | VioletDesign

© Metaichmio Publications & Kostas Akrivos 2007 © for the Polish translation by Michał Bzinkowski  
2014

ISBN 978-83-64887-92-5 (wersja ePUB)

ISBN 978-83-64887-93-2 (wersja Mobi)



Książkowe Klimaty

[www.ksiazkoveklimaty.pl](http://www.ksiazkoveklimaty.pl)

Redakcja:

ul. Mydlana 1, 51-502 Wrocław

[redakcja@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:redakcja@ksiazkoveklimaty.pl)

Promocja:

[promocja@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:promocja@ksiazkoveklimaty.pl)

Sprzedaż:

[sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl)

## MICHAŁ BZINKOWSKI



Wykładowca, eseista, tłumacz. Przetłumał m.in. Jorgosa Seferisa (Nobel 1963), Janisa Ritsosa, Konstantinosa Kawafisa, Kiriakosa Charalambidisa. Nominowany do Nagrody dla Tłumacza Europejskiego Poety Wolności za przekład *Czasowników Pandelisa Boukalasa* (Gdańsk 2013). Adiunkt w Zakładzie Bizantynistyki i Neogrecystyki Instytutu Filologii Klasycznej UJ. Autor *Rozmówek greckich* (Kraków 2006) oraz wielu esejów i artykułów w czasopiśmie krajowych i zagranicznych poświęconych literaturze i kulturze greckiej. Stypendysta Rządu Greckiego i Fundacji z Brzezia Lancorońskich. Krakowianin z urodzenia.



*Odkryj sekret...*

# WIELKICH GRECKICH WAKACJI

---

*Nasza Grecja ma wiele twarzy, a każda z nich to odrębna, wielobarwna kraina. Każdy z tych światów dopiero z bliska odsłania przed gośćmi swoje skarby. Odkrywaj z nami niezwykle historie i piękne widoki!*

**GRECOS.PL**



KOSTAS AKRIVOS

# PANDEMONIUM

SERIA  GRĘCKIE KLIMATY